



Cynthia Palmer



IZABELLA

- Mamo, mam, popatrz. Lwy przyszły napić się wody!

Dziewczynka aż poczerwieniała z podniecenia.

Izabella DuChaillot spojrzała z rozczuleniem na córkę stojącą przy balustradzie tarasu.

- Dawno nas tu nie było. U babci w Paryżu nie widywałaś takich zwierzaków. Już ich nie pamiętasz?

- Właśnie że pamiętam, bardzo za nimi tęskniłam. Tak się cieszę, że jesteśmy znowu u siebie w domu. Zobacz, zobacz, mama lwica przyprowadziła dwie córeczki. Pewnie się urodziły, jak nas nie było! - Mała aż podskakiwała z radości.

- Skąd wiesz, że córeczki? Może to synkowie?

Izabella podeszła do balustrady tarasu i popatrzyła na drugą stronę rzeki.

Mój Boże - pomyślała z rozrzewnieniem - dla mojej córki to jest rodzinny dom, tu jest u siebie, nad tą leniwą, żółtawą rzeką, z lwami, zebrami i bawołami u wodopoju. W sercu czarnej Afryki.

Państwo DuChaillot mieszkali w Bikasi od dziesięciu lat. Tu urodziła się ich córka. Jednak Izabella ciągle jeszcze nie czuła się w Afryce jak „u siebie”. Patrząc na bezkresną sawannę po drugiej stronie rzeki i sterczące gdzieniegdzie baobaby, przywoływała obraz szarych wód Narwi i soczystej zieleni łąk, przygarbionych wierzb, a w dali na skarpie, po drugiej stronie rzeki widziała białe domki Wierzbicy. Myślała o małym, przygarbionym dworku w Grabowie, gdzie u babci spędzała wakacje. *No cóż, teraz twój dom jest tu i nie ma co się roztkliwiać* - powiedziała sobie Izabella bez wielkiego przekonania.

Choć, musiała przyznać, nie miała powodu do narzekań.

Państwo DuChaillot mieszkali w pięknej wiktoriańskiej willi, na skarpie rzeki, w rezydencyjnej dzielnicy na obrzeżu miasta. Z salonu wychodziło się na wspaniały taras z widokiem na rzekę i dalej na sawannę ciągnącą się aż do samej Rodezji. Schody po obu stronach tarasu prowadziły do pięknego ogrodu, obrzeżonego palmami i kolorowymi bugenwillami. Dumą panna DuChaillot był wspaniały, olimpijskich rozmiarów basen, utrzymywany w nienagannym stanie przez boyka imieniem Patrice. Państwo DuChaillot zatrudniali także kucharkę i dwóch boyów do pracy w domu. Służba wraz z licznymi rodzinami mieszkała w dwu maleńkich domkach, tuż za płotem ogrodu. Izabella nieraz zastanawiała się, jak oni się tam mieszczą, choć

większość życia spędzali na zewnątrz, gotując, jedząc i nawet śpiąc w cieniu okalających domki palm.

Mąż Izabelli, Richard DuChaillet, był dyrektorem kopalń miedzi i uranu należących do międzynarodowego koncernu Union Minière, a zatem jednym z najważniejszych ludzi w mieście i w ogóle w tej części Katangi. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o szpakowatych włosach i inteligentnych czarnych oczach. Miał pięćdziesiąt pięć lat, był więc o dwadzieścia pięć lat starszy od swej trzydziestoletniej żony. Izabellę poznał na targach sprzętu górniczego w Lille, gdzie pracowała w stoisku konkurencyjnej firmy. Richard lubił sobie żartować, że żeniąc się z nią, za jednym zamachem znalazł żonę i zniszczył konkurencję.

Izabella miała wtedy dwadzieścia lat. Przybyła do Francji trzy lata wcześniej. Po upadku powstania warszawskiego, w którym straciła rodziców, udało jej się przedostać na Węgry, a stamtąd do Francji. Od czternastego roku życia uczyła się pilnie francuskiego. Nawet nie przeczuwała, jak jej się to przyda już po trzech latach. W Lille, po zakończeniu wojny, odszukała dalekiego krewnego, z dawnej polskiej emigracji, który trochę jej pomógł, ale nie za dużo, bo sam był już stary, schorowany i żył z niewielkiej emerytury. Kolega wuja załatwił jej pracę recepcjonistki w koncernie Carbo France. W dwa lata później została kierowniczką czteroosobowego zespołu Carbo France na targach górniczych w Lille. Była jeszcze bardzo młoda, nie miała formalnego wykształcenia, ale była dzielna i przedsiębiorcza, a co może najważniejsze, potrafiła zjednywać sobie ludzi. Wszyscy ją lubili. Na pewno nie przeszkadzało też to, że była śliczną, pełną życia i wdzięku dziewczyną. Szczególnie we Francji jej nieco egzotyczna uroda „dziewczyny z polskiego dworku” była wielkim atutem. Jej złocistorudawym włosom i niebieskim oczom nie mógł się oprzeć żaden Francuz. Nie oparł się też Richard DuChaillet, inżynier z Union Minière, reprezentujący koncern na targach górniczych w Lille. Spotkali się na przyjęciu otwierającym targi i Izabella od razu wiedziała, że to jest właśnie to. Ujęły ją szczególnie jego inteligentne, zamyślane oczy, delikatność i wiedza o Polsce. Umówili się na drugi dzień na lunch i potem spędzali już wszystkie wolne chwile razem. Po ślubie zamieszkali w Brukseli, gdzie mieściła się główna siedziba Union Minière. Wkrótce Richard został mianowany dyrektorem kompleksu kopalń w Katandze, w Kongu Belgijskim i małżonkowie wyjechali do Bikasi. Tam urodziła się córka - Nicole.

Izabella nieraz myślała, że właściwie żyje jak w bajce. Z kochanym i kochającym mężem, z uroczą córeczką, w pięknym domu ze wspaniałym ogrodem, basenem i służbą. Dyrektor naczelny kopalń Union Minière i jego piękna młoda żona od razu stali się gwiazdami życia

towarzyskiego elity Bikasi i Katangi. Początkowo Izabellę trochę peszyły i męczyły ciągle bale i przyjęcia: u gubernatora, u burmistrza Bikasi i innych notabli belgijskich oraz z koncertu Union Minière. Jednak teraz już nawet polubiła rolę popularnej i ogólnie szanowanej „pani dyrektorowej”. Już jej nie peszyły pełne uwielbienia spojrzenia panów, a nawet lubiła ich adorację. Mniej akceptowana była przez panie, które jednak swą niechęć zręcznie maskowały, nie chcąc zachować się nietaktownie. Przyjęcia u państwa DuChaillet były zawsze wielką atrakcją w życiu Bikasi i wszyscy chcieli na nich bywać. Wakacje Izabella spędzała z mężem i córką w Europie, najczęściej najpierw nad morzem, na Lazurowym Wybrzeżu, albo nad Atlantykiem w Biarritz, a potem jakiś czas w Paryżu, u matki Richarda. Teraz właśnie wrócili z Francji...

- Widzę, że Lola nie marnowała czasu, jak byliśmy we Francji. Ma już małe!

Richard wrócił z biura, wszedł na taras i podszedł do balustrady, do córki zapatrzonej w lwią rodzinę po drugiej stronie rzeki. Państwo DuChaillet znali przychodzące do wodopoju zwierzęta i nadawali im własne imiona. Lwica z nieco naderwanym lewym uchem to była Lola.

- Tatusiu, one są takie cudowne! Nigdy nie mogłabym żyć bez tych zwierząt, bez naszego domu, bez Bikasi, w tym dusznym i nudnym Paryżu.

- No, kochanie, chyba trochę przesadzasz - Izabella rozbawiona spojrzała na córkę. - Już zapomniałaś Samaritaine? Są takie sklepy w Bikasi?

- Nie ma i wcale ich nie potrzebuję. W Bikasi jest najpiękniej na świecie - odpowiedziała rezolutnie Nicole.

Państwo DuChaillet wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wyrasta nam w domu rodowita Afrykanka!

* * *

Doroczny bal u gubernatora Katangi Michela Legrand'a był jak zwykle wspaniałą okazją do zaprezentowania nowych kreacji. Izabella miała na sobie piękną beżową suknię z wzorzystej, jakby inkrustowanej tkaniny, zaprojektowaną przez początkującą dopiero paryską pracownię Diora. Suknia podkreślała nienaganną figurę Izabelli, a śmiały dekolt z piękną bursztynową kolia podarowaną jej przez matkę Richarda dopełniały obrazu.

Efekt był piorunujący. Panowie z największym trudem odwracali od niej pełne zachwyty i pożądania oczy, a panie obłudnymi uśmiechami i ciepłymi komplementami maskowały zżerającą je zazdrość. Izabella nie była jednak w najlepszym nastroju. *I właściwie na co mi to wszystko* - myślała, pijąc szampana i rozmawiając z żoną gubernatora oraz jej osiemnastoletnią córką o urokach Paryża. - *I tak jestem tu najładniejsza i najelegantsza. Po co się tak stroję? Dla*

kogo? Dla tych prowincjonalnych bab i ich pryszczatych córek? - Izabella popatrzyła wokół z lekkim znudzeniem, ale i nie bez pewnej satysfakcji.

W tym momencie do rozmawiających pań podszedł przystojny, młody mężczyzna o ciemnej cerze, lśniących kruczonych włosach i w nienagannie skrojonym garniturze z wąskimi klapami, które właśnie zaczynały być modne. Był mniej więcej w wieku Izabelli.

- Droga Izabello, pozwól, że ci przedstawię pana Louisa Borinello - panią gubernatorową najwyraźniej rozanielił widok młodego człowieka. Sama miała prawie pięćdziesiątkę, ledwo mieściła się w i tak już dość obfitej sukience, ale zadbana cera i piękne kasztanowe włosy wskazywały, że kiedyś mogłaby zapewne konkurować urodą z Izabellą. - Louis wrócił właśnie z Leopoldville.

- Bardzo mi miło pana poznać - skłamała z uroczym uśmiechem Izabella. Przylizany mydełk zdecydowanie nie był w jej typie, ale przyglądała mu się z zainteresowaniem, gdyż przypomniawszy sobie plotki o tym, że gubernatorowa ma młodego kochanka, a wyraz jej twarzy i wyraźna zażyłość między nimi zaostrzyły jej ciekawość. - Co tam słyhać w stolicy?

- Bardzo się cieszę, że pana widzę - do stojącej grupki podszedł Richard. - Cały dzień starałem się do pana dodzwonić. Podobno ma pan wieści o rebelii?

- Niestety wiadomości są bardzo niedobre. - Louis Borinelli patrzył pożądliwie na dekolt Izabelli, co nie uszło uwagi pani gubernatorowej. - Bandyty z plemion Baluba i Kundu opanowali już prawie całe Kasai i z dwóch stron otaczają Katangę. Bruksela obiecuje przysłać posiłki, ale to potrwa.

- To straszne, to ludożercy, słyszałam od naszego boya Tomisu, że małe dzieci białych, szczególnie te pulchniejsze, nadziewają na różną i opiekają jak prosiaki - powiedziała zbulwersowana córka pani gubernatorowej.

- Ależ, Adrienne, nie opowiadaj takich rzeczy - zachnął się Richard, próbując uspokoić wyraźnie przerażoną panią. - To bzdury, a zresztą z Kasai do Bikasi jest ponad trzysta kilometrów, a belgijski garnizon Katangi jest znacznie silniejszy od tego w Kasai, ze względu na kopalnie miedzi i uranu o strategicznym znaczeniu, jakie mamy w tym regionie. Zachód w żadnym razie nie dopuści do tego, by te kopalnie dostały się w ręce Sowietów, którzy stoją za tą rebelią.

- Oczywiście. Richard, jak zawsze ma rację - uśmiechnęła się pani gubernatorowa. - Jakbyśmy byli w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, to przecież Michel nie pozwoliłby na organizowanie balu!

W tym momencie zagrała orkiestra.

- Boże, znowu te stare szlagiery! - wyrwało się Izabelli, która na chwilę zapomniała o dobrych manierach.

- My, ludzie starszej daty, takie właśnie lubimy - powiedział Richard, starając się, niezbyt jednak zręcznie, załagodzić gafę swojej młodej żony. Pani gubernatorowa wcale nie chciała, a już na pewno nie w obecności Louisa, być „osobą starszej daty”.

Brnąc dalej, Richard zaprosił szarmancko panią Legrand do tańca. Louis Borinelli skwapliwie skorzystał z okazji i ruszył w tany z Izabellą. Pani gubernatorowa wcale nie była zadowolona z takiego obrotu spraw. Izabella też wolałaby tańczyć z mężem, choć musiała przyznać, że Louis był doskonałym tancerzem.

Izabella pomyślała, po raz nie wiadomo który, że mężczyźni to naprawdę dziwne istoty. Nawet Richard, taki wydawałoby się wrażliwy i inteligentny, nie był w stanie wyczuć sytuacji i zamiast naprawić jej gafę, jeszcze sprawę pogorszył. Pani gubernatorowa wściekła patrzyła na to, z jakim zapalem Louis przyciskał Izabellę do siebie.

* * *

W drodze do domu Richard milczał, wyraźnie myślami był gdzie indziej.

- Co ci jest, kochanie? Czy coś cię gnębi?

- Iza, musimy porozmawiać - Richard patrzył przed siebie.

Izabella zaniepokoiła się. Chyba nie traktuje poważnie tego mydłka Louisa? A może ktoś mu coś nagadał o nauczycielu angielskiego? Od dwóch lat uczyła się z zapalem angielskiego. Powodem był nie tylko sympatyczny nauczyciel. Chciała dać przykład córce, która nie bardzo się do nauki przykładła i chyba nie odziedziczyła po matce talentu do języków. Nauczycielem był student z sąsiedniej Rodezji, zarabiający w ten sposób na dalsze studia w Anglii. Robert MacPherson nie był nawet specjalnie przystojny, ale zawsze wesoły i pełen radości życia. Mała Nicole go uwielbiała. Izabella też lubiła jego entuzjizm i może nawet trochę za bardzo wciągnęła się w „naukę”. W każdym razie na pewno nie było to nic poważnego. Po prostu bardzo chłopaka lubiła i było jej nawet całkiem przyjemnie, że młody student jest w niej najwyraźniej po uszy zadurzony. Było to widać gołym okiem i Izabella rozumiała, że jeśliby jakieś plotki doszły do męża, to mógłby nie być zachwycony.

- O czym, kochanie?

- Będziemy się musieli rozstać, przynajmniej na jakiś czas.

- Richard, o czym ty mówisz! Czy ktoś ci coś nagadał? - Izabella przestraszyła się nie na żarty.

- Ależ nie, nie o to chodzi - Richard roześmiał się i spojrział z rozczuleniem na żonę. - Tu robi się niebezpiecznie.

- Masz na myśli rebelię w Kasai?

- Tak. To poważna sprawa. Gubernator i reszta robią dobrą minę do złej gry, żeby podtrzymać morale społeczeństwa. Ale jeśli sprawy posuwać się będą dalej tak, jak teraz, to za parę miesięcy rebelianci wyprą Belgów z Katangi, a może i z całego Konga Belgijskiego. Są uzbrojeni i przygotowani przez Sowietów, którzy pod szlachetną przykrywką walki z kolonializmem chcą położyć łapę na miedzi i uranie. Wbrew temu, co mówiłem na balu, w pomoc Zachodu nie bardzo wierzę.

Izabella patrzyła na stadko żyraf przechadzające się w świetle księżyca. Pewnie ma rację. Gdy miała dwanaście lat, też słyszała wokół siebie zapewnienia starszych, że Hitler nie odważy się napaść na Polskę, bo Francja i Anglia przyjdą jej z pomocą. Za miesiąc Niemcy zaatakowały Polskę i zaczęła się II wojna światowa. Pięć lat później, po powstaniu warszawskim uciekała z płonącej Warszawy, przed nadciągającą armią sowiecką. Jej na pewno Zachód nie pomógł. No, chyba że uznać Richarda za „pomoc Zachodu”. Izabella uśmiechnęła się do siebie.

- Richard, to wyjeżdżajmy stąd. Na co czekamy?

- Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Ja tu muszę, przynajmniej na razie, zostać. Nie mogę zostawić kopalń, moich inżynierów, górników... Jeśli moje najgorsze przeczucia się spełnią, będę musiał zorganizować możliwie jak najsprawniejszą ewakuację... Chodzi o ciebie i Nicole, musicie stąd wyjechać.

- Nigdzie się bez ciebie nie ruszę, a poza tym... Czy trochę nie panikujesz? Sam mówiłeś, że garnizon belgijski w Katandze jest silny, a rebelianci są na razie trzysta kilometrów stąd, w Kasai.

- Ależ, Iza, spokojnie. Nie mówię, że macie wyjeżdżać jutro rano. Po prostu musisz się do tego przygotować, mamy jeszcze czas. Na razie Nicole nic nie mówmy, nie warto jej straszyc. Tym bardziej że może wszystko będzie dobrze...

Richard miał głos spokojny i rzeczowy, ale Izabella doskonale czuła, że jest zdenerwowany i sam nie bardzo wierzy w to, co mówi.

Izabella znów patrzyła na mijaną za oknami sawannę. Czyżby to był koniec tej pięknej afrykańskiej bajki? Białego domu na skarpie rzeki, kucharki i trzech boyów, dzikich zwierząt u wodopoju, bujnych, kolorowych bugenwilli? Izabella zadumała się nad swoim życiem. Widać nie dane jej nigdzie dłużej zagrzać miejsca. Znowu wojna depta jej po piętach.

Izabella siedziała na tarasie w cieniu wielkiego parasola, bujając się lekko na fotelu i popijając herbatę. Od sawanny wiał orzeźwiający wiaterek. Na balustradzie siadł wspaniały, kolorowy motyl. *Niewiele mniejszy od gołębia, a jak ma gustownie dobrane kolory, chyba też ubiera się u Diora!* - Izabella uśmiechnęła się do skrzydlatego przybysza. Za chwilę powinna wrócić ze szkoły Nicole. Potem pojedą na drugą stronę miasta na urodziny jej koleżanki. Izabella bardzo lubiła rodziców dziewczynki. Mieli niewielką plantację ananasów i piękny dom z widokiem na leżące w dole miasto. Motyl wzbił się z gracją w powietrze i odleciał. Na taras wszedł boy, Maurice, w nieskazitelnie białych spodniach i koszuli, na srebrnej tacce podał Izabelli wizytówkę.

- Ten pan bardzo chce panią zobaczyć.

Izabella spojrzała ze zdziwieniem na wizytówkę. Był to Dennis Mbangu, zaufany sekretarz męża, jeden z niewielu Murzynów pracujących w biurze Richarda.

- Niech tu przyjdzie, i przynieś, Maurice, drugą filiżankę do herbaty.

Dennis Mbangu był spocony i wyraźnie bardzo podenerwowany.

- Przysłał mnie pan DuChaillet. Musi pani z córką natychmiast uciekać. Wojownicy Babuba i Kundu otaczają miasto.

- Chwileczkę, Dennis, co się stało, przecież jeszcze wczoraj byli trzysta kilometrów stąd, w Kasai!?

- Wszyscy tak myśleli, ale zamiast przyjechać drogą, przedarli się przez busz, im tylko znanymi ścieżkami, a zakamuflowane karabiny maszynowe splawili rzeką czółnami. Całkowicie zaskoczyli wojsko. Spalili nad ranem koszary i teraz walki toczą się wokół kopalni Barradere.

- Jezus, Maria! Gdzie jest Nicole?! - Izabella zerwała się na równe nogi, jej szkoła była właśnie w rejonie Barradere. - Dlaczego nie dzwoniłście? Siedzę tu sobie, popijam herbatkę, a tam moje dziecko... mój mąż...

- Madame, telefony nie działają, czarna policja miejska przeszła na stronę rebeliantów. Białych nie wypuszczają z miasta. Dlatego pan DuChaillet mnie tu przysłał. To dla pani - Dennis wyciągnął z kieszeni przepoconą kopertę z plikiem banknotów - od pana DuChaillet. Prosi, żeby pani z Nicole, natychmiast wsiadła do samochodu i jechała w kierunku Mzungu, do granicy z Rodezją. Ta droga jest jeszcze wolna. W białym mercedesie jest pełny bak, wystarczy na dojazd do Rodezji. W Salisbury niech się pani zatrzyma w hotelu Royal. Pan DuChaillet przyjedzie, jak tylko będzie mógł.

- Najpierw muszę odszukać Nicole - Izabella z szaleństwem w oczach biegła przez taras, do garażu.

W tym momencie w drzwiach stała zapłakana dziewczynka, trzymając lewą rękę za plecami.

- Mamo, mam, do Bikasi przyszli źli ludzie! - Nicole szlochała.

Izabella wzięła dziecko w ramiona. Nagle poczuła się szczęśliwa - córka jest cała i zdrowa.

- Jak tu dojechałaś?

- Kiedy mieliśmy przerwę, z kierunku kopalni Barradere zaczęły się strzały. Madame Daronne kazała dziewczynkom wsiąść do mikrobusu i przykazała panu Ndole, żeby nas od razu wiozł do domów. Na rogu la Chene i Colombienne zatrzymali nas źli ludzie z karabinami. Powiedzieli, że mamy wysiadać i że zabierają samochód. Pan Ndole chwilę z nimi rozmawiał, potem nagle ruszył i pochylił się nad kierownicą. Źli ludzie zaczęli strzelać, stłukli szybę koło pana Ndole i potem z tyłu samochodu. Rozpryskująca się szyba skaleczyła mnie w rękę. Corinne i Natalie bardzo płakały i miały całe sukienki we krwi. Pan Ndole pędził jak szalony. Najpierw zawiózł do domów Corinne i Natalie, a potem mnie tu wysadził.

Izabella spojrzała na rękę dziewczynki. Rana nie była wielka. Kazała kucharce i boyowi spakować najpotrzebniejsze rzeczy Nicole i znieść na dół, a sama zabandażowała jej rękę.

- Nicole, musimy uciekać...

- A gdzie tata?

- Potem do nas przyjedzie. Za pięć minut wyjeżdżamy. Weź swoją ukochaną lalkę Balou i kilka sukienek i włóż do tej żółtej torby, która stoi koło łóżka. Ja też wezmę parę rzeczy i jedziemy. Nicole, prędko, naprawdę musimy się śpieszyć. Źli ludzie z Bikasi niedługo tu będą!

Izabella poczuła się nagle spokojna i opanowana. Musi być dzielna, musi ratować Nicole. Była teraz jak ta lwica po drugiej stronie rzeki, gotowa na wszystko w obronie dziecka.

Weszła na górę. Wrzuciła do walizki kilka sukienek, bieliznę i kartonowe pudełko po butach, do którego włożyła biżuterię i kilka fotografii stojących na szafce przy łóżku, dopchnęła pudło kosmetyczką, przykryła wieko i zacisnęła pakunek gumkami, których używała czasami do upinania włosów. Rozejrzała się po pokoju. Wrzuciła jeszcze szlafrok, dwie pary butów i tenisówki.

Wystarczy, to wszystko nie ma sensu, i tak nie zabiorę tego, co naprawdę będzie mi potrzebne.

Izabella machnęła ręką i wyszła pomóc córce. Po chwili obie były na dole. Maurice zniósł do samochodu walizkę i torbę Nicole. Izabella uściśnęła zapłakaną kucharkę, zapewniając przerażonych służących, że wszystko będzie dobrze, że wojsko belgijskie wkrótce opanuje sytuację i wszystko wróci do normy.

Izabella i Nicole wsiadły do mercedesa, bak był rzeczywiście pełny.

Kochany Richard, zawsze o wszystkim pamięta.

Izabelli ścisnęło się serce. Poczowała żal, że zostawia męża, po policzkach spływały jej łzy. Ale trudno, musi być silna. W innej sytuacji nigdy by go nie zostawiła, chodzi jednak o dziecko - musi ratować Nicole. Spojrzała na córkę. Nicole otarła już łzy, zacisnęła usta i najwyraźniej postanowiła „być dzielna”. Izabella pogłaskała dziewczynkę po głowie. Miękkie blond włosy („po mamie” - pomyślała z dumą i satysfakcją Izabella) spływały dziewczynce na ramiona. Wyglądała jak aniołek.

Maurice otworzył bramę. Izabella wyjechała i skręciła w prawo, do szosy na Mzungu, do granicy z Rodezją. Spojrzała w lusterko wsteczne i z przerażeniem dodała gazu. Od strony miasta, w tumanach kurzu, jechała ciężarówka wypełniona ludźmi wymachującymi pistoletami maszynowymi. Na pewno nie byli to żołnierze belgijscy. *Za chwilę splądrują dom* - pomyślała Izabella. - *Boże, wyrwałyśmy się w ostatniej chwili* - westchnęła z pewną ulgą.

Nagle stanęła jej przed oczami inna ucieczka, przed laty, z płonącej Warszawy.

Tylko wtedy nie jechałam mercedesem ani nie miałam w bagażu sukienek od Diora i kosztowności - Izabella uśmiechnęła się gorzko. - *Można powiedzieć - postęp!*

Szła wtedy piechotą, z niewielkim tobołkiem na plecach. Tyle że nie była sama, szła w tłumie uciekinierów, do Pruszkowa, a potem dalej do Skierniewic. Wówczas również nie wiedziała, co będzie dalej.

- Mamo, zobacz, lwy przyszły się z nami pożegnać! - zawołała uradowana dziewczynka.

Rzeczywiście, po prawej stronie szosy, niedaleko od drogi, stało kilka lwów. Izabelli zdawało się, że widzi lwicę z lekko naderwanym uchem - Lolę, którą tak często oglądali z tarasu. Lwica stała nieruchomo, małe barszkwowały obok. *Cudowne koty, jaka gracja, a zarazem jaki majestat!*

- Pomachaj do nich, kochanie.

- Mamo, kiedy tu wrócimy? Będę tęskniła za swoimi zwierzętami. Prosiaczek Mimi tak się ucieszył, jak wróciliśmy z Paryża, że aż fiknął koziołka. - Nicole roześmiała się na wspo-

mnienie powitania z dzikim warchlaczkim, którego na początku roku znalazła w buszu i który stał się jej nieodłącznym towarzyszem zabaw. - Co z nim teraz będzie?

- Nic się nie martw, Maurice się nim zaopiekuje do naszego powrotu. - Izabella starała się, by jej głos brzmiał optymistycznie, ale miała złe przeczucia.

Coś jej mówiło, że więcej tu nie wrócą, że raz jeszcze zostawia za sobą cały swój świat, by zaczynać życie od nowa. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Co się dzieje z Richardem? Wojsko na pewno broni kopalń, nie mogą ich oddać rebeliantom. Starala się nie dopuszczać złych myśli, coś jej jednak mówiło, że sytuacja jest beznadziejna. Izabella nigdy się specjalnie nie interesowała polityką, ale jej polskie, okupacyjne doświadczenia, niejako automatycznie, nastawiały ją sceptycznie i podejrzliwie do koncepcji „narodów panów” i ich „cywilizacyjnych misji”. W końcu tu była Afryka, a nie Belgia. Jakim właściwie prawem mają tu rządzić Belgowie? Izabella nieraz o tym myślała, szczególnie jak ją zirytowała duma pani Verhuisen czy Legrand. Opowiadała się za demokracją i kolonialna rzeczywistość wcale jej nie odpowiadała. No, nie na tyle, by miała zrezygnować z luksusu, ze swojej uprzywilejowanej pozycji, ze wspańskiego domu nad rzeką czy z męża. Korzystała z tego wszystkiego z radością i wdzięcznością do losu, ale w głębi ducha miała poczucie, że nie jest to właściwe. Trochę jak z grzechem, który najczęściej jest bardzo miły, jednak nie całkiem w porządku. Wcale nie dziwił jej bunt Murzynów, choć oczywiście barbarzyństwa rebeliantów napępniały odrazą.

Kończyła się sawanna. Wjeżdżały w lekko zalesione wzgórza Karidu. Zrobiło się duszno i parno. Niebo pokrywały coraz gęściejsze chmury. Nadciągała wieczorna, tropikalna burza. Nagle z za zakrętu wyłoniła się nieoczekiwana przeszkoda. W poprzek szosy leżało zwalone drzewo. Żeby je ominąć, należało skręcić na trawę i podjechać do opuszczonej chatki z liści palmowych. Nad drogą rozpięty był transparent z koślawo wypisanym hasłem: „Śmierć białym imperialistom!”. Przed chatą stało trzech uzbrojonych Murzynów, a nieopodal nich podziurawiony kulami samochód. Miał przebite opony i powybijane okna, pomimo wszystko wydawał się dziwnie znajomy. Izabelli serce podeszło do gardła - tak, nie ulegało wątpliwości, był to samochód pani Verhuisen, żony zastępcy belgijskiego gubernatora Katangi.

Jeden z Murzynów, najwyraźniej dowódca, skierował lufę automatu w kierunku Izabelli i kazał jej zatrzymać samochód.

- Wsiadaj, dalej nie wolno jechać! - potężnej budowy

Murzyn podszedł do okna samochodu. Śmierdział zjełczałym tłuszczem i alkoholem.

- Ale, proszę pana, wiozę chore dziecko do szpitala w Salisbury - wskazała na zabandażowaną rękę Nicole. - Muszę przejechać. Dobrze zapłacę... - Izabella nie wiedziała, co ma robić, była w panice.

- Zapłacisz, na pewno zapłacisz - wszyscy trzej radośnie zarechotali.

- Dawaj torebkę - najmniejszy z nich sięgnął do samochodu.

Izabella go odepchnęła. Nicole zaczęła płakać.

- Lepiej, k... nie podskakuj, he, he, he, bo najpierw tobie, a potem tej małej puścimy między nogi serię z automatu. He, he, he, dawaj forszę.

Dowódca wyciągnął olbrzymią łapę i chwycił torebkę. Oczy mu zajaśniały na widok pliku banknotów, które Dennis przyniósł od Richarda. Schował pieniądze do kieszeni, a torebkę rzucił na tylne siedzenie samochodu. Był teraz o wiele łaskawszy.

- Skończyło się wasze panowanie w Katandze, ale ty mi się podobasz, chociaż jesteś biała - zarechotał i potoczył białkami w stronę kolegów. - Co chłopaki? Damy jej szansę?

Jeden z Murzynów wyciągnął butelkę jakiegoś jaskrawoczerwonego płynu. Kolejno pociągnęli po łyku.

Izabella zauważyła teraz, że obok zniszczonego samochodu leżą zwłoki kobiety. To była pani Verhuisen. Przeraziła się. Jeszcze raz spojrzała na zmasakrowaną twarz, tak, to na pewno ona. *Biedna pani Verhuisen nie zasługiwała na taki straszny los. To barbarzyńcy* - Izabella spojrzała z nienawiścią na uzbrojonych Murzynów.

- Wsiadaj z samochodu - zakomenderował jeden z Murzynów. - Jak będziesz grzeczna i nam dogodzisz, to cię puścimy do Mzungu, a jak nie, to będzie tu-tu-tu! - skierował automat w kierunku jej i Nicole.

Izabella zdrętwiała. Pociemniało jej przed oczami. *Nie, w żadnym razie tego nie zrobię - raczej zginę!* - pomyślała, ale w tym samym momencie usłyszała przerażony pisk Nicole.

Zacisnęła zęby i wysiadła z samochodu. *Trudno, zrobię wszystko, co muszę, żeby ją ratować. Ale czy można wierzyć tym pijanym bandziorem, że dotrzymają słowa? A jaki mam wybór? To moja jedyna szansa.* Izabella wysiadła z samochodu. Potężny Murzyn popchnął ją, klepnął w pośladek i poprowadził do chatki z liści palmowych.

Przynajmniej nie na oczach dziecka, pomyślała z pewną ulgą Izabella, wchodząc do środka. Murzyn szarpnął ją i przyciągnął do siebie. Poczwała na ustach jego grube, obślinione wargi. Podniósł jej sukienkę i zdarł majtki. Rzucił ją na legowisko z lekko nadgniłych liści

palmowych. Rozpiął spodnie. Izabella leżała jak martwa. Pociemniało jej w oczach, była bliska omdlenia.

W tym momencie usłyszała dziki wrzask.

- Simba! Simba! - Izabella wiedziała, że to w języku tubylców znaczy „lew”, wiedziała też, że Murzyni panicznie boją się lwów.

W głosie wołającego słychać było panikę i przerażenie. Rozległ się strzał i dziki ryk rozjuszonego zwierzęcia, potem odgłosy krótkiej szamotaniny i naraz wszystko ucichło.

Lwica i dwa młode lwy odpoczywały w wysokiej trawie za zniszczonym samochodem pani Verhuisen. Poczują krew i zainteresowały się zwłokami. Jeden z Murzynów zauważył zwierzęta i podniósł wrzask. Razem ze stojącym obok chatki kolegą rzucili się po oparte o pień karabiny. Nie mieli żadnych szans. Lwy były szybsze. Jednemu z nich udało się, co prawda, wystrzelić, lecz w sekundę później lwica trzymała go za gardło. Dwa młode rzuciły się na drugiego, szarpiąc i rozrywając jego ciało. Po chwili obaj leżeli w kałużach krwi ze zdruzgotanymi kręgami szyjnymi.

Dowódca wyskoczył bez spodni z chatki i też rzucił się w kierunku opartego o ścianę pistoletu maszynowego, ale znowu lwica była szybsza. Dopadła go jednym skokiem, powaliła na ziemię i zatopila w szyi potężne kły. Lwy odciągnęły zdobycz w bezpieczniejsze miejsce i rozpoczęły ucztę.

Izabella leżała w chatce sparaliżowana strachem. Po chwili, kiedy wszystko ucichło, odważyła się podnieść i podejść do drzwi. Zmartwiała z przerażenia. Lwica ją dostrzegła, jej żółte oczy zwęziły się groźnie. Izabella stała nieruchomo. Wiedziała, że w niespodziewanych spotkaniach z dużymi kotami nie wolno robić żadnych gwałtownych ruchów. Zauważyła też lekko naderwane ucho - to była Lola! Zrobiło jej się jakoś lepiej, jakby spotkała starą znajomą. Lwica najwyraźniej poczuła to samo. Uznała, że ze strony Izabelli nie grozi ani jej, ani dzieciom żadne niebezpieczeństwo, i z powrotem zajęła się wyszarpywaniem kęsów jedzenia.

Izabella starała się poruszać w sposób niedostrzegalny. Dotarcie do samochodu trwało wieczność. Przesuwała stopę o centymetr, potem drugi... chwila wyczekiwania, jeden centymetr, drugi... Pociągnęła za klamkę, wskoczyła do środka i zatrzasnęła drzwi. Była uratowana!

Lwy podniosły głowy. Izabella czuła się już bezpieczna. W myślach pomachała Loli ręką na do widzenia. - *Dziękuję, kochana! Nigdy ci tego nie zapomnę!*

Uruchomiła silnik i nacisnęła gaz.

Były uratowane. Tak - tylko to się teraz liczyło.

Nicole siedziała na swoim siedzeniu z oczami szeroko otwartymi ze strachu.

- Mamo, co robiłaś w tym domku? - zapytała cicho.

- Eh, nic takiego, córeczko, musiałam im coś pokazać na mapie - kłamała Izabella.

Czuła, że niezbyt przekonująco. Ale co miała powiedzieć? Zalała ją fala obrzydzenia i bezsilnej wściekłości. Nie mogła pozbyć się tego wstrętnego zapachu zjełczałego potu i alkoholu. Czuła się brudna i upodlona. W życiu nie była tak upokorzona.

- Mamo - Nicole delikatnie głaskała Izabellę po ramieniu - to byli źli ludzie, prawda? Chcieli ci zrobić coś złego?

- Tak, córeczko, bardzo źli, dlatego źle skończyli - Izabella po raz pierwszy w życiu odczuła dziwną przyjemność z zemsty dokonanej przez los.

- Mamo, czy to była Lola?

- Tak, na pewno, ty też zauważyłaś jej ucho? Dzielna Lola przysłała nam na pomoc i przyprowadziła swoich synków!

- A może córeczki! - dorzuciła rezolutnie dziewczynka. - najważniejsze jest to, że teraz jesteśmy znowu razem i jedziemy dalej - Nicole uśmiechnęła się i pogłaskała matkę po ramieniu.

Izabella spojrzała z rozczuleniem na córkę. Nicole najwyraźniej czuła, że matka przeżyła coś strasznego, i chciała ją pocieszyć. *Dzielna, kochana dziewczynka* - Izabella pogłaskała córeczkę po głowie.

- Masz rację, to najważniejsze, że jesteśmy razem i jedziemy dalej. Za niecałą godzinę będziemy w Rodezji. Popatrz, jakie czarne chmury, ale będzie łało!

Rzeczywiście zanosilo się na tropikalną ulewę. Spadły pierwsze krople. Izabella włączyła wycieraczki, niestety nie działały. *No cóż, nawet Richard nie mógł wszystkiego przewidzieć, będziemy musieli przeczekać ulewę.* Izabella zjechała na pobocze. Choć droga była całkowicie pusta, od początku jazdy nie spotkały ani jednego samochodu, to jednak gwałtowność afrykańskiego deszczu uniemożliwiała jakąkolwiek jazdę. Nagle przyszedł jej do głowy doskonały pomysł. Wskoczyła z samochodu, otworzyła bagażnik. Wyciągnęła z torby pierwszą z brzegu sukienkę, a także bieliznę i rzuciła na siedzenie samochodu, a sama stanęła w strugach coraz obfitszego deszczu. Wkrótce samochód otoczyła ściana wody, zupełnie jakby stał pod wodospadem. Izabella szybko zdjęła z siebie sukienkę i resztki podartego stanika. Nicole patrzyła na matkę szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, nigdy się przed nią nie rozbierała!

- Kochanie, muszę się umyć - Izabelli było wszystko jedno, co sobie córka pomyśli.

Czuła przemożną potrzebę zmycia z siebie tego koszmaru, smrodu, uścisku brudnych łap, zjełczanego potu, obślinionych ust... Wyrzuciła do rowu podarte ubranie i wyciągnęła w górę ramiona. Twarz odwróciła ku niebu. Czuła, jak ciepła, tropikalna ulewa zmywa z niej całe to obrzydlistwo, nie tylko z ciała, ale i z duszy. Woda, jak niebiański balsam, spływała strumieniami po piersiach i plecach Izabelli, przynosząc jej nieledwie mistyczną ulgę.

Po chwili było po wszystkim, tropikalna ulewa jak nagle się zaczęła, tak samo nagle ustała. Izabella jeszcze raz otworzyła bagażnik, oczywiście nie miała ręcznika, wytarła się więc jakąś inną sukienką i wskoczyła z powrotem do samochodu. Ubrała się i rozpuściła włosy, obiecując sobie, że przed wjazdem do miasta jakoś sensownie je upnie.

Nicole strasznie rozbawiła ta nagła kąpiel mamy.

- Mamo, ja też jestem brudna, też chcę się umyć!

- Trudno, kochanie, już prawie przestało padać. Trzeba było wyskoczyć ze mną - Izabella poczuła się lepiej, choć zdawała sobie sprawę z tego, że nie zapomni tak łatwo strachu i poniżenia, jakich doznała. Na razie postanowiła spróbować o tym nie myśleć.

Ruszyły w dalszą drogę.

2

Matka i córka wyrwały się z Konga Belgijskiego, ale nie z koszmaru. Izabella całe dni spędzała, starając się dowiedzieć czegoś o losie Richarda. Z Katangi i Bikasi nadchodziły ponure wieści. Belgowie wycofali się, uznając niepodległość swojej byłej kolonii. Teraz toczyły się tam zacięte walki o władzę między różnymi frakcjami i ugrupowaniami niepodległościowymi finansowanymi przez Sowietów, przez Union Minniere lub przez Amerykanów. Trudno się było zorientować, kto jest kto i za kim stoi. Czy Renee Mbemba to nasz człowiek, czy może Luis Mzimba? Prasa i radio w Salisbury pełne były sprzecznych informacji. Zresztą Izabellę wszystkie te rozgrywki polityczne mało obchodziły. Chciała tylko wiedzieć, co dzieje się z mężem, kiedy będzie mogła go zobaczyć i kiedy wszyscy razem wyjadą z tej przeklętej Afryki. Niestety, Katanga była odcięta od świata, a nadchodzące strzępy informacji przerażały. Rywalizujące ze sobą frakcje wydawały się współzawodniczyć w rzeziach Europejczyków i rabowaniu mienia.

Hotel Royal przepelniony był uciekinierami, którym w taki czy inny sposób udało się wyrwać z Katangi. Wszyscy opowiadali mrozące krew w żyłach historie. W przedstawiciel-

stwie Union Minière w Rodezji też niewiele wiedzieli. Pozostawało tylko cierpliwie czekać. Izabella czasami myślała, że oszaleje.

Chciała wracać do Katangi szukać Richarda. W nocy budziła się spocona i przerażona, wyrывая się z lubieżnych uścisków potężnego Murzyna ze wzgórz Karidu, czuła na sobie jego śmierdzący oddech, w uszach jej dźwięczał jego pijacki rechot. Krzykiem budziła Nicole i potem obie do rana nie mogły spać. W dzień, w hotelowym lobby czy na basenie, musiała wysłuchiwać niekończących się opowieści o obcinaniu głów dzieciom, o zbiorowych gwałtach, o dowódcy Balubów, który nosił pasek zrobiony ze skóry zdartej z ojca Damiana, przełożonego misji dominikanów w Bikasi, i tak dalej, i tak dalej.

Po tygodniu Izabella zdecydowała, że musi coś zrobić, jeśli nie chce skończyć w szpitalu wariatów. Na początek wyprowadziły się z hotelu Royal, zostawiając dla Richarda wiadomość w recepcji. Było to konieczne nie tylko ze względu na zdrowie psychiczne. Izabella musiała starannie planować wydatki. Stopniowo sprzedawała kosztowności. Pozbyła się też samochodu. Na razie miała pieniądze, ale na jak długo miały jej wystarczyć? Tego nie wiedziała. Wynajęła skromne mieszkanie, na uboczu miasta, u starej angielskiej nauczycielki. Ms. Westford była zawsze błogo uśmiechnięta, ale trudno się było z nią dogadać. Dopiero po jakimś czasie Izabella odkryła, że źródłem tego błogostanu był nigdy jakoś niekończący się dwulitrowy baniak whiskey, stojący w kuchni obok zlewu. Ms. Westford jadła tylko bułki z parówkami i angielską musztardą. Bardzo to ułatwiało kuchenne współzycie. Po prostu parówki i musztarda w lodówce należały do Ms. Westford, wszystko inne do Izabelli, dzięki temu łatwo było unikać niepotrzebnych konfliktów. Właścicielka domu nie była kłopotliwa. Błogo uśmiechnięta siedziała całymi dniami na ławce przed domem. Czasami przychodziły do niej koty z sąsiedztwa, coś do nich mruczała i częstowała je parówkami. Podobnie traktowała Nicole, głaszcząc ją po blond lokach i proponując parówkę.

Tuż za rogiem znajdowała się szkoła. Izabella uznała to za zrządzenie losu i zapisała Nicole do trzeciej klasy. Kierowniczka była pełna współczucia i zrozumienia dla trudnej sytuacji uciekinierów z Katangi, sama zaproponowała, że Izabella zapłaci dopiero wówczas, gdy wyjaśni się jej sytuacja życiowa. Obie rozumiały, że jest to tylko rozwiązanie tymczasowe, ale konieczne dla Nicole.

Izabella spędzała całe dni przy radiu. Chodziła każdego dnia do przedstawicielstwa Union Minière i do konsulatu belgijskiego, ale z każdym dniem sytuacja wyglądała coraz gorzej. Ci, którym udało się jakoś przeżyć i uciec z Katangi, byli już w Salisbury. Nowi uciekinie-

rzy nie przybywali. Nadzieja na pomyślne wieści od Richarda była coraz bardziej nikła. Przecież gdyby żył, to już by się z nią jakoś skontaktował. Izabella starała się wprawdzie oszukiwać tłumaczeniem, że jako dyrektor kopalń jest niezbędny na miejscu i dlatego powinni go oszczędzić, ale sama wiedziała, że to dość słaby argument, szczególnie w odniesieniu do barbarzyńców, którzy teraz władają tym krajem.

Spróbowała nawiązać kontakt z matką Richarda w Paryżu. Po miesiącu dostała list od jej służącej informujący, że „pani starsza” umarła na atak serca po nadejściu wieści o wydarzeniach w Katandze. Izabella odłożyła list i nagle, z przerażającą jasnością, zdała sobie sprawę z tego, że znowu jest sama na świecie, jak wtedy, w Pruszkowie, po wyjściu z Warszawy. No, nie całkiem sama - ma przecież Nicole. Poza tym jest starsza i mądrzejsza. Może... ale wcale jej to nie pocieszało. Izabella poczuła straszliwą pustkę.

Dlaczego mnie to spotyka? Czy wisi nade mną jakieś przekleństwo? Dlaczego nie mogę mieć normalnego życia jak miliony innych kobiet na świecie? Dlaczego to właśnie moi rodzice giną pod gruzami walącego się domu? Dlaczego to właśnie z mojego męża jakieś dzikusy robią sobie paski?

Izabella wzdrygnęła się.

Nie wolno mi tak myśleć. Muszę się wziąć w garść - pomyśleć o dziecku!

Spojrzała w lustro i zaczęła machinalnie czesać długie, złocistorudawe włosy. Twarz jej jakby się wydłużyła, ale zarazem dziwnie wyszlachetniała. Była piękniejsza niż kiedykolwiek. Wielkie, niebieskie oczy sprawiały wrażenie jeszcze większych i jeszcze bardziej niebieskich. Wyraziste i idealnie symetryczne kości policzkowe przywodziły na myśl stepowych przodków. Zgrabna szyja i piękny dekolt aż się prosiły o brylantową kolbę.

Ciągle jestem piękna - pomyślała nie bez próżności - i co z tego? Rzeczywiście jest się z czego cieszyć!

Uśmiechnęła się gorzko.

W tym momencie do pokoju wpadła Nicole.

- Mamo, mamó, Robert jest w naszej szkole! - dziewczynka promieniała.

- Jaki Robert?

- No jak to jaki? Nasz nauczyciel angielskiego! Tak się ucieszył, jak mnie zobaczył, zaprosił mnie na lody!

W drzwiach pojawiła się znajoma sylwetka. Izabella szczerze się wzruszyła. Uściskała Roberta, ale zaraz się odsunęła. Ogarnął ją dziwny wstyd, a może poczucie winy, pomyślała o Richardzie.

- Madame DuChaillet, tak się cieszę, że pani i Nicole całe i zdrowe! - Robert, jak zawsze pełen był entuzjazmu i rozbrajającej radości życia.

- Myślałam, że byliśmy „na ty”?

- Ależ tak, Izabello - Robert zmieszał się i zaczerwienił - ale jakoś tak po... poważnie wyglądasz. I tak mi przykro - Robert był coraz bardziej zmieszany - z powodu... z powodu... Richarda...

Teraz Izabella się zmieszała. Co on tu bredzi przy dziecku. Zebrało się studenciakowi na wyrzuty sumienia! Ale sobie wybrał moment na wyznania!

- ...to taka straszna śmierć - Robert skończył zdanie i spuścił głowę.

Izabella zdrętwiała.

- Jaka śmierć?

- To pani... eh... to nic nie wiesz?

- Robert, o czym ty mówisz? - Izabella chwyciła chłopaka za ramiona i silnie nim potrząsnęła. - Richard nie żyje? Skąd wiesz?

Izabella zbladła i opadła na fotel. Poczwała na plecach zimny pot. Patrzyła przerażona na Roberta.

- Sam widziałem - Robert spojrział na Izabellę, wyglądał jak zbity psiak. - Uczyłem angielskiego Adrienne, córkę gubernatora, kiedy pałac otoczyli rebelianci razem z miejską policją, która przeszła na ich stronę. Wszystkich białych spędzili do salonu. Krzyczeli „śmierć Belgom!” i na naszych oczach zabili maczetami gubernatora Legranda. Adrienne zemdlła. Pod wieczór wprowadzili, a właściwie wrzucili, do salonu jeszcze kilku Europejczyków. Wśród nich dyrektora DuChaillet, był ciężko pobity. Potem przyszedł dowódca Balubów i powiedział, że skończyło się panowanie Belgów i że na mocy postanowienia trybunału rewolucyjnego każdy Belg w Katandze jest skazany na śmierć. Wtedy pani gubernatorowa - nigdy jej tego nie zapomnę, Boże, pobłogosław jej duszę! - powiedziała, że są tu też cudzoziemcy, których postanowienie trybunału nie dotyczy, i wskazała na pana DuChaillet i na mnie. Dowódca Balubów na chwilę się zawahał, zapytał nas, co tu robimy. Kiedy się dowiedział, że pan DuChaillet jest dyrektorem Union Minniere, krzyknął „Śmierć kapitalistycznym krwiopijcom”, wyjął pistolet i własnoręcznie go zastrzelił, dwoma strzałami w głowę. Mnie, kiedy się dowiedział, że jestem

studentem i uczyć angielskiego, kazał zwolnić. Na drugi dzień patrol Balubów odwiózł mnie do granicy rodezyjskiej.

Izabella opuściła głowę. Zrobiło jej się czarno przed oczami. Nicole cicho płakała. Matka przytuliła dziewczynkę. Teraz już wiedziały na pewno, że są same na świecie.

Robert był jeszcze bardziej zmieszany. Popatrzył na Izabellę a potem na Nicole.

- Może przygotuję herbatę? - zapytał niepewnie.

Ani matka, ani córka nie reagowały. Przytulone do siebie cicho szlochały.

- Może whiskey? - zaproponowała z kuchni, jak zawsze radośnie uśmiechnięta Ms. Westford, najwyraźniej również poruszona opowieścią Roberta.

Izabella i Nicole spojrzały przez łzy, zdziwione, w stronę kuchni. Jakoś przyzwyczyły się już nie zauważać istnienia starszej pani, która też im się nie narzucała.

- Dobrze, poproszę whiskey... dużą - Izabella nie wierzyła własnym uszom, że to powiedziała.

- Mamo, przecież ty nigdy nie pijesz whiskey! - Nicole była jeszcze bardziej zdziwiona.

- Nigdy też nie byłam wdową - Izabella uśmiechnęła się gorzko i przytuliła do siebie córkę.

* * *

Izabella żyła w całkowitej pustce. Machinalnie robiła córce śniadanie i wyprawiała ją do szkoły. Potem szła do sklepiku na rogu ulicy kupić coś na lunch i na kolację. Wracając do domu i mechanicznie nastawiała radio, choć nie bardzo wiedziała po co. Nie spodziewała się żadnych wieści ani pomyslnych, ani niepomyslnych. Siadała na fotelu i niewidzącymi oczami patrzyła na ścianę po przeciwnej stronie pokoju. Potrafiła tak tkwić godzinami. Dopiero wracająca ze szkoły Nicole wyrywała ją z odrętwienia i wstawiała, by przygotować jej coś do jedzenia.

Robert MacPherson, szczerze przywiązany do swoich byłych uczennic, próbował pomóc. Małą Nicole zabierał na lody albo do swoich siostrzenic, które mieszkały w pobliżu. Nicole bardzo lubiła się z nimi bawić. Były od niej znacznie młodsze i zapatrzone w nią jak w starszą siostrę. Czasem wyciągał obie, matkę i córkę, na spacer do parku. Robił, co mógł, ale niewiele mógł pomóc.

Któregoś dnia, po wyprawieniu córki do szkoły Izabella poszła, jak zazwyczaj, do konsulatu belgijskiego, ale mniej więcej w połowie drogi nagle zdała sobie sprawę z bezsensu tych wizyt. *Po co ja tam łączę? Przecież o Richardzie już wszystko wiem. Ani mi tam pomogą, ani zaszkodzą, a zresztą nie jestem nawet Belgijką!* Izabella usiadła w ulicznej kafejce i zamówiła kawę. Poczwała nagle, że odrętwienie minionych tygodni opada z niej jak stara skóra z liniejące-

go węża. *Tak dalej nie może być. To był straszny czas, ale muszę sobie jakoś poradzić z tym, co się wydarzyło. Tylko jeszcze nie wiem jak Co dalej począć? Została pustka. Ale mam dopiero trzydzieści lat, życie jeszcze przede mną! No, i co najważniejsze, mam córkę, która na mnie liczy. Nie mogę jej zawieść.* Izabella napiła się kawy. *Ale co mam robić? Pieniądze mi się kończą... Przede wszystkim musisz się stąd wyrwać, musimy wyjechać z tej afrykańskiej dziury.*

Kiwnęła na kelnera i w tym momencie usłyszała:

- Czy ja śnię, czy to panna Buczacka!?

Izabella zwróciła głowę w kierunku sąsiedniego stolika. W jej niebieskich oczach musiało malować się najwyższe zdumienie. Tu, w Salisbury, w sercu czarnej Afryki, ktoś się do niej zwraca po polsku, i to jeszcze używając jej panińskiego nazwiska. Izabella spojrzała na starszego, siwego już pana i uśmiechnęła się ciepło - ależ tak, oczywiście, to był pan Natanson, sąsiad z drugiego piętra kamienicy na Chocimskiej, w Warszawie.

Starszy pan wstał, żeby się przywitać, a Izabella rzuciła mu się na szyję. Sama nie przypuszczała, że tak się ucieszy na widok dawnego sąsiada. Samuel Natanson był przed wojną przedstawicielem na Polskę amerykańskiej firmy ubezpieczeniowej Prudential, a ojciec Izabelli był dyrektorem Polskiego Banku Handlowego. Obu panów łączyły zarówno interesy, jak i zamiłowanie do sztuki, obaj mieli piękne kolekcje polskiego malarstwa współczesnego.

Pan Natanson był Żydem i przez ostatnie lata wojny ukrywał się w piwnicy sąsiedniego domu, obok kotłowni. Pomagali mu w tym dozorca i nieliczni lokatorzy. Izabella nie widywała wtedy swojego sąsiada, choć mama często wysyłała ją do dozorca, starego pana Sebastiana, z zawiniątkiem jedzenia. Izabella nie wiedziała, że pan Natanson przeżył wojnę i powstanie warszawskie, tak jak nie wiedziała nic o losach innych sąsiadów i znajomych z tego okresu..

- Jak się cieszę, że pana widzę! Chyba tylko my dwoje z całej kamienicy przeżyliśmy wojnę - Izabella miała łzy w oczach.

- Nie tylko. Przeżyła też stara Franczakowa.

- Naprawdę? Ale co pan tu robi w Salisbury, w Rodezji?

- Iza, wszystko ci opowiem - zwrócił się do niej po imieniu, jak do małej dziewczynki, którą pamiętał z Warszawy - ale najpierw powiedz mi, jakim cudem ty się tu znalazłaś?

Izabella opowiedziała mu pokrótce wydarzenia ostatnich miesięcy. Właściwie nie było dużo do opowiadania. Samuel Natanson był wyraźnie wzruszony. Ścisnął ramię Izabelli.

- Iza, bądź dzielna. Wszystko będzie dobrze. Coś wymyślimy. Teraz muszę już iść, mam ważne spotkanie biznesowe, ale wieczorem zapraszam was razem z Nicole na kolację. Przyjdźcie o siódmej do hotelu Royal. Wiesz, gdzie to jest?

- Oczywiście, początkowo tam mieszkaliśmy.

- To doskonale, będę czekał o siódmej, i pamiętaj - bądź dzielna, przeżyłaś w Warszawie drugą wojnę światową, to przeżyjesz i to!

Izabella dopiła kawę. *No cóż, pewnie ma rację.* Przypomniała sobie, nie wiadomo dlaczego, lwicę Lolę z naderwanym uchem i uśmiechnęła się do siebie. Ciekawe, jak się chowają jej córki, jakie ona ma zmartwienia i kto ją pocieszy?

* * *

Izabella wróciła do domu w doskonałym nastroju. Sprzątnęła pokój i przygotowała lunch dla Nicole, która lada moment powinna wrócić ze szkoły. Po raz pierwszy od tygodni zagadnęła Ms. Westford, próbując jej opowiedzieć o panu Natansonie. Zaprzesła jednak swoich wysiłków, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że Ms. Westford nie bardzo odróżnia powstanie warszawskie od wojny Zulusów z Burami.

- Mamo, mam, dostałam piątkę z angielskiego - Nicole wpadła do domu rozpromieniona.

- To wspaniale - Izabella była naprawdę dumna z córki. - Zgadnij, kogo spotkałam dziś na ulicy? Pana Natansona!

- Kto to taki?

Izabella opowiedziała córce o panu Natansonie, o kamienicy na Chocimskiej, o kolekcji obrazów ojca... o Polsce, o powstaniu, o ukrywających się Żydach... nagle zdała sobie sprawę z tego, że już dawno się tak nie rozgadała.

Nicole słuchała z szeroko otwartymi oczami. To były tematy tabu. Czasami zagadywała mamę o dziadków, o Warszawę, ale Izabella zbywała ją byle czym i zmieniała temat. Mała szybko zrozumiała, że matka nie lubi o tych sprawach rozmawiać, i dała spokój.

Izabella, w wieku osiemnastu lat, jak wiele innych ofiar wojny, postanowiła, że odetnie się od przeszłości, od wojny, od Polski. Nie miała tam już zresztą nikogo, a kraj znalazł się za „żelazną kurtyną”. Postanowiła być Francuzką. Wyszła za mąż za Francuza i córkę wychowywała na Francuzkę. W Afryce spotykała czasami Polaków, ale tylko ją to utwierdzało w postanowieniu odcięcia się od przeszłości. Jedynym wyjątkiem był ojciec Justyn, z misji dominikanów w Bikasi. Izabella bardzo lubiła starego zakonnika, który czasami wpadał do państwa Du-Chaillet, „porozmawiać trochę po polsku”, jak mówił. Zawsze częstowała go jego ulubionym

armaniakiem i z przyjemnością słuchała długich opowieści o Kalwarii Zebrzydowskiej, o duchach świętych pojawiających się w krakowskich kościołach czy o tatarskim rodowodzie Lajkonika. Ojciec Justyn bardzo te sprawy przeżywał, choć z Krakowa wyjechał jeszcze przed pierwszą wojną światową. Niewątpliwie Polska ojca Justyna i Polska Izabelli to były dwa różne kraje, a jego krakowskie opowieści miały dla niej smak prawdziwej egzotyki.

Teraz nagle Polska wróciła w postaci pana Natansona i Izabella czuła nieprzeparłą chęć podzielenia się swoją radością z córką. Po raz pierwszy w życiu poczuła lekkie ukłucie na myśl, że dziecko nie zna języka polskiego. *Co sobie pan Natanson pomyśli?*

Nicole udzielił się entuzjazm Izabelli, tym bardziej że intuicją dziecka czuła, że w matce coś się przełamało, że już nie będzie siedziała godzinami w fotelu zapatrzona w ścianę, że znowu pójdą razem do parku, będą się śmiały z nieporadności małych małek próbujących wyrwać lizaka opędzającemu się od nich ulicznemu sprzedawcy i może mama kupi jej w końcu nową sukienkę.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Bikasi matka i córka naradzały się z powagą, jak się mają ubrać, jakby znowu szły na urodziny do koleżanki Nicole czy na szkolne przedstawienie. Izabella starannie odprasowała jedyną wyjściową suknię, jaką wrzuciła pośpiesznie do walizki w Bikasi, a potem białą sukienkę w kwiatki, z pięknymi falbankami, dla Nicole. Problem wyłonił się, gdy zaczęły zastanawiać się, jakie buty będą im pasowały. Nicole miała niebieskie sandały, które jakoś pasowały, ale Izabella dosłownie nie miała co włożyć. Nie mogła przecież włożyć tenisówek do tej pięknej beżowej sukni! Wpadła w panikę. Już chciała biec do miasta, żeby za ostatnie pieniądze kupić jakieś buty, kiedy nieoczekiwanie z pomocą przyszła Ms. Westford. Okazało się, że staruszka ma w szafie całą kolekcję w ogóle chyba nieużywanych butów i bucików, a rozmiar stopy mniej więcej ten sam co Izabella. Nicole wypatrzyła w dalekim kącie szafy brązowe czółenka. Po oczyszczeniu z kurzu wyglądały całkiem zgrabnie na nogach Izabelli. O szóstej matka i córka były gotowe. Złocistoblond włosy Nicole zdobiła piękna, czerwona kokarda. Izabella spięła włosy w zgrabny kok, jej twarz okalały złociste pukle, a na smukłej szyi pięknie lśnił bursztynowy naszyjnik (już ostatni z zapasu biżuterii, którą wrzuciła w Bikasi do kartonowego pudła po butach - wiedziała, że jutro będzie musiała go sprzedać).

Izabella znowu czuła się młoda, piękna i elegancka. Popatrzyła z dumą na córkę - wyglądała ślicznie. Obie spojrzały w lustro i uśmiechnęły się. Ich oczy wydawały się mówić: „Jesteśmy piękne i eleganckie. Nikt nam się nie oprze. Razem podbijemy świat!”.

Samuel Natanson miał siedemdziesiąt trzy lata. Po koszmarze wojny i powstania warszawskiego, które cudem udało mu się przeżyć w kryjówce koło kotłowni, przedostał się na zachód.

Międzynarodowa organizacja żydowska „Joint” pomogła mu osiedlić się w Stanach Zjednoczonych. Miał wtedy sześćdziesiąt lat i był sam na świecie jak palec. Cała bliższa i dalsza rodzina zginęła. Skontaktował się ze swoim byłym szefem z Prudentialu, który natychmiast ściągnął go do Nowego Jorku. Zgotowano mu tam serdeczne przyjęcie. Wystąpił nawet, na zaproszenie prezesa, na posiedzeniu Rady Nadzorczej, opowiadając o swoich przeżyciach wojennych i cudownym ocaleniu. Dostał też od razu pracę - wprawdzie tylko skromnego referenta w biurze nowojorskim firmy, ale zawsze. Był za to bardzo wdzięczny, bo doskonale wiedział, że dla sześćdziesięcioletniego cudzoziemca znalezienie pracy jest prawie niemożliwe. Szybko jednak awansował, bo Prudential dynamicznie rozwijał się w odbudowującej się po wojnie Europie Zachodniej, a jego wiedza i znajomość spraw europejskich były bardzo przydatne. Kilka lat później został szefem biura europejskiego Prudentialu, z siedzibą w Genewie. Do Rodezji przyjechał z okazji inauguracji pierwszego przedstawicielstwa Prudentialu w Afryce, które podlegało administracji w Genewie.

Po spotkaniu z Izabellą wrócił do hotelu i długo nie mógł dojść do siebie. Nawet nie przypuszczał, że po tym wszystkim, co przeszedł w swoim długim życiu, potrafi jeszcze tak się wzruszyć cudzym nieszczęściem. Oczywiście nie był to ktoś obcy, z ulicy, a mała Izunia Buczacka, zawsze wesoła i uśmiechnięta córka przyjaciela, którą, wracając z pracy, spotykał na podwórku czy na schodach. Jak ona lubiła tę wstrętą „słodką watę”, którą jej czasami kupował u wędrownego sprzedawcy stojącego przed ich kamienicą! Samuel Natanson uśmiechnął się przez łzy. A teraz, ta wesoła mała dziewczynka sama ma dziewięcioletnią córkę, straciła męża i wegetuje, na krawędzi biedy, w tej prowincjonalnej dziurze, w środku Afryki. Dziwnie toczą się losy rozbitków z Chocimskiej 4. Ciekawe, co się stało ze starą Franczakową? Może została królową Madagaskaru?

Jedno było dla niego pewne. Musi Izuni pomóc. Nie zostawi jej samej z dzieckiem w tej afrykańskiej dziurze. Dużo mu już w życiu nie zostało do zrobienia, ale to musi zrobić! Samuel

Natanson zamierzał wkrótce przejść na zasłużoną emeryturę. Wyjazd do Afryki traktował jako swego rodzaju ukoronowanie długoletniej kariery w Prudentialu. Pod jego kierownictwem operacje firmy objęły całą Europę Zachodnią. Inauguracja placówki w Rodezji miała być początkiem ekspansji w Afryce, ale to już będzie zadanie dla nowego pokolenia. Samuel Natan-

son odwiedził Kapsztad, odbył wspaniałe safari w parku Krugera, a teraz po uroczystym otwarciu nowego biura w Salisbury i wręczeniu kluczy młodemu Szwedowi, czuł, że swoją misję wykonał. Wracał do Genewy, by po przekazaniu spraw swemu następcy wrócić na emeryturę do Stanów.

Wszystko miał starannie przemyślane i zaplanowane. Jednego tylko nie przewidział, że do Genewy wróci z córką i wnuczką swego warszawskiego przyjaciela!

* * *

Statek pasażerski SS „Glory of Scotland” wypływał z Durbanu w piękny, słoneczny dzień. Pasażerowie wylegli na pokład, by jeszcze ostatni raz rzucić okiem na oddalający się port i zielone wzgórza nad miastem.

Nicole rozplakała się.

- Mamo, nie chcę znowu wyjeżdżać z Afryki. Nie chcę jechać do Paryża!

Izabella starała się uspokoić córkę. Dwie starsze panie stojące przy balustradzie pokładu też miały łzy w oczach. Bardzo się wzruszyły, że mała jest taką gorącą patriotką afrykańską. Jedna z nich wyjęła z torby małą pluszową lwicę i dała dziewczynce. Nicole przetarła oczy, wzięła zabawkę i rozpromieniła się.

- Ucho ma lekko naderwane, całkiem jak nasza Lola!

Izabella też się uśmiechnęła i opowiedziała starszym paniom o lwicy Loli, która przychodziła w Bikasi do wodopoju i potem pożegnała je, kiedy uciekały z Katangi. O wydarzeniach na wzgórzach Karidu wołała nie opowiadać.

Samuel Natanson też się wzruszył i pogłaskał dziewczynkę po głowie.

- Po pierwsze, Nicole, nie jedziemy do Paryża, tylko do Genewy. Zobaczysz, że będzie ci się tam podobać. Obiecuję! Lwów wprowadzie w Szwajcarii nie ma, ale są za to inne zwierzęta.

- Jakie? - zapytała zaintrygowana dziewczynka.

- A no, krowy, wiewiórki i świstaki, a po drugie, jeszcze kiedyś wrócisz do Afryki, jak skończysz szkołę i trochę podrośniesz.

- Co to są świstaki? - Nicole była szczerze zainteresowana, lubiła wszystkie zwierzęta.

- Bo ja wiem, jakby ci tu powiedzieć. Takie większe zające, które kucają i świstają - pan Natanson kucnął i świsnął przeraźliwie. Ludzie odwrócili się od balustrady pokładu, by sprawdzić, co się dzieje. Jakiś młodzieniec stuknął się znacząco w głowę - „coś staruszkowi odbiło!”.

Ale Nicole była zachwycona. Izabella też się roześmiała.

Odwrotnie niż córka, wcale nie żałowała, że wyjeżdża z Afryki. Wręcz przeciwnie, była szczęśliwa, że powoli znika jej z oczu czarny kontynent.

Jak Nicole będzie kiedyś chciała tu wrócić, to proszę bardzo, niech sobie wraca, ale beze mnie - pomyślała. - Szkoda tylko, że nie ma z nami Richarda. - Poczowała ukłucie w serce. Zaraz jednak zebrała się w sobie. - Nie myśl już o tym. Richard został w Bikasi, tak jak rodzice zostali w Warszawie. Było, minęło, to się nie odstanie. Teraz jedziesz z Nicole do Szwajcarii. Zaczynamy nowe życie, o tym myśl - strofowała samą siebie. Wiedziała, że musi być dzielna. - No, dobrze, tylko ile razy mam zaczynać to życie od nowa? Mam dopiero trzydzieści lat, a już trzy razy zaczynałam, w Warszawie, w Lille i w Bikasi. Początki są zawsze dobre, tylko koniec nie za bardzo! - Izabella uśmiechnęła się z pewną dozą gorzkiej ironii.

Samuel Natanson był w doskonałym nastroju. Wyprostował się z dumą, kiedy kapitan zaprosił go „z córką i wnuczką” do kapitańskiego stołu na kolację. Oczywiście doskonale wiedział, czemu zawdzięcza ten honor. Izabella, śliczna i elegancka, była znowu, jak kiedyś w Lille, Paryżu czy Bikasi, w centrum zainteresowania. Panowie prześcigali się w miłych słówkach i zaproszeniach na drinka, na przechadzkę po górnym pokładzie czy wieczorami do tańca. Panie Izabella zjednywała sobie przyjaznym uśmiechem i nienagannymi manierami. Pan Natanson szczególnie lubił przedpołudnia, które spędzali z Izabellą i Nicole przy basenie, na rufie statku. On sam siedział zazwyczaj w przewiewnej koszulce i szortach w cieniu parasola, popijając powolutku jakiś tropikalny koktajl, Nicole baraszkowała w małym baseniku dla dzieci, a Izabella opalała się na leżaku w złocistym bikini, jakie sobie kupiła na statku. Czasami przeglądała kolorowe magazyny, a czasami, szczególnie po przetańczonej nocy, po prostu wylegiwała się nieruchomo w słońcu. Samuel Natanson wkładał okulary przeciwsłoneczne, by móc bez skrępowania gapić się na Izabellę, na jej lśniące w słońcu ciało, smukłe nogi, uda, pięknie zaokrąglone biodra, na zwiewną, delikatną kibić i dojrzałe, ściśnięte wążutkiem stanikiem piersi. Czasami Izabella zmieniała pozycję, rozkosznie się przeciągając. Samuela Natansona, choć miał już siedemdziesiąt trzy lata i do swojej „małej Izuni” żywił naprawdę tylko ojcowskie uczucia, ogarniały wtedy grzeszne myśli, o których istnieniu już dawno zapomniał, a których realizacja też już była od dawna niemożliwa. Ale pomarzyć zawsze miło! Pan Natanson wyciągał przed siebie nogi, rozsiadał się na plastikowym foteliku plażowym i pociągał łyżeczek tropikalnego koktajlu.

Z niekłamaną satysfakcją patrzył też na niekończący się sznur panów przechodzących, niby to zupełnym przypadkiem, obok leżaka Izabelli.

Mała Nicole miała wielkie powodzenie, głównie wśród dzieci i starszych pań. Wydawało się, że każda chciała do niej zagadnąć, pogłaskać po złocistych lokach czy dać cukierka. Trochę tego splendoru spływało też z Izabelli i Nicole na pana Natansona.

Był, przynajmniej na czas tej podróży, dumnym ojcem i dziadkiem!

Izabella znowu czuła się kobietą. Przed wyjściem z kabiny przystawała przed lustrem, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku, czy włosy są dobrze upięte, czy ramiączko stanika nie wystaje, czy na twarzy, szyi albo ramionach nie pojawił się jakiś, wymagający przypudrowania, pieg. Zauważyła też, że mężczyźni nie są już dla niej w najlepszym razie powietrzem, a w najgorszym odpychającymi intruzami, jak to było w Salisbury. Pomyślała nawet ciepło o Robercie - taki był dobry, tak się starał im pomóc, a ona była dla niego taka oschła i nieprzyjemna. Leżąc z przymkniętymi oczami obok basenu, z przyjemnością myślała o popołudniowej herbatce w Klubie Myśliwskim, na którą zaprosił ją poznany na statku Amerykanin, i o wczorajszych tańcach w Sali Admiralskiej. Wirując po parkiecie, znowu czuła się bezpiecznie w silnych objęciach mężczyzny, oddając mu się we władanie na kilka upojnych chwil. Czasami w nocnych koszmarach wracały jeszcze sceny ze wzgórz Karidu, ale już coraz rzadziej.

Izabella była znowu piękną, zmysłową kobietą, pełną wdzięku i radości życia. Z rozczuleniem obserwowała też córkę, która z każdym dniem stawała się bardziej podobna do matki, może nie tyle z twarzy, bo rysy miała wyraźnie po ojcu, ale z zachowania, z dbałości o siebie i tryskającej z oczu radości życia.

Amerykanin, Murray Bradley, miał czterdzieści lat. Od dwóch lat był w separacji z żoną i w trakcie przewlekłego rozwodu, pełnego zawodów i goryczy. Przystojnego, atletycznej budowy mężczyzny trudno było na statku nie zauważyć, ale on sam wyraźnie nie był zainteresowany damskim towarzystwem. Izabelli wpadł w oko już pierwszego wieczoru, przy stole kapitańskim, do którego był zaproszony jako członek rady nadzorczej koncernu Global Transportation, Inc., do którego należał, między innymi, SS „Glory of Scotland”. W odróżnieniu od wszystkich innych panów nie nadszkiwał Izabelli, nie namawiał jej na jeszcze jeden kieliszek szampana, nie prosił o następny taniec. Był grzeczny i uprzejmy, ale widać było, że myślami jest gdzie indziej. Wyraźną sympatię okazywał natomiast Nicole, przypominała mu jego córeczkę w tym samym wieku, która została z żoną i którą nie wiedział, kiedy znowu zobaczy.

Murray Bradley właściwie zainteresował się Izabellą dopiero trzeciego dnia, po usłyszeniu historii jej życia, którą pan Natanson opowiedział kapitanowi statku. Popatrzył z szacunkiem na roześmianą wesoło kobietę, która mimo tych wszystkich nieszczęść potrafiła zachować

pogodę i radość życia, i pomyślał: *Co tam rozwód, nawet najbardziej nieprzyjemny, w porównaniu z tragediami, jakie ta kobieta przeżyła. Powinieneś, chłopie, wziąć z niej przykład, masz dopiero czterdzieści lat, to jeszcze nie starość, weź się w garść i patrz w przyszłość.*

Murray zaprosił Izabellę do tańca. Chętnie się zgodziła i po chwili już byli na parkiecie. Objął ją swym potężnym ramieniem, spojrzał w roześmiane wesoło niebieskie oczy i przyciągnął do siebie. Izabella łagodnie uległa, przytulając się do piersi partnera. Teraz Murray poczuł, po raz pierwszy od wielu miesięcy, jeśli nie lat, przypływ ciepłych uczuć do kobiety, chciał ją tulić do siebie, chciał się nią zaopiekować, chciał jej bronić przed złym światem.

Izabella chciała tego samego, przynajmniej tego wieczoru.

Pozostałe sześć dni podróży z Durbanu do francuskiego portu Bordeaux upłynęły Izabelli pod znakiem zalotów Murraya Bradleya. Każdego ranka przed śniadaniem przynosił jej z okętowej kwiaciarni nowy bukiet świeżych kwiatów, które kosztowały fortunę - co z dużą satysfakcją obserwował pan Natanson. Przedpołudnia spędzali na basenie. Murray uczył Nicole pływać i pokazywał różne zdumiewające sztuki, budząc podziw nie tylko dzieci, ale także lekko już znudzonych podróżą rodziców. Nicole szczególnie lubiła sztukę z węzłem. Murray pokazywał wszystkim pusty kapelusz kowbojski, który wkładał na głowę, nasuwał na oczy i groźnie toczył wokół wzrokiem. Po chwili kapelusz zdejmował i wyjmował z niego wijącego się węża, budząc podniecone piski dzieci i niektórych mam. Po krótkim czasie wąż znikał w rękawie koszuli. Murray wstawał i dramatycznym ruchem ściągał koszulę - po wężu nie było śladu.

- Niezły sztukmistrz, podobno na giełdzie nowojorskiej też niezłe numery wykręca - uśmiechnął się pod nosem pan Natanson, zwracając się konfidencjonalnym szeptem do Izabelli. Poprzedniego wieczoru dowiedział się w barze od dwóch starszych biznesmenów o talentach giełdowych nowego adoratora Izuni (pan Natanson bardzo lubił to słowo, które Izabellę doprowadzało do pasji).

- Prawda, jaki zabawny - Izabella udawała, że nie zauważa lekkiego sarkazmu w głosie Natansona. - Jak potrafi rozbawić dzieci! Czy wszyscy Amerykanie są tacy śmieszni?

- Eh, chyba nie wszyscy - pan Natanson znowu się uśmiechnął, przypominając sobie dostojnych kolegów z Prudentialu, w prążkowanych garniturach, z teczkami w rękach. - Węża w kieszeni to często miewają, ale takiego z węzłem w kapeluszu to pierwszy raz widzę! - Samuel Natanson był bardzo zadowolony ze swego dowcipu.

Podobał mu się ten Murray Bradley. Wiedział już od kapitana i swoich nowych znajomych z baru, że miał pieniądze - był znanym i szanowanym nowojorskim biznesmenem. Widać

było, choćby po kwiatach, że nie żałuje pieniędzy na Izunię. Wyraźnie był w niej zadurzony i z wzajemnością. Izabella rozkwitała w jego towarzystwie.

Nawet taki stary piernik jak ja może zauważyć, że jest im ze sobą dobrze - pomyślał Samuel Natanson. - Może coś z tego będzie!

* * *

Następnego dnia w południe SS „Glory of Scotland” miał zawinąć do portu w Bordeaux. Znudzeni dziesięciodniową podróżą pasażerowie pakowali bagaże i szykowali się do pożegnalnej kolacji i balu kapitańskiego. Tylko Izabelli i Murrayowi nie udzielało się ogólne, radosne podniecenie. Oboje chcieli, żeby ta podróż trwała dalej.

Kolacja była rzeczywiście wspaniała, po delikatnym szpinakowym suflecie z karczochami na stół wjechały okazałe homary, w otoczeniu innych owoców morza przygotowanych w stylu Norfolk. Potem serwowano doskonałą sałatkę owocową z kremem i pyszne czekoladowe ciasteczka z migdałami. Do tego szampan i lekkie wino austriackie Waddelgrau. Po kolacji pan Natanson zaproponował, że położy małą spać, mrugając porozumiewawczo do Izabelli, która odwzajemniła mu się pełnym wdzięczności uśmiechem. „Kochany staruszek - pomyślała Izabella - naprawdę Bóg mi go zesłał!”.

Tańce trwały do północy, potem kapitan uroczyście wszystkich pożegnał, dziękując za skorzystanie z usług SS „Glory of Scotland” i życząc pomyślnego kontynuowania podróży na stałym lądzie. Pasażerowie rozeszli się do swoich kabin. Tylko Izabelli i Murrayowi nie chciało się spać. Wyszli na górny pokład pierwszej klasy, gdzie mieściła się, między innymi, kabina Bradleya, przeszli na sam przód statku i usiedli na bujającej się ławce. W srebrzystej poświacie księżycy majaczyły w dali skały Zatoki Biskajskiej. Byli zupełnie sami. Kojący szum morza zlewał się z biciem ich serc.

- Kocham cię, bardzo cię kocham - powiedział nagle Murray.

Izabella rzuciła mu się na szyję.

- Ja też cię kocham, ja też - szeptała cicho.

Murray objął Izabellę, a ona złożyła mu głowę na ramieniu. Siedzieli chwilę w bezruchu, było im niewypowiedzianie dobrze. Murray pochylił się i pocałował Izabellę. Jej rozchylone zmysłowo wargi ciepło zapraszały. Murray spojrzał w niebieskie oczy Izabelli, w których zaiskrzyły się ogniki. Razem wybuchnęli śmiechem - jak dobrze się już rozumieli - nie potrzebowali słów. Murray wziął Izabellę w swoje mocne ramiona i zaniósł do kabiny. Izabella przelotnie pomyślała - „będę jutro niewyspana”, ale potem już nie myślała. Oddała się cała Murrayo-

wi. Znowu miała w ramionach kochanego i kochającego ją mężczyznę. Czula w sobie jego męskość. Posiadł ją, była cała jego.

3

Leciutko pofalowane Jezioro Lemańskie lśniło w zachodzącym słońcu. Mewy krążyły nad wodą, spadając czasem jak kamień, by za chwilę wznieść się w górę z malutką rybką w dziobie. Był piękny wiosenny dzień i po jeziorze pływało mnóstwo żaglówek. Przecinały z gracją toń wody z wydętymi żaglami we wszystkich kolorach tęczy.

Z drugiej strony jeziora, za wieżami kościołów starego miasta, rysowały się majestatycznie Alpy, z ośnieżonym szczytem Mont Blanc w dalekim tle.

Izabella i Nicole siedziały na tarasie eleganckiej restauracji hotelu Trois Couronnes. Leciutki wiaterek igrał w złocistorudych włosach matki i córki. Dziewczynka rzucała za balustradę okruchy bułki, które mewy chwytaly w locie. Izabella i Nicole czekały na Murraya, który właśnie przyleciał z Nowego Jorku. Powiedział, że tylko weźmie szybki prysznic po podróży i zaraz będzie na dole. Nicole była bardzo podniecona. Murray przyjechał do Genewy specjalnie z okazji jej dziesiątych urodzin. Teraz czekała na prezent. W czarnych lakierowanych bucikach, białych skarpetkach i białej sukience w duże czarne i czerwone kropki czula się prawie tak elegancka jak mama. Na szyi miała kolorowe koraliki. Uparła się, że dzisiaj będzie uczesana tak samo jak mama. Wobec czego Izabella postanowiła, że obie będą miały włosy luźno rozpuszczone, jedynie lekko spięte czarną aksamitną wstążką. Początkowo chciała spiąć włosy piękną kłamrą z macicy perłowej, ale nie miała drugiej, mniejszej dla Nicole, stanęło więc na wstążkach - musiały być tak samo uczesane, taka była urodzinowa umowa.

Izabella ubrana była w zgrabny kremowy kostium i białą, koronkową bluzkę. Na szyi miała piękne, prawdziwe korale. W kłapie kostiumu lśnił mały, wygięty groźnie kot - broszka była prezentem od Nicole.

Izabella siedziała wygodnie na wiklinowym fotelu, popijała mrożoną kawę i patrzyła z rozczuleniem na podnieconą, rozbawioną córeczkę.

- Nie wychylaj się tak bardzo, bo wypadniesz i mewy zjedzą cię razem z tą bułką.

- A właśnie, że nie zjedzą. Wpadnę do wody i dopłynę do brzegu. Jestem najlepsza w pływaniu w całej klasie!

- No, może, ale lepiej nie próbuj. Nie wiem, czy Murray dałby prezent takiej zmokłej kurze.

- Mamo, jak myślisz, co dostanę? - dziewczynka aż się zarumieniła z emocji.

- Nie wiem, ale pamiętaj, żebyś ładnie podziękowała - Izabella przypomniała sobie, jak sama lubiła w tym wieku dostawać prezenty, jak zawsze czekała na imieniny czy Boże Narodzenie. A było na co czekać. Stały jej przed oczami piękne sukienki od Braci Jabłkowskich, lalki z rudymi lokami od Schwartza, które zamykały oczy, a nawet płakały. Mały jamniczek - Serdelek, którego tak kochała! Rodzice jej niczego nie żalowali. *Ale musiałam być rozpuszczonym bachorem!* - pomyślała Izabella i uśmiechnęła się do Nicole.

- Podziękuję, podziękuję, na pewno! Mamo, ja tak lubię dostawać prezenty!

- Pewnie. Wszyscy lubimy. Czy myślisz, że ja też coś dostanę?

- Na pewno dostaniesz, nawet wiem co! - Nicole zrobiła bardzo tajemniczą minę.

- Naprawdę wiesz? To powiedz, umieram z ciekawości - Izabella spojrzała na córkę, lekko zaintrygowana.

Nicole chwilę milczała, w końcu nie wytrzymała:

- Pierścionek z brylantem! - Mała aż podskoczyła z podniecenia na swoim wiklinowym fotelu.

- Co ty opowiadasz? Skąd wiesz?! - Izabella patrzyła z niedowierzaniem na córkę.

- Murray mi powiedział. Zadzwoił kiedyś, kiedy ciebie nie było, i poprosił, żebym wzięła szkolną linijkę i zmierzyła któryś z twoich pierścionków. Cierpliwie czekał przy telefonie, bo nie mogłam znaleźć linijki. Powiedziałam mu, że dwanaście milimetrów. Powiedział, żebym jeszcze raz zmierzyła. Znowu wyszło dwanaście milimetrów. Podziękował i powiedział, że chce ci kupić pierścionek z brylantem, ale żebym nic nie mówiła, bo to niespodzianka!

- No i wygadałaś się! - Izabella patrzyła z uśmiechem na czerwoną ze zmieszania dziewczynkę. - Nie wiem, czy Murray da takiej papli prezent.

- Mamo, ale ja przez dwa miesiące wytrzymałam. Proszę cię, nic mu nie mów - dziewczynka miała prawie łzy w oczach.

- No już dobrze, dobrze, nic mu nie powiem. Tak się ucieszę, jakbym nic nie wiedziała. - *Dostaniesz małą lekcję kobiecej obłudy* - dopowiedziała sobie w duchu Izabella.

W tym momencie na tarasie zjawił się Murray, w kwiecistej koszuli i lekkiej, jasnej marynarce. *Prawdziwy Amerykanin* - uśmiechnęła się do siebie Izabella. W ręku miał czarną torbę.

Uściskał Izabellę, a potem Nicole. Usiadł na trzecim wiklinowym fotelu, skinął na kelnera i zamówił szampana Veuve Cliquot.

- Musimy należycie uczcić te urodziny!

Nicole nie spuszczała oka z dużej torby. Zupełnie nie mogła się opanować. Matka postanowiła córce pomóc.

- Zastanawialiśmy się przed chwilą z Nicole, czy dostanie może jakiś urodzinowy prezent?

- A, właśnie, byłbym zapomniiał! - Murray nachylił się i wyjął z torby kartonowe pudło, zapakowane w kolorowy papier i przewiązane złotą wstążką.

Nicole szybko odpakowała pudełko. Były tam piękne, kolorowe książki, ukazała się też lalka Barbie, ubrana w kostium prawie identyczny jak ten, który miała na sobie Izabella.

- Iza, chyba pozowałaś do tego modelu - Murray był szczerze rozbawiony. - Piersi i dekolt też takie same!

Teraz Izabella się zarumieniła.

Barbie była najwyraźniej kobietą interesu z Wall Street, bo w ręku miała elegancką aktówkę.

- Nicole, zobacz, co ona ma w teczce - Murray dolał szampana sobie i Izabelli i wznosił toast: - Zdrowie naszej pięknej solenizantki! Jak to mówimy w Ameryce - Cheers!

Nicole ostrożnie odpięła klamerkę teczki i wyciągnęła zwitek szeleszczących, zielonych papierków. Miała w ręku dziesięć nowiutkich banknotów studolarowych. Nie wiedziała, ile to jest, ale czuła, że dostała bardzo dużo pieniędzy. Aż pokraśniała ze szczęścia.

- Murray, czyś ty oszalał, to przecież jeszcze dziecko - Izabella była szczerze zaskoczona i najwyraźniej niezbyt zadowolona.

Murray Bradley od chwili pożegnania w Bordeaux starał się być bardzo opiekuńczy. W ciągu minionego roku wpadł, dwa czy trzy razy na kilka dni do Genewy przy okazji podróży biznesowych do Europy. Często dzwonił i całymi godzinami rozmawiał z Izabellą. Zapewniał, że ją kocha. Ona też go kochała, wiedziała już na pewno, że to nie jest jedynie przelotny, letni romans ani z jego, ani z jej strony. Od początku chciał też pomóc jej finansowo, ale nie bardzo wiedział jak. Izabella grzecznie, ale stanowczo odmawiała pieniędzy. W końcu przestał nawet proponować. Nie chciała być europejską utrzymanką bogatego Amerykanina z Nowego Jorku. Murray mówił wprawdzie o małżeństwie, ale musiał poczekać na rozwód, a sprawa sądowa przeciągała się w nieskończoność.

Tymczasem Samuel Natanson wynajął jej małe mieszkanie na ulicy des Eaux Vives i dał pewną sumę pieniędzy, ale Izabella wymogła na nim umowę, że to tylko pożyczka i jak będzie mogła, zwróci mu pieniądze.

- Kochana Izuniu, dobrze, oczywiście, zrobisz, jak będziesz chciała. Ale ja jestem starym człowiekiem, niedługo umrę, na co mi te pieniądze? - pan Natanson starał się przekonać Izabellę, ale bez większego skutku.

- Może pan zapisać na sieroty w Ameryce - przekomarzała się z nim Izabella - albo nawet zapisać na Nicole, ale ja jestem zdrowa i młoda. Wezmę się do pracy i sama o siebie zadbam.

Samuel Natanson machnął ręką. Wiedział, że z tą upartą dziewczyną nie wygra. Pomógł jej więc w inny sposób. Któregoś wieczoru usiedli naradzić się, co Izabella ma robić, czym się zająć. Ufała staremu przyjacielowi ojca i wiedziała, że może jej coś mądrego doradzić.

- Izuniu, tylko handel. Może być mały handelek, może być duży, ale musi być interes.

- Ależ ja nie mam do tego żadnego wykształcenia.

- Do handlu trzeba mieć głowę, a nie wykształcenie - stwierdził z przekonaniem Samuel Natanson. - Jesteś bystra i inteligentna, to wystarczy. Tylko musisz chcieć. Jesteś uparta jak dziki osioł. To też dobrze, ale nie możesz być za bardzo honorowa. Handel to jak romans - czasami trzeba poudawać, czasami się cofnąć, a czasami zblefować.

- Do romansów to ja jestem dobra - roześmiała się Izabella.

- To będziesz dobra i do handlu - pan Natanson poklepał dziewczynę po plecach - tylko musimy się zastanowić, czym byś miała handlować. Jak już mówiłem, handel to jak romans, trzeba podchodzić do niego z sercem. Nie możesz handlować rybami, jeśli nie lubisz ryb.

- No, ryb rzeczywiście nie lubię!

- A co lubisz, domy? Meble? Ubrania? Muzykę? Może biżuterię?

- Owszem, biżuterię bardzo lubię - Izabella uśmiechnęła się.

- To świetnie. Cały handel brylantami i biżuterią w Nowym Jorku jest w naszych rękach.

- Samuel Natanson poczuł, że trochę się zagalopował. - Eh, tego... chciałem, Izuniu, powiedzieć, że dużo Żydów handluje biżuterią. Teraz Izabella trochę się zmieszała.

- Ale ja nie jestem Żydówką - powiedziała cicho, patrząc w bok.

- Ach, co tam - pan Natanson wyraźnie zapalił się do swojej idei - to nieważne. Kto cię tam będzie sprawdzał, a zresztą bohaterko pomagałaś Żydom w okupowanej Warszawie.

- Co pan opowiada? Komu pomagałam? Miałam dwanaście lat, jak wojna wybuchła!

- No właśnie - pan Natanson rozgrzewał się coraz bardziej - taka młoda, a już taka dzielna i szlachetna. Przynosiłaś staremu panu Sebastianowi jedzenie dla mnie, prawda?

- Och, wielkie mi bohaterstwo, zejść po schodach i przejść przez podwórko - Izabella szczerze się roześmiała.

- Taaak? Żadne bohaterstwo, a jak by cię złapało gestapo, że niesiesz jedzenie Żydowi?

- Eh... - Izabella machnęła ręką. Nie była przekonana.

- Już mnie to zostaw, ja wiem lepiej. Jestem od ciebie starszy. Jak ja im tam w Nowym Jorku opowiem, jaka byłaś dzielna, jak z narażeniem życia ratowałaś Żydów, to cię całą obwieszą brylantami! - Samuel Natanson wyraźnie zapalił się do swojego pomysłu. - W przyszłym tygodniu jadę do Nowego Jorku załatwiać z Prudentialem sprawy emerytalne, więc porozmawiam ze Szmulkiem Konem, moim dawnym kolegą ze szkoły na Nalewkach. Teraz nazywa się Stuart Cohen i ma największą w Nowym Jorku, co tam w Nowym Jorku - największą na świecie! - hurtownię diamentów. Coś wymyślimy!

I rzeczywiście wymyślili. Izabella przeszła najpierw trzymiesięczny kurs jubilerski w Zurychu, a następnie dostała pracę w Genewie, w szwajcarskim przedstawicielstwie firmy Stuarta Cohena, American Diamonds, Inc. Została asystentką od public relations, czyli właściwie kontaktów z ważniejszymi klientami. Jej zadaniem było ładnie wyglądać, robić dobre wrażenie i skłaniać klientów do dalszych kontaktów z American Diamonds, Inc. Trzeba przyznać, że nadawała się do tego znakomicie. Szczególnie lubiła to, że w czasie pracy i na różnych imprezach, gdzie występowała służbowo, wolno jej było nosić dowolną biżuterię ze sklepu firmowego American Diamonds, Inc. w Genewie. Była przecież chodzącą reklamą koncernu!

Jak kiedyś w Carbo France, tak teraz w American Diamonds, Inc. wszyscy Izabellę lubili. Nawet szef przedstawicielstwa Nathan Rosenstein, początkowo niechętnie nastawiony do młodej Polki, a do tego - jak podejrzewał - wtyczki kierownictwa, nabrał do niej przekonania, widząc jej profesjonalizm i zapał do pracy. Po sześciu miesiącach Izabella dostała pierwszą podwyżkę. Zarabiała już całkiem nieźle, stać ją było na opłacenie mieszkania i szkoły Nicole, a nawet na trochę nowych ubrań dla siebie i córki.

Ale oczywiście daleko jej było do dochodów Murraya Bradleya. W porównaniu z nim była biedną myszką, ale nigdy nie dała tego po sobie poznać i tym bardziej nie chciała od niego pieniędzy.

Niestety Murray nie bardzo to rozumiał. Miał dużo pieniędzy, dlaczego więc miałby się nimi nie podzielić z kobietą, którą kochał? Chciał jak najlepiej, ale jak to często bywa w takich

sytuacjach, im bardziej się starał - w swoim mniemaniu subtelnie - pomóc, tym gorzej to wypadło.

Tak samo było teraz na tarasie restauracji hotelu Trois Couronnes. Myślał, że pieniądze przekazane dziecku w charakterze urodzinowego prezentu pozwolą Izabelli kupić dziewczynce parę ubranek. Tymczasem ona odczuła to jako kolejną próbę wciśnięcia jej pieniędzy. Jej miłość nie jest na sprzedaż - Murray musi to zrozumieć!

* * *

Co roku, na jesieni, odbywało się w Nowym Jorku spotkanie kierownictwa American Diamonds, Inc. z przedstawicielami koncernu z całego świata. Na tydzień przed rozpoczęciem konferencji szef oddziału genewskiego Nathan Rosenstein poślizgnął się we własnej wannie i nieszczęśliwie upadł. Odwieziono go do szpitala z pękniętym biodrem. Wyjazd do Nowego Jorku był niemożliwy. Postanowił więc wysłać w zastępstwie swoją asystentkę Izabellę DuChailot, tym bardziej że doskonale pamiętał, iż przyszła do pracy w Genewie z rekomendacji samego naczelnego prezesa Stuarta Cohena. Widocznie ma w centrali dobre stosunki. Może nawet jej będzie łatwiej niż jemu załatwić fundusze na przeniesienie genewskiego sklepu firmowego American Diamonds na prestiżową Avenue Mont Blanc. Było to już od dawna marzeniem Nathana Rosensteina. Nauczył się też doceniać talenty negocjacyjne młodej Polki, do której początkowo był tak nieufnie nastawiony. *Taka ładna, zdolna i inteligentna - jaka szkoda, że nie Żydówka* - myślał sobie czasem melancholijnie pan Rosenstein, choć się z tym faktem dawno pogodził, a Izabellę naprawdę lubił i doceniał.

Izabella była bardzo zadowolona z propozycji wyjazdu i mile polechtana zaufaniem, jakie jej okazał szef. Oczywiście Murray Bradley wielokrotnie zapraszał ją do Nowego Jorku, ale nie chciała jechać za jego pieniądze i być na jego utrzymaniu. Wyjazd służbowy to całkiem co innego. Zatrzyma się w eleganckim hotelu i nie będzie korzystała z niczyjej łaski.

Nicole też przyjęła z entuzjazmem wiadomość o wyjeździe mamy do Nowego Jorku. Po pierwsze dostanie na pewno masę prezentów, a po drugie będzie mogła pomieszkać u swojej ulubionej koleżanki Alice. Rodzice Alice bardzo lubili małą Nicole DuChailot i chętnie zgodzili się, by przez tydzień u nich mieszkała.

Na lotnisku nowojorskim czekał na Izabellę Murray z naręczem pięknych czerwonych róż. Rzuciła mu się na szyję, a on objął ją i lekko uniósł w powietrze. Przytulił ją mocno do siebie. Przez chwilę trwali tak nieruchomo w objęciu, aż tragarz zaczął się lekko niecierpliwieć, kręcąc ostentacyjnie wózkiem z walizkami Izabelli. Jako rdzenny nowojorczyk nie miał czasu

na takie sentymentalne słabości, chciał jak najszybciej odwieźć walizki do samochodu i wracać po następnego klienta. Czas to pieniądz!

Murray przywiózł Izabellę do hotelu Ritz-Carlton, gdzie zakwaterowani byli zjeżdżający się na konferencję pracownicy American Diamonds, Inc. Dochodziła czwarta po południu. Murray zaproponował, że zostawi Izabellę na kilka godzin, żeby odpoczęła po podróży, a następnie wróci po nią o siódmej. Izabella nie czuła się jednak wcale zmęczona. Nie chciała go puścić, a poza tym wieczorem była zajęta. O siódmej w sali recepcyjnej hotelu miało być oficjalne otwarcie konferencji, a następnie bankiet.

Ze stojącego przy łóżku wazonu Izabella wyrzuciła trzy mizerne goździki, nalała świeżej wody i wstawiła do niego dwanaście pięknych, czerwonych róż od Murraya. Poprosiła go, żeby zadzwonił po szampana, a ona tymczasem szybko weźmie prysznic, żeby orzeźwić się po podróży. Murray ledwo zdążył rozsiaść się wygodnie na fotelu i włączyć telewizor, wówczas jeszcze bardzo rzadki przedmiot luksusu, kiedy w drzwiach stanął kelner w nieskazitelnie białej liberii, ze złotymi guzikami i zamówionym szampanem. Nawet Murraya zaskoczyła taka sprawność obsługi, od telefonu nie minęły chyba nawet trzy minuty!

Po chwili wyłoniła się z łazienki Izabella. Miała na sobie niedbale zawiązany w pasie leciutki różowy szlafroczek. Rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona. Sama też była różowa od ciepłej wody i pary. Usiadła na kanapie, założyła niedbale nogę na nogę i poprosiła o szampana. Murray tak się zapatrzył na nogi Izabelli, że potknął się, podając szampana. Cały kieliszek wylał mu się na spodnie.

- No, kochanie, w takim stanie nie możesz stąd wyjść - Izabella roześmiała się radośnie. - Musisz zdjąć spodnie i wysuszyć na kaloryferze.

Murray też się roześmiał.

- Zdejmę, kochanie, wszystko, co każesz!

Po chwili również Izabella została wyłuskana z różowego szlafrocza, który zresztą i tak niewiele przykrywał. Znowu, jak na lotnisku, Murray uniósł ją w powietrze i, tym razem już przez nikogo nie poganiany, zaniósł powoli na łóżko.

Izabella czuła się znowu, jak kiedyś na SS „Glory of Scotland”, a potem jeszcze kilkakrotnie w Genewie, całkowicie oddana Murrayowi, ciałem i duszą. Chciała się kochać mocno, prowokowała walkę, w której musiała ulec. Ogarnęła ją fala gwałtownej namiętności. Chciała, aż do bólu, czuć uścisk jego muskularnych ramion i ud, czuć go całego, głęboko w sobie.

Dla pogrążonych w miłości kochanków czas się zatrzymał.

Ale w Nowym Jorku czas nigdy długo nie stoi. Przy łóżku zadzwonił telefon.

Młoda osóbką o bardzo rezolutnym głosie przedstawiła się jako Debbie, sekretarka prezesa American Diamonds Stuarta Cohena, w jego imieniu powitała Izabellę w Nowym Jorku i przypomniała, że o godzinie siódmej w Sali Hebanowej hotelu Ritz-Carlton będzie otwarcie konferencji i bankiet.

Izabella zerwała się z łóżka i popatrzyła na zegarek. Była szósta. Nie jest tak źle - odechnęła z ulgą - mam jeszcze trochę czasu.

Teraz Murray wziął szybki prysznic. Spodnie były już suche. Po chwili, ubrany i gotowy do wyjścia, jeszcze raz uściskał Izabellę. Obiecała mu, że jutrzejszy wieczór spędzą razem.

- Od godziny siódmej, kochanie, jestem do twojej dyspozycji - Izabella jeszcze raz pocałowała go leciutko w usta.

- Świetnie, „pójdziemy w Nowy Jork” - musisz poznać moje miasto!

* * *

Izabella nie bardzo wiedziała, jak się ubrać. Żałowała, że nie poradziła się Murraya. Czy jak na konferencję, czy jak na bankiet? Ostatecznie zdecydowała, że jest tu przecież w podróży, w interesach. Ubierze się więc jak szykowna *femme d'affaire*, żeby z niej emanowały zarazem elegancja i profesjonalizm. Włożyła nienagannie skrojony kostium koloru mlecznej czekolady. Pod spodem miała białą jedwabną bluzkę, a na nogach zgrabne brązowe buciki na średnio wysokim obcasie. Włosy upięła w kok, pozostawiając luźno kilka pukli okalających twarz. Na smukłej szyi miała duże bursztynowe korale.

Spojrzała w lustro. *Bez fałszywej skromności, trzeba przyznać, że wyglądam świetnie* - pomyślała z satysfakcją. Przełożyła kilka najważniejszych rzeczy do małej torebki ze skóry alligatora i ruszyła w kierunku Sali Hebanowej.

Przy wejściu na salę powitała ją przyjaźnie uśmiechnięta hostessa. Sprawdziwszy listę, przypięła jej do piersi plakietkę z imieniem i nazwiskiem, potem zaprowadziła na miejsce przy jednym z pięciu dziesięcioosobowych stołów, stojących w półokręgu i zajmujących nieco ponad połowę sali. Naprzeciw, na lekkim podwyższeniu stały trzy mniejsze stoliki. Prawie wszystkie miejsca były już zajęte. Izabella siedziała między dwoma mocno już starszymi paniami. W ogóle, rozglądając się po sali, zorientowała się, że olbrzymią większość stanowili tu starsi panowie. Ludzi młodych było bardzo niewiele, a kobiety można było dosłownie policzyć na palcach jednej ręki.

Punktualnie o godzinie siódmej od jednego z mniejszych stolików podniósł się wysoki, szczupły mężczyzna. Powitał zebranych w imieniu całego kierownictwa American Diamonds,

Inc. Oficjalnie otworzył konferencję i oddał głos prezesowi - Stuartowi Cohenowi, który okazał się przeciwieństwem swego przedmówcy. Był to mały, ale za to bardzo korpulentny staruszek, o siwych włosach, rumianej cerze i żywych, czarnych jak węgiel oczach. Wygłosił krótkie, rzeczowe przemówienie o sukcesach firmy i planach na przyszłość, dodając, że tematy te będą szerzej rozwinięte w czasie sesji roboczych w następnych dniach.

- Na zakończenie chciałbym jeszcze raz podkreślić, że tu, w American Diamonds, jesteśmy zawsze dumni z naszych pracowników, ich ciężkiej pracy i oddania firmie - Stuart Cohen zbliżał się już do końca swego wystąpienia - ale dziś mamy szczególny powód do dumy i radości. Gościmy wśród nas osobę o prawdziwie diamentowym sercu, panią Izabellę DuChaillet z Genewy, nie tylko wzorową pracownicę naszej szwajcarskiej filii, ale też bohaterkę minionej wojny. Jako kilkunastoletnia dziewczyna, z narażeniem własnego życia, pomagała Żydom w okupowanej Warszawie. Wiem o tym z pierwszej ręki. O tej wspaniałej kobiecie opowiedział mi przyjaciel z ławy szkolnej Samuel Natanson, który własne życie zawdzięcza odwadze i poświęceniu obecnej madame DuChaillet, wówczas po prostu panny Izabelli Buczackiej. Myślę, że wszyscy tu zebrani dzielą ze mną dumę i radość z tego, że pani Izabella jest wśród nas, że jest naszą koleżanką i współpracownicą. Proszę, madame, niech pani wstanie, wszyscy chcemy panią poznać...

Izabella powoli wstała, czerwona ze zmieszania i zakłopotania.

Co ten Natanson o mnie naopowiadał! Jaka ze mnie bohaterka! Ale przecież nie wstanę i nie powiem, że to wszystko bzdury. Muszę już grać rolę, którą mi pan Natanson przypisał.

Izabella wyprostowała się i uśmiechnęła w kierunku stolika Stuarta Cohena. Wybuchły burzliwe oklaski. Prezes American Diamonds, a zapewne i wielu innych, patrzył zaskoczony na piękną i elegancką damę o czarującym uśmiechu. Jakoś, nie wiadomo dlaczego, spodziewał się, że bohaterką z opowieści Samuela Natansona będzie raczej któraś z tych szarych myszek w ciemnych, nijakich kostiumach i z gładko przyczesanymi włosami. Prezes Stuart Cohen wstał, podszedł do Izabelli i szarmancko zaprosił ją do swojego stolika.

Bohaterka, nie bohaterka, ale dużo takich ładnych pracownic nie mamy w American Diamonds - pomyślał sobie staruszek. Znowu podniosły się oklaski.

Kelner podskoczył z krzesłem i Izabella została usadowiona między Stuartem Cohenem a jego żoną Sally.

Pani Cohen, zażywna starsza pani, obwieszona brylantami, serdecznie uściskała Izabellę i zwróciła się do niej po polsku:

- Mów mi Salcia! Jakie masz piękne bursztyny, czy to z Polski?

- Jestem Iza. - Izabella czuła się coraz bardziej zmieszana. - Prawdę mówiąc, to nawet nie wiem, czy z Polski, kupiłam je w Zurychu, chyba są z Rosji.

- Ach, te Rosjanie to takie są, wszystko ukradną! - włączył się do rozmowy, także po polsku, sąsiad Sally Cohen, dyrektor marketingu American Diamonds, Benjamin Silber.

- Oj, Beniek, zaraz ukradną, co ty chcesz powiedzieć, że pani Izabella kupuje kradzione?
- zaperzył się Stuart Cohen.

Okazało się, że wszyscy przy stoliku znają polski. Wszyscy też, według oceny Izabelli, byli po siedemdziesiątce. Odetchnęła z ulgą. Nikt nie pytał jej o bohaterskie wyczyny w okupowanej Warszawie. Wkrótce rozmowa potoczyła się wokół tematów szwajcarsko-genewskich. Izabella czuła się coraz swobodniej. Okazało się, że państwo Silberowie wybierają się za dwa miesiące do Genewy na ślub wnuczki, która wychodzi za mąż za młodego lekarza, amerykańskiego delegata przy Światowej Organizacji Zdrowia.

- Czy hotel Hilton-Noga jest daleko od Avenue Mont Blanc, i właściwie dlaczego on jest Noga? - chciała wiedzieć pani Silber.

Izabella roześmiała się, bo świetnie pamiętała, jak ją na początku pobytu w Genewie śmieszył wielki czerwony neon, na reprezentacyjnym hotelu nad jeziorem - „Hilton-Noga”.

- Jest świetnie położony, bardzo blisko Avenue Mont Blanc, a nazywa się Noga, bo podobno kupił go jakiś Japończyk nazwiskiem Noga.

- Japończyk nazwiskiem Noga? Chyba Japończyk z Kołomyi! - zaśmiał się radośnie Stuart Cohen.

- W Kołomyi to był rabin Noga, co ty wygadujesz - zaperzył się Benjamin Silber.

- Ja myślę, że on pojechał do Genewy i przechrzcił się na Japończyka! He, he, he! - Towarzystwo pani DuChaillet wyraźnie wprawiło Stuarda Cohena w szampański nastrój.

Izabella postanowiła wrócić do tematu Avenue Mont Blanc.

- A dlaczego pyta pani o Avenue Mont Blanc?

- Bo tam podobno są najlepsze sklepy. Chciałam kupić tam coś ładnego dla córki.

- To najelegantsza aleja Genewy. Szkoda, że nasz sklep firmowy tam się nie mieści, a moim zdaniem powinien - powiedziała z przekonaniem Izabella. - Mają tam swoje sklepy De-Beers, Giscard... niedługo otwiera salon wystawowy Adjani..

To był błąd, Izabella nie miała pojęcia o planach firmy Adjani, ale pamiętała z rozmów ze swoim szefem w Genewie, że Adjani z Antwerpii to główny rywal American Diamonds, Inc.

- Co? Adjani? A dlaczego my nie jesteśmy na Avenue Mont Blanc? - chciał wiedzieć prezes Cohen.

- Mój szef, pan Rosenstein mówi, że to za drogo. To rzeczywiście najdroższa lokalizacja w Genewie.

- Chcecie mieć tanio, to otwórzcie sklep na Brooklynie - powiedziała z przekąsem pani Cohen, patrząc na męża.

- Co to znaczy za drogo? Adjaniego stać, a dla American Diamonds za drogo? Beniek - Cohen zwrócił się do dyrektora marketingu - umów się na jutro z panią Izabellą. Tę sprawę trzeba załatwić. Wydadz wszystkie potrzebne instrukcje. Genewa to ważny punkt, musimy tam być godnie reprezentowani. A madame DuChaillet - Stuart Cohen zwrócił się oficjalnie do Izabelli - złoży mi osobiście raport po możliwie jak najszybszym przeniesieniu sklepu na Avenue Mont Blanc.

- Ależ oczywiście, na pewno to zrobię - Izabella uśmiechnęła się słodko, myśląc: *Sprawa załatwiona, właściwie mogę już wracać do domu!* Teraz nie była już wcale zmieszana, oczyma duszy widziała minę swojego szefa Nathana Rosensteina, kiedy mu powie, że przenoszą sklep na Avenue Mont Blanc! Izabella była w świetnym nastroju i poprosiła o jeszcze jeden kieliszek wina.

* * *

Konferencja trwała jeszcze cztery dni, ale Izabella szybko się zorientowała, że naprawdę ważne są tylko lunchy i popołudniowe koktajle, na których spotyka się ludzi i omawia interesy. Nudne poranne seminaria na temat organizacji pracy, demonstracje metod obróbki diamentów i inne tego typu zajęcia można sobie było spokojnie darować. Tym bardziej że miała Murraya! Chciała z nim spędzić jak najwięcej czasu. Sprawdzał się jako doskonały przewodnik po Nowym Jorku, widać było, że kocha to miasto. Czasami bywało to nawet trochę męczące, kiedy na przykład zerwał ją z łóżka o piątej rano, żeby obejrzała Statuę Wolności w promieniach wschodzącego słońca, ale trudno mu było mieć cokolwiek za złe. Był taki kochany, tak się cieszył, że są razem, tak się starał jej dogodzić i spełnić każdą jej zachciankę. Izabella czuła, że staje się jej coraz bardziej bliski. Znała go dopiero niecały rok, a miała wrażenie, że znają się od zawsze i że jest jedynym mężczyzną w jej życiu. Nagle pomyślała o Richardzie. Zrobiło jej się wstyd. *Bardzo jesteś przyjemna! Ledwie rok minął od śmierci męża, a już go zapomniałaś. Już masz innego.* Jak zawsze w trudnych chwilach Izabella pomyślała o Nicole. *Co mam robić, mam dziecko, muszę o niej myśleć, zapewnić jej jakąś przyszłość.* Nie była jednak przekonana,

że tylko o to chodzi. Na szczęście chwile smutnych i trochę gorzkich refleksji nie trwały długo i zdarzały się coraz rzadziej.

Ostatniego dnia konferencji odbył się pożegnalny lunch. Po południu odlatywały samoloty do Europy. Izabella pożegnała się serdecznie ze swymi nowymi znajomymi z branży diamentowej i wróciła do pokoju. Nie musiała się jeszcze pakować, bo postanowiła przedłużyć pobyt, już prywatnie, o jeden dzień. Była godzina trzecia, Murray obiecał po nią przyjechać o szóstej, miała więc trzy godziny. Włączyła telewizor, fascynowało ją to radio z obrazkami. Czego ci Amerykanie nie wymyślą!

Izabella zdjęła buciki i rozciągnęła się wygodnie na kanapie. Czowała się zrelaksowana i szczęśliwa. Przypomniła sobie koszmarne miesiące w Salisbury, kiedy całkowicie zagubiona, w obcym kraju, szarpana niepokojem o los męża, z małym dzieckiem, z kończącymi się pieniędzmi, zupełnie nie wiedziała, co ma robić, co będzie dalej?

Mój Boże, fortuna kołem się toczy. Od tego koszmaru minął zaledwie rok, a już wydaje się to wszystko tak odległe, prawie nierealne. Nicole chodzi do dobrej szkoły w Genewie, a ona - Izabella, siedzi sobie w luksusowym hotelu w Nowym Jorku, gdzie przyjechała na konferencję jako ceniona pracownica koncernu American Diamonds, Inc. Jej misja przeniesienia sklepu firmowego na Avenue Mont Blanc skończyła się sukcesem, ma w walizce wszystkie potrzebne papiery. No, i co najważniejsze, ma Murraya! Jest zakochana po uszy we wspaniałym człowieku, który ją też kocha. Czy mogłoby być lepiej? Świat jest piękny!

W tym momencie zadzwonił telefon. Murray był bardzo podniecony. Chciał natychmiast przyjść do hotelu. Miał jej coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Przychodź od razu, oczywiście, ale powiedz choć słówko o co chodzi, bo umrę z ciekawości, zanim tu dojedziesz. - Izabella była zaintrygowana, ale i rozbawiona. *Ten Murray jest jak duży dzieciak, niby wielki biznesmen, rekin giełdowy, a zachowuje się zupełnie jak Nicole, kiedy ma jakiś ważny sekret do zakomunikowania.*

- Wszystko ci powiem, jak przyjdę. Będę za dziesięć minut, zamów do pokoju szampana!

Izabella zadzwoniła po szampana, włożyła na nogi zrzucone przed chwilą szpilki i usiadła przed lustrem, żeby się uczesać, zawsze chciała ładnie wyglądać dla Murraya.

Nie minęło dziesięć minut, a w drzwiach pokoju stanął Murray aż czerwony z podniecenia.

- Zobacz, co przed chwilą dostałem - wyciągnął do Izabelli rękę z jakimś dokumentem, wyglądającym z daleka jak dyplom uznania czy świadectwo szkolne.

Izabella wzięła dokument.

- Ale powiedz mi, co to jest?

- Orzeczenie sądu o rozwodzie! Jestem wolnym człowiekiem, możemy się pobrać!

Izabella odłożyła ostrożnie drogocenny papier na toaletkę przed lustrem i rzuciła się Murrayowi na szyję.

Do drzwi zapukał kelner i wniósł szampana w wypełnionym lodem srebrnym wiaderku, na długiej nodze. W drugiej ręce miał srebrną tackę z dwoma smukłymi, kryształowymi kieliszkami. Tackę umieścił na stoliku między dwoma fotelami i zaczął z wielką powagą i namaszczaniem odkorkowywać butelkę. Wyglądało to komicznie. Izabella ledwie powstrzymała śmiech, ale nie chciała go urazić, a zresztą sama nie wiedziała, dlaczego chce jej się śmiać - ze szczęścia czy ze śmiesznie napuszonego kelnera?

Po jego wyjściu podnieśli kieliszki i spojrzeli sobie w oczy.

- Izabello DuChaillot, czy zostaniesz moją żoną? - zapytał Murray, był poważny, a jego oczy mówiły Izabelli „Kocham cię bezgranicznie!”.

- Zostanę, zostanę - Izabella roześmiała się - ale nie bądź taki śmiertelnie poważny, myślałby kto, że mnie zapraszasz na pogrzeb, a nie na ślub!

Izabella przytuliła się do Murraya i pociągnęła go na łóżko. On jednak delikatnie ją odsunął:

- Nie, Iza, teraz nie mogę. Muszę już lecieć. Podpisuję dziś kontrakt stulecia, ale nie mogłem wytrzymać, musiałem się na chwilę wyrwać, żeby ci o tym powiedzieć. Będę z powrotem o szóstej, zgodnie z umową, musimy to uczcić! Murray dopił kieliszek szampana i wyszedł.

Izabella znowu zrzuciła z nóg szpilki i ułożyła się wygodnie na kanapie.

Fortuna kołem się toczy, ale czy nie za szybko? Minęło niecałe dwadzieścia minut, a już nie tylko mam udaną córkę i jestem zakochana we wspaniałym mężczyźnie, ale jeszcze na dodatek niedługo biorę z nim ślub!

Izabella spojrzała na zegarek, była trzecia trzydzieści, to znaczy w Genewie wpół do dziesiątej wieczorem, trochę późno, ale jeszcze znośnie. Postanowiła zadzwonić do Nicole, chciała jak najprędzej podzielić się z córką dobrą nowiną. Niestety okazało się, że na połączenie ze Szwajcarią trzeba czekać cztery godziny. To za późno, nie będzie przecież budzić ludzi w środku nocy, a zresztą, za cztery godziny jej też w hotelu nie będzie. Izabella zrezygnowała z telefonu i wyciągnęła się na kanapie, ale nie mogła jakoś usiedzieć na miejscu. Wstała, włożyła buty, jeszcze raz się przyczesła i wyszła na ulicę kupić Nicole prezent. W sklepie za rogiem

miała upatrzoną śliczną sukienkę. Wprawdzie wczoraj wydawała jej się za droga, ale teraz nie czuła już żadnych zahamowań - świat należał do niej! Nie będzie przecież dziecku żałowała tych paru głupich dolarów.

Kupiła nie tylko sukienkę, ale jeszcze sweterek i piękny szlafroczek w duże kolorowe kropy, a dla Alice mięciutki wełniany szalik i rękawiczki. W torebce zostało jej już tylko pięć dolarów. Trudno, będzie jej to musiało wystarczyć do wyjazdu. Wróciła do hotelu przygotować się do wyjścia z Murrayem. *Dziś jest specjalny wieczór, Murray będzie naprawdę dumny ze swojej narzeczonej!* Izabella uśmiechnęła się do siebie, wiedziała, że jak chce, to potrafi być piękną, atrakcyjną i kuszącą kobietą, a teraz właśnie chce!

Wyjęła z szafy swoją najlepszą sukienkę i położyła ostrożnie na łóżku, dobrała do niej apaszkę, pasek, korale i torebkę. Po chwili zdecydowała, że narzuci też leciutkie, jedwabne bolerko, bo nie wiadomo, jaką restaurację czy klub Murray zaplanował, chciała być gotowa na każdą możliwość, mniej czy bardziej formalną. Spojrzała na zegarek, miała jeszcze czterdzieści pięć minut, to za mało, żeby zejść na dół do fryzjera. Nie szkodzi, sama się uczesze. Wyszczotkowała swoje piękne złocistorude włosy i spięła je z tyłu, a właściwie lekko z boku, klamrą z macicy perłowej. Poprawiła nieco brwi i rzęsy, uszminkowała wargi i leciutko przypudrowała nos i policzki. Ubrała się i jeszcze raz stanęła przed lustrem. Wyglądała zabójczo. Ach, jeszcze buty - Izabella zdała sobie sprawę, że stoi w samych pończochach. Chwilę się zawahała, właściwie żadne za dobrze nie pasowały do tej sukienki. Ostatecznie włożyła szarosrebrzyste szpilki, pocieszając się, że od biedy do wszystkiego pasują. Nagle przypomniała sobie spotkanie w Salisbury z panem Natansonem, na które musiała włożyć buciki Ms. Westford. *Tak, tak, fortuna kołem się toczy!* Roześmiała się, patrząc w lustro. Srebrzyste szpilki nie wyglądały wcale tak źle! Jeszcze troszeczkę perfum Chailly i była gotowa.

W tym momencie usłyszała dzwonek od drzwi. Spojrzała na zegarek, była 5:45, czyżby Murray przyszedł trochę wcześniej? Jest zawsze taki punktualny.

W drzwiach stała elegancko ubrana kobieta o lśniących kasztanowych włosach. Była mniej więcej w wieku Izabelli.

- Jestem Anna Bradley, żona, no właściwie już była żona, Murraya Bradleya - kobieta uśmiechnęła się do Izabelli. - Zupełnie przypadkowo dowiedziałam się od Sally Cohen, że jest pani w Nowym Jorku, chciałabym z panią chwilkę porozmawiać.

- Proszę bardzo, niech pani siada - Izabella wskazała na fotel. Nie była wcale zachwycona wizytą.

- Nie będę pani zabierała czasu, mam tylko pięć minut, muszę jechać na lotnisko, o ósmej odlatuję do Atlanty...

To świetnie, nie będzie tu długo siedziała.

Izabella uśmiechnęła się grzecznie do gościa.

- O pani istnieniu wiem już od dawna od moich adwokatów. Pomogło nam to w sprawie rozwodowej, ale prawdę mówiąc, specjalnie mnie pani nie interesowała. Ot, jakaś tam jeszcze jedna z wielu miłostek Murraya. Ale wczoraj, na przyjęciu u mojej przyjaciółki, Sally opowiedziała historię dzielnej, młodej Polki, która z narażeniem życia ratowała Żydów w okupowanej Warszawie. Skojarzyłam sobie nazwisko - DuChailot - i postanowiłam panią ostrzec przed Murrayem, zanim się pani wpakuje w bagno, z którego ja właśnie się wydostałam. Zasługuje pani na coś lepszego. Wiem, że nie jest pani przyjemnie słuchać tego, co mówię, ale trudno, prawda często nie jest przyjemna. Znam go doskonale, wiem, że potrafi być czarującym mężczyzną, sama byłam w nim zakochana. Nie jest może nawet złym człowiekiem, ale tkwi w szponach nałogu - jest hazardzistą. To w nim silniejsze od wszystkiego innego. Kilkakrotnie byliśmy na krawędzi bankructwa. Wyłudzał pieniądze od moich rodziców, od swojej matki, od znajomych. Raz podobno nawet postawił jako stawkę własną żonę, to znaczy mnie, choć nie mam pojęcia, jak sobie wyobrażał spłatę tego długu! Podam pani tylko jeden drobny przykład. Mamy dwunastoletnią córkę. Jest chora na szczególny rodzaj astmy. Polega to na tym, że co jakiś czas, na szczęście wraz z wiekiem coraz rzadziej, ma atak, nie może oddychać. Wtedy trzeba możliwie jak najszybciej podać jej lekarstwo. Jest bardzo drogie i łatwo się psuje, więc nie można mieć w domu zapasu. Dlatego zawsze miałam w domu tysiąc dolarów w gotówce, żeby w nagłym wypadku móc od razu lecieć do apteki bez potrzeby podejmowania pieniędzy z banku. Któregoś razu, kiedy miała dziewięć lat, zaczął się atak. Wysłałam Murraya do apteki po lekarstwo. Wrócił po trzech dniach, bez grosza. Twierdził, że napadli go bandyci, ale to było niestety jasne, przegrał wszystko, do ostatniego centa. To przelało kielich goryczy. Wystąpiłam o rozwód. Muszę mu przyznać, że jest bardzo zdolnym biznesmenem. Handluje bronią na wielką skalę. Niestety przepuszcza miliony dolarów. Wiem, że w tym tygodniu podpisuje jakiś wielki kontrakt z Iranem, a interesuje mnie to tylko dlatego, że warunki naszego rozwodu przewidują, że ja dostanę połowę zysku. Potrafi ludzi przekonać do swoich pomysłów. Nie wiem, to zresztą nie moja sprawa, ale może i panią chce skłonić do małżeństwa. Jeśli tak, to gorąco odradzam. Nie będzie pani nigdy znała dnia ani godziny. Przegra wszystko, pani własne pieniądze też. Jeśli jest pani w nim naprawdę zakochana, a po pani oczach widzę, że tak jest, to

niech mu pani przynajmniej nie powierza własnych pieniędzy, niech pani adwokat przygotuje przedślubną umowę, że nie odpowiada pani za długi męża. I nade wszystko, niech się pani nie da zwieść pozorom, czasami rzeczywiście ma pieniądze, nawet miliony - jak w tej chwili - ale czasami nie ma nic, a wtedy sprzeda pani ubrania, żeby mieć na karty. Ja przez to piekło przeszłam, mam to już za sobą. Niech się pani nie da w to wciągnąć! Jeśli mi pani nie wierzy, to niech się pani spyta Sally albo jakiegokolwiek znajomego Murraya. To nie są żadne tajemnice. Anna Bradley spojrzała na zegarek.

- Muszę lecieć, bo spóźnię się na samolot. Zresztą to wszystko, co chciałam powiedzieć. Do widzenia, naprawdę muszę już iść.

Izabella w milczeniu zamknęła drzwi. Wróciła i ciężko opadła na kanapę.

Co teraz? Co mam robić? Czy mam jej wierzyć?

W tym momencie zadzwonił telefon. Murray przeproszał, że się spóźnia - finalizowanie kontraktu trochę się przeciągnęło, nie ma na to wpływu, ale o ósmej już będzie na pewno. Izabella była nawet zadowolona, będzie miała czas o tym wszystkim pomyśleć. Czowała, że znowu spada na nią jakiś koszmar. *Dlaczego zawsze ja? Czy wszystkie nieszczęścia tego świata będą zawsze spadać na mnie?* Izabella miała łzy w oczach. Nalała sobie resztkę szampana. Stał jej przed oczami Murray, taki kochany, taki jej oddany, gotowy spełnić każde jej życzenie. *Nie, to niemożliwe, to nie jest z jego strony tylko gra. On mnie naprawdę kocha.* Izabella otarła oczy papierową chusteczką i podeszła do lustra, żeby poprawić makijaż. *I co z tego, że kocha, jeśli to prawda, co przed chwilą usłyszałam. Możemy się kochać, ale nie powinnam za niego wychodzić za mąż.* Izabella znowu usiadła ciężko na kanapie. *Co ma robić? Kogo się poradzić? Jestem sama jak palec!* Izabella rozczuliła się nad sobą, ale zaraz przypomniała jej się Nicole. Jak zawsze w ciężkich chwilach myśl o córce dodała jej otuchy. *Muszę być dzielna, muszę pamiętać o Nicole, ona na mnie liczy! A zresztą nic się nie stało, ślubu jeszcze nie wzięliśmy. Kocham go przecież nie dla pieniędzy, na siebie i Nicole sama zarobię! A poza tym całe to gadanie to może nieprawda. Z oczu tej Annie dobrze nie patrzyło, porzucone żony bywają przecież rozgoryczone i mściwe. Jakieś wady Murray na pewno ma, jak każdy mężczyzna, może rzeczywiście ma skłonność do hazardu. I co z tego? Jego pieniądze, może z nimi robić, co chce. No dobrze, ale dlaczego nic mi nie powiedział? Bo może i nie ma o czym mówić. Ale go o wszystko zapytam.*

Izabella poczuła się lepiej, miała plan działania. Opowie Murrayowi o spotkaniu z jego byłą żoną. Musi wysłuchać obu stron i potem pomyśli, co dalej. A z tym małżeństwem to przecież się nie pali - można odłożyć do wiosny.

Nie podda się, zapanuje nad sytuacją. O ile jest tu w lepszym położeniu niż w Salisbury! Tam była całkowicie na łasce losu, a teraz ma dobrą posadę, jest cenioną pracownicą American Diamonds, może wrócić jutro do Genewy i zapomnieć o Murrayu. *Dobrze, dobrze, pewnie, że mogę, ale wcale nie chcę* - Izabella znowu miała przed sobą rozkochane oczy Murraya, poczuła objęcie jego silnych ramion, dotyk namiętych, ciepłych warg... *Nie, wcale nie zamierzam z tego rezygnować!*

- Iza, kochanie, to nieprawda. Ta wredna baba chce się na mnie zemścić za to, że nie dałem jej się oskubać do ostatniego dolara. Owszem to prawda, że grałem w karty, czasem nawet o wysokie stawki, czasem przegrywałem, może się to nawet odbiło na naszym małżeństwie z Anną, ale nie sędzę. Były inne znacznie poważniejsze problemy, jak choćby jej niekończące się romanse z moimi najbliższymi kolegami. Wyobrażasz sobie, w jakiej mnie to stawiało sytuacji! - Murray aż się zaczerwienił z gniewu, ta opowieść o lekarstwie dla Jenny... to po prostu szczyt nikczemności. Anna świetnie wie, że kocham małą ponad wszystko. Rzeczywiście byłem napadnięty, obrabowany i uprowadzony. Uszedłem z życiem tylko dlatego, że się zorientowali, że to pomyłka, pomylili mnie z jakimś szefem handlarzy narkotyków. I tak chcieli mnie zabić, żeby zatrzeć ślady, ale za pół miliona dolarów zgodzili się mnie puścić. To znana sprawa, była we wszystkich gazetach i Anna świetnie o tym wie!

- Kochanie, musimy coś zamówić - Izabella postanowiła mu przerwać. - Nie denerwuj się, wierzę ci. Musiałam ci powiedzieć o tej wizycie, boby mnie to wewnętrznie zżerało...

- Ależ, oczywiście, bardzo się cieszę, że mi powiedziałaś. Tylko błagam cię, nie wierz w te bzdury - Murray ścisnął dłoń Izabelli. - Kocham cię nad życie i obiecuję ci, że zawsze będę ci mówił prawdę. Mam pełne zaufanie do ciebie i ty też musisz mi ufać.

Murray skinął na kelnera. Izabella zauważyła, że miał łzy w oczach, opanował się jednak przed przyjściem kelnera. Zrobiło jej się żal Murraya. Był dla niej zawsze taki dobry, kochany, a ona podaje w wątpliwość jego miłość. *A wszystko przez jakąś wredną babę, że też takiej diabli nie wezmą!*

- Kochanie, to na co się zdecydowałaś? - Murray spojrzał z uśmiechem na Izabellę.

- Bo ja wiem, to mój pożegnalny wieczór w Nowym Jorku, chciałabym coś specjalnego.

- Specjalność dzisiejszego wieczoru to homary z Maine w asyście owoców morza przygotowanych w stylu Norfolk - powiedział kelner, starszy, wytworny pan z kamiennym wyrazem twarzy.

- Doskonale, poproszę homary - Izabella uśmiechnęła się. Murray zamówił to samo i butelkę kalifornijskiego Chardonnay. Kelner z namaszczeniem zapisał zamówienie i odszedł. Izabella i Murray spojrzeli sobie w oczy i wesoło się roześmieli. Rozbawiły ich te „homary z Maine w asyście owoców morza”. Rozumieli się bez słów.

- Ciekawe, czy będą też „w asyście sałaty” - powiedziała Izabella.

- Na pewno. Mam też nadzieję, że wino przyjdzie „w asyście” kieliszków.

Oboje byli już w doskonałych nastrojach.

Po kolacji wrócili do hotelu. Kochali się jak nigdy przedtem, do późna w nocy. Ostatecznie, około czwartej nad ranem, Murray ociągając się wstał. Musiał wracać do domu, bo o ósmej rano wracał samolotem do Los Angeles. Chciał jeszcze wziąć prysznic, zmienić koszulę i zabrać parę dokumentów. Prześpi się już w samolocie.

Izabella też wstała i jeszcze raz przywarła do niego całym ciałem, nie chciała go puścić. Murray łagodnie pogłaskał ją po głowie i zaniósł z powrotem na łóżko.

- Ty, kochanie, możesz spać, samolot do Genewy masz dopiero o szóstej po południu.

- Ale nie chcę sama spać.

- Śpij, kochana - Murray jeszcze raz pogłaskał ją delikatnie po pięknych złocistych włosach. - Za tydzień przyjadę do Genewy i naradzimy się co do ślubu. Pomyśl, gdzie chciałabyś go wziąć, w Szwajcarii? Stanach? A może jeszcze gdzie indziej? Kocham cię, ale naprawdę muszę już iść.

- Dobrze, kochany, spróbuję zasnąć bez ciebie. Będę na ciebie czekała w Genewie!

Odwróciła się na drugi bok i leniwie przeciągnęła. Coś jej mówiło, głęboko w sercu, a może nawet głębiej i niżej, że zaszła w ciążę. Była szczęśliwa, chciała urodzić Murrayowi synka.

Trzeba będzie przyspieszyć ślub - uśmiechnęła się do siebie i zasnęła.

Izabella chciała zapomnieć o rozmowie z Anną Bradley, ale nie mogła. Wierzyła Murrayowi, ale jednak jego eksmałżonka zasiała w jej sercu ziarno niepokoju. Izabella roztrząsała każde słowo, siedząc w samolocie, choć nie ułatwiała jej tego sąsiadka, której nieopatrznie przyznała się, że mówi po polsku. Całą drogę do Londynu - na szczęście tam się rozstali, Izabella poleciała do Genewy, a sąsiadka do Warszawy - kobieta raczyła ją opowieściami o swojej rodzinie. Miała o czym opowiadać. Była wdzięcznym rozmówcą, gdyż nie wymagała odpowiedzi, po prostu wygłaszała monolog. Izabella co jakiś czas potakiwała głową, a kiedy sąsiadka szczególnie się rozgrzewała, podnosiła na nią oczy i mówiła: „Naprawdę? Coś takiego!?”. To zupełnie wystarczało.

A swoją drogą, takie babsko to ma rodziców pod Krosnem, pięcioro dzieci, tudzież niezliczone tabuny braci, sióstr, wujków, ciotek i kuzynów rozsianych po całej Polsce i USA, a ona, Izabella, jest sama jak palec, no owszem, ma Nicole. Rodzice nie żyją już od lat, braci ani sióstr nigdy nie miała. Była kiedyś siostra matki, ciocia Nuna, ale umarła jeszcze przed wojną, jej syn Jacek zginął, w wieku szesnastu lat, na początku powstania warszawskiego. Miły był chłopak, ale właściwie mało go znała, tyle że go z ojcem pochowała na skwerku, na rogu Chocimskiej i Klonowej. Ciekawe, co ta baba robiła w czasie wojny? Była wówczas chyba mniej więcej w moim wieku, teraz wygląda na dobrze po pięćdziesiątce.

Izabella długo nie czekała na odpowiedź. Sąsiadka, już po pierwszych dwóch godzinach lotu, doszła do losów rodziny w czasie wojny. Najpierw stwierdziła enigmatycznie, że żyła z handlu. *No tak, zaraz się okaże, że z handlu biżuterią, można powiedzieć koleżanka po fachu!* Okazało się jednak, że nie. Żyła z handlu, ale salcesonem, który potajemnie wyrabiał ojciec z dwoma szwagrami. Dzieci rozwoziły towar po okolicznych miastach, a czasem nawet jechały do Krakowa albo do Warszawy. Wujek z synami pędził bimber, a reszta rodziny handlowała kurami, kartoflami, cielęciną i boczkiem, czym się dało. Izabella nie mogła oprzeć się refleksji, że nikt z tej licznej rodzinki nie wydawał się zainteresowany walką z okupantem. *To zostawiali takim dzieciakom w Warszawie, jak Jacek. Sami prowadzili „wojnę gospodarczą”.* Ogarnęło ją rozgoryczenie, ale zaraz się zreflektowała. Właściwie nie jest sprawiedliwa. Ktoś musiał przecież wyżywić naród. Na pewno nie robili tego Niemcy.

A zresztą co tam, mam ważniejsze sprawy na głowie niż rodzinka tej baby. Izabella wróciła do swoich niewesołych myśli. *Na pewno Kocham Murraya takiego, jaki jest, z wadami i*

zaletami, to najważniejsze. Ale zaraz, zaraz - wady bywają różne - a co, jeśli mnie oszukuje? A po co by mnie miał oszukiwać? Na pewno nie chce się ze mną ożenić dla pieniędzy, doskonale wie, że jestem biedna jak mysz kościelna. Jak by mu chodziło o pieniądze, to trzymałby się tej Anny, jej rodzina jest chyba przy forsie. Nie, on mnie też kocha, tak samo jak ja jego. Dobrze, a dlaczego sam nic mi nie powiedział ani o swoich słabościach, ani o handlu bronią? Nie ma do mnie zaufania czy chce coś ukryć?

Izabella czuła, że musi się kogoś poradzić. Sama się z tym nie upora. Jak tylko przyjedzie do Genewy, zadzwoni do pana Natansona. Był dla niej jak ojciec, ma do niego pełne zaufanie, jest starszy, zna życie, no i zna Nowy Jork, na pewno coś mądrego jej doradzi. Kochany pan Samuel, wyciągnął ją z tej afrykańskiej otchłani, to i teraz pomoże!

* * *

Nicole aż podskakiwała z radości, rozpakowując prezenty. Największe wrażenie zrobił na niej szlafroczek w wielkie kolorowe kropy. Czuła się w nim taka dorosła. Szlafrok nosiła mama, a także mama Alice, ale małe dziewczynki miały tylko te, naciągane przez głowę, niezgrabne flanelowe koszule. Nicole otuliła się szlafrokiem i zawiązała pasek. Podeszła do lustra - wyglądała wspaniale!

Izabella patrzyła z uśmiechem na radość córki, myśląc, że prezenty w ogóle powinno się kupować wyłącznie dzieciom - tak szczerze potrafią się z nich cieszyć.

- Ja też mam dla ciebie niespodziankę! - Nicole aż promieniała.

- Naprawdę? To pokaż, bo umrę z ciekawości.

- To dopiero wieczorem. Przygotowałam dla ciebie kolację! - Nicole była z siebie bardzo dumna.

- Och! Na samą myśl już mi się chce jeść.

- Dopiero piąta. Kolacja będzie o siódmej - powiedziała rezolutnie Nicole, najwyraźniej ona tu teraz zarządzała.

- Ależ, oczywiście. - Izabella patrzyła z rozczeniem na córkę.

Nie tylko śliczna, ale ma też charakterek!

Stół był już przygotowany. Nicole starannie dobrała obrus, serwetki i talerze. Nawet stojący w wazonie bukiet kwiatów pasował kolorystycznie do obrusa i serwetek. Przed talerzem Izabelli stał piękny, smukły kieliszek do białego wina, a przed talerzem Nicole kryształowa szklanka na wodę. Izabella była dumna z córki - ma zaledwie jedenaście lat, a już jest prawdziwą damą, potrafi z takim smakiem nakryć do stołu. Kiedyś będzie wspaniałą gospodynią, będzie wydawała eleganckie przyjęcia, na które wszyscy będą chcieli być zaproszeni, tak jak

ona sama swego czasu w Bikasi. Izabelli zrobiło się trochę gorzko na myśl o tym, co straciła. Nagle uświadomiła sobie, że w głębi ducha, może nawet nie w pełni zdając sobie z tego sprawę, miała nadzieję, iż dzięki małżeństwu z Murrayem wróci do krainy eleganckich przyjęć, pięknych salonów i wspaniałych domów. Teraz i to stanęło pod znakiem zapytania.

Nicole zakazała Izabelli wstępu do kuchni. Kolacja ma być niespodzianką, choć w małym mieszkanku trudno było nie poczuć zapachu gotujących się szparagów.

- Jak już wszystko mamy takie eleganckie, to chyba do kolacji przebierzesz się w sukienkę, czy zostaniesz w tym szlafroku?

Nicole lekko się zmieszała, bo w tym podnieceniu zupełnie zapomniała, w co jest ubrana, nie dała się jednak zbić z tropu.

- Oczywiście, że się przebiorę, ale najpierw muszę wszystko przygotować.

Kolacja była rzeczywiście wspaniała. Najpierw wjechały na stół szparagi z masłem i drobniutko posiekanym jajkiem na twardo. Potem były *filet de perche*, małe rybki z Jeziora Lemańskiego, lekko podsmażone i spryskane cytryną. Do tego młode kartofle z koperkiem i sałata z doskonałym sosem winegret. Na deser Nicole podała napoleonki z piekarni Madame Soulier, mieszczącej się naprzeciwko ich domu. Wprawdzie rybki były troszkę niedosmażone, ale Izabella wiedziała, że nigdy tego nie powie, przede wszystkim liczą się przecież intencje!

- Ale skąd masz, kochanie, to świetne wino?

- To Fendant d'Aigle - Nicole była dumna jak paw.

- Nie wiedziałam, Nicole, że tak się znasz na winach. Nie wiedziałam też, że w Genewie sprzedają wino nieletnim dziewczynkom.

Okazało się, że Nicole poprosiła tatę Alice, by kupił jej wino, gdyż chciałyby przygotować uroczystą kolację na przyjazd mamy. Powiedziała, że ma zaoszczędzone dziesięć franków, które mu nieśmiało wręczyła. Pan Charpentier wzruszył się zaufaniem dziewczynki, pogłaskał ją po głowie, oddał pieniądze i wręczył jej jedną z najlepszych butelek z własnych zapasów, wyrażając nadzieję, że mamie będzie smakowało.

Wino było rzeczywiście świetne. Kolacja w ogóle udała się znakomicie. Nicole aż pokraśniała z radości i dumy, że tak mamie wszystko się podoba. Izabella też była wzruszona i dumna z córki. Jeszcze raz pomyślała sobie z determinacją, że niezależnie od tego, co będzie dalej z Murrayem, ona nie może zawieść zaufania córki, musi jej zapewnić przyszłość, na jaką zasługuje!

Pan Natanson bardzo się ucieszył z wizyty Izabelli, a jeszcze bardziej rozbawiła go jej opowieść o spotkaniu z Salcią Cohen i o tym, w jaki sposób załatwiła przeniesienie sklepu firmowego American Diamonds na Avenue Mont Blanc.

- Izuniu, niech cię uścisknę - Samuel Natanson był wyraźnie wzruszony. - Widzisz, mówiłem ci, że tylko handel, a do interesów trzeba mieć głowę, a nie wykształcenie. Ty masz głowę, i do tego śliczną, to też na pewno nie przeszkadza!

Potem Izabella opowiedziała mu o Murrayu, o spotkaniu z Anną Bradley, o swoich rozterkach, a nawet o tym, że wydaje jej się, że zaszła w ciążę, choć mówiąc to, cała się zarumieniła, bo wiedziała, że pan Natanson jest człowiekiem starszej daty i może nie pochwalać jej postępowania. Postanowiła jednak, że powie mu wszystko, jak ojcu.

Pan Natanson zadumał się. Zagłębił się w wielki, skórzany fotel i zaciągnął cygarem.

- Informacja, Izuniu, grunt to informacja, kto ma informację, ten jest górą.

Izabella spojrzała na niego trochę zdziwiona.

- Widzę, że kochasz tego Murraya i on cię prawdopodobnie też i wcale mu się nie dziwię, gdzie on drugą taką znajdzie - kontynuował pan Natanson. - Nie wiemy tylko, czy to łobuz, czy porządny człowiek...

- No tak, taki drobiazg. Mały, ale istotny - wtrąciła Izabella.

Pan Natanson się roześmiał.

- Właśnie, ale już masz sporo informacji, a zdobędziemy jeszcze więcej. Za tydzień znowu jadę w interesach do Nowego Jorku. Przycisnę Salcię i Szmulka, i innych też. Mam tam dużo znajomych. Wszystkiego się dowiem, już co jak co, ale informacje o ludziach to ja umiem zebrać. Nie na darmo całe życie pracuję w firmie ubezpieczeniowej, muszę wszystko wiedzieć o moich klientach.

- Panie Samuele, tylko bardzo pana proszę, niech już pan tam nic nie opowiada o moich wojennych wyczynach - Izabella przypomniała sobie z zażenowaniem ten pierwszy wieczór w sali konferencyjnej.

- Ojej, „niech pan nie opowiada, niech pan nie opowiada”, a czy ci to może zaszkodziło?

- No, może nie zaszkodziło, ale było mi strasznie głupio.

- Głupio, nie głupio, sama nie bądź głupia. Jesteś młoda i chcesz robić karierę w branży diamentowej. Ale jesteś Polką, to trochę nie pasuje - pan Natanson starał się być bardzo dyplomatyczny - musisz mieć jakieś zasługi. No i masz, i to poparte zeznaniami naocznego świadka, któremu uratowałaś życie. Ja wiem, że Polacy to wielki naród, dzielni żołnierze, wybitni poeci i

malarze, ja to wszystko wiem. Ale tu jest branża diamentowa, tu jest handel, tu trzeba mieć inne kwalifikacje, inne znajomości, inną mądrość... - pan Natanson trochę się zmieszał. - Przepraszam, Izuniu, ale mam nadzieję, że mnie rozumiesz, to dla twojego dobra.

- Pewnie, że rozumiem, taka głupia to nie jestem - Izabella uśmiechnęła się pojednawczo do staruszka, w żadnym razie nie chciała mu robić przykrości. - Dobrze już dobrze, obiecuję, że do końca życia będę bohaterką dziewczyną, która z narażeniem własnego życia ratowała Żydów w okupowanej Warszawie. Umowa stoi. Obiecuję!

- Doskonale - pan Natanson znowu się rozpromienił. - Zawsze wiedziałem, Izuniu, że jesteś mądrą dziewczyną i na pewno daleko zajdziesz. Jesteś dzielna i naprawdę ci się to należy - powiedział z przekonaniem pan Natanson.

Ostatecznie stanęło na tym, że zaraz po powrocie Samuela Natansona z Nowego Jorku znowu się spotkają i naradzą, co dalej robić.

* * *

Nathan Rosenstein był w siódmym niebie, kiedy Izabella powiedziała mu, że przenoszą przedstawicielstwo American Diamonds na Avenue Mont Blanc. Spełniła się ambicja jego życia. Uścisnął serdecznie Izabellę ku zdumieniu sekretarki, pani Chevelaz, rumianej i schludnej Szwajcarki, która pracowała z nim od trzydziestu lat, ale nigdy nie była świadkiem takiego wybuchu wylewności. Izabella otworzyła elegancką, kupioną w Nowym Jorku, skórzaną teczkę i wręczyła szefowi wszystkie potrzebne dokumenty i pełnomocnictwa podpisane przez Stuarta Cohena i Benjamina Silbera.

- Pani Izabello, zaraz jutro bierzemy się do dzieła. Już od dawna mam upatrzone lokal w budynku firmy zegarmistrzowskiej Rochard. Na dole jest księgarnia i czytelnia kalwińska. Ten interes zupełnie nie pasuje do Avenue Mont Blanc, tam powinna być nasza piękna biżuteria!

- Ale, proszę pana, kalwini to przecież główna religia w Genewie, Rochard w żadnym razie nie będzie im się chciał narazić. Na pewno mieli już niejedną ofertę.

- A widziała pani ten papier - pan Rosenstein pokazał Izabelli jeden z otrzymanych od niej dokumentów - stoi tu jak wół, że możemy na ten cel wydać „do trzech milionów dolarów”. Za te pieniądze możemy kupić katedrę kalwińską na Starym Mieście!

- No, nie wiem - Izabella nie była przekonana.

Pani Chevelaz nie zabierała głosu, ale po minie widać było, że też nie wierzy w możliwość wykupienia kalwinów z lokalu przy Avenue Mont Blanc. W zamożnej i dostatniej Genewie mało było rzeczy świętych, ale kościół kalwiński to była opoka, na której miasto stało od stuleci.

- Pani Izabello, spróbować zawsze można, to najlepsza lokalizacja, może wyremontujemy kalwinom jakiś kościół? Może się dogadamy. - Dominique - zwrócił się do pani Chevelaz - umów mnie jutro z prezesem Rocharda.

Pęknięte biodro ciągle dokuczało panu Rosensteinowi. Kiedy przyszedł dzień spotkania z dyrekcją Rocharda, czuł się fatalnie i wysłał w zastępstwie Izabellę, nauczył się już doceniać jej talenty negocjacyjne. „A poza tym pięknej i eleganckiej kobiecie może będzie łatwiej dogadać się z tymi kalwinami niż staremu, kulawemu Żydowi” - wyjaśnił jej z pewną melancholią.

Murray dotrzymał słowa i w tydzień po wyjeździe Izabelli z Nowego Jorku przyjechał do Genewy. Niestety tylko na weekend. W poniedziałek musiał polecieć w interesach do Iranu. Była piękna jesienna pogoda. Murray wynajął samochód i pojechali, we trójkę, na wycieczkę wzdłuż Jeziora Lemańskiego. Po prawej stronie drogi lśniła tafla jeziora, a po lewej, na łagodnych zboczach gór, rozciągały się winnice kantonu Vaud. Czyściutkie i pięknie zadbane, kolorowe od kwiatów miasteczka i wioski były trochę jak z bajki. Zatrzymali się na chwilę na rynku miasteczka Vevey, gdzie zjedli lunch w tawernie, której stałym bywalcem był Jean Jacques Rousseau. Jadał tu w czasie swej banicji z Genewy, głosiła o tym plakietka przybita do stolika. Potem chwilę karmili wychodzące z jeziora łabędzie i kaczki i ruszyli dalej. Wkrótce, po prawej stronie, wyrósł z jeziora Château de Chillon, średniowieczny, warowny zamek zbudowany na wystającej z wody skale, unieśmiertelniony poematem lorda Byrona o więźniu, który w jego lochach spędził dwadzieścia pięć lat. Zwiedzili szacowną budowlę. Największe wrażenie zrobiły na nich ponure lochy, gdzie więźniowie żyli całe lata przykuci łańcuchami do skalnych ścian, często zanurzeni po kolana w wodzie.

- Takich okropieństw w Afryce nie ma! - powiedziała z przekonaniem Nicole.

Murray i Izabella spojrzeli na nią trochę zdziwieni tą nagłą erupcją afrykańskiego patriotyzmu.

- Masz rację - powiedział z uśmiechem Murray - ale tam, o ile wiem, zamków też nie mają.

- Pewnie, że nie mają, a w ogóle, co oni tam mają? Parę glinianych chat na krzyż i to wszystko - Izabella była znacznie mniej wyrozumiała nastawiona do Afryki i lekko zirytowana afrykańskim patriotyzmem córki.

- To nieprawda - zaperzyła się Nicole - pani w szkole pokazywała nam przezrocza z ruinami zamków w Rodezji i w innych krajach afrykańskich!

- Dobrze, już dobrze - Murray przyjął na siebie rolę rozjemcy. - Oczywiście, że w Afryce też są wspaniałe zabytki, tylko trudniej dostępne niż Château de Chillon. Jednak chodźmy teraz do samochodu, bo chcemy jeszcze przed wieczorem zwiedzić Montreux.

Izabella nie była o tym przekonana, ale nie chciała robić córce przykrości i postanowiła już nie kontynuować tematu.

Początkowo zamierzali obejrzeć Montreux i wrócić na noc do Genewy. Czekало ich niewiele ponad godzinę jazdy samochodem, ale całej trójce tak się spodobało miasteczko, że matka i córka z entuzjazmem przyjęły propozycję Murraya, by tu przenocować. Podjechali pod reprezentacyjny Hotel du Lac dowiedzieć się, czy są miejsca. Mieli szczęście, właśnie ktoś odwołał rezerwację apartamentu. Hotel był nieco staroświecki, ale bardzo wygodny i elegancki. Ich apartament składał się z sypialni, salonu i niewielkiej, świetnie wyposażonej biblioteki; umeblowany w stylu Ludwika XIV. Z salonu wychodziło się na balkon ze wspaniałym widokiem na jezioro i dalej, na ośnieżone szczyty Alp.

Murray wyjął z doskonale wyposażonego barku butelkę whiskey i przygotował sobie whiskey and soda, Nicole dostała oranżadę, a Izabella przez dłuższą chwilę nie mogła się na nic zdecydować, w końcu stanęło na szklaneczce Dubonnet. Wyszli na balkon i rozsiedli się w wygodnych wiklinowych fotelach. Wszyscy troje czuli się już jak zgrana, kochająca się rodzina. Widać było, że jest im z tym dobrze.

- Kiedy pójdziemy na kolację? - Nicole zaczynała się już wiercić w fotelu.

- Zaraz pójdziemy, daj nam z mamą dopić te drinki.

- Ale chodźmy raczej gdzieś do miasta, może do którejś z tych kafejek z tarasami nad jeziorem - powiedziała Izabella - bo do tutejszej restauracji hotelowej to jesteśmy za bardzo sportowo ubrani. Będą tam na pewno głównie starsi państwo w strojach wieczorowych.

- Doskonale - Murray nie lubił restauracji hotelowych - może pójdziemy na jakąś rybę?

- Może na *filet de perche*? - Nicole z entuzjazmem zaproponowała swoje ulubione danie. Izabella uśmiechnęła się na wspomnienie kolacji powitalnej, którą jej przygotowała córka.

- A co to takiego? - chciał wiedzieć Murray.

- To takie małe rybki z Jeziora Lemańskiego, pyszne! - Nicole uśmiechnęła się przymilnie.

- Proszę bardzo, niech będą *filet de perche*, chyba że mama ma jakieś inne życzenia.

- Nie, dlaczego... ja też bardzo lubię *filet de perche*, ale chodźmy najpierw trochę na spacer, nabierzemy większego apetytu.

Tak też zrobili. Po spacerze i kolacji wrócili do hotelu. Murray oddał paniom sypialnię, a sam zamierzał się przespać na kanapie w salonie. Izabella położyła dziewczynkę do łóżka i wróciła do Murraya, który w tym czasie przygotował dwa koktajle Manhattan. Pamiętał z Nowego Jorku, że jej smakowały.

Wzięli drinki i raz jeszcze wyszli na balkon. Kryształowo czyste powietrze alpejskie aż zatykało dech. Na niebie, nad jeziorem, iskrzyły się gwiazdy. Izabella czuła się trochę jak w bajce.

Murray usiadł w fotelu. Izabella chwilę stała przy balustradzie, a potem usiadła mu na kolanach i mocno się przytuliła. Murray delikatnie wyjął jej kieliszek z ręki i objął ją ramieniem. Czuła się z nim tak bezpiecznie, tak dobrze - po prostu jak w niebie. Murray odchylił jej lekko głowę i pocałował w usta. Przywarła do niego całym ciałem. Trwali tak nieruchomo przez kilka chwil. Piersi Izabelli wrywały się do Murraya, który delikatnie rozpiął jej sukienkę, a potem stanik. Izabella czuła na sobie jego silne ręce. Poddawała się ich pieszczotom. Chciała być cała jego. Murray uniósł ją w ramionach i złożył na kanapie w pokoju. Izabella wyslizgnęła się z sukienki. Po chwili leżała na kanapie całkowicie naga. Jej śliczne, białe ciało pięknie kontrastowało ze skórzanym obiciem antycznego mebla. Murray patrzył na piękną, nagą kobietę oniemiały z zachwyty.

- Całą noc będziesz się tak patrzył? - zapytała kokieteryjnie Izabella.

- Izuniu, kochana, muszę się tym widokiem nacieszyć! - Murray rozpiął koszulę i po chwili miał Izabellę znowu w ramionach.

Teraz już jej nie wypuścił. Oddała mu się cała z tak długo wstrzymywaną namiętnością. Murray czuł jej kochające piersi, jej biodra, jej uda. Wszedł w nią z całą mocą miłości. Obojgu pociemniało przed oczami, byli w raj.

* * *

Rano jedli w pokoju śniadanie, patrząc, jak Nicole bawi się na balkonie.

- Murray, wydaje mi się, że jestem w ciąży... - w pewnym momencie wyszeptała Izabella.

- Naprawdę, to cudownie! - Murray, zupełnie jak Nicole, chciał podskoczyć z emocji, ale się opanował. - Ja też mam dla ciebie niespodziankę, kupiłem dla nas dom!

- To wspaniale... ale najpierw powinniśmy wziąć ślub.

- Kochanie, ja mogę choćby jutro. Jak ci mówiłem w Nowym Jorku, teraz to już tylko od ciebie zależy. Kiedy chcesz i gdzie chcesz...

- Sama nie wiem. Muszę się trochę przygotować... jest początek października, może za trzy miesiące, na święta Bożego Narodzenia?

- Doskonale, kochanie, bardzo mi to odpowiada, będę miał trochę czasu, żeby urządzić nasz dom.

- Murray, nie chcę wielkiej fety. Dla nas obojga to już drugie małżeństwo, nie ma co robić wokół tego wielkiego szumu.

- Absolutnie, Iza, to samo sobie myślałem. Tylko rodzina i kilkoro najbliższych przyjaciół.

- I chyba chciałabym, żeby to było tu, w Genewie... żebym już do Nowego Jorku przyjechała jako „pani Bradley”.

- Doskonale. A w podróż poślubną pojedziemy do Montreux!

Oboje roześmieli się wesoło.

- I oczywiście weźmiemy ze sobą Nicole!

- Nie, kochanie, Nicole zostanie u swojej koleżanki Alice. W podróży poślubnej nie chcę się tobą z nikim dzielić, nawet z Nicole!

- Dobrze, kochana, jak każesz.

Prezes szacownej firmy Rochard, Manfred Hubacher, był niemieckim Szwajcarem z Berna. Trochę się zdziwił na widok przedstawiciela koncernu American Diamonds, Inc. Tym bardziej że w przygotowanym przez sekretarkę rozkładzie dnia widniało nazwisko - Nathan Rosenstein. Na pewno nie spodziewał się atrakcyjnej blondynki! Nie znaczy to bynajmniej by był rozczarowany, raczej wręcz przeciwnie. Piękne kobiety, o czarującym uśmiechu, rzadko były gośćmi gabinetu prezesa na trzecim piętrze budynku przy Avenue Mont Blanc. Izabella wyjaśniła, że przyszła w zastępstwie szefa, pana Nathana Rosensteina, który ma ostatnio poważne problemy z pękniętym biodrem. Manfred Hubacher w ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, że bardzo mu przyjemnie.

- Proszę mu wyrazić moje współczucie, naprawdę bardzo mi przykro. A czym mogę pani służyć, madame DuChailot?

Izabella krótko wyjaśniła, o co chodzi, potem przedstawiła ofertę American Diamonds. Manfred Hubacher był znowu mile zaskoczony, tym razem rzeczowością i kompetencją młodej kobiety. Pomyślał z zazdrością o panu Rosensteinie - mieć taką asystentkę, to prawdziwy skarb.

- Z dużą przyjemnością przyjęlibyśmy ofertę American Diamonds. Powiem pani szczerze, że sam bym wolał, żebyśmy mieli na parterze elegancki salon z biżuterią, a nie tę zawsze pustą czytelną. Pomijam już nawet korzyści finansowe. Rzecz jednak w tym, że mamy umowę o wieczystą dzierżawę z genewskim Kościołem reformowanym. Jednostronnie wypowiedzieć jej nie możemy, tym bardziej że gwarantem jest miasto Genewa. Ja sam jestem Berneńczykiem, a co więcej katolikiem, i osobiście uważam, że takie ostentacyjne promowanie swego wyznania na głównej ulicy miasta nie jest w najlepszym stylu, ale to już nie moja sprawa...

- Ja też jestem katoliczką - powiedziała Izabella.

- Naprawdę? - pan Hubacher był znowu mile zaskoczony, nie spodziewał się, by reprezentantka American Diamonds była tego wyznania. - Jednym słowem, gdyby to ode mnie zależało, to przyjąłbym pani ofertę jeszcze dzisiaj, ale w istniejącej obecnie sytuacji niewiele mogę pani pomóc. Może spróbuje się pani skontaktować z Kościołem reformowanym? Może obietnica jakiejś istotnej rekompensaty skłoniłaby ich do zrzeczenia się dzierżawy? Jeśli by rozpoczęła pani z nimi rozmowy i gdyby włączyła się w to Rada Miejska, to bardzo proszę się ze mną skontaktować. Z największą przyjemnością spróbuję pani pomóc - Rochard miał pewne wpływy w magistracie Genewy.

- Bardzo panu dziękuję i bardzo się cieszę, że mam w panu sojusznika - Izabella uśmiechnęła się do pana Hubachera.

- Zobaczymy, co się da zrobić.

* * *

Samuel Natanson, po powrocie z Nowego Jorku, zaprosił Izabellę na kolację do swojej ulubionej restauracji Le Quatres Pigeons, mieszczącej się wygodnie na rogu ulicy, przy której mieszkał.

- Izuniu, mam dobre wiadomości i złe. Od których mam zacząć?

- Bo ja wiem, może od złych?

- Ten twój Murray Bradley prowadzi podejrzane interesy. Nie chodzi o to, że handluje bronią. Wszystkim można handlować, ale chodzi o to z kim. Za długo nie warto się nad tym rozwodzić, wystarczy, że ci powiem, że był jednym z dostawców broni dla rebeliantów w Kongu Belgijskim. Dlatego przebywał wtedy w Afryce i dlatego spotkaliśmy go na statku. Handel z takimi ludźmi może być bardzo dochodowy, ale też bardzo ryzykowny. Pamiętasz tę historię, co mi wtedy opowiedziałaś, o lekarstwie dla córki i zniknięciu Bradleya na trzy dni? Otóż według moich informacji tu nie chodziło o hazard, jak twierdziła jego żona, ani o zwykły rabunek,

jak on ci to przedstawił, a o nieporozumienia związane z pieniędzmi, które był podobno winien któremuś ze swoich kontrahentów - pan Natanson zamilkł i nalał wina.

Izabella napiła się wina, patrząc na wróbelki baraszkujące na parapecie okna.

Może karabiny, którymi rebelianci sterroryzowali ją i Nicole, a wcześniej zabili panią Verhuisen, pochodziły od Murraya? Może zbirów, którzy zamordowali Richarda, uzbroił Murray?

Nie były to wesołe myśli.

- No, dobrze, panie Samuelu, a jakie ma pan dobre wiadomości?

- Dobrych, Izuniu, jest chyba więcej.

- Naprawdę? - Izabella spojrzała na pana Natansona z rodzącą się nadzieją, tak chciała, żeby wszystko było dobrze, żeby mogła kochać Murraya bez żadnych, drażących sumienie, wątpliwości.

- No więc tak - pan Natanson uśmiechnął się ciepło do Izabelli - po pierwsze, to co ci przed chwilą powiedziałem, to tylko niewielka część prawdy o Murrayu Bradleyu, i to częśćka mało komu znana, można by rzec - sekretna. Jest on również szanowanym biznesmenem. Zasiada w radach nadzorczych dwóch poważnych koncernów, jeden z nich to Global Transportation, do którego należał SS „Glory of Scotland”, którym przyплыliśmy wszyscy do Europy. W sferach finansowych Nowego Jorku ma opinię lekkiego wariata, ale „cwanego wariata”. Nawet ci, którzy go nie lubią, a sporo jest takich, szanują go za fantazję i talent do robienia pieniędzy. Po drugie - i to może jest najlepsza wiadomość - hazard i wyczyny przy stoliku karcianym wydają się sprawą przeszłości. Wygląda na to, że mówił ci prawdę, kiedy powiedział, że z tym skończył. I wreszcie, po trzecie - z tego, co udało mi się dowiedzieć, wygląda na to, że naprawdę cię kocha.

- Panie Samuelu, to jest ta najlepsza wiadomość! - Izabella chwyciła pana Natansona za ramię, ale szybko, zmieszana, puściła.

- Izuniu, wiesz, że życzę ci jak najlepiej. Posłuchaj teraz, co ci powiem - Samuel Natanson pociągnął, ze smakiem, łyżeczek koniaku, który zamówił po obiedzie do kawy. - Myślałem o tym dużo w drodze powrotnej ze Stanów. Murray Bradley na pewno nie jest ideałem - niektóre jego interesy pozostawiają bardzo wiele do życzenia - ale kto z nas jest? Z drugiej strony jest zdolnym biznesmenem i człowiekiem bardzo zamożnym, a to, moja kochana, też bardzo ważne. Na pewno cię kocha. W tej sytuacji moja rada brzmi: jeśli ty też naprawdę go kochasz, to żęńcie się! Szczególnie że - jak to sama ujęłaś - „wydaje ci się, że jesteś w ciąży”.

- Kochany panie Samuelu - Izabella rzuciła się panu Natansonowi na szyję - tak się cieszę, tak się cieszę, że pan to powiedział!

- Ależ, kochanie, uważaj, bo rozlejesz koniak - pan Natanson, wyraźnie wzruszony, odsunął kieliszek w głąb stołu - ale posłuchaj dalej. Z całego serca ci radzę, nie rezygnuj z własnej kariery. Bradleya stać będzie na utrzymanie was z Nicole na królewskiej stopie. W Nowym Jorku będziecie miały nie gorzej jak w Bikasi, a pewnie lepiej, ale ty nie rezygnuj z handlu biżuterią. Szmulek... eh, tego... chciałem powiedzieć Stuart Cohen jest pod twoim wrażeniem, Sally też, pomogą ci. Będziesz tym sposobem miała niejako polisę ubezpieczeniową. Nawet jak ten wariat Murray przegra wszystko w karty czy na giełdzie albo za trzy lata zakocha się w młodej sekretarce, nie będziesz zdana na niczyją łaskę, będziesz miała z czego żyć. Nie znajdziesz się już nigdy w takiej sytuacji jak w Salisbury.

- Sama o tym myślałam, czyta pan w moich myślach.

- Albo ty w moich, ja jestem starszy! Oboje roześmieli się wesoło.

- Uważam, Izuniu, że w sumie ten Murray to porządny człowiek. Zdolny i inteligentny, tylko trochę brak mu kierunku, za bardzo go nosi. Myślę, że mądra żona może właśnie mu to dać - stabilizację i kierunek w życiu. Ta Anna, o której mi mówiłaś, nie dawała mu żadnej stabilizacji, a raczej wręcz odwrotnie, romansując na prawo i na lewo, z kim się dało, skłaniała go tylko do rzucania się w coraz to nowe interesy, w coraz bardziej niebezpieczne odmęty.

- W takim razie, panie Samuelu, zapraszam pana na ślub - powiedziała, już poważnie, Izabella. - Czekałam z ostateczną decyzją na pana powrót z Nowego Jorku. Chciałam wiedzieć, czego się pan dowie i co mi pan poradzi. Nie mam już nikogo z najbliższych, pan jest dla mnie jak ojciec. Ale teraz, po tym co pan powiedział, nie mam już wątpliwości. Ślub będzie w Boże Narodzenie, tu - w Genewie.

- Ależ, kochanie, oczywiście, że przyjdę - pan Natanson miał łzy w oczach. - Ty też jesteś dla mnie jak córka, nie ma dla mnie ważniejszych spraw jak twoje szczęście! To świetnie, że w grudniu, bo w styczniu przechodzę ostatecznie na emeryturę i wracam do Stanów. Już sobie kupiłem mały domek na Long Island.

- Panie Samuelu, gratuluję! I bardzo się cieszę, że dalej będziemy razem. Murray też kupił dom, nie wiem dokładnie gdzie, ale gdzieś blisko Nowego Jorku. Miejsce nazywa się Tuxedo Park.

Jak ten czas leci.

Izabella popijała herbatę na tarasie domu, patrząc na jezioro iskrzące się w promieniach zachodzącego słońca. Okalały je zalesione wzgórza. Neoklasycy dom państwa Bradleyów stał na skalistym zboczu, schodząc tarasami do jeziora. W wykutej w skałach zatoczce kołysały się dwie łodzie. Trochę z boku, na niższym tarasie był basen, a obok grill, pod niewielkim, gontowym daszkiem, i kilka metalowych stolików z krzesłami. Z drugiej strony basenu stały dwa kolorowe, choć już lekko wypłowiałe, leżaki. A wszędzie, na wszystkich poziomach, kwitły pięknie utrzymane krzewy i kwiaty. Izabella mieszkała tu już siedem lat, z Murrayem, Nicole i sześciolatkiem Robertem. Czowała się tu w pełni zadowolona. Była u siebie. Mój Boże, kto by to pomyślał! Jeszcze tak niedawno tkwiła, całkowicie zagubiona, w środku czarnej Afryki. Jak to naprawdę „fortuna kołem się toczy”!

Izabella spojrzała na rudą kotkę Millie, preżącą się leniwie na balustradzie tarasu. Przypomniała jej się lwica Lola i jej dzieci. Piękne kociska uratowały jej życie.

Co się z nimi teraz dzieje? Czy jeszcze żyją? Mijmy nadzieję, że im nie zaszkodziła kolacja na wzgórzach Karidu, śmierdziało od tych drani zjełczalym tłuszczem, ale lwom to może nie przeszkadza, o linię też raczej nie dbają.

Po drugiej stronie jeziora widać było białe domy country klubu, w którym trwała właśnie zabawa z okazji zakończenia szkoły przez Nicole i jeszcze kilkoro dzieci z sąsiedztwa. Po wodzie niosły się taneczne rytmy. *Dobrze, że słabo słychać.* Nie była wielką miłośniczką współczesnej muzyki młodzieżowej. Nicole kończyła tego roku osiemnaście lat i na jesieni szła do college'u.

Jak dalej potoczy się jej życie? Ma niewątpliwie zdolności artystyczne, może będzie projektantką mody? Może architektem? A może projektantką biżuterii? W każdym razie zaczyna lepiej niż ja w jej wieku. - Izabella myślała o tym nie bez satysfakcji. - *Nie wychodzi z tobołkiem sama z płonącego miasta. O nic właściwie nie musi się martwić. Tańczy bez troski w jednym z najelegantszych country klubów. Co najwyżej niepokoi ją kwestia, czy się wystarczająco podoba temu chłopakowi z Greenwich, jakżeż on ma na imię, Bobby? Ronnie? Przecież mi wczoraj mówiła, już naprawdę zaczynam tracić pamięć. No, i daj Boże, żeby większych trosk w życiu nie miała, choć jej się to pewnie nie uda. Dobra jest dziewczyna, ma dobre serce, żeby jej tylko uroda w głowie nie przewróciła.*

Nicole wyrosła na śliczną dziewczynę, jak się zresztą od początku zapowiadało. Złocisto-rude włosy i niebieskie oczy miała identyczne jak matka, ale poza tym z twarzy była raczej podobna do ojca. Nie miała tak charakterystycznych dla Izabelli, wyraźnie zarysowanych kości policzkowych. Twarz miała bardziej wydłużoną, malowała się na niej wrażliwość i delikatność. Miała długie szczupłe nogi, wąskie biodra i smukłą kibić. Izabelli wydawała się ciut za chuda, ale taka była moda, więc już nic nie mówiła. Zresztą musiała przyznać, że w tych obcisłych, rozszerzających się do dołu, czarnych spodniach i kolorowej, trykotowej bluzeczce wyglądała bardzo dobrze. Izabella uważała, że Nicole mogłaby się ubrać bardziej elegancko na taką okazję, ale dziewczyna nawet nie chciała o tym słyszeć. Były lata sześćdziesiąte. Moda na hippisów i dzieci-kwiaty.

I tak dobrze, że nie poszła w podartych dżinsach i tej szmacianej koszuli, którą tak kocha - pocieszała się Izabella.

- Mamo, mamó, w moim pokoju jest żmija!

Na taras wpadł sześciolatek Robbie, a za nim, równie podekscytowana, niania Latonya - duża Murzynka, do złudzenia przypominająca Izabelli kucharkę z Bikasi.

- Co ty mówisz? Naprawdę żmija? - Izabella spojrzała pytająco na nianię.

- Tak, proszę pani, żmija, i to taka długa - Latonya wyciągnęła ramię.

Izabella wstała, też już nie na żarty przestraszona. Na szczęście usłyszała zajeżdżający pod dom samochód Murraya. Usiadła z powrotem w fotelu.

- Robbie, idź powiedz tacie. Ja się boję żmii, ale tata to załatwi.

Robert pobiegł do hallu, a za nim rozdygotana niania. Izabella patrzyła na pięknie rozkwitające róże, myśląc ciepło o Murrayu. Taki jest kochany. Zawsze zjawi się w porę, kiedy go potrzebuje, czy to wtedy na statku SS „Glory of Scotland”, czy teraz, tu w domu, w Rose Hollow. Co ona by zrobiła z tą żmiją? - a Murray na pewno coś mądrego wymyśli.

Po chwili niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a żmija wylądowała w jeziorze. A właściwie wcale nie żmija tylko zupełnie niegroźny wąż.

Murray nalał sobie szklaneczkę whiskey z lodem i dołączył do żony na tarasie. Włosy zaczęły mu już lekko siwieć na skroniach i nieco przytył, ale ciągle jeszcze był atrakcyjnym mężczyzną. Izabella spojrzała na niego z miłością, była dumna ze swego męża.

- Kochanie, za trzy tygodnie lecimy z Dennisem Stracheyem, chyba ci już o nim mówiłem, prezesem American Dynamics, do Afryki, do Katangi, a właściwie do Shaby, bo tak się to teraz nazywa. - Murray napił się whiskey. - American Dynamics kupuje jedną trzecią akcji

Union Minière. Załatwiłem całą sprawę i dlatego też lecę. Może pojedziesz z nami? Lecimy prywatnym samolotem. Możemy też wziąć Nicole i Roberta. Miejsca jest pod dostatkiem. Nicole zawsze tak tęskni za Bikasi, za lwami, za sawanną...

- Murray, nie jedź tam. - Izabella zbladła na wspomnienie Katangi, Richarda i tego, co się z nim, biednym, stało. - To przeklęty kraj, zabijają was!

- Ależ, kochanie, co ty opowiadasz - zachnął się Murray. - Tam już dawno panuje pokój. To teraz niepodległy, powoli rozkwitający kraj, nie jest tam wcale bardziej niebezpiecznie niż w Nowym Jorku.

Izabella nie była przekonana, ale co miała uczynić? Nie może przecież zabronić mężowi robienia interesów! Piękny letni wieczór miała już całkowicie zepsuty.

- Ja w każdym razie nie mogę lecieć, nawet jakbym chciała. Jadę w tym czasie do Kolumbii na targi szmaragdów w Cartagenie.

Izabella została dyrektorem Działu Zakupów Zagranicznych American Diamonds, odpowiedzialną za rejon Ameryki Południowej. Występując z tą propozycją, Murray doskonale wiedział, że Izabella ani nie będzie chciała, ani nie będzie mogła pojechać.

- To może dzieci pojedą. Mają teraz wakacje, zobaczą dzikie zwierzęta...

- Nie, Murray - Izabella była stanowcza. - Robbie jest za mały na takie wojaże, szczególnie bez matki. Nicole byłaby na pewno zachwycona propozycją, ale ja wolałabym, żeby nie jechała. Murray, naprawdę boję się... Nie jedź tam, Dennis poradzi sobie sam... Rozchoruj się, czy coś.

- Izuniu kochana, nie bądź niemądra - Murray przytulił żonę. - To nie jest żadne niebezpieczeństwo. Oczywiście rozumiem twoje opory. Wiem, co tam przeżyłaś. Ale teraz to już inny kraj, nic nam tam nie grozi! Jak nie chcesz, to nic dzieciom nie mówmy. Po prostu myślałem, że może zrobię ci przyjemność.

- Wiem, że chcesz jak najlepiej. Jesteś kochany, może to ja jestem histeryczką, ale naprawdę boję się. - Izabella miała łzy w oczach. - Nie chcę cię stracić jak Richarda...

Murray mocniej przytulił żonę, głaskając ją łagodnie po złocistych włosach.

- Nie bój się, kochana, nic mi się nie stanie. Może uda mi się namówić Jenny na tę podróż. Dobrze by jej to zrobiło.

- To świetny pomysł. Naprawdę, Murray, powinieneś więcej robić, żeby ją wyciągnąć z tego towarzystwa, w którym się teraz obraca. Wiesz, że ja nie mam na nią żadnego wpływu, ale ty możesz coś zrobić. Nawet musisz coś zrobić, bo inaczej dziewczyna się zmarnuje.

- Masz rację, kochanie, wiem, że powinienem coś zrobić, ale co? Mnie ona też nie słucha, skończyła osiemnaście lat i wszystko wie najlepiej. Sama wiesz, jaka jest trudna. - Murray zasepił się i dopił whiskey. Ta sprawa leżała mu ciężarem na sercu. - Jutro z nią porozmawiam. Na razie muszę pójść na górę przygotować kilka papierów na jutro, podpisujemy umowę wstępną z Union Miniere.

Murray zaniósł do barku pustą szklanekę i poszedł do gabinetu. Izabella została na tarasie sama ze swoimi myślami. Szczerze martwiła się o Jenny. To była smutna historia. Dwa lata temu zmarła, po przedawkowaniu środków nasennych, pierwsza żona Murraya - Anna. Izabella sama wtedy zaproponowała, by wówczas szesnastoletnia Jenny zamieszkała wraz z nimi, w Rose Hollow. Wiedziała, że Murray bardzo kocha córkę i wydawało się to, w sposób oczywisty, najlepszym rozwiązaniem. Izabella i Nicole serdecznie przyjęły dziewczynę do domu, starając się ją zaopiekować i możliwie pocieszyć po śmierci matki. Jednak Jenny od początku była skryta i nieufna, wydawało się, że naprawdę lubiła tylko małego Robbiego, z którym potrafiła bawić się godzinami, cierpliwie odpowiadając na pytania i powtarzając w nieskończoność te same bajki. Po matce odziedziczyła urodę, miała te same piękne kasztanowe włosy, zielone oczy i oliwkową cerę. Była trochę pełniejsza od Nicole, miała wyraźnie zarysowane, okrągłe biodra i większe piersi, ale wszystko w idealnych proporcjach. Nicole miała delikatniejszą urodę, ale Jenny była bardziej seksowna. Chłopcy Ignęli do niej jak muchy do lepu i doskonale sobie z tego zdawała sprawę. Już w dwa miesiące po przyjeździe do Rose Hollow odbiła chłopca Nicole, ot, tak - dla żartu, śmiejąc się do rozpuku z łez przybranej siostry. Wyglądało na to, że po matce również odziedziczyła, delikatnie mówiąc, niefrasobliwość w stosunkach męsko-damskich. W kilka tygodni po skończeniu osiemnastu lat miała pierwszą skrobankę. Do tego czasu już właściwie całkowicie wyobcowała się z domu, który traktowała jak sypialnię. Nicole, po uwiedzeniu jej chłopaka przez Jenny, nie chciała z nią mieć nic wspólnego. Izabella starała się jak mogła załagodzić sytuację i jakoś dziewczynę oswoić, ale bez większego skutku. Jenny liczyła się trochę z Murrayem, ale doskonale wiedziała, że w każdej chwili może, rozbijającym uśmiechem, owinać go sobie wokół palca. Ojciec czuł się trochę winny jej dotychczasowego smutnego dzieciństwa z matką egotystką i alkoholiczką, i chciał jej to teraz wynagrodzić.

Ale Murray też czuł, że córka schodzi na złą drogę, na tyle zaślepiiony nie był. Sytuację dodatkowo pogorszył fakt, że w osiemnaste urodziny odziedziczyła po matce sporą fortunę. Wprawdzie do dwudziestego pierwszego roku życia mogła pobierać tylko sto tysięcy dolarów rocznie, ale i to było, szczególnie dla tej dziewczyny, za dużo. Tym bardziej że matka wyraźnie

zawarowała w papierach spadkowych, że pieniędzmi może dysponować tylko osobiście Jenny, a nie jej „prawny opiekun”. Był to oczywiście jeszcze jeden, tym razem pośmiertny, przytyk pod adresem Murraya, że niby nie jest godny zaufania, że nie można mu powierzyć pieniędzy dziecka, bo je zdefrauduje. Jenny kupiła sobie od razu czerwony kabriolet, Chevroleta, którym rozbijała się po okolicy, budząc zazdrość i podziw rówieśników. Izabellę najbardziej niepokoiło towarzystwo, w którym Jenny się obracała - znarkotyzowani muzycy rockowi, niedozrli studenci, hippisi, ludzie-kwiaty plus jacyś drobni, pozbawieni skrupułów kanciarze. Jenny często wracała do domu wyraźnie pod wpływem alkoholu czy narkotyków. Murraya bardzo to gryzło, choć na zewnątrz próbował całą sprawę bagatelizować jako przemijającą, młodzieńczą lekko-myślność.

Był piękny wiosenny wieczór. Niebo iskrzyło się gwiazdami. W country clubie zabawa szła na całego. Izabella odniosła do kuchni filiżankę po herbacie i poszła do barku nalać sobie koniaku. Nie chciało jej się spać. Wróciła więc na taras i usadowiła się wygodnie na wiklinowym fotelu, nogi położyła na stołku i wypiła łyżeczek koniaku.

Izabella martwiła się nie tylko o Jenny, ale także o Murraya. Może zresztą te kwestie były ze sobą sprzężone. Od jakiegoś czasu mąż jakby oddalił się od Izabelli, rzadziej ze sobą rozmawiali. Zrobił się jakby bardziej skryty. Murray nigdy zbyt chętnie nie rozmawiał z żoną o interesach, nie pozwalało mu na to jego anglosaskie wychowanie - biznes to sprawy mężczyzn, dom i rodzina - to sprawy kobiet. Nie był zachwycony, kiedy Izabella powiedziała mu, jeszcze w Genewie, że zamierza kontynuować swą karierę w American Diamonds, ale z tym się już dawno pogodził. Sprawdziły się też słowa starego pana Natansona (umarł trzy lata temu - *Panie Boże świeć nad jego duszą!* - pomyślała ze wzruszeniem Izabella), że mądra żona będzie go mogła umiejętnie skierować ku czystszy, pewniejszym interesom. Murray, pod wpływem Izabelli, wyłączył się z handlu bronią, koncentrując się na biznesie transportowym i inwestycjach giełdowych. Karty i hazard były już zamierzchną przeszłością. Teraz jednak Izabellę coraz częściej dobiegały słuchy o niesłychanie ryzykownych transakcjach giełdowych Murraya. Sam jej nic o tym nie mówił, ale Izabella, z racji swego stanowiska w American Diamonds, usytuowana była w samym środku życia finansowego Manhattanu. Takie rzeczy nie mogły się przed nią ukryć. Truchlała na samą myśl, co będzie, jeśli któraś z tych ryzykownych spekulacji nie wypali. Na szczęście dom jest spleacony i zapisany na nią, był to prezent ślubny Murraya dla niej! Częściowo chciał też wtedy tym gestem uspokoić jej obawy o jego hazardową przeszłość. Zgodnie z radami pana Natansona mieli też wyraźnie rozdzielone majątki, każdy płacił swoje

podatki i nikt nie odpowiadał za długi małżonka. Choć oboje, w swoich testamentach, na wypadek jakiegoś nieszczęścia, oddawali sobie wzajemnie swoje majątki. Murray od początku uważał, że wszystko to jest niepotrzebne, ale z chęcią się na ten układ zgodził, żeby uspokoić żonę i pana Natansona, którego zresztą szczerze polubił.

Izabella czuła teraz w Murrayu jakąś obcość. Zawsze było jej trochę przykro, że mąż nie dzielił się z nią swoimi troskami i sukcesami w pracy zawodowej, tym bardziej że nie była przecież jakąś głupią gąską domową, nie mającą pojęcia o pieniądzach. Sama też pracowała w biznesie, i to z dużym powodzeniem. Doskonale o tym wiedział i mógłby wobec niej być trochę bardziej otwarty. Nigdy go nie naciskała. Nie chciała być natrętna. Jego opory składała na karb wychowania i amerykańskiej mentalności. Była dyskretna, ale teraz coraz bardziej jej to doskwierało. Czy Murray jej nie ufa? Czuła, że mąż ma przed nią jakieś tajemnice, i bolało ją to, że nie wiedziała jakie. Czy tylko finansowo-giełdowe? Czy może jakieś inne?

Bywa wprawdzie czuły i kochany, ale potem zapada się w siebie, myślami uciekając gdzieś indziej. Rzadziej się też kochali niż kiedyś. Wprawdzie Izabella tłumaczyła sobie, że po siedmiu latach małżeństwa to naturalne, miesiąc miodowy nigdy nie trwa wiecznie! Ale jednak, czegoś jej brakowało... Mąż, od którego kiedyś, dzień i noc nie mogła się odgonić, teraz całował ją w policzek na dobranoc i zasypiał. *No, nie zawsze, nie przesadzaj.* - Izabella uśmiechnęła się na wspomnienie minionej nocy. - *Nie jest tak źle. Po prostu dużo pracuje. Jest zmęczony. Poza tym gryzie go sprawa Jenny.* Może tak, ale Izabella tęskniła do tych chwil, kiedy Murray miał czas posiedzieć z nią wieczorem na tarasie, pośmiać się razem i pożartować, a potem wziąć z entuzjazmem w ramiona i zanieść do łóżka. Bardzo nie chciała, żeby te czasy bezpowrotnie minęły.

* * *

Nicole była wściekła, kiedy się dowiedziała, że Jenny leci z Murrayem do Afryki. Na dodatek biorą też ze sobą Susan, przyjaciółkę Jenny, podczas gdy ona - Nicole, zostaje w Tuxedo Park. Izabella czuła się trochę winna, bo wiedziała, że stało się tak za jej sprawą. Wiedziała też, jak córka tęskni za Bikasi, za szeroką sawanną, za dzikimi zwierzakami z dzieciństwa. Izabella zupełnie tego nie rozumiała, jej nic nie ciągnęło z powrotem do czarnego kontynentu, a nawet wręcz przeciwnie, chętnie by go całkowicie wytarła z pamięci.

- Traktujesz mnie jak małe dziecko. Ja już mam osiemnaście lat. Chcę pojechać do Afryki i mam do tego prawo, tam się urodziłam, tam jest pochowany mój ojciec! - Nicole patrzyła matce prosto w oczy, widać było, że jest do głębi poruszona.

- Ależ, kochanie, oczywiście, że pojedziesz, jak będziesz chciała. Tylko trochę jeszcze poczekaj, zrób to dla mnie. Tam jest ciągle bardzo niebezpiecznie...

- A dla Murraya i Jenny nie jest niebezpiecznie? Tylko na mnie tam czatują! - Nicole była otwarcie sarkastyczna.

Izabella patrzyła na córkę. Oczy dosłownie iskrzyły jej się z gniewu. Taka niby wiotka i delikatna, ale ma charakterek. Zupełnie jakby się przeżyła do skoku. Izabelli przypomniła się nagle lwica Lola, kiedy przyczajona, ze zwężonymi w szparki oczami, mierzyła ją wzrokiem na wzgórzach Karidu, sponad zwłok zagryzionych rebeliantów. Tak, Nicole miała w sobie w tej chwili coś dzikiego, afrykańskiego...

- O nich też się boję, bardzo się boję, ale Murray twierdzi, że musi tam jechać, a dla Jenny taka odmiana może być bardzo dobra. Oderwie się, przynajmniej od tego towarzystwa. Wiesz dobrze, co mam na myśli.

- Wiem, doskonale wiem, co masz na myśli! Wiem też, że jakbym to ja zadawała się z narkomanami i puszczała na lewo i prawo z każdym napotkanym gitarzystą, tobym teraz leciała z Murrayem do Afryki. - Nicole była wściekła i wcale tego nie zamierzała ukrywać. - Na przyszłość będę wiedziała, jak się zachowywać!

- Nicole, uspokój się, nie pleć bzdur. Wiesz doskonale, co się dzieje z Jenny. Jeśli jej jakoś nie pomożemy, jeśli jej nie wyciągniemy z tego bagna, to skończy w rynsztoku, nafaszerowana igłami.

- A niech ją diabli wezmą, niech sobie kończy, gdzie chce. Ja po niej nie będę płakała! - Nicole obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Izabella nie poznawała córki, w jej głosie brzmiała mściwość i nienawiść. Od tej strony jej nie znała. Nie była zachwycona tym odkryciem, ale postanowiła, że w żadnym razie nie pozwoli na to, by nieszczęsna Jenny stała teraz między nią a Nicole. Wystarczy, że sączy jad w jej stosunki z mężem.

Izabella poszła do pokoju córki.

- Nicole, kochanie, wiesz dobrze, że cię kocham, że jesteś najbliższą mi osobą na świecie. Razem przeżyliśmy ten afrykański koszmar. Chyba rozumiesz, dlaczego mam uraz na tym punkcie. Dobrze, kochana, wiem, że to jest irracjonalne, ale boję się, bardzo się boję. Straciłam tam męża, którego kochałam nad życie, gdyby teraz tobie coś się tam stało, to chyba bym tego nie przeżyła. Rozumiem, że chcesz odwiedzić kraj swego dzieciństwa. Ja też nieraz myślę o podróży do Warszawy. Obiecuję ci, że za cztery lata, jak skończysz college, zafunduję ci, ra-

zem z przyjaciółką, czy z chłopakiem, z kim będziesz chciała, podróż do Afryki, na całe wakacje - obiecuję! I nie złość się na Murraya i Jenny. Zaproponował, że weźmie nas obie, a nawet Robbiego. To ja odmówiłam i wtedy pomyślał o Jenny. Nicole, bardzo cię proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Może jestem irracjonalna, może nie jestem ideałem, ale jestem twoją matką i na pewno nikt na świecie nie życzy ci lepiej niż ja!

Nicole przeszła złość. Zrobiło jej się żal matki.

- Dobrze, mam, dobrze, trzymam cię za słowo. Za cztery lata jadę do Afryki!

- Tak, kochanie, obiecuję.

Izabella objęła córkę, obie miały łzy w oczach, obie czuły, że łączy je nierozdzielna więź, której nikomu nie wolno nadwerężyć.

Izabella zaproponowała Nicole, żeby z nią pojechała na targi szmaragdów do Kolumbii. Nicole z radością się zgodziła i postanowiły, że zaraz jutro pójdą razem na zakupy. Muszą przecież być tam elegancko ubrane i godnie reprezentować American Diamonds.

* * *

Doroczną wystawę i targi szmaragdów w Cartagenie organizowało kolumbijskie stowarzyszenie producentów tych szlachetnych kamieni, którego prezesem był Miguel Balvarena, właściciel największej w Kolumbii kopalni szmaragdów, a także pięciu plantacji kawy w prowincji Antiochia. Elegancki, pięćdziesięciodwuletni szpakowaty mężczyzna, w nienagannie skrojonym jasnym garniturze, z czerwonym, kolumbijskim goździkiem w klapie, zaraz po oficjalnym otwarciu targów podszedł do reprezentantów American Diamonds, swego najpoważniejszego klienta w Stanach Zjednoczonych. Kiedy przedstawiono mu przewodniczącą delegacji, dyrektor Izabellę Bradley, nie był w stanie ukryć zdumienia.

- Bardzo mi przykro, że pana zawiodłam - powiedziała z rozbajającym uśmiechem Izabella, widząc wrażenie, jakie zrobiła na panu Balvarenie.

W oczach miała szelmowskie ogniki rozbawionej nastolatki.

- Ależ skąd, wręcz przeciwnie, jestem zachwycony, że panią poznałem. American Diamonds to nasz najważniejszy klient. - Miguel Balvarena wiedział, że z Amerykankami, szczególnie kobietami interesu, trzeba postępować ostrożnie, kładąc raczej nacisk na ich profesjonalizm niż ewentualną urodę czy inne kobiece atrybuty. - Choć muszę się szczerze przyznać, że nie spodziewałem się zobaczyć tak eleganckiej damy. - Miguel Balvarena nie mógł jednak powstrzymać swej latynoskiej natury. - Jest pani najpiękniejszą Amerykanką, jaką widziałem!

Ten wybuch entuzjazmu prezesa skonfundował nieco stojących wokół notabli, a jego młody asystent, prosto po studiach w Harvardzie, był przekonany, że pani dyrektor skrzywi się,

a przynajmniej zmrozi prezesa wzrokiem, za tak nieprofesjonalne komplementy. Sam prezes też lekko się zmieszał. Jednak Izabella wdzięcznie się uśmiechnęła.

- Bardzo mi przykro, że będę pana musiała rozczarować, ale nie jestem wcale Amerykanką, jestem Polką.

- Naprawdę? - senior Balvarena spojrział na nią z lekkim niedowierzaniem. - Większość naszych kupców i wystawców to Polacy. - Miguel Balvarena wskazał szerokim gestem kłębiącą się od ludzi salę wystawową. - Mój asystent - wskazał z dumą na młodzieńca po Harvardzie - też jest Polakiem.

Teraz Izabella nie mogła ukryć zdumienia. Raz jeszcze rzuciła okiem na salę. Co jak co, ale w towarzystwie trudno byłoby wypatrzeć kogoś o słowiańskiej urodzie. Wszyscy ciemni, z czarnymi włosami i wydłużonymi twarzami, jednym słowem - typowi Latynosi. Spojrzała badawczo na Balvarenę.

Co on tu bzdurzy, wariatkę ze mnie robi czy co?

W tym momencie młody asystent pana Balvareny zebrał się na odwagę i zapytał cicho:

- Czy pani jest katoliczką?

Szef spojrział na niego z dezaprobatą, co za pytanie? Czy ten chłopak zwariował? Pytać w takim miejscu o tego rodzaju sprawy. Chyba trzeba go będzie odprawić.

Izabella też się zdziwiła, ale uprzejmie odpowiedziała.

- Tak, jestem, od urodzenia, ale czy mogłabym wiedzieć, dlaczego pan pyta? - Spojrzała z zainteresowaniem na młodego człowieka w okularach o typowym wyglądzie intelektualisty.

- Ech, coś mu się głupio wyrwało, wie pani, jak to z tymi młodymi ludźmi - próbował załagodzić sprawę pan Balvarena.

Młody człowiek, wyraźnie zmieszany, zaczerwienił się po uszy. Izabelli zrobiło się goźal, a poza tym rzeczywiście ją zaciekawil.

- Nie, bardzo proszę, niech mi pan odpowie na pytanie, dlaczego pan o to pyta?

- Bo to jest nieporozumienie. *Polacos* to w Kolumbii Żydzi, a nie Polacy-katolicy. Większość kolumbijskich Żydów to emigranci z terenu Polski, którzy przyjechali tu po pierwszej wojnie światowej, z polskimi paszportami. Pytani o narodowość, odpowiadali *Polacos* i tak zostało. Po przyjeździe do Kolumbii zajęli się handlem, również szmaragdami i w ogóle biżuterią, i dlatego pan prezes ma rację, kiedy mówi, że większość na tej sali to *Polacos*, ale w kolumbijskim tego słowa znaczeniu. Po hiszpańsku Żyd to *Judio*, a po kolumbijsku *Polaco*.

Izabella serdecznie się roześmiała. A to ci dopiero! Szkoda, że tego nie słyszą jej rodzice albo pan Natanson, ale by się ubawił. Protekcyjnie objęła młodego człowieka, mówiąc:

- To jesteśmy rodacy - popatrzyła po sali - sporo nas tutaj. - Wszyscy jesteśmy *Polacos*, tylko różnego wyznania. Bardzo panu dziękuję za to wyjaśnienie.

Miguel Balvarena odetchnął z ulgą, sprawa się wyjaśniła. Dyrektor American Diamonds się nie obraziła, a nawet wręcz przeciwnie, wygląda na rozbawioną. W głębi ducha był też zadowolony, że pani Bradley okazała się katoliczką, z tych innych *Polacos*. Jak większość Kolumbijczyków odczuwał do *Polacos* jakąś podskórną, irracjonalną niechęć, choć nigdy by tego głośno nie powiedział, na to był za dobrze wychowany, za światowy.

Miguel Balvarena oprowadził Izabellę po wystawie. Miała zamiar dokonać dużych zamówień, choć na razie się z tym nie zdradzała. Wiedziała, że w Nowym Jorku zacznie się niedługo moda na szmaragdy. W jesiennych kolekcjach biżuterii Tiffany'ego, Gerarda, Coco Lorraine szmaragdy mają nadawać ton. Była to ściśle utrzymywana tajemnica zawodowa, ale American Diamonds miało wszędzie swoje kontakty. Izabella wiedziała, że na jesieni ceny szmaragdów pójdą szybko w górę. Teraz był więc idealny moment na zakupy z uwagi na stosunkowo niskie ceny, tym bardziej że europejscy projektanci biżuterii ciągle wykazywali słabe zainteresowanie szmaragdami.

Izabella umówiła się na drugi dzień na rozmowy handlowe w biurze Miguela Balvareny. Przyjęła też chętnie zaproszenie na jutro, wraz z córką, na kolację do jego rezydencji, na jednej z wysp archipelagu Rosario, w pobliżu Cartageny.

* * *

Hotel San Felipe położony jest na cyplu w pobliżu portu. Kiedyś była to potężna twierdza broniąca Cartageny od strony morza. Jakiś czas temu stary fort został odrestaurowany i przebudowany na luksusowy hotel. Z jednej strony hotelu była restauracja, z której tarasu rozpościerał się wspaniały widok na port i stare miasto, a z drugiej olbrzymi, fantastyczny kształtów basen, otoczony leżakami i bujną, tropikalną roślinnością. Dalej schodziło się na piaszczystą plażę upstrzoną daszkami z liści palmowych, dla tych gości, którzy chcieli trochę odpocząć od karaibskiego słońca. Wokół basenu i przy wyjściu na plażę mieściły się cztery barki, w których barmani, w kwiecistych koszulach, serwowali gościom hotelowym najróżniejsze egzotyczne koktajle. Można je było popijać, siedząc na stołkach na brzegu, albo też w wodzie. Połowa zakola baru schodziła do basenu, można więc było zamawiać drinki bezpośrednio z wody albo siedząc na stołku wystającym dziesięć centymetrów ponad wodę. W palmach, krzewach i kwiatach wokół basenu uwijało się mnóstwo ptaków we wszystkich kolorach tęczy. Najdono-

śniej skrzeczały papugi, ale co jakiś czas słychać też było świergot i melodyjny śpiew innych ptaków.

Nicole zrobiła sobie rano manikiur i pedikiur w hotelowym salonie kosmetycznym i leżała teraz na leżaku przy basenie. Barman przyniósł jej bananowe daiquiri. Nikt tu nie pytał, jak w Stanach, o legitymację lub prawo jazdy, by sprawdzić, czy ma osiemnaście lat i może pić alkohol. Czowała się dorosłą, światową kobietą. Patrzyła na swoje rubinowe paznokcie, bo taki kolor sobie wybrała, myśląc, że właściwie to był błąd - jest tu na targach szmaragdów, więc trzeba sobie było zrobić szmaragdowe! Uśmiechnęła się. *Jeszcze co, pięknie bym wyglądała z zielonymi paznokciami!* Pociągnęła przez słomkę daiquiri i leniwie przeciągnęła się na leżaku. Spojrzała na piękną kolorową papugę skrzeczącą na krzewie bugenwilli obok leżaka. *Taki piękny ptak, a wydaje taki przykry dźwięk. No, prawdę mówiąc, podobnie bywa z ludźmi, czasami ktoś jest przystojny, elegancki, robi wspaniałe wrażenie, ale jak się odezwie... to aż przykro słuchać.* Nicole rozejrzała się wokół. Na basenie nie było wiele osób. Na leżakach w cieniu, pod palmą siedziała para starszych Amerykanów, on czytał gazetę, podczas gdy ona już chyba z godzinę czytelowała pilnikiem paznokcie. *Żałuje sobie baba na manikiur* - pomyślała z poczuciem wyższości Nicole. Po drugiej stronie basenu młoda mama pluskała się z dwojgiem małych dzieci, wszyscy troje śniadzi z ciemnymi włosami, wyglądali na Kolumbijczyków, a w każdym razie na Latynosów.

Nicole miała czas do szóstej po południu, kiedy to razem z Izabellą były zaproszone na pobliską prywatną wyspę na przyjęcie do Miguela Balvareny, głównego dostawcy American Diamonds. O szóstej miała na nie czekać motorówka przy hotelowym pomoście.

Nicole znowu popatrzyła na piękne kwiaty, na kolorową papugę, na błękitne niebo, pociągnęła łyk daiquiri i pomyślała, że tak musi być w raju, wszystko pięknie, tylko troszeczkę nudno. Jeszcze raz leniwie się przeciągnęła. Obróciła się na drugi bok i znieruchomiała - stał przed nią królewicz z bajki. Smukły młodzieniec, o wielkich czarnych oczach, śniadej cerze i kruczoczarnych włosach, w idealnie skrojonym białym garniturze, uśmiechnął się ujmująco i powiedział po francusku:

- Domyślam się, że mademoiselle Bradley? Tyle o pani wczoraj słyszałem.

- Nie, proszę pana. Nazywam się Nicole DuChaillet - Nicole uśmiechnęła się zalotnie.

Doskonale wiedziała, że to o nią chodzi, ale postanowiła się z chłopakiem podroczyć.

- Naprawdę? To widocznie mamy ostatnio w Cartagenie urodzaj na piękne blondynki, bo dwie, matkę i córkę, mam dziś o szóstej odebrać, tu z pomostu. - Młodzieniec wyciągnął rękę w kierunku hotelowej przystani.

- Ach, tak? I gdzie je pan zabiera? Na jakąś rajską wyspę? - W oczach Nicole błyskały szelmowskie ogniki, była teraz bardzo podobna do matki.

Młodzieniec spojrzał badawczo na Nicole i też się uśmiechnął.

- Coś mi się wydaje, że pani też się tam wybiera.

- Jak mnie pan weźmie, to na pewno pojedę, ale tylko z mamą.

Młodzi ludzie spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Oczywiście, że to ja - Nicole była teraz w szampańskim nastroju. - Moja mama ma na nazwisko Bradley. Ja jestem jej córką z pierwszego małżeństwa i dlatego nazywam się DuChailot. Niech pan tu siądzie na chwilkę i opowie mi o tej rajskiej wyspie, nigdy nie byłam na żadnej prywatnej wyspie.

- Bardzo bym chciał, niech mi pani wierzy, ale najpierw muszę skoczyć do miasta, dopilnować zamówień na dzisiejsze party. Ojciec chce, a właściwie obaj chcemy, żeby wszystko udało się idealnie. Ale, przepraszam, ja się nie przedstawiłem - jestem Rodrigo Balvarena.

- To może przejdźmy „na ty” - Nicole wyciągnęła rękę, którą Rodrigo skwapliwie uściśnął. - A gdzie jedziesz? Do Starego Miasta, które widać z hotelowego tarasu?

- Tak, właśnie tam, na calle Blas de Lezo.

- To weź mnie ze sobą - Nicole spojrzała zalotnie na królewicza z bajki. - Od wczoraj chcę je zobaczyć, ale trochę bałam się sama tam wybrać.

- Oczywiście, z największą przyjemnością, samochód stoi przed hotelem.

- Pobiegnę na górę się przebrać i za pięć minut będę na dole.

- Będę czekał - Rodrigo nie mógł oderwać wzroku pełnego uwielbienia od rezolutnej dziewczyny.

Nicole widziała, jakie zrobiła wrażenie. Pobiegnęła na górę w doskonałym nastroju. Zapowiadał się ciekawy pobyt w Cartagenie!

* * *

Punktualnie o szóstej Izabella przyszła do pokoju córki. Nicole wiązała jeszcze przed lustrem włosy, ale za chwilę była już gotowa. Matka stanęła obok niej. Obie pomyślały to samo, patrząc na swoje odbicie. - *Wyglądamy zabójczo, nikt nam się nie oprze!* Spojrzały na siebie i roześmiały się wesoło.

Rzeczywiście wyglądały wspaniale, bardziej jak starsza i młodsza siostra niż matka i córka. Ubrane były lekko, jak przystało na tropiki, ale modnie i elegancko. Izabella miała na sobie jasne spodnie, dość obcisłe w biodrach, rozszerzające się ku dołowi, do tego bluzkę w żółtawordzawe kwiaty i jasnobrązowe, jedwabne bolerko. Na szyi miała swoje ulubione bursztyny. Nicole włożyła krótką, dość obcisłą niebieską sukienkę od Lizzie Burnell, idealnie dopasowaną do koloru oczu, z oszłamiającym dekoltem na plecach, na szyi miała indiańskie korale z niebieskawozielonych turkusów. Złocistorude włosy obu pań, lekko spięte u góry, spływały luźno na ramiona.

Nicole zaczęła opowiadać matce o rannym spotkaniu z Rodrigiem Balvareną i o wycieczce do Starego Miasta.

- Widzę, kochanie, że nie marnujesz czasu. Potem mi wszystko opowiesz, ale teraz chodźmy, bo już jesteśmy lekko spóźnione.

- Mamo, jesteśmy przecież w Ameryce Południowej, kto tu patrzy na zegarki.

- Pewnie masz rację - obie się roześmiały - ale nie szkodzi, jak damy im dobry przykład.

Okazało się jednak, że Nicole nie miała racji. Rodrigo Balvarena już czekał na pomoście. Za chwilę wszyscy troje siedzieli w luksusowej motorówce typu „cygario”. Jazda miała trwać czterdzieści minut. Izabella i Nicole rozsiadły się wygodnie na fotelach i podziwiała widoki. Najpierw minęły ruiny starych fortów broniących dostępu do portu, potem opłynęli dużą wyspę o nazwie Tierra Bomba, stanowiącą niejako naturalną ochronę portu przed sztormami. Płynęli blisko brzegu, tak że mogli obejrzeć z bliska tropikalną dżunglę. Minęli też małą wioskę rybacką z chatkami z palmowych liści i baraszkującymi dziećmi. Mieszkańcy tej wsi byli najwyraźniej czarni. Cała sceneria wyglądała jakby żywcem przeniesiona z Afryki. Rodrigo wyjaśnił trochę zaskoczonym pasażerkom, że to potomkowie niewolników przywożonych z Afryki do Kolumbii za czasów hiszpańskich. Wielu z nich uciekało w dżunglę i zakładało takie właśnie afrykańskie wioski, z dala od osiedli białych. Koloniści starali się ich ścigać, ale bez powodzenia. Murzyni lepiej znali dżunglę i lepiej od białych potrafili dostosować się do wymogów życia w tropikalnych warunkach. Dzisiejsze władze niepodległej Kolumbii nie ingerują w życie tych ludzi. Żyją więc, praktycznie rzecz biorąc, w tych samych warunkach co przed wiekami. Są niby obywatelami Kolumbii, ale sami o tym nie wiedzą. Nie płacą podatków, ale nie mają też szkół czy opieki zdrowotnej. Są jakby żywym skansenem. Za afrykańską wioską wyłoniły się nagle z dżungli żółte ruiny barokowego, hiszpańskiego kościoła, musiało tu kiedyś być osiedle Europejczyków, ale nic już z niego nie zostało. Widać było, że za kilka lat dżungla po-

chłonie też ruiny kościoła. Cywilizacja afrykańska wygrywa więc walkę o przetrwanie na Tierra Bomba!

Nicole słuchała z zapartym tchem opowieści Rodriga.

Izabella patrzyła na wspaniałą, bujną roślinność. Przypomniała sobie Afrykę, wycieczki z Richardem na safari, cudne bugenwille wokół domu, przychodzące do wodopoju zwierzęta. Tak, to były piękne chwile, ale potem przyszła rebelia Balubów, ucieczka z domu, koszmar na wzgórzach Karidu, Rodezja, straszliwa śmierć Richarda... nie, Afryka będzie się jej zawsze źle kojarzyć. Trudno, nic na to nie poradzi. Izabella próbowała otrząsnąć się ze wspomnień.

Rodrigo obserwował dyskretnie panią Bradley, szczególnie fascynował go śmiały dekolt i pięknie zarysowane piersi.

Naprawdę nie wiedział, która z tych kobiet jest piękniejsza - matka czy córka? Zauważył cień melancholii na twarzy Izabelli i zaproponował paniom coś do picia. Okazało się, że hebanowa skrzynia ze złożonymi zawiasami, leżąca na środku łodzi, po podniesieniu wieka zamienia się w doskonale zaopatrzone barek. Nicole wyciągnęła z lodu butelkę wody mineralnej Perrier. Natomiast Izabella zauważyła butelkę Dubonnet, i poprosiła o kieliszek tego ulubionego napoju pana Natansona.

Opłynęli Tierra Bombę i wypłynęli na otwarte morze. Na horyzoncie ukazała się pierwsza wysepka z archipelagu Rosario. Był to łańcuch małych wysepek, stąd nazwa Rosario - „rózaniec”. Większość z nich należała do prywatnych właścicieli, najzamożniejszych obywateli Cartageny, ceniących sobie zarówno piękne położenie, przyrodę, jak i bezpieczeństwo. Kolumbią wstrząsały w tym czasie spazmy toczącej się od dziesięciu lat, ze zmiennym natężeniem, wojny domowej, która przeszła do historii jako *la Violencia*. Cartagenę i w ogóle karaibskie wybrzeże kraju najgorsze ominęło, ale bezpieczeństwo, szczególnie dla ludzi bogatych, było sprawą pierwszej wagi.

Wkrótce minęli pierwszą wysepkę o nazwie La Linda, należącą do byłego burmistrza Cartageny. Połowę wyspy zarastała bujna, podzwrotnikowa roślinność, natomiast drugą połowę pokrywała soczysta, zielona trawa. Pośrodku stał piękny stary dom w stylu kolonialnym, okolony cienistymi palmami. Widać też było basen i korty tenisowe. Cały teren ozdabiały kępki bajecznie kolorowych krzewów.

Rzeczywiście - raj na ziemi. Izabella i Nicole nie mogły oprzeć się temu wrażeniu. Po dalszych dziesięciu minutach dopłynęli do celu, to jest do czwartej z kolei wyspy o dźwięcznej nazwie La Esmeralda (jakżeby inaczej - „esmeralda” po hiszpańsku szmaragd!). Wyspa rze-

oczywiście była zielona i trochę większa od poprzednich. W pobliżu niewielkiej przystani, pełnej już motorówek, widać było wspaniały dom, właściwie pałac, z doryckimi kolumnami i malowniczymi wieżyczkami po bokach. Szerokie marmurowe schody prowadziły z murawy na olbrzymi taras otoczony misterną balustradą, na której tu i ówdzie siedzieli goście z drinkami w rękach. Inni stali w małych grupkach. Na balkonie, nad tarasem ulokowana była mała orkiestra. Wśród gości krążyła służba w białych liberjach ze złotymi lamówkami, podając drinki, wymieniając popielniczki i roznosząc malutkie zakąski, tzw. *tapas*.

Pan Balvarena wyszedł na powitanie gości. Wprowadzając Izabellę i Nicole na taras, skinął w kierunku orkiestry i zabrzmiała melodia *Mazurka* Dąbrowskiego. Izabella stanęła zaskoczona, nie słyszała tych taktów od ponad dwudziestu lat. Stanęła jej nagle przed oczami płonąca Warszawa, zakrwawieni młodzi powstańcy w szpitalu polowym w kamienicy obok domu na Chocimskiej. Tam ostatni raz słyszała tę melodię. Izabella była wyraźnie wzruszona, Nicole nie miała pojęcia, o co chodzi, podobnie jak reszta gości, ale Miguel Balvarena stał wyprostowany obok pani Bradley i dyskretnym gestem wezwał wszystkich do wstania. Po ostatnim takcie *Mazurka* zapanowała cisza. Pan Balvarena, bardzo z siebie dumny, przedstawił zebranym honorowego gościa wieczoru, panią dyrektor American Diamonds - Izabellę Bradley, która jest Polką, „z dalekiej, katolickiej Polski”, silnie akcentując przymiotnik - „katolickiej”. Wyjaśnił zebranemu towarzystwu, że ten piękny, skoczny mazurek, którego właśnie wysłuchali, to polski hymn narodowy. Podniosły się oklaski, a Izabella ze wzruszeniem podziękowała za tak miłe powitanie. Nicole uważała, że cała scena była trochę kiczowata, jednak z zainteresowaniem przyglądała się zebranym. Przeważali ludzie starsi, ale było też trochę młodzieży. Rodrigo przedstawił jej swoją siostrę Palomę, a następnie kolegów i sąsiadów z pobliskich wysp. Wszyscy mówili po angielsku, a niektórzy również po francusku. Nicole spadł kamień z serca, bo bała się, że wszyscy wokół będą mówić po hiszpańsku i będzie się czuła nie najlepiej.

Na przyjęciu u pana Balvarena zebrała się śmietanka towarzyska Cartageny. Burmistrz z małżonką, prezesi trzech głównych banków, arcybiskup Pedro Trastavere, dyrektor portu, właściciele największych przedsiębiorstw, a także dowódca garnizonu generał Diego Cordovan.

Wzdłuż jednego boku tarasu ustawiono udekorowany kwiatami stół z najróżniejszymi smakołykami zarówno miejscowej kuchni karaibskiej, jak również bardziej międzynarodowymi, jak szkocki łosoś czy astrachański kawior. Wśród napojów królował francuski szampan Veuve Cliquot, ale oczywiście można sobie było zażyczyć dowolnego drinka, którego w mgnieniu oka dostarczał któryś z licznych służących.

Miguel Balvarena nie odstępował Izabelli, przedstawiając ją kolejnym gościom, ale ciągle nie widziała pani domu. W końcu nie wytrzymała i zapytała wprost o senioreę Balvarena. Miguel na chwilę zmarkotniał, lecz wyjaśnił, że żona już od wielu lat nie żyje. Utonęła po wywróceniu się łodzi w wyniku nagłego szkwału. Ciało nigdy nie odnaleziono, prawdopodobnie zostało zjedzone przez rekiny.

Izabella zmieszała się i wyraziła szczere współczucie, mówiąc, że potrafi zrozumieć jego ból, bo też straciła pierwszego męża w tragicznych okolicznościach.

Tymczasem Nicole przeszła z młodzieżą na drugi koniec wyspy, gdzie grupa mariachi grała skoczne karaibskie cumbias i salsa. Nicole zawsze uważała, że dobrze tańczy, ale w tej grupie czuła się jak nowicjuszka. Zarówno chłopcy, jak i dziewczyny tańczyli lekko i z wdziękiem, jakby w życiu niczego innego nie robili. Każdy ruch nogi, każde zgięcie dłoni były idealnie dopasowane do skocznych taktów muzyki. Wirowali jak zaczarowani. Nicole, choć może nie tańczyła najlepiej, to jednak była w centrum zainteresowania jako egzotyczna w tym towarzystwie, niebieskooka blondynka. Młodzi ludzie popisywali się przed nią najbardziej wymyślnymi susami i skokami, ale najlepszy był Rodrigo, jej królewicz z bajki, z hotelowego basenu, który teraz porwał ją w ramiona i uniósł jak zwiewną słomkę. Nicole zawirowało w oczach, ale czuła się bezpiecznie w jego ramionach. Czasami stawiał ją delikatnie na ziemię, by za chwilę znowu poderwać w górę i okręcić wokół siebie. Nicole tańczyła jak w transie, po raz pierwszy w życiu oddała się całkowicie w ręce mężczyzny. Całe jej ciało poddane było jego woli. Nicole spotykała się w Nowym Jorku z różnymi chłopcami, ale zawsze to ona panowała nad sytuacją, ona nadawała ton. Teraz czuła się cała jego, Rodriga, i było jej z tym bardzo dobrze.

Na tarasie przed domem brzmiała nieco staroświecka muzyka, ale roziskrzone gwiazdami niebo i płonące wokół pochodnie też stwarzały niezapomnianą atmosferę cieplej, karaibskiej nocy. Minęła północ, część gości już się rozjechała, inni zbici w małe grupki z ożywieniem o czymś rozprawiali. Orkiestra na balkonie zagrała tango. Miguel objął delikatnie Izabellę i ruszyli do tańca. Ojciec, podobnie jak syn na drugim końcu wyspy, też był doskonałym tancerzem, a Izabella podobnie jak córka, oddała się całkowicie jego prowadzeniu. Krok miał pewny, a każdy jego ruch był idealnie zgrany z taktem muzyki. Gwiazdy na niebie i płonące wokół pochodnie stwarzały nierealną, wręcz bajeczną atmosferę. Izabella czuła się jak zwiewna nimfa w ramionach greckiego boga. Patrząc w czarne, pełne żaru oczy i na szlachetne rysy twarzy Miguela, Izabella miała wrażenie, że przenosi się w jakiś inny, nierealny świat. Przyciągnął ją do siebie. Izabella wtuliła się w jego ramiona. Poczowała w sobie ten sam dreszcz, jak niegdyś

tańcząc z Murrayem na SS „Glory of Scotland”. Było jej bardzo dobrze, chciała, żeby ta chwila trwała w nieskończoność.

Jednak po paru minutach muzyka ucichła. Już ostatni goście zaczęli się żegnać. Trzeba było wracać do domu. Miguel wziął Izabellę pod rękę i poszli po Nicole. Trochę im było żal kończyć młodym ludziom zabawę, ale dochodziła już pierwsza w nocy. Jutro był kolejny dzień targów. Pierwsze spotkanie robocze mieli o dziewiątej rano. Rodrigo odprowadził Nicole do łodzi, podczas gdy Izabella musiała jeszcze wrócić do domu po torebkę i bolerko, które zdjęła do tańca. Rodrigo obiecał Nicole, że przyjedzie do niej jutro rano na basen. Patrzyli sobie w oczy z takim zapamiętaniem, że Miguel Balvarena się roześmiał.

- Spójrzcie może dla odmiany na gwiazdy, nie co dzień jest taka noc. Jeszcze się jutro na siebie napatrzycie!

Rodrigo i Nicole lekko się zmieszali. W tym momencie wróciła Izabella. Miguel pomógł paniom wsiąść do łodzi.

Rodrigo uruchomił silnik i odpłynęli. Ciszę tropikalnej nocy rozpraszał szum motoru i plusk wody rozcinanej dziobem łodzi. Oświetlony pochodniami biały pałac zniknął w oddali. Nicole usiadła z przodu łodzi, obok Rodriga, i o czymś cicho rozmawiali. Izabella rozparła się wygodnie w tyle łodzi na narożnym fotelu, nogi położyła na hebanowym barku i patrzyła na rozgwieżdżone niebo. Czuła jeszcze mocny uścisk ramion Miguela, czuła na policzku jego ciepły oddech, widziała przed sobą, namiętne, czarne oczy. Przytuleni do siebie w tym ostatnim tangu o tym samym myśleli, ale żadne z nich nie śmiało tego głośno wypowiedzieć. Byli przecież dorosłymi ludźmi, partnerami handlowymi, Izabella miała męża. Tak, Izabella to wszystko doskonale wiedziała, ale w najmniejszym stopniu nie zmieniało to faktu, że było jej dobrze z Miguelem, że czuła się bezpiecznie w jego objęciach, że chciała, żeby to tango nigdy się nie skończyło. A nawet więcej, chciała trwać spleciona w uścisku z Miguelem do samego rana.

Izabella otrząsnęła się z tych myśli, zdjęła nogi ze skrzyni, otworzyła barek i naląła sobie kieliszek Dubonnet. Pomyślała o Murrayu, przecież go kocha, i on ją kocha, mają dom i udanego synka. O tym powinna myśleć, a nie o jakichś letnich przygodach na wyspach karaibskich. Tak, to wszystko prawda, ale...

Izabella raz jeszcze zapatrzyła się w gwiazdy, jakby od nich oczekiwała odpowiedzi.

Następne trzy dni Nicole i Rodrigo spędzili nie rozstając się, jak papużki-nierozłączki. Orowadzał ją po starej Cartagenie, pokazał stojący przy wejściu do portu pomnik Blasa de Lezo, bohaterskiego żeglarza i obrońcy Cartageny przed brytyjskimi piratami. Ten dość maka-

bryczny monument przedstawia mężczyznę z jedną drewnianą nogą i metalowym hakiem zamiast lewej ręki. Na jednym oku ma czarną, piracką przepaskę, a do drugiego ma przytkniętą lunetę. Blas de Lezo stracił nogę, rękę i oko w walkach z Anglikami i Francuzami. Mimo to, osobiście poprowadził szturm na angielską fregatę bombardującą Cartagenę z morza. Prawą ręką walczył na zmianę pistoletem i szablą, a stalowym hakiem, jaki miał zamiast lewej ręki, rozrywał ciała wrogów. Anglicy bali się go jak ognia, pierzchali z pokładu przed szalejącym, zakrwawionym „kastylijskim diabłem”, bo tak go nazywali. Rodrigo opowiadał to wszystko z wielkim przejęciem, a Nicole pilnie słuchała, wyobrażając sobie Rodriga w malowniczym stroju hiszpańskiego granda, dźgającego szpadą wrogów.

Izabella też spędzała dużo czasu z Miguelem. Oboje mieli oczywiście służbowe obowiązki, więc nie mogli sobie poświęcać tyle czasu co młodzi, poza tym nie chcieli stać się tematem plotek całego świata handlu biżuterią i drogimi kamieniami. Niemniej lunch i dwa kolejne wieczory spędzili razem, w przytulnej restauracji poza miastem. Rozmawiali o wszystkim, o Blasie de Lezo również, ale więcej o interesach, o problemach z plantacjami kawy, o American Diamonds. Izabelli bardzo się podobało, że Miguel, inaczej niż Murray, rozmawiał z nią swobodnie o swoich interesach, widać było, że traktuje ją jako równorzędną partnerkę, że ma zaufanie do jej sądów. Izabella żałowała, że nie może mu powiedzieć o przewidywanej wyższej cenie szmaragdów, ale nie mogła tego zrobić. Przede wszystkim była jednak lojalną dyrektorką American Diamonds, a zresztą, Miguel i tak jest bajecznie bogaty, nic mu się nie stanie, jak sprzeda swoje szmaragdy nieco taniej.

Ostatecznie Izabella podpisała trzy wielomilionowe kontrakty, bardzo korzystne dla American Diamonds, z Miguelem i dwoma innymi dostawcami. Po bankiecie pożegnalnym i oficjalnym zamknięciu targów Izabella wyszła z Miguelem przed hotel zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Od morza wiała ożywcza bryza, po raz pierwszy niebo było zachmurzone i nie było widać gwiazd. Minęli basen i zeszli na plażę. O tej porze było tu zupełnie pusto. Usiedli na bujanej ławce pod daszkiem z palmowych liści.

Miguel objął delikatnie Izabellę, która złożyła głowę na jego ramieniu. Oboje czuli się trochę jak zadurzeni w sobie licealiści. Izabella przytuliła się mocniej do Miguela i cicho się roześmiała.

- Zachowujemy się jak dzieciaki. Ciekawe, co teraz robią Nicole i Rodrigo?

- Pewnie tańczą jak wariaci w dyskotecce Las Palmas. - Miguel skinął ręką w kierunku muzyki dobiegającej z drugiej strony cypla. - Nicole ma na niego zbawienny wpływ. Od roku

staram się go skłonić do podjęcia studiów w Ameryce, on jednak upierał się, że na jesieni jedzie do Europy, studiować w Paryżu. Wczoraj powiedział mi, że Yale to doskonały uniwersytet, mają lepsze kursy biznesu i chyba raczej tam pojedzie. Już się nie dopytywałem, skąd ta nagła zmiana akademickich upodobań, ale wyraziłem pełne poparcie dla tej nowej idei. Nicole dostanie ode mnie naszyjnik ze szmaragdów, jeśli za jej sprawą Rodrigo podejmie studia w Ameryce, jak tego zawsze chciałem!

Oboje się roześmieli.

- Nicole idzie do Bard College, to chyba niecała godzina jazdy od Yale. Czuję, że będę miała silną konkurencję podczas weekendów. Miałam nadzieję, że na soboty i niedziele córka będzie wracała do domu, teraz nie jestem już taka pewna.

- Ja będę przyjeżdżał do Nowego Jorku na weekendy. Córki ci może nie zastąpię, ale spróbuję!

Miguel pochylił się i pocałował Izabellę w usta. Nie opierała się. Zarzuciła mu ręce na szyję i jeszcze mocniej się przytuliła. Po chwili jednak wysunęła się z objęć Miguela i wstała.

- Powinam już iść. Jutro rano mamy samolot. Muszę się trochę przespać.

Izabella pomyślała, że jest przecież mężatką. Ma obowiązki. Nie może się całkowicie poddać czarowi ciepłej, karaibskiej nocy.

Miguel odprowadził Izabellę do drzwi hotelu. Trudno im było się rozstać, jeszcze chwilę rozmawiali. Izabella jeszcze raz przytuliła się do Miguela. Całowali się długo i namiętnie.

Lekko zmieszani oderwali się od siebie, kiedy pod hotel zajechał samochód. Wysypała się z niego grupka amerykańskich turystów wracających ze Starego Miasta, którzy jednak nie zwrócili na nich nawet najmniejszej uwagi. Izabella ścisnęła dłoń Miguela i cicho powiedziała:

- Dobranoc, kochanie, będę o tobie myślała w Nowym Jorku.

- Dobranoc, kochana, ja też będę o tobie myślał.

Izabella, idąc po schodach do swego pokoju, zdała sobie sprawę, że pierwszy raz zwróciła się do Miguela per „kochanie”. On też po raz pierwszy powiedział „kochana”. Tak zwracała się tylko do Richarda, a potem do Murraya. Przeszył ją zimny dreszcz. *Kobieto, opanuj się, masz przecież męża, którego kochasz, to tylko przelotny, letni flirt, nic więcej!* Zapukała do pokoju Nicole, córki jeszcze nie było. Ach, co tam, młoda jest, niech się bawi. Izabella poszła do swego pokoju i położyła się do łóżka. Długo myślała o swoim życiu, o Nicole, o Murrayu, o Miguelu. Ostatecznie zamknęła oczy i zasnęła... sama już nie wiedziała - w objęciach Miguela czy Murraya?

Klasa biznesowa w samolocie kolumbijskich linii lotniczych Avianca była bardzo wygodna. Ani Izabella, ani Nicole nie były za bardzo wyspane, musiały wstać o szóstej rano, przecierały więc oczy na odgiętych do tyłu fotelach, popijając mimosy, czyli koktajl soku pomarańczowego z szampanem. Był to naprawdę ożywczy eliksir. Na śniadanie wybrały sobie tosty z kanadyjskim syropem klonowym i sałatkę z owoców tropikalnych, a do tego mocną i aromatyczną, kolumbijską kawę.

Po śniadaniu stewardesa rozwinęła ekran z przodu kabiny i zaczęła się kronika filmowa. Pochłonięte rozmową, nie bardzo zwracały uwagę na to, co się dzieje na ekranie, ale w pewnym momencie Nicole ścisnęła Izabellę za ramię.

- Mamo, spójrz, to Bikasi!

Rzeczywiście wiadomość dotyczyła Katangi. Kilka dni temu członkowie plemion w Kongu Belgijskim zbuntowali się i wszczęli walkę z wojskami wiernymi rządowi centralnemu Moisego Czombe. Wskutek zamachu stanu prezydentem i szefem rządu został Sese Seko Mbutu. Izabella i Nicole siedziały nieruchomo z oczami wbitymi w ekran. Płonęła stolica Katangi Elisabethville, na ulicach poniewierały się trupy. Lotnisko w stolicy prowincji zajęli rebelianci. Wszelka łączność z Katangą została przerwana.

Nicole spojrzała na matkę, była blada jak ściana. Nie, to niemożliwe, nie znowu! Izabella poczuła na plecach zimny pot. W oczach stanął jej Richard, ucieczka z małą Nicole z Bikasi, pijane bandziory na wzgórzach Karidu, koszmarne dni wyczekiwania na wieści o Richardzie. Teraz Murray tam był, z Jenny i Susan. Co się z nimi stanie? Boże, może udało im się uciec? Może są bezpieczni w hotelu, muszą tylko przetrzymać tą zawieruchę? Izabella pocieszała się jak kiedyś w Salisbury. W oczach miała łzy.

Podeszła zatroskana stewardesa zapytać, co się stało.

- Czy czuje się pani dobrze? Czy może przynieść aspirynę?

- Ach, nie, to nic takiego. Po prostu te sceny z Afryki przywiodły mi na myśl smutne wspomnienia.

- Bardzo mi przykro - stewardesa spojrzała na ekran - może podać szampana?

- Nie, dziękuję. Poproszę jeszcze trochę kawy.

- Ależ oczywiście - i stewardesa poszła po kawę.

Nicole pogłaskała matkę po ramieniu, starała się ją pocieszyć, jak kiedyś w samochodzie, uciekając ze wzgórz Karidu.

- Mieli prywatny samolot, pewnie udało im się odlecieć przed zamknięciem lotniska. Dowiemy się w Nowym Jorku, może już tam Murray na nas czeka. - Nicole starała się, by jej głos brzmiał pogodnie, ale nie bardzo jej to wychodziło, też ogarnęły ją czarne myśli.

- A tak go prosiłam, żeby nie jechał! Wiem, że to przeklęty kraj albo może to nade mną wisi jakaś klątwa...

- Ale, mamó, co ty opowiadasz. Może nic się nie stało. Poczekajmy do Nowego Jorku, będziemy tam za trzy godziny. Wszystkiego się dowiemy...

Izabella milczała. Wiedziała, że niczego się nie dowiedzą, wierzyła w swoje przeczucia. Będzie tak samo jak w Salisbury, znowu całymi tygodniami i miesiącami będzie czekać na wieści o mężu. Boże, czy jeszcze raz to wytrzyma?!

6

Niestety przeczucia Izabelli się sprawdziły. Zaraz po wylądowaniu w Nowym Jorku poszukała telefonu. Zadzwoiła do domu. Rozmawiała z nianią Robbiego, która wprawdzie nic nie wiedziała o wydarzeniach w Afryce, ale powiedziała Izabelli, że Murray i Jenny nie wrócili do domu. Nie było też od nich żadnych wiadomości. Planowali, że wrócą już trzy dni temu. Izabella po raz chyba dziesiąty sprawdziła karteczkę, na której zanotowała sobie datę powrotu męża. Niestety, wszystko się zgadzało.

Robbie bardzo się ucieszył z powrotu mamy, dreptał za nią wszędzie jak mały psiak, dumnie obnosząc jeden z licznych prezentów, piękne kolumbijskie sombrero.

Izabella miała straszne poczucie *déjà vu*. Znowu jest sama z małym dzieckiem, którego ojciec gdzieś przepadł w odmętach czarnego kontynentu. Znowu musi być dzielna, nie może zawieść swojego synka. No, gwoli sprawiedliwości, trzeba przyznać, że tym razem jest w lepszej sytuacji niż wtedy w Salisbury. Jest u siebie w domu, ma wokół rodzinę, przyjaciół i środki do życia. Tak, to wszystko prawda, ale wcale nie umniejsza bólu i targającej serce niepewności.

Następne dni Izabella spędziła, dzwoniąc i pukając do wszystkich możliwych drzwi. Sekretarka w biurze Murraya nic nie wiedziała. W American Dynamics, z którego prezesem Denisem Stracheyem Murray poleciał do Afryki, panowała pełna panika, choć Izabella odniosła wrażenie, że niepokoją się nie tyle losom prezesa co trzydziestu milionów dolarów, zainwestowanych w Union Minière. Izabella zadzwoniła też do Departamentu Stanu w Waszyngtonie, gdzie jej powiedziano, że łączność z Katangą jest całkowicie zerwana i nic nie wiedzą, ale że

jak tylko będą mieli jakąś wiadomość, to do niej zadzwonią. Udała się również do nowojorskiej siedziby ONZ-etu. Obiecali jej tam, że spróbują się czegoś dowiedzieć, ale wielkich nadziei nie robili. Za tydzień ma wrócić do Nowego Jorku specjalny wysłannik ONZ-etu do Konga, może on będzie coś wiedział.

Izabella skazana była więc na czerpanie informacji z prasy, radia i telewizji. Wiadomości nie były pocieszające. Wprawdzie Czombe był prozachodni i popierali go Amerykanie, ale wydawał się przegrywać, a antyimperialistyczne siły rządu centralnego, odbijając zbuntowaną prowincję, stosowały taktykę spalonej ziemi. Z punktu widzenia Izabelli dodatkowo pogarszała sytuację fakt, że Czombe był popierany i w dużej mierze finansowany przez Union Minniere, czyli kontrahenta Murraya. Przegrana Czombego mogła oznaczać likwidację Union Minniere i rzeź jego pracowników, szczególnie białych. Nietrudno sobie było wyobrazić, jaki byłby los Amerykanów finansujących Union Minniere, gdyby wpadli w ręce przeciwników Czombego.

Na domiar złego zmarł Stuart Cohen, co pociągnęło za sobą gruntowne zmiany w American Diamonds. Izabella musiała się aktywnie włączyć w proces zmian, żeby restrukturalizacja przedsiębiorstwa i jego zarządu poszła, w miarę możliwości, po jej myśli.

Po powrocie z Kolumbii, z nadzwyczaj korzystnymi kontraktami, jej pozycja w firmie się umocniła. Uważała, podobnie jak kilku innych stosunkowo młodych menedżerów, że śmierć Stuarta Cohena to dobry moment, by odmłodzić i zdynamizować kierownictwo firmy. Do tego trzeba jednak było najpierw odsunąć od steru dwóch najbliższych współpracowników Cohena, będących, jak zmarły szef, już mocno po siedemdziesiątce.

Ostatecznie Izabelli przypadło w udziale przekonanie obu panów do dobrowolnego ustąpienia. Dzięki temu, że wszyscy ją lubili i szanowali, a także dzięki niewątpliwym talentom dyplomatycznym, udało jej się to załatwić stosunkowo bezboleśnie, co tylko zwiększyło jej prestiż w firmie. Po trwających tydzień przetargach i przepychankach ukształtował się nowy zarząd American Diamonds. Nowym prezesem został czterdziestodwuletni bratanek Stuarta Cohena - Ronald Cohen, dotychczasowy szef działu technicznego. Izabella została wiceprezesem do spraw handlowych, tym samym weszła do ścisłego kierownictwa koncernu. Łączyło się to ze znaczącym awansem finansowym i prawem zakupu, na bardzo korzystnych warunkach, istotnego pakietu akcji American Diamonds.

Wszystko to odciągnęło ją od sprawy Murraya, pozwalając jej, choćby czasowo, myśleć o czymś innym. Nie na długo jednak. O Murrayu ciągle nie było wieści, ale dostała pismo z prokuratury miasta Nowy Jork informujące ją o rewizji w biurze Murraya w związku z wszczę-

ciem dochodzenia w sprawie nadużyć finansowych i podatkowych. „Ponieważ podejrzany jest poza granicami kraju, prosimy panią, jako członka najbliższej rodziny, o obecność przy rewizji, zgodnie z Paragrafem 16, Artykułu 234 Kodeksu Postępowania Sądowego stanu Nowy Jork” - Izabella przeczytała w piśmie. Oburzona na bezczelność prokuratury organizującej rewizję pod nieobecność samego zainteresowanego, i to w tak dramatycznych okolicznościach, natychmiast zadzwoniła do swojego adwokata i znajomych we władzach miejskich. Okazało się jednak, ku zdumieniu i rozgoryczeniu Izabelli, że wszystko było w pełni zgodne z prawem. Jedyne co jej doradzono, to żeby była przy rewizji i koniecznie wzięła potem kopię protokołu.

Sekretarka Murraya, Debbie, trzydziestoczteroletnia brunetka, na gust Izabelli troszkę zbyt korpulentna, ale seksowna i pełna wigoru, powitała żonę szefa z wylewną serdecznością. Zdziwiło to nieco Izabellę, bo zawsze odnosiła wrażenie, że ta kobieta jej nie lubi. Zaledwie zdążyły wymienić kilka zdań, do drzwi biura zapukała policja i rozpoczęła się rewizja. Z góry zapowiedzieli Izabelli, że większość dokumentów zabiorą, dodali jednak, że ona też ma prawo się z nimi zapoznać, może zanotować, co biorą, a nawet zrobić sobie kopię, choć to właściwie niepotrzebne, bo i tak dostanie protokół z wyszczególnieniem wszystkich skonfiskowanych dokumentów. Policjanci komisyjnie rozbili zamki w biurku Murray i szafkach na dokumenty. Zaczęła się dość żmudna procedura rejestrowania każdego rekwirowanego papieru czy notatki. Izabella zdała sobie sprawę, że to może potrwać cały dzień. Siedziała obok protokolanta i zapoznawała się, choć bez specjalnego zainteresowania, z kolejnymi dokumentami. Szybko się jednak wciągnęła, czytając notatki ze spotkań biznesowych i kontrakty. Zrozumiała, dlaczego interesuje się nimi prokuratura. Z dokumentów jasno wynikało - już po ich pobieżnym przeczytaniu Izabella nie miała żadnych wątpliwości - że Murray pośredniczył w sprzedaży broni, wartości kilkudziesięciu milionów dolarów, dla Czombego. Oficjalnie płaciło Union Miniere. Wszystko to działo się, być może, za cichym przyzwoleniem CIA, wskazywałyby na to notatki ze spotkań w siedzibie CIA w Langley, pod Waszyngtonem, ale wbrew prawu, które wyraźnie zakazuje firmom amerykańskim sprzedaży, szczególnie ciężkiej broni ofensywnej, osobom prywatnym czy instytucjom cywilnym w rodzaju np. Union Miniere. Legalnymi kontrahentami amerykańskich firm zbrojeniowych mogą być tylko rządy państw oficjalnie uznawanych przez USA.

Izabella patrzyła na to wszystko z coraz większym rozgoryczeniem. Murray ją oszukiwał, i to już od wielu lat. Ale Izabellę czekały jeszcze inne rewelacje. Kiedy robiła kopię dwóch dokumentów, które chciała zachować, usłyszała z drugiego pokoju ostre protesty sekretarki

Murraya i podniesiony głos jednego z policjantów. Nakazem rewizji objęte było całe biuro, a zatem również biurko i szafki sekretarki. Jeden z policjantów wyciągnął z szafki w rogu pokoju związany gumką plik listów i pocztówek. Debbie chciała mu to wyrwać, twierdząc, że to jej prywatna korespondencja. Policjant starał się jej wytłumaczyć, grzecznie, ale stanowczo, że wszystkie papiery i dokumenty, jakie znajdują w pomieszczeniach biura, podlegają rewizji. Na widok wchodzącej do pokoju Izabelli Debbie jeszcze bardziej się zmieszała, starając się wyszarpać plik listów. Pękła gumka i po podłodze rozsypały się listy i pocztówki. Niektóre obrazki wydały się Izabelli znajome. Schyliła się i podniosła dwie z nich. Tak, nie ulegało wątpliwości, były to pocztówki, które kilka lat temu sama kupowała. Te akurat z wyspy St. Lucia, gdzie byli z Murrayem na wakacjach. Sam ją prosił, żeby mu kupiła jakieś pocztówki, bo wypada mu wysłać pozdrowienia do biura, prosił też, żeby kupiła koperty i znaczki na list, bo nie lubi, żeby listonosz i wszyscy w całym biurowcu wiedzieli, co pisze. Wydało jej się to wtedy trochę dziwne, bo cóż to za tajemnice pisze się na pocztówce z wakacji? Ale знаła Murraya i jego obsesję na punkcie dyskrecji. Spojrzała na pocztówki, tak, były z drugiej strony całe zapisane, czyli wysłane w kopercie.

Izabella spojrzała pytająco na policjanta.

- Tak, proszę pani, może to pani przeczytać i może pani zrobić kopię. Oryginał proszę oddać protokolantowi.

- Dziękuję. - Izabella usiadła pod oknem i zaczęła czytać.

Debbie znowu ostro zaprotestowała. Izabella spojrzała na nią zimno - w jej oczach nie było ani krzty współczucia. Wiedziała, że zachowuje się trochę nieładnie, czytając cudze listy, ale teraz było jej już wszystko jedno. Musiała poznać prawdę. Przeczytała tylko jedną pocztówkę, więcej nie potrzebowała, sprawa była jasna - to był list do kochanki. Murray pisał, jak mu jej brak, jakby się chciał wtulić w jej wezbrane piersi, jakby chciał lekko rozchylić jej białe uda, jakby chciał widzieć pod sobą jej roześmiane oczy, kiedy razem dochodzą do orgazmu... Dalej już nie czytała. Wstała i odniosła list policjantowi.

- Chce pani zrobić kopię?

- Nie, dziękuję - Izabella spojrzała na Debbie, ale już właściwie bez złości.

Taksowała ją wzrokiem. *To wolałeś tę wydrę, wolałeś wtulać głowę w te ordynarne cyce, jej chciałeś rozkładać uda, do niej pisałeś słodkie pocztóweczki, które ja - idiotka - ci dostarczałam.* Izabella czuła, że zalewa ją zła krew. Czuła, że miłość do męża ulatnia się jak kamfora. Debbie przestała protestować i podeszła do Izabelli.

- Chcę pani coś powiedzieć. Przepraszam za te... za te... pocztówki. - Debbie była wyraźnie stropiona.

- Nie masz co przepraszać. Nie ty je pisałaś - odpowiedziała chłodno Izabella.

- Ale muszę pani coś powiedzieć. To już historia. To skończyło się rok temu. Teraz ma inną, nazywa się Susan. Niech pani spojrzy do prawej szuflady biurka, są tam rachunki za kartę kredytową, którą jej załatwił i za którą płaci.

Izabella podeszła do biurka Murraya. Policjant ją zatrzymał.

- Proszę pani, po kolei. Dostanie pani wgląd we wszystkie dokumenty, ale musimy prowadzić czynności służbowe zgodnie z regulaminem.

- Dobrze, poczekam - Izabella machnęła ręką, rzeczywiście nie śpieszyło się jej, miała o czym pomyśleć.

Usiadła ciężko na stojącym przy biurku fotelu i zapatrzyła się, nic nie widząc, w rozpisierający się za oknem widok Manhattanu. Przez wszystkie te lata Murray zdradzał ją z sekretarką.

- A mogłabyś mi chociaż powiedzieć, kiedy to się zaczęło, ten wasz... eh... romans?

- Pięć lat temu. Pojechaliśmy wtedy razem na Florydę, obiecał mi, że się pobierzemy...

Izabella prawie się roześmiała, taka zwyczajna, banalna historia, jak z głupiego romansu. A teraz ma inną - jakąś Susan. Nagle coś przyszło Izabelli do głowy - przecież Susan to imię przyjaciółki Jenny, która z nimi poleciała do Afryki. Czyżby Murray tak nisko upadł, żeby uwodzić dziewiętnastoletnią koleżankę córki i na dodatek brać obie razem na wycieczkę na safari? Izabella otrząsnęła się. Nie, to niemożliwe. Nie jednemu psu Burek. Susan to w końcu dość pospolite imię.

- A wiesz, jak ta Susan ma na nazwisko? - Izabella zwróciła się do Debbie.

- Już nie pamiętam, ale tam na rachunkach jest napisane.

- Czy mógłby pan otworzyć tą lewą szufladę i tylko powiedzieć mi, jakie nazwisko widnieje na rachunkach? Bardzo pana proszę - Izabella obróciła się do policjanta spisującego zawartość głównej szuflady biurka.

- Proszę pani, naprawdę powinniśmy trzymać się regulaminu. Dobrze, zajrzę do tej szuflady, ale bardzo proszę, żeby mi pani pozwoliła prowadzić bez przeszkód czynności służbowe - policjant pochylił się nad szufladą. - O'Donnell, Susan O'Donnell.

- Bardzo panu dziękuję - Izabella odwróciła głowę w kierunku okna. Czowała, że robi jej się ciemno przed oczami. Tak nazywała się przyjaciółka Jenny - Susan O'Donnell.

Izabella była zdruzgotana rewelacjami minionych kilku godzin. Boże, czego się jeszcze dzisiaj dowiem? Że Murray jest homoseksualistą i zamordował własną matkę? Nie, na dzisiaj dosyć. Izabella postanowiła wyjść z biura Murrraya. Ma prawo asystować przy rewizji biura męża, ale chyba nie ma obowiązku. Wystarczy im Debbie.

Izabella wstała i oświadczyła policjantom, że musi już iść. Przyjęli to ze stoickim spokojem, a pewnie też i niejaką ulgą. Dowódca przedstawił jej tylko do podpisana świstek papieru stwierdzający, że na własne życzenie rezygnuje z asystowania przy rewizji. Obiecał też, że przyśle jej do domu kopię protokołu rewizji.

Izabella wyszła na świeże powietrze. Był piękny letni dzień, niezbyt gorący, bo od morza wiała orzeźwiająca bryza. Przeszła dwie przecznice i znalazła się w Central Parku. Usiadła na ławce przy jednej z sadzawek. Obok młoda mama z córeczką karmiły kaczki. Obie śmiały się radośnie. Przypomniała jej się Nicole w tym wieku, też lubiły razem karmić dzikiego prosiaczka, którego Nicole dostała w prezencie. Były wtedy szczęśliwe. Czy będę jeszcze kiedyś szczęśliwa? Czy to w ogóle możliwe? Obraz kochanego, podziwianego Murrraya zawalił się jak domek z kart. Okazał się zwykłym łobuzem i malwersantem, bez żadnych skrupułów. Jak to możliwe, że przez wszystkie te lata niczego nie zauważyła? To fakt, że zawsze był skryty i nie dzielił się z nią swoim życiem, a ona - idiotka - była taka szlachetna, taka wyrozumiała, nie chciała mu się narzucać. No to teraz ma miłą niespodziankę! Każda ma takiego męża, na jakiego zasługuje! Wszystkie te konferencje w Boca Raton na Florydzie, wyjazdy biznesowe do Paryża i Las Vegas nabrały nagle nowego znaczenia.. Izabellę ogarnęło jakieś straszne rozgoryczenie, nie chciało jej się żyć.

Mała dziewczynka przestała karmić kaczki i podbiegła do Izabelli.

- Proszę pani, proszę pani, czy nie ma pani jakiejś bułki? Nam się skończyły sandwicze, a te kaczki są strasznie głodne! - dziewczynka była bardzo przejęta.

- Bardzo mi przykro, ale nic dla kaczek nie mam, chyba że lubią miętówki?

- Nie, kaczkom nie wolno dawać słodczy - odpowiedziała rezolutnie mała i pobiegła do matki.

Izabella uśmiechnęła się, dziewczynka była naprawdę podobna do Nicole w tym wieku.

Tak, o tym muszę pomyśleć. Muszę być dzielna, mam dwoje udanych, kochanych dzieci. Oboje stracili ojców. Liczą na mnie, i bardzo dobrze, na pewno ich nie zawiodę!

Izabella poczuła w sobie nową siłę. Przypomniała sobie, że musi jeszcze dziś coś załatwić w American Diamonds. Tam też na nią liczą. Energicznym krokiem pomaszerowała do swojego biura, położonego pięć przecznic dalej.

Odkrycia, jakich dokonała w czasie rewizji w biurze Murraya, przybiły Izabellę mimo usilnych starań, by o tych sprawach nie myśleć, by skupić się na przyszłości. Izabella straciła podziw i szacunek, jaki miała dla Murraya, ale ciągle go jeszcze kochała. Szczególnie teraz, w sytuacji, w jakiej się znalazł, nie mogła go zostawić samego i o wszystkim zapomnieć, jakby tych siedmiu lat nie było. Poza tym był ojcem jej dziecka i choćby z tego względu musi mu pomóc. Dalej niestrudzenie pukała do wszystkich drzwi.

Do Nowego Jorku wrócił z Konga specjalny wysłannik sekretarza generalnego ONZ-et. Izabelli udało się załatwić z nim spotkanie. W wyznaczonym dniu stawiała się w budynku głównym siedziby ONZ-et. Po przejściu niekończących się kontroli, sprawdzaniu zawartości torebki itd. stanęła w drzwiach specjalnego wysłannika. Zza biurka wstał stosunkowo młody człowiek, w bardzo w tym czasie modnych drucianych okularkach. Izabella w pierwszej chwili znieruchomiała, ale po chwili oboje rzucili się sobie na szyję.

- Madame DuChaillet, co pani, eh... tego... co robisz w Nowym Jorku!?

- Robert! Cieszę się, że mnie poznałeś - Izabella serdecznie się do niego uśmiechnęła.

Okazało się, że wysłannikiem ONZ-et do Konga był Robert MacPherson, nauczyciel angielskiego Izabelli i Nicole z Bikasi. Po skończeniu studiów w Oxfordzie rozpoczął pracę w ONZ-ecie, gdzie trafił do biura sekretarza generalnego. Oboje wyraźnie wzruszeni usiedli naprzeciw siebie na skórzanych fotelach, przy stoliku z wazonem pięknych orchidei. Po wymianie kilku zdawkowych zdań Izabella wyłuszczyła mu swoją sprawę.

Robert MacPherson zbladł jak ściana. Izabelli serce podeszło pod gardło, zrozumiała bez słów, że ten młody człowiek znowu będzie zwiastunem najgorszego.

- Czy on... nie żyje? - głos zamarł Izabelli w gardle.

- Tak... nie żyje. - Robert bał się spojrzeć na Izabellę, skierował wzrok ku oknu. - Został rozstrzelany razem z Dennisem Stracheyem z American Dynamics, po orzeczeniu Trybunału Rewolucyjnego w Elisabethville. Przywiozłem dokumentację w ich sprawie, którą muszę jutro przekazać Departamentowi Stanu. Oni działali nielegalnie i na szkodę Stanów Zjednoczonych. Iza, bardzo mi przykro...

- Ale chyba mieli zgodę CIA?

- Tak ci powiedział? - Robert wyraźnie się zainteresował.

- Nie, nic mi nie mówił - powiedziała Izabella z odcieniem goryczy w głosie. - Nigdy mi nie mówił o swoich interesach, ale asystowałam parę dni temu przy rewizji w jego biurze i widziałam notatki, które chyba o tym świadczą.

- Przy rewizji w jego biurze? Czy to znaczy, że władze amerykańskie już toczą śledztwo w tej sprawie?

- Na to wygląda. Ale, Robert, a co się stało z Jenny i Susan? To była jego córka z pierwszego małżeństwa i jej przyjaciółka. Obie mają po dziewiętnaście lat. Pojechały z nim na afrykańskie safari! - W głosie Izabelli znowu dźwięczała nuta goryczy i sarkazmu.

- Nie wiem, Iza, mam tylko informacje dostarczone mi oficjalnie przez władze Konga. Nie było wzmianki o tych dziewczynach, ale o innych cywilnych ofiarach zbiera informacje Czerwony Krzyż. Jak chcesz, to do nich zadzwonię, znam dobrze dyrektora misji kongijskiej.

- Zadzwon, bardzo cię proszę...

Robert MacPherson podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Po chwili rozmowy zwrócił się do Izabelli:

- Jak nazwiska i imiona?

- Jenny Bradley i Susan O'Donnell.

Po krótkiej chwili Robert podziękował rozmówcy i odłożył słuchawkę. Podniósł oczy na Izabellę.

- Jenny Bradley żyje, jest pod opieką Czerwonego Krzyża, jutro zostanie wysłana z grupką innych Amerykanów do ambasady Stanów Zjednoczonych w Brukseli. Susan O'Donnell nie żyje. Zabita przy próbie ucieczki - tak przynajmniej oficjalnie podali.

Izabella milczała. Dobrze, że chociaż biednej Jenny udało się wyjść cało. Piękne miała safari! Zdaje się, że po tych przygodach tak samo będzie kochała Afrykę jak ja.

Izabella pożegnała się z Robertem i zaprosiła go do domu na kolację

- Nic Nicole nie powiem, zrobimy jej niespodziankę, bardzo się ucieszy!

- Iza, oczywiście, z największą przyjemnością, ale dopiero za dwa tygodnie. Jutro jadę do Waszyngtonu, a potem na jakieś dziesięć dni do Europy. Jak tylko wrócę, to się odezwę.

- Tylko nie zapomnij! - Izabella pocałowała Roberta w policzek i wyszła.

Po wyjściu z budynku ONZ-etu powędrowała w kierunku rzeki. Usiadła na ławce z widokiem na Brooklyn, po drugiej stronie East River, i gorzko zapłakała. No więc teraz to już pewne, oficjalnie stwierdzone.

Nie mam nawet czterdziestu lat i po raz drugi jestem wdową. Obaj mężowie leżą w ziemi w Afryce, w tej przeklętej Katandze. Po co pojechaliśmy tam z Richardem? Po co Murray tam jechał? Żeby się wzbogacić - no i pięknie się wszyscy wzbogaciliśmy! I teraz jeszcze ta śmierdząca sprawa z handlem bronią. Bogu dzięki, że mamy rozdzielone majątki. Kochany pan Natanson, Bogu dzięki, że posłuchałam jego mądrych rad, że rozdzieliłam majątki i kontynuowałam własną karierę zawodową. Pięknie bym teraz wyglądała! Byłabym jak wtedy w Salisbury, tyle że już z dwojgiem dzieci, bez środków do życia i bez widoków na przyszłość.

A tak Murraya prosiłam, żeby rzucił ten handel bronią. Zarzekał się, że to zrobił. Tak, tak samo, jak się zarzekał, że mnie kocha - tylko mnie - a w tym samym czasie jeździł do Paryża i Las Vegas z tą Debbie.

Izabella czuła, że jej serce zalewa gorycz. Czy już naprawdę nikomu nie może ufać? Biedny, mały Robbie - będzie teraz musiał rosnać bez ojca. Znowu łzy popłynęły jej po policzkach. Ale myśl o dziecku, jak zawsze, dodała Izabelli sił. Tak, muszę być silna, Robbie i Nicole na mnie liczą, ojców już nie mają, ale mają matkę, która ich nie zawiedzie!

Izabella wstała z ławki i kiwnęła na taksówkę. Za chwilę była już w swoim nowym biurze w American Diamonds.

* * *

Jenny zjawiła się w Rose Hollow bez uprzedzenia. Przywiozła ją pracownica Czerwonego Krzyża. Dziewczyna była wyraźnie w szoku. Uśmiechnęła się tylko do braciszka i pogłaskała go po główce. Innych jakby nie poznawała. Poszła spać do swojego pokoju. Pracownica Czerwonego Krzyża, psycholog - Rosie Stratton na chwilę została, żeby udzielić rad domownikom, jak opiekować się Jenny. Opowiedziała też, co się wydarzyło Jenny i Susan. Początkowo, w nocy, w hotelu w Elisabethville zatrzymani zostali Murray i Dennis Strachey, a także Susan, która spała w łóżku Murraya. Jenny, kiedy rano nie mogła znaleźć ani ojca, ani przyjaciółki, podniosła alarm i wkrótce też została aresztowana. Obu mężczyzn poddano torturom. Chciano wydobyć z nich informacje o finansowaniu rebeliantów Czombego. Na oczach Murraya torturowano również Susan - oprawcy zakładali, że to jego żona - by go zmiękczyć. Ostatecznie, po dwóch dniach całą trójkę zabito. Jenny trafiła do aresztu miejskiego pod zarzutem współpracy z imperialistycznymi agentami. Siedziała tam przez tydzień, w koszmarnych warunkach, w zatłoczonej celi, z wiecznie przelewającym się wiadrem moczu i fekalii oraz gryzącymi ludzi szczurami. Potem została przeniesiona do trochę lepszej celi, z jedną pryczą, gdzie była wielokrotnie gwałcona przez strażników. Prawdopodobnie to jej uratowało życie, ponie-

waż wszyscy inni biali, zatrzymani w miejskim areszcie, zostali zabici od razu pierwszego dnia po odbiciu Elisabethville z rąk Czombego.

Po dziesięciu dniach, dzięki staraniom Czerwonego Krzyża, Jenny wraz z innymi więźniami, wśród których, oprócz niej, nie było już niestety żadnych białych, została uwolniona i przekazana Czerwonemu Krzyżowi.

Izabella i Nicole słuchały w przerażeniu opowieści Rosie Stratton, która na koniec sucho i rzeczowo doradziła obu kobietom, by przez najbliższe dni opiekowały się Jenny - jakby im to trzeba było mówić! - wsiadła do samochodu i odjechała.

Zarówno matka jak i córka poczuły przyływ ciepłych uczuć dla Jenny, całkowicie wyparowała z nich dawna niechęć do dziewczyny. Obie zaczęły płakać.

- Boże, co ona przeżyła! - Izabella nie mogła się otrząsnąć z tego, co usłyszała.

- Musimy jej teraz pomóc - w głosie Nicole brzmiało silne postanowienie - ale jak?

- Dziecko, nie wiem, na razie dajmy się jej wyspać.

Nagle do pokoju wpadł Robbie.

- Mamo, mamó, gdzie jest Jenny? Zapomniała mi dać prezentów. Obiecała mi małego słonika!

- Cicho, Robbie. Jenny śpi, nie ma dla ciebie prezentów, źli ludzie jej zabrali, dobrze, że sama jest cała i zdrowa.

- Mamo, ale ona mi obiecała - Robbie był bardzo zawiedziony.

- Robbie, nie bądź niemądry, przecież chyba nie spodziewałeś się żywego słonika?

- Nie, miał być czerwony, z plastiku, jakiego ma Johnny.

- Co? Czerwony słoń z plastiku? - Nicole roześmiała się na samą myśl. - Robbie, obiecuję ci, że jutro pójdziemy razem do sklepu i kupię ci takiego słonia, jakiego będziesz chciał, obiecuję!

Robbie się rozpromienił.

- Jenny też z nami pójdzie?

- Oczywiście, jeśli tylko będzie chciała i będzie się czuła na siłach. Robbie, musimy jej dać odpocząć, jest bardzo zmęczona.

Nicole wyciągnęła Robbiego do ogrodu, na huśtawkę. Izabella wyszła na taras. Widok spokojnej tafli jeziora i otaczających go wzgórz zawsze działał na nią kojąco. Nie mogła przestać myśleć o tym, co przed chwilą usłyszała. Biedna Jenny, ale równie dobrze mógłby to być los jej i Nicole, gdyby się zgodziła pojechać z Murrayem. To znaczy, za nią, poniekąd w za-

stępstwie, zginęła Susan - Izabella pomyślała o tym z pewną mściwością i zaraz się zawstydzila. Co Susan była winna, głupia dziewczyna, to wszystko wina Murraya. Boże, mam nadzieję, że to, co się stało z Jenny, zniechęci Nicole do planów afrykańskiej wycieczki.

W tym momencie na taras weszła Nicole, już bez Robbiego.

- Mamo, ale co ta Rosie wygadywała o Susan w... w... łóżku Murraya? - Widać było, że to pytanie dręczyło Nicole.

Izabella objęła córkę i opowiedziała jej o wszystkim, czego dowiedziała się w czasie rewizji w biurze Murraya. W tej sytuacji nie było właściwie powodu ukrywać prawdy przed Nicole, była już przecież dorosła, no, powiedzmy, prawie dorosła. Nicole spojrzała na matkę. Obie miały łzy w oczach.

- Nicole, musimy być dzielne. Pamiętasz, co mi powiedziałaś, kiedy uciekałyśmy ze wzgórz Karidu? „Najważniejsze, że jesteśmy razem”, to dalej najważniejsze, mamy jeszcze Robbiego, a teraz, w pewnym sensie, i Jenny. Musimy być dzielne!

- I będziemy! - w głosie Nicole zabrzmiały stalowe nuty.

Znowu przypomniała Izabelli lwicę Lolę, sprężoną do skoku, ze zwięzonymi w szparki oczami. Była dumna z córki. Ta dziewczyna nigdy łatwo się nie podda.

Był piękny wrześniowy dzień. Jeszcze nie jesień, ale już nie sierpniowe upały. Jenny i Nicole leżały, obie pięknie opalone, na leżakach w pobliżu przystani. Jakiś chłopak z sąsiedztwa podpłynął do nich motorówką, ale go zbyły, i to dość nieuprzejmie. Nie potrzebowały męskiego towarzystwa. Przez lato bardzo się do siebie zbliżyły. Jenny powoli dochodziła do siebie po koszmarach Katangi, ale zmieniała się nie do poznania. Była może nawet piękniejsza niż kiedyś. Twarz jej jakby wyszlachetniała, podczas gdy wielkie zielone oczy i kasztanowe włosy zostały te same. Jednak nie było już śladu po dawnej, rozpuszczonej i rozwydrzonej pannicy. Nie odnowiła kontaktów ze swoimi dawnymi znajomymi. W ogóle jakby straciła też zainteresowanie męskim towarzystwem. Izabella doskonale to rozumiała, świetnie pamiętała, jak sama się czuła w Salisbury, choć przecież nikt jej ostatecznie nie zgwałcił - uratowała ją Lola z młodymi!

Nicole też starała się to zrozumieć, choć trudniej jej to przychodziło. Ale może najważniejsze było to, że teraz Jenny garnęła się do rodziny - nie tylko do małego Robbiego, ale też do Izabelli i Nicole. Nikogo nie miała, było to jej jedyne oparcie, stała się miła i pomocna. Wyraźnie się cieszyła, kiedy mogła sprawić przyjemność Izabelli czy Nicole.

Ta zmiana bardzo uradowała Izabellę, która i tak czułaby się w obowiązku zaopiekować dziewczyną, ale o ile łatwiej to było robić w tej nowej sytuacji. Izabella otworzyła serce dla córki męża. Nieraz sobie myślała, jaka głęboka prawda tkwi w powiedzeniu: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. W pewnym sensie tragedia w Afryce uratowała dziewczynę.

Przez całe lato Nicole i Jenny były jak papużki nierozłączki. Rozbijały się po okolicy i po Manhattanie czerwonym kabrioletem Jenny. Pojechały też razem nad morze, do ciotki Jenny, która mieszkała w Cape May. Nigdy jednak nie rozmawiały o przeżyciach Jenny w Afryce, to był temat tabu. Czasami w towarzystwie sprawy te wypływały w rozmowie, ale Jenny zawsze zmieniała temat albo wychodziła. Nicole chciała jej pomóc i nigdy tego tematu nie poruszała. Nie mówiły też o Murrayu. Jenny jakby chciała wymazać z pamięci Afrykę i ojca. Chciała skupić się na przyszłości. Okazała się zdolniejsza do nauki, niżby ktokolwiek przypuszczał. Zdała egzamin na Yale i w październiku zamierzała podjąć studia na tym prestiżowym uniwersytecie.

Ale teraz, na tydzień przed wyjazdem na studia, w ten ciepły wrześniowy dzień, na leżakach, obok przystani, coś się w Jenny otworzyło.

- Pamiętasz Susan O'Donnell? - spytała Nicole, jakby mimochodem.

- Oczywiście. - Nicole spojrzała badawczo na przybraną siostrę.

- Była kochanką Murraya.

- Co ty opowiadasz! - Nicole udała zdziwienie.

- To było obrzydliwe. Nic o tym wcześniej nie wiedziałam. Trochę się zdziwiłam, kiedy ojciec zaproponował, żebyśmy wzięli Susan, ale chętnie się zgodziłam - to była moja przyjaciółka. Już w samolocie dziwnie się zachowywali. Kiedy ja i Dennis Strachey poszliśmy spać w swoich fotelach, oni, z tyłu samolotu, chichotali i pili szampana. Wstałam do toalety, a wtedy odskoczyli od siebie i zamilkli. Kiedy wróciłam na swój fotel i prawie już zasypiałam, znowu usłyszałam z tyłu dziwne odgłosy, niestety coraz bardziej niedwuznaczne. Myślałam, że zwymiotuję. Nienawidziłam ojca.

- Boże - Nicole patrzyła na Jenny szeroko otwartymi oczami - kochali się w samolocie?

- Tak. To była salonka. Z przodu było kilka rozkładanych foteli, na jednym z nich spałam. Z tyłu była półokrągła kanapa, przymocowany do podłogi mahoniowy stół, barek i kilka szafek, z drugiej strony stołu stały jeszcze trzy fotele. Warunki mieli dobre - po raz pierwszy od powrotu z Afryki Nicole usłyszała w głosie Jenny sarkazm - ale ja już nie mogłam zasnąć. Dennis też chyba nie spał, nie wiem, co sobie myślał. Mnie było tak wstyd, że chciałam się zapisać pod podłogę. Potem, po wylądowaniu, już wcale się nie kryli. Susan powiedziała mi, że-

bym się nie wygłupiała i nie udawała takiej świętoszki. Już podobno od roku miała romans z Murrayem. W hotelu mieliśmy trzy pokoje. Jeden dla Dennisa, drugi dla Murraya i trzeci dla mnie z Susan. Ale spałam sama. Już pierwszego wieczoru Susan oświadczyła mi, że będzie spać z Murrayem. Byłam taka upokorzona. Kiedy jeszcze dorzuciła z cynicznym uśmiechem, że jest „światny w łóżku” i że „bardzo jej mnie żal, że muszę spać sama”, czułam się zdradzona i poniżona przez ojca i najbliższą przyjaciółkę. To było straszne, Nicole, jeszcze teraz trudno mi o tym mówić, ale musiałam ci to powiedzieć. - Po raz pierwszy od powrotu z Afryki Nicole zauważyła łzy w zielonych oczach Jenny.

Przytuliła ją do siebie.

- Dobrze, Jenny, że mi to powiedziałaś. Dobrze, że to z siebie wyrzuciłaś.

- Mężczyźni są obrzydliwi - oświadczyła z przekonaniem Jenny.

- Chyba masz rację - Nicole nie była o tym taka przekonana, ale chciała się zbliżyć z przyjaciółką.

- Potem ich w nocy aresztowali. Susan też, bo była w łóżku z Murrayem - w głosie Jenny słychać było nutkę satysfakcji. -

Kiedy rano nie mogłam ich nigdzie znaleźć, podniosłam alarm i wtedy mnie też wsadzili do aresztu. Boże, co to był za koszmar. Leżałam na obświnionej podłodze, w straszliwej duchocie, z kilkunastoma nieszczęśnikami, chorymi, wymiotującymi na siebie. Wśród nas biegały wielkie spalone szczury. Boże, jak sobie o tym pomyślę, to sama nie wierzę, że mogłam to przeżyć.

- Wiem o tym. Rosie, ta kobieta, która przywiozła cię z lotniska, opowiadała nam o twoim więzieniu, kiedy ty poszłaś na górę spać.

- Tak, po uwolnieniu złożyłam zeznanie, które pracownicy Czerwonego Krzyża skrupulatnie spisali. Potem padłam i sama nie pamiętam, co było dalej. Przywieźli mnie do Ameryki.

- Jeszcze najpierw byłaś w Brukseli, tak Rosie nam mówiła.

- Tak, chyba tak. - Jenny już nie płakała, patrzyła na rosnącą przy brzegu jarzębinę, ale widać było, że myślami jest gdzieś daleko. - Nicole, jeszcze coś ci chcę powiedzieć. Jeden ze strażników, olbrzymi krostowaty Murzyn, wyciągnął mnie z tej koszmarnej celi, zaprowadził do innej, gdzie była prycza i otwór w podłodze. Kazał mi się rozebrać i stanąć nad tym otworem. Wylał na mnie pięć kubłów wody, zdrowo się napracował, bo tą wodę przynosił z podwórza. Potem, zgrzany i spocony, usiadł na pryczy i poczęstował mnie butelką ciepłego piwa. Moją sukienkę i bieliznę zwinął w węzełek i położył przy drzwiach celi. Potem zabrał, chyba

sprzedał. Coś do mnie gadał po francusku, ale ja nie znam tego języka. W końcu wstał, rozpiął rozporek i... i... zgwałcił mnie. - Jenny spuściła oczy. - Wiem, Nicole, że zawsze myślałaś o mnie, że jestem rozwydrzona, że puszczam się z każdym na lewo i prawo...

- Eh, już nie przesadzaj - Nicole, mocno zmieszana, zrobiła nieokreślony ruch ręką.

- Tak, tak. Wiem, że tak było. I miałaś rację. Lubiłam seks i myślałam, że jak coś lubię, to mogę to robić i nic nikomu do tego. To samo dotyczyło narkotyków. Bawiłam się dobrze i tylko to było ważne. Was wszystkich miałam w nosie. Wtedy, na tej pryczy, nauczyłam się, że seks może też być koszmarem. Fizycznym bólem i potwornym upokorzeniem. Tych kilku dni nie potrafię ci opisać. Codziennie, trzy, cztery razy, gwałcili mnie, ten pierwszy strażnik i dwóch jego kolegów. Całe dni i noce leżałam na pryczy naga i odrętwiała, obolała, a czasem też zakrwawiona. Chciałam już tylko jak najszybciej umrzeć. Kiedy znowu poleli mnie wodą, kazali włożyć sukienkę, którą zdarli z jakiejś innej nieszczęśnicy, i odprowadzili do samochodu Czerwonego Krzyża, nie potrafiłam się nawet cieszyć. Czułam się zhańbiona, upokorzona, stłamszona. Nicole, nie potrafię ci tego opisać. - Jenny, już spokojna i opanowana, patrzyła w oczy przyjaciółki.

Nicole była wstrząśnięta, niby to wszystko wiedziała, ale co innego wiedzieć, a co innego usłyszeć, i to w szczegółach, od samej Jenny. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Zapadło milczenie. Obie dziewczyny wyciągnęły się na leżakach. Nicole miała łzy w oczach.

Pierwsza odezwała się Jenny.

- Cieszę się, że zrzuciłam z siebie ten ciężar, musiałam ci o tym wszystkim powiedzieć. Co noc mam koszmarne sny. Boję się iść spać. Mężczyźni budzą we mnie obrzydzenie.

- Wcale ci się nie dziwię. Bardzo dobrze, że mi powiedziałaś, ale to wszystko takie potworne, po prostu w głowie się nie mieści, że ludzie mogą być tacy źli.

Miguel Balvarena kilkakrotnie dzwonił do Izabelli po jej powrocie do Nowego Jorku. Izabella starała się być dla niego grzeczna i miła, ale śmierć Murraya i wszystkie towarzyszące temu rewelacje, a do tego śmierć Stuarta Cohena i restrukturalizacja American Diamonds powodowały, że nie miała ani serca, ani głowy do kontynuowania letnich romansów. W głębi czuła się też trochę winna, że w tym czasie, kiedy mąż ginął w Afryce z rąk oprawców, ona flirtowała sobie w Cartagenie. Owszem wiedziała, że Murray zdradzał ją cały czas, a nawet zginął razem z kochanką, ale to nie znaczyło, że ona też się powinna tak zachowywać. Choć na pewno miałyby gorsze wyrzuty sumienia, gdyby Murray dochował jej wierności.

Ale może najważniejsze było to, że była teraz - sześć lat później - praktycznie dyrektorem naczelnym American Diamonds. Wprawdzie oficjalnie prezesem został po śmierci Stuarta Cohena jego bratanek Ronald Cohen, dla zachowania rodzinnego charakteru biznesu, a Izabella była tylko wiceprezesem i CEO, czyli chief executive officer, to jednak na nią spadł cały ciężar kierowania firmą. Ronald Cohen miał czterdzieści pięć lat, był inżynierem, wybitnym fachowcem od obróbki kamieni szlachetnych. Marketing, zarządzanie biurem, zawieranie kontraktów itp. wybitnie go nudziły i od początku zawarł z Izabellą cichą umowę, czyli *gentleman's agreement*, że on będzie prowadził dział produkcyjny, a ona zajmie się zarządem i marketingiem. Ronald Cohen zachował tytuł prezesa ze względu na swoje nazwisko i tradycje firmy, tym bardziej że w dosyć konserwatywnej branży kamieni szlachetnych raziłaby kobieta-prezes, i do tego Polka. Zarówno Izabella, jak i Rada Nadzorcza American Diamonds, a również Ronald Cohen doskonale to rozumieli. Wszyscy byli zadowoleni z istniejącego układu. Izabelli zupełnie nie zależało na tytule prezesa. Zarabiała tyle samo - a nawet trochę więcej, jeśli wliczyć bonusy - co Ronald Cohen. Była też właścicielką dwudziestu procent akcji firmy. Jednym słowem była już milionerką, bez pomocy męża ani nikogo innego. O ile oczywiście nie liczyć kochanego pana Natansona, który rozbudził w niej talent do interesów, Nathana Rosensteina, który ten talent rozwijał, a potem Stuarta Cohena, który go ostatecznie rozdmuchał. Dużo też zawdzięczała Sally Cohen, która jej na początku bardzo pomogła, przede wszystkim w wejściu w dość hermetyczne środowisko biznesu kamieni szlachetnych. Była im wszystkim z całego serca wdzięczna, „Boże, świeć nad ich duszami” - wszyscy oni już nie żyli. Ale swoją obecną pozycję zawdzięczała własnej ciężkiej pracy, inteligencji i talentom organizacyjno-menedżerskim.

Kierowanie koncernem zatrudniającym kilka tysięcy ludzi na całym świecie wymagało wyrzeczeń i choć dawało Izabelli dużą satysfakcję, to jednak znacznie ograniczało życie rodzinne czy towarzyskie, nie mówiąc już o romansowym. Początkowo bardzo to Izabelli odpowiadało. Z zapałem rzuciła się w wir pracy. Pozwalało jej to zapomnieć o Murrayu, o związanych z jego śmiercią aferach, o jego niewierności, o Susan O'Donnell i tak dalej, i tak dalej. Miguela Balvareny też jej nie brakowało.

Teraz znowu siedziała na tarasie Rose Hollow. Znowu był piękny wiosenny wieczór i nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie nagle taki sam wieczór przed sześcioma laty, kiedy na taras wszedł Murray i zaproponował wyjazd do Afryki. *Boże, jak to dobrze, że się wtedy nie zgodziłam i nie pozwoliłam Nicole jechać! Choć on pewnie tego właśnie się spodziewał i na pewno był z siebie bardzo zadowolony, że tak sprytnie się zachował. Biedna Jenny! Na niej się skrupiło.* Izabella wyciągnęła się wygodnie w fotelu. Nieczęsto zdarzały jej się takie chwile całkowitego relaksu. Z country klubu po drugiej stronie jeziora dobiegała muzyka. *Pewnie znowu koniec roku szkolnego, ale mnie to nie interesuje, Robbie ma dwanaście lat, na szczęście jeszcze na zabawy taneczne nie chodzi! Ale jest mały łobuziak, aż strach pomyśleć, co to będzie, jak będzie miał osiemnaście lat!* Chłopak, pod względem charakteru, był ciekawą krzyżówką Nicole i Jenny, obie siostry go uwielbiały i niemiłosiernie rozpuszczały. *I tak cud, że jest jeszcze normalny.* Czasami niepokoiła się Robbiem wychowującym się bez mężczyzny, wśród trzech adorujących go kobiet - to nie może być dla chłopaka dobre. Ale co ma robić? Eh, nie przesadzajmy, mógłby gorzej trafić!

Izabella zadzwoniła po służącą i poprosiła o herbatę. Z córek była bardzo zadowolona, Jenny traktowała już i kochała jak własną córkę. Obie skończyły studia. Nicole pojechała na rok do Paryża kontynuować studia z historii sztuki (na szczęście o Afryce jakby zapomniała i Izabella nie musiała zrealizować obietnicy afrykańskiego safari po skończeniu college'u), a Jenny odkryła w sobie powołanie do służby publicznej i jeszcze przed zakończeniem studiów założyła własną fundację do walki o prawa kobiet. Ani jedna, ani druga nie zdradzały zainteresowania biznesem, ale trudno, nie wszyscy muszą - pocieszała się Izabella - a zresztą obie mają z czego żyć. Jenny odziedziczyła po matce olbrzymią fortunę, którą Izabella pomogła jej mądrze ulokować. Przyszłość, przynajmniej finansową, miała dziewczyna zapewnioną. A Nicole też z głodu nie umrze - pomyślała sobie, nie bez satysfakcji, Izabella - już mama tego dopilnuje!

Obie miały narzeczonych. Jenny, na szczęście, po trzech latach, przeszedł wstręt do mężczyzn. Izabella mogłaby sobie wprawdzie wyobrazić ciekawszych młodych ludzi niż Bobby Landsdale, chłopak Jenny, i Chuck Summers, wybraniec Nicole, ale na razie się tym nie przejmowała. Mają dziewczyny dopiero po dwadzieścia cztery lata, za mąż na razie żadna nie zamierza wychodzić. W tym wieku wszystko może się jeszcze dziesięć razy zmienić!

Na niebie pojawiły się gwiazdy. Izabella skończyła herbatę, ale nie chciało jej się jeszcze iść spać. Przeszła więc do barku i naląła sobie kieliszek koniaku. Nagle przypomniało jej się te kolumbijskie daiquiri, niestety w barku nie miała ani tequili, ani likieru Triple Sec. Muszę jutro powiedzieć, żeby to kupili. To wstyd nie mieć w domu tequili. Widać, że nie ma w domu mężczyzny, nie ma komu zadbać o barek!

Wróciła na taras z kieliszkiem koniaku. Powoli ogarnęła ją melancholia. Dawno już przekroczyła czterdziestkę. To prawda, że miała kochane, udane dzieci, ale czegoś jej brakowało. Tak, nie da się ukryć, brakowało jej mężczyzny, brakowało jej towarzysza życia, partnera, z którym mogłaby teraz podzielić się troską o dzieci czy choćby ponarzekać, że nie ma w domu tequili.

Izabella była ciągle piękna i jak zawsze elegancka. Dbała o siebie i stać ją było na najlepsze fryzjerki, kosmetyki czy stroje. Nadal miała u panów wielkie powodzenie, choć jej fortuna i stanowisko w American Diamonds wielu onieśmiały. Miała nawet dwa przelotne romanse, z maklerem giełdowym z Wall Street i adwokatem z firmy konsultacyjnej zatrudnianej przez American Diamonds, ale to nie było to. Nie chodziło jej o kochanka, doskonale wiedziała, że kochanków może mieć, ilu zechce. Potrzebowała kogoś bliskiego, kto by ją kochał i rozumiał, ale znaleźć takiego kogoś nie było łatwo, szczególnie jak całe życie poświęca się American Diamonds. Wróciła myślami do tych letnich dni w Cartagenie. Ciekawe, co teraz robi Miguel Balvarena? Czy ożenił się? Już od czterech lat o nim nie słyszała. Przez pierwszy rok Nicole spotykała się z Rodrigiem, który studiował w Yale. Chłopak przyjeżdżał do Rose Hollow i czasami coś opowiedział o ojcu, ale potem młodzi ludzie się rozeszli. Izabella nawet żałowała, bo szczerze polubiła młodego Kolumbijczyka z rozmarzonymi, czarnymi oczami, ale nie miała na to wpływu. Wiedziała, że może sobie być ważnym dyrektorem wielkiego koncernu, ale sercem córki nie pokieruje - lepiej nawet nie próbować!

W tej chwili zadzwonił telefon. Izabella spojrzała ze zdziwieniem na zegarek. Była 10:30 wieczorem. Któż to dzwoni o tej porze? Trochę zaniepokojona przeszła do salonu odebrać telefon. Czy coś się stało?

Dzwonił Miguel Balvarena. Izabella nawet się nie spodziewała, że tak jej zabije serce na dźwięk znajomego głosu. Po chwili jednak serce jej zamarło. Rodrigo zginął w wypadku samochodowym na Long Island. Miguel przyjechał po jego zwłoki. Wyłoniły się jednak jakieś problemy prawno-administracyjne i Miguel chciał, żeby mu Izabella doradziła jakiegoś dobrego, nowojorskiego adwokata. Izabella czuła, że Miguel jest załamany. Z całego serca chciała go pocieszyć, ale nie wiedziała jak. To był jego jedyny, ukochany syn. Rozmawiali ponad godzinę. Izabella obiecała mu, że jutro z samego rana się tym zajmie i załatwi mu najlepszego możliwego adwokata z koneksjami we władzach Long Island. Potem przyjedzie do niego do hotelu na śniadanie.

Izabella odłożyła słuchawkę i poszła na górę, do sypialni. Co za straszne nieszczęście, taki był miły, udany chłopiec. Izabella nastawiła budzik na szóstą rano. O ósmej musi być na Manhattanie. Ciągle miała przed oczami uśmiechniętego Rodriga i zapatrzoną w niego jak w obrazek Nicole. Biedny Rodrigo, już nigdy się do nikogo nie uśmiechnie. Izabella wtuliła się w poduszkę i cicho zapłakała. Nie mogła spać. Postanowiła zadzwonić do Nicole, do Paryża. Trudno, obudzi córkę, ale musi jej to powiedzieć. Wiadomość o tragicznej śmierci Rodriga była dla Nicole nie mniejszym ciosem niż dla Izabelli. Bardzo go kiedyś kochała. Postanowiły, że obie pojedą na pogrzeb Rodriga do Cartageny.

* * *

Śmierć Rodriga ponownie zbliżyła Izabellę do Miguela Balvareny. Bardzo się wzruszył przyjazdem matki i córki na pogrzeb jego syna. Widać było, że to dla niego dużo znaczyło.

Izabella zaprosiła go do Rose Hollow, do Nowego Jorku. Obiecał, że jak tylko będzie mógł, to przyjedzie.

Izabella i Nicole znowu siedziały razem w samolocie wracającym z Cartageny. Popijały mimosy. Znowu zaczęły wyświetlać kronikę filmową.

- Ciekawe, co tam dzisiaj wypatrzysz - Izabella nawiązała do lotu sprzed pięciu lat.

- Wolę już nawet nie patrzeć - Nicole uśmiechnęła się i zagłębiła w zakupiony na lotnisku tygodnik „Cosmopolitan”.

Izabella patrzyła przez okno na szmaragdowe morze, mijali właśnie jakąś malowniczą wyspę. Spojrzała na mapkę lotu dołączoną do menu. To musi być Jamajka, słynna niegdyś wyspa piratów. Stąd wyruszali na swoje łupieżcze wyprawy. Aż trudno uwierzyć, że to łagodne morze i malownicze wyspy, dosłownie raj na ziemi, były przez całe wieki scenerią krwawych walk Hiszpanów z Anglikami, Francuzów z Holendrami, Europejczyków z karaibskimi Indianami, piratów z wszystkimi innymi.

Izabella napiła się łyk mimosy, rzuciła okiem na ekran i trąciła łokciem Nicole.

- Popatrz, popatrz na tę rewolucjonistkę!

Na ekranie widać było wiec w Nowym Jorku i przemawiającą z trybuny Jenny.

- Ho, ho, ho, z tym rozwianym włosom naprawdę wygląda jak La Passionaria - Nicole uśmiechnęła się. - Ale ma świętą rację, to skandal, jak się w tym kraju traktuje kobiety.

- Oj, już nie przesadzaj, popatrz na mnie, jestem, było nie było, szefową dużego koncernu, a chyba zgodzisz się, że jestem też kobietą?

- Jesteś wyjątkiem potwierdzającym regułę.

- No, już dobrze, dobrze... ale posłuchajmy, co ona mówi!

Na zakończenie przemówienia Jenny oświadczyła, że zmienić sytuację może tylko więcej kobiet we władzach i w Kongresie USA. W związku z tym, ona - Jenny Bradley - postanowiła przyjąć propozycję nowojorskiego oddziału Partii Demokratycznej i ogłasza swą kandydaturę na posła z Brooklynu do Izby

Reprezentantów Kongresu USA. Po burzliwych oklaskach i okrzykach „Run, Jenny, run!” na podium wszedł przystojny szpakowaty mężczyzna, w wieku około sześćdziesięciu lat.

- Kto to jest? - zapytała Nicole.

- Jak to, nie poznajesz? Senator Pat Dillon, kupił sobie niedawno dom w Tuxedo Park.

- Naprawdę? Który?

- Z drugiej strony jeziora. Niedaleko country klubu. Mieszkała tam ta stara arystokratka z Luksemburga.

- A co, umarła?

- Nie, ale posłuchaj senatora Dillona.

„Z wielką radością udzielam swego poparcia Jenny, która choć młoda wiekiem, jest dojrzałą duchem patriotką amerykańską, zasłużoną dla kobiet Nowego Jorku. Będzie nas na pewno wspaniale reprezentować w Waszyngtonie! My, nowojorczy, lubimy bić rekordy. Wybierając Jenny Bradley, ustanowimy rekord - będziemy mieli najmłodszą reprezentantkę w Kongresie!”.

Nicole spojrzała z niedowierzaniem na matkę.

- Czy oni zwariowali, Jenny w Kongresie?

- A dlaczego by nie? - Izabella roześmiała się. - Czasy się zmieniają, a Jenny doskonale się nadaje, w tym roku skończyła studia, jest bystra i inteligentna, na pewno będzie lepszą reprezentantką niż ten głupek Matt Krantz.

- To nie sztuka - Nicole też się roześmiała, przypominając sobie wszystkie głupie dowcipy krążące po Nowym Jorku o dotychczasowym reprezentancie Brooklynu. - Mamo, ale w takim razie ja chyba też skończę studia i włączę się do kampanii wyborczej Jenny.

- Jak chcesz, pewnie się tam więcej nauczysz o życiu niż w Paryżu. Ale wiesz co, teraz rozumiem, dlaczego Jenny tak chciała zorganizować w Rose Hollow wielki bankiet połączony ze zbiórką pieniędzy dla Partii Demokratycznej. Myślałam, że to senator Dillon będzie główną atrakcją, ale teraz widzę, że będzie miał konkurencję! - Izabella była wyraźnie podniecona, bardzo jej się podobała myśl o kandydowaniu Jenny.

Entuzjazm matki udzielił się córce.

- Mamo, ale musimy jej powiedzieć, żeby sobie przed przemówieniem lepiej upinała włosy, bo tak wygląda jak jakaś zwariowana sufrażystka.

- Masz rację. Ta sukienka też nie była najlepsza. Pójdziemy z nią na zakupy. Musi mieć kilka przyzwoitych kostiumów, żeby wyglądać profesjonalnie.

Reszta lotu zeszły matce i córce na planowaniu aspektów praktycznych kampanii wyborczej Jenny.

Jenny zorganizowała przyjęcie w Rose Hollow z prawdziwie nowojorskim rozmachem. Schodzące do jeziora tarasy rozświetlone były kolorowymi lampionami. Głównym motywem dekoracji został osioł, symbol Partii Demokratycznej. Przy wejściu witał gości wspaniały osioł z papier mâché, a małe rozbrykane osiołki ozdabiały stoły.

- Wolałabym chyba, żeby Jenny startowała z ramienia Partii Republikańskiej - powiedziała Izabella, patrząc na srebrnego osła, służącego za podstawę tacy z kieliszkami.

- Mamo, co ty opowiadasz, dlaczego? - Nicole była szczerze zdziwiona.

- Bo jakoś ładniej by tu było, jakby wszystko było udekorowane w słoń. Nie uważasz?

Obie się roześmiały. Faktycznie słoń, symbol Partii Republikańskiej, jest może bardziej dekoracyjny od osła. Izabella pomagała Jenny, witając gości i pełniąc honory domu. Ubrała się w elegancką czarną suknię, z niewielkim dekoltem i pięknym, złotym paskiem. Na szyi miała wspaniałą kolia z brylantów, prawdziwą chlubę American Diamonds. Na stopy włożyła złociste szpilki pasujące kolorem do paska i torebki. Figurę miała może trochę pełniejszą niż dwadzieścia lat temu, ale ciągle jeszcze była bardzo atrakcyjną kobietą. Wspaniałe złocistorude włosy i duże niebieskie oczy nic nie straciły ze swego powabu. Czarujący uśmiech był też zawsze ten sam.

Izabella powitała senatora Pata Dillona, honorowego gościa wieczoru.

- Bardzo się cieszę, że znalazł pan czas, żeby do nas przyjść. Bardzo dziękuję też za pomoc, jaką okazuje pan Jenny, bez pana poparcia nie miałyby w tych wyborach żadnych szans.

- To ja bardzo dziękuję za zaproszenie. Jenny jest wschodzącą gwiazdą Partii Demokratycznej, jeszcze nieraz Ameryka o niej usłyszy, to dla mnie prawdziwy honor, że mogę przewodniczyć jej kampanii wyborczej - senator Dillon nie spuszczał oka z Izabelli, widać było, że zrobiła na nim duże wrażenie.

Przystojny starszy pan, najpopularniejszy i najbardziej wpływowy polityk w Nowym Jorku, podobał się też Izabelli. Potrafiła docenić jego elegancję. Trochę jej przypominał ojca, tak samo się uśmiechał, lekko mrużąc oczy.

Izabella witała kolejnych gości, a Jenny poprowadziła senatora Dillona przez hall i salę balową w kierunku tarasu. Przez całą wieczór Izabella, przechodząc od jednej grupki gości do drugiej, rozmawiając i czyniąc honory domu, wpadała, niby to przypadkiem, na senatora Dillona, który też najwyraźniej interesował się panią domu. Oboje czuli, że mają się „ku sobie”, ale na tak dużym przyjęciu trudno było o chwilę prywatnej rozmowy, szczególnie pani domu i gościowi honorowemu. Ciągle ktoś podchodził do Izabelli i każdy chciał choć chwilę porozmawiać z senatorem Dillonem. W czasie rozmowy z grupką działaczy Partii Demokratycznej Jenny powiedziała, że Izabella jest Polką. Pat Dillon szybko podchwycił ten wątek, proponując Izabelli, by pomogła Jenny, a także jemu w kampanii wyborczej w środowiskach polonii amerykańskiej, dość licznych zarówno na Brooklynie, jak i w stanie Nowy Jork. Izabella początkowo się wzbraniała, mówiąc, że nie ma żadnego doświadczenia politycznego, ale idea wspólnych wystąpień czy wyjazdów w teren z Patem Dillonem bardzo jej się podobała. Tym bardziej że kobiecy instynkt podpowiadał jej, że to nie tylko o politykę tu chodzi. Uzgodnili, że Pat Dillon zadzwoni na drugi dzień i omówią szczegóły. Jenny była zachwycona gotowością Izabelli do udziału w kampanii wyborczej. Nicole nie całkiem rozumiała, skąd w matce nagle ten entuzjazm do polityki, ale też zadeklarowała Jenny swoją pomoc.

- Teraz już o nic się nie boję. Z takim wsparciem na pewno wygram! - uśmiechnęła się Jenny.

Kelner podszedł z tacką kieliszków z szampanem. Wszyscy wzięli po jednym i senator Dillon wznosił toast.

- Za następną reprezentantkę Brooklynu w Kongresie Stanów Zjednoczonych - Jenny Bradley!

Izabella ucieszyła się, słysząc w słuchawce głos Miguela. Był w Nowym Jorku, zatrzymał się w hotelu Plaza. Dodatkowo zyskał w jej oczach. Zachował się taktownie i nie skorzystał z zaproszenia, by zatrzymać się u niej w domu. Lubiła Miguela, ale oczywiście tak było wygodniej, dla obu stron mniej kłopotliwie, tym bardziej że dziś miał wpaść do Tuxedo Park senator Dillon. Miguel miał do załatwienia jakieś interesy, więc umówili się na spotkanie za dwa dni.

Izabella uśmiechnęła się do siebie. Jeszcze nie tak dawno rozczulała się sama nad sobą, że brak w jej życiu mężczyzny, a teraz pojawiło się dwóch. Obaj wyraźnie nią zainteresowani, obaj atrakcyjni i bardzo zamożni, ale to już było dla Izabelli najmniej ważne. *O tym nie muszę myśleć* - stwierdziła nie bez satysfakcji.

Na jej biurku znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to recepcjonistka, która informowała Izabellę, że do biura przyszły jej córki. Izabella złożyła papiery na biurku i powiedziała sekretarce, że wychodzi i już dzisiaj do biura nie wróci. Była umówiona z Nicole i Jenny na zakupy. Miały wyposażyć w stosowne stroje „przyszłą reprezentantkę Nowego Jorku w Kongresie Stanów Zjednoczonych”. Jenny była śliczna, bystra i bardzo inteligentna, ale nie potrafiła dobrze się ubrać. Zdawała sobie sprawę z tej słabości i dlatego była bardzo zadowolona z pomocy Izabelli i Nicole, które nie tylko umiały, ale też lubiły ładnie się ubrać. Jenny żartowała sobie wprawdzie, że to na pewno ich „europejskie geny dobrego smaku”, ale rzeczywiście miała do ich gustu pełne zaufanie. Z kolei Izabellę nieraz zastanawiało, jak to jest możliwe, by takiej miłej, inteligentnej i mądrej dziewczyny nie raziała kombinacja seledynowych spodni, białego paska i jaskrawoniebieskiej bluzki! Natomiast Nicole kochała piękne stroje i całkiem poważnie rozważała możliwość, że po skończeniu studiów zostanie projektantką mody.

Izabella z góry zamówiła w kilku eleganckich domach mody prywatne pokazy dziennych kostiumów, a także sukienek koktajlowych i sukien wieczorowych.

Zeszło im na tym całe popołudnie, ale Jenny miała już teraz naprawdę elegancką garderobę. Kupiła pięć kostiumów i osiem sukienek na różne okazje. Izabella i Nicole też wzbogaciły swoje kolekcje strojów. Izabella kupiła sobie szary kostium do pracy i elegancką suknię wieczorową, a Nicole dwie sukienki, spódnicę i bolerko. Zakupione pudła i worki ledwo się zmieściły do samochodu Izabelli. Dziewczyny postanowiły jeszcze kontynuować zakupy potrzebnych akcesoriów, jak torebki, paski itd., ale Izabella musiała już wracać do domu, bo o siódmej miał wpaść do Rose Hollow senator Dillon.

- Mamo, tylko go nie uwiedź - zażartowała Nicole. - Pamiętaj, że to sponsor Jenny!

Izabella bezwiednie zaczerwieniła się.

- Co ty bzdurzysz, wiesz przecież, że mamy omówić kampanię wyborczą w środowiskach polonijnych.

- Ja bym się wcale nie zdziwiła, jakby to on mamę uwiódł, jest taki przystojny! - zawtórowała Jenny.

- Eh, dziewczęta, kiedy wy spoważniejecie!

- Ja to nie wiem kiedy - odpowiedziała Nicole - ale Jenny na pewno spoważnieje w Waszyngtonie, wśród dostojnych członków Izby Reprezentantów.

- No, to jeszcze zobaczymy, choć po tych zakupach czuję się pewniejsza sukcesu! - Jenny rzeczywiście wspaniale się prezentowała w jednym z nowo zakupionych kostiumów.

W drodze do domu Izabella myślała o Pacie Dillonie i Miguelu Balvarenie. Pod niektórymi względami byli do siebie podobni - obaj pod sześćdziesiątkę i szpakowaci - ale także różnili się bardzo. Miguel był bardziej marzycielski, trochę bujał w obłokach, podczas gdy Pat stał twardo na ziemi, był ambitnym, rasowym politykiem. Każdy z nich podobał się Izabelli na swój sposób. Czowała jednak, że prędzej czy później będzie musiała dokonać wyboru. *Eh, już nie przesadzaj, na razie Miguel przyjechał do Nowego Jorku w jakichś swoich sprawach biznesowych, a Pata dopiero co poznałaś, wcale nie wiadomo, czy mu się tak bardzo podobasz* - Izabella próbowała racjonalnie myśleć, ale kobiecy instynkt mówił jej, że znalazła się w sytuacji - jak to mówią Francuzi - *embarras de richesse!*

* * *

Miguel Balvarena cieszył się Nowym Jorkiem jak dziecko. Najbardziej podobało mu się to, że nie rozpoznawano go na ulicy, ginął w tłumie. Nie był już najważniejszym i najbogatszym obywatelem Cartageny, jeżdżącym wszędzie limuzyną w obstawie goryli, pilnującym się ciągle, co robi i co mówi. Nikt go tu nie znał. Był po prostu anonimowym przechodniem, jakich w Nowym Jorku miliony. Izabellę trochę śmieszył, a trochę rozczulał ten entuzjazm dla „zwyczajności”, ale zdała sobie sprawę z tego, że właściwie ona też już dawno zapomniała o drobnych przyjemnościach przeciętnego nowojorczyka. Od lat nie kupiła hot doga od ulicznego sprzedawcy, nie wstąpiła na kubek kawy do baru na rogu ulicy, nie położyła się na trawie w parku. Życie upływało jej w luksusowo urządzonym, nowoczesnym biurze, w limuzynach, w eleganckich restauracjach i klubach. Nawet jak szła z córkami na zakupy, to już nie buszowały, jak kiedyś, po stoiskach wielkich domów towarowych, a organizowano dla nich specjalne pokazy w najelegantszych domach mody. Izabella nie narzekała, lubiła swoje życie w dostatku i

luksusie, ale musiała przyznać, że coś jednak traciła, całkowicie wyobcowując się z życia szarych obywateli Nowego Jorku.

Chętnie więc włączyła się do zabawy Miguela w „zwyčajnego człowieka”. Pojechali razem promem z Manhattanu na Staten Island i z powrotem. W porach największego ruchu prom przewoził mieszkańców Staten Island pracujących na Manhattanie, ale poza tym była to ulubiona, bo prawie darmowa - w jedną stronę przejazd kosztował dwadzieścia pięć centów, a wracało się na koszt miasta Nowy Jork - przejażdżka dla turystów i nowojorczyków pragnących nacieszyć się wspaniałymi widokami Manhattanu i Statui Wolności. Na promie Miguel zaprosił Izabellę na hot doga z frytkami i coca-colę. Ale żeby dostać te „frykasy” musiał najpierw postać w kolejce i przepchnąć się do lady z serwetkami i keczupem. Izabella chichotała jak nastolatka, patrząc na multimilionera balansującego z papierowym talerzykiem z hot dogiem w jednej ręce, a drugą usiłującego wcisnąć z małego plastikowego pojemniczka trochę keczupu. Usiedli na ławce i patrzyli na mijaną powoli majestatyczną Statuę Wolności. Miguel patrzył zafascynowany i nie zauważył, że przechyla papierowy talerzyk i keczup kapie mu na spodnie. Izabella troskliwie zajęła się plamą, wycierając ją serwetką umoczoną w coca-coli, a potem jedwabną chusteczką, którą wyjęła z torebki. Wyglądali jak para turystów w średnim wieku, dajmy na to z Oklahomy, zwiedzających Nowy Jork. Bawili się świetnie. Izabelli przypomniało się powiedzenie jej matki, która lubiła mówić, że „nieważne gdzie się jedzie, ale z kim”. Święta racja!

Po zejściu z promu poszli spacerem przez Battery Park. Miguel kupił Izabelli bukiet kwiatów od ulicznego sprzedawcy i loda na patyku. Izabella pocałowała go z wdzięczności w policzek. Czuli się jak licealiści na pierwszej randce. Usiedli na ławce z widokiem na rzekę Hudson i pływające po niej łódki. W dali widać było Ellis Island, wyspę, która w ciągu półwiecza była dla milionów emigrantów z Europy bramą wjazdową do Nowego Jorku i Ameryki. Miguel objął ramieniem Izabellę i lekko pocałował. Zastygła przyjemnie zaskoczona, a rozpuszczające się lody kapały na sukienkę. Oboje się roześmieli. Izabella raz jeszcze wyjęła z torebki jedwabną chusteczkę, a Miguel podskoczył do stojącego nieopodal ulicznego sprzedawcy napojów orzeźwiających i po chwili był z powrotem z butelką wody sodowej. Udało się zetrzeć plamę.

- Jeszcze trochę tak pochodzimy i oboje będziemy musieli pójść do pralni - zażartowała Izabella.

- Doskonale - powiedział Miguel - zapraszam do mojego hotelu. Przeberzemy się w szlafroki, zadzwonimy po waleta i za godzinę będziemy mieli ubrania pięknie uprane i uprasowane!

- Już za godzinę? - droczyła się Izabella. - Miałam nadzieję, że dostaniemy trochę więcej czasu dla siebie!

- Jak zjemy jeszcze kilka hot dogów i lodów na patyku, to będziemy mieli tak pobrudzone ubrania, że pranie zajmie więcej czasu - roześmiał się Miguel.

Izabella spojrzała na zegarek. Była już trzecia po południu.

- Miguel, muszę już iść, chętnie zjadłabym z tobą jeszcze kilka lodów na patyku, ale o czwartej mam w biurze ważne spotkanie. Muszę już iść.

Miguel odprowadził Izabellę do taksówki i obiecał, że w niedzielę przyjedzie na cały dzień do Rose Hollow.

* * *

Wiec przedwyborczy Partii Demokratycznej w polskiej dzielnicy Brooklynu - Greenpoint zorganizowano w sali gimnastycznej miejscowej szkoły. Izabella przyjechała na spotkanie z wyborcami limuzyną, w towarzystwie senatora Pata Dillona i „wschodzącej gwiazdy” Partii Demokratycznej - Jenny Bradley. Sala udekorowana była osłami, czyli symbolami partii, oraz flagami Stanów Zjednoczonych i Polski. Izabella wzruszyła się, słysząc wszędzie wokół siebie język polski. Najpierw wystąpił organizator spotkania, przedstawiciel Polsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej, który przedstawił zebranym Izabellę Bradley, dyrektorkę naczelną koncernu American Diamonds, Polkę i „zasłużoną działaczkę Partii Demokratycznej, która tyle zrobiła dla Polski i polonii nowojorskiej”. Izabella lekko się zaczerwieniła, czuła się podobnie jak kilkanaście lat temu, kiedy Stuart Cohen przedstawiał ją jako „bohaterską dziewczynę ratującą Żydów z narażeniem własnego życia”. Teraz jednak, po latach spędzonych w Nowym Jorku, Izabella nauczyła się, że tu, w Ameryce, taka przesada nikogo nie razi, a nawet jest koniecznym elementem zarówno polityki, jak i biznesu. Izabella, bogatsza doświadczeniem, tym razem nie stropiła się, a nawet wręcz przeciwnie, wczuła się w rolę działaczki politycznej. Doskonale też zdawała sobie sprawę z tego, że świetnie się prezentuje w nienagannie skrojonym ciemnym kostiumie, pięknym bursztynowym naszyjniku i z elegancko upiętymi bujnymi blond włosami. Wyszła więc swobodnie na podium, zdając sobie nagle sprawę z tego, że po raz pierwszy w życiu będzie przemawiać do większej grupy ludzi po polsku. Wcale jej to jednak nie stropiło, uśmiechnęła się ciepło do zebranych, wygłosiła z elegancją i przekonaniem przygotowane wcześniej krótkie przemówienie, chwalać zasługi i doświadczenie Pata Dillona, a także pracowitość i za-

pał Jenny Bradley, która „z dumą to państwu mówię, jest moją córką!”. Po burzliwych oklaskach krótko przemówili, po angielsku, Pat Dillon, a potem Jenny, chwając Greenpoint i wkład polonii amerykańskiej, a w szczególności nowojorskiej, w budowę pomyślności USA. Zaczęły się pytania z sali. Jakaś starsza pani chciała wiedzieć, kiedy będzie uruchomiony prom z Greenpoint na Manhattan. Pat Dillon odpowiedział na to z całkowitym przekonaniem, że Partia Demokratyczna jest całym sercem za uruchomieniem promu, ale uniemożliwiają to republikańscy mający przewagę w legislaturze stanu Nowy Jork; wraz z wygraną demokratów sprawa promu stanie na porządku dziennym. Jenny odpowiedziała na pytania dotyczące nowej szkoły i przerywania ciąży. Wtem podniósł się jakiś starszy pan siedzący na końcu sali i tubalnym głosem zapytał:

- Kiedy wreszcie rząd USA potępi oficjalnie bolszewickich zbrodniarzy z Katynia?

Jenny się mocno zmieszała, bo w ogóle nie wiedziała, o co chodzi, ale w sukurs przyszedł jej Pat Dillon, który jako stary wyjadacz polityczny doskonale znał sprawę Katynia - już nieraz poruszano ją na jego spotkaniach z wyborcami polonijnymi.

- Ma pan absolutną rację. To prawdziwy skandal, że rząd USA nie złożył w tej sprawie oficjalnego potępienia. Ale pragnę tu wszystkim zapewnić, że złożyłem w Senacie projekt ustawy w tej sprawie, wraz z senatorami Morrisonem z Illinois i Rohrbacherem z Ohio. Uchwała Senatu jest pewna, mamy dosyć głosów poparcia i prezydent będzie musiał ją podpisać. To już tylko kwestia czasu. Te sprawy w Senacie posuwają się bardzo wolno, ale obiecuję państwu, że osobiście tego dopilnuję. Okazanie przez Stany Zjednoczone należytego szacunku polskim bohaterom pomordowanym przez bolszewików w lasu katyńskim leży mi na sercu.

Znowu podniosły się burzliwe oklaski. Izabella patrzyła z podziwem na Patę Dillona. Był tak dobrze zorientowany w polskich sprawach i potrafił mówić z takim przekonaniem. Chociaż z Jenny też była dumna, o Katyniu może i nie wiedziała, ale ma czas - jeszcze się dowie - natomiast z innymi sprawami naprawdę świetnie sobie radziła. No i wspaniale się prezentowała w jasnoszarym kostiumie z dość krótką spódnicą i piękną czerwoną różą. Wyglądała świeżo i młodo, a zarazem profesjonalnie. Widać było, że zjednuje sobie ludzi i budzi zaufanie.

Po wiecu Pat Dillon zaprosił Izabellę na kolację do klubu Uniwersytetu Harwardzkiego na Manhattanie. Na przygotowanie stolika czekali parę minut w pięknym, staroświeckim barku, gdzie wszyscy wydawali się znać senatora Dillona. Izabella zamówiła kieliszek białego wina Chardonnay, a Pat whiskey and soda. O prywatnej rozmowie nie było jednak mowy, wszyscy witali się z senatorem i z zaciekawieniem przyglądali Izabelli. W oczach wielu ciekawskich

wyraźnie malowało się pytanie: kto to jest? Czy to jakaś nowa flama senatora Dillona? Izabella czuła się trochę skrepowana. Wprawdzie przyzwyczaiła się do życia w wielkim świecie, ale jednak pierwszy raz była, niejako na randce, ze sławnym politykiem. Nagle zdała sobie sprawę, że na drugi dzień może się pojawić w „New York Post” jej zdjęcie z senatorem Dillonem, z takim na przykład podpisem: „Kolejna zdobycz senatora Dillona” albo „Kto to jest ta biuściasta blondyna?”. Izabelli ciarki przeszły po plecach. Wcale jej taka perspektywa nie cieszyła. Na szczęście przyszedł maître d'hôtel i zaprowadził ich do stolika w ustronnym miejscu, w rogu sali.

Nareszcie byli sami. Pat okazał się czarującym mężczyzną, takim właśnie, na jakiego wyglądał. Izabella czuła się z nim swobodnie. Rozmawiali wesoło o wszystkim, oczywiście o polityce, ale także o dzieciach, o Jenny, o interesach. Widać też było, że jest zafascynowany Izabellą, co wcale jej nie przeszkadzało.

Izabella jadła homara z Maine z topionym masłem i młodymi kartofelkami. Pat zamówił krwisty befsztyk w stylu teksaskim, „lepiej idzie po whiskey” - jak twierdził. Na deser Izabella zjadła swój ulubiony włoski deser tiramisu, a Pat uznał, że po tym olbrzymim befsztyku ma już tylko miejsce na kieliszek armaniaku.

- Izabella, muszę ci coś powiedzieć. - Pat Dillon położył dłoń na rękę Izabelli. - Jednym z uroków życia polityka jest to, że spotyka się ciągle nowych ludzi, często ciekawych, czasem mądrych i wpływowych. Spotyka się też piękne kobiety, które niejako naturalnie dryfują ku politykom.

- „Piękne kobiety” to nie ludzie „często ciekawi, czasem mądrzy i wpływowi”? Czy to może jakaś inna kategoria ludzi? - Izabella uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że to ludzie - Pat też się uśmiechnął - choć niewątpliwie inna kategoria, lepsza i piękniejsza! Ale posłuchaj, co ci chcę powiedzieć. Mam sześćdziesiąt dwa lata i jak mówiłem, spotkałem w życiu wiele pięknych kobiet. Przyznam się, że byłem dość cyniczny. Dwa razy naprawdę się zakochałem, a było to ponad trzydzieści lat temu. Od tego czasu kobiety traktowałem, można by rzec, instrumentalnie, jako miłe i przyjemne narzędzia zaspokajania moich męskich potrzeb i próżności, a także towarzyskich i politycznych ambicji. Po dzisiejszej kolacji z tobą czuję, że po raz pierwszy, od ponad trzydziestu lat, spotkałem kobietę nie tylko piękną i atrakcyjną, ale także duchowo mi bliską, z którą pragnąłbym nie tylko cielesnego zbliżenia, ale także, a może nawet przede wszystkim, duchowego partnerstwa, przyjaźni. Z tobą mogę rozmawiać o wszystkim, czuję się swobodnie i dobrze mi z tym. Nie bardzo wiem, jak to

ując w słowach, ale ma to dla mnie olbrzymie znaczenie. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz - Pat Dillon spojrzał Izabelli głęboko w oczy.

- Chyba rozumiem - Izabella uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę spod dłoni Pata i napiła się kawy.

Patrzyła na eleganckiego starszego pana, na jego inteligentne oczy i, jak sam przyznawał, „lekkocyniczny” uśmiech. Właściwie wszystko w nim podobało się Izabelli, jego szlachetne rysy, jego ciepły uśmiech, a także dowcip i inteligencja. Nie mogła się jednak oprzeć nieco, jak by to powiedział Pat - „cynicznym” - myślom. Czy jest szczery? Czy to samo opowiada każdej kobiecie, którą zaprosi na kolację do klubu harwardzkiego? Wprawdzie mówi pięknie i z przejęciem, ale tak samo pięknie i z przejęciem łągał na wiecu przedwyborczym na Greenpoint o planach uruchomienia promu. Od tego jest politykiem. Izabella nie była już podlotkiem, nie od dziś mieszkała w Nowym Jorku i takie rzeczy rozumiała. *Tak czy owak, podoba mi się - pomyślała - a czy jest szczery, to się okaże. Przecież ślubu z nim jeszcze nie biorę!*

- Ja też bardzo miło spędziłam z tobą ten wieczór - Izabella spojrzała Patowi w oczy. - Mam nadzieję, że jeszcze mnie kiedyś zabierzesz na jakiś wiec, ale teraz muszę już iść. Czeka mnie godzinna jazda do domu w Tuxedo Park.

- Na pewno zaproszę! I nie tylko na wiec! - Pat objął Izabellę, odprowadzając ją do wyjścia z klubu.

- Dobranoc, do zobaczenia. - Izabella pocałowała Pata w policzek i wsiadła do czekającego samochodu.

Lubiła te wieczorne powroty do Tuxedo Park. Całą godzinę miała tylko dla siebie. Mogła przemyśleć wydarzenia dnia i zaplanować jutrzejszy dzień. Mogła przeczytać gazetę czy też przejrzeć papiery, z którymi nie zdążyła zapoznać się w biurze.

Mogła też po prostu wyciągnąć się i w pełni zrelaksować. Nikt jej nie zawracał głowy, nie musiała „dobrze wyglądać” ani odpowiadać na głupie pytania. Od szofera oddzielała ją szyba i zasuwana firanka. Miała tu swój własny, prywatny świat, i bardzo to lubiła.

* * *

Jenny była dumna z matki i jej wystąpienia na Greenpoint, ale trochę ją niepokoiło wyraźne zbliżenie Izabelli i senatora Dillona. Miała ku temu powody.

Jenny, po trzech latach intensywnej i bardzo kosztownej terapii u najlepszych nowojorskich psychologów, udało się w pewnym stopniu przezwyciężyć skutki przeżytego w Afryce koszmaru. Nie odczuwała już fizycznego wstrętu do mężczyzn, tak silnego zaraz po powrocie do kraju, ale nadal miała pewne emocjonalne czy psychiczne zahamowania. Nie była w stanie

wzbudzić w sobie prawdziwego szacunku, nie mówiąc już o prawdziwej miłości, do mężczyzny. Doprowadziło to do tego, że mężczyzn, którzy ze względu na jej urodę i wdzięk Ignęli do niej jak muchy do lepu, traktowała miło i przyjaźnie, ale trochę, jakby to ujął senator Dillon, „instrumentalnie”. Innymi słowy potrafiła zaprzęgać mężczyzn do działania na rzecz własnej kariery, a chętnych nigdy nie brakowało.

Po skończeniu prawa i odkryciu w sobie bakcyła do służby publicznej Jenny pracowała przez rok, jako wolontariuszka, w biurze senatora Pata Dillona. Chciała się w ten sposób więcej nauczyć o pracy ustawodawców, poznać politykę niejako „od kuchni”. Była pojętną uczennicą. Szybko wpadła szefowi w oko. Przez kilka miesięcy była kochanką senatora Dillona, który stał się też jej mentorem, a następnie cennym doradcą i pomocnikiem w realizacji jej własnych ambicji politycznych. Krótko mówiąc, stał się ważnym stopniem w jej karierze politycznej i tak też go traktowała. Jenny ten układ odpowiadał, a senator Dillon również był zadowolony z pięknej i „uczynnej” dziewczyny w swoim biurze, która nie robiła mu żadnych scen czy wymówek i nie liczyła na „dozgonną miłość” z jego strony.

Jenny szanowała i podziwiała Pata Dillona jako senatora i polityka, ale doskonale zdawała sobie sprawę z jego słabości jako mężczyzny i człowieka. Bardzo się cieszyła, że udało jej się wyciągnąć go na przyjęcie do Rose Hollow, a także z tego, że polubiła go Izabella. Taki „sojusz” był Jenny bardzo na rękę. Jednak zupełnie nie przewidziała możliwości poważniejszego zbliżenia między Izabellą i Patem Dillonem. Jenny naprawdę kochała swoją przybraną matkę i życzyła jej jak najlepiej. Wiedziała też, że pod przykrywką silnej i przebojowej dyrektorki American Diamonds i światowej damy kryje się złote serce czulej i delikatnej kobiety. Bała się teraz, że jeśli Izabella za bardzo się uczuciowo zaangażuje, to Pat Dillon zrani jej serce. Nie miała żadnych złudzeń co do stałości uczuciowej senatora. Co więcej, w takiej sytuacji matce mogłoby być przykro, gdyby się dowiedziała o romansie Jenny z Patem Dillonem. Na pewno by też nie pochwaliła wyrachowania Jenny, traktującej słabości senatora jako szczebel do własnej kariery.

Co robić? Jak delikatnie poinformować Izabellę o skłonnościach senatora do pięknych kobiet i jego notorycznej niestałości? Jak to zrobić, żeby nie wypadło, że to ona sama jest zazdrosna o Pata Dillona? W ogóle, jak z matką rozmawiać o takich sprawach?

Jenny szamotała się ze swymi myślami. Ostatecznie postanowiła o wszystkim powiedzieć Nicole - może razem coś wymyślą. Zaprosiła siostrę na lunch.

- Co? Miałaś z nim romans? Z tym starym piernikiem? - Nicole patrzyła z niedowierzaniem na Jenny.

- Eh, tam zaraz romans, spotkaliśmy się parę razy, pojechaliśmy na tydzień na Arubę, i tyle - Jenny starała się zbagatelizować całą sprawę.

- I co, przyjemnie było? Ślinił się, jak na ciebie patrzył? - Nicole była dla siostry bez litości, w oczach miała złośliwe ogniki.

- No już dobrze, nie wyzłośliwiaj się. Świetnie wiesz, jaki mam stosunek do mężczyzn. Senator Dillon jest mi potrzebny i już. Ani ja jemu krzywdy nie zrobiłam, ani on mnie. Poza tym nie po to cię tu zaprosiłam, żeby słuchać morałów. Zastanówmy się, jak pomóc mamie. Jeśli ona się w nim zakocha, to będzie nieszczęśliwa. Nie możemy do tego dopuścić.

Obie dziewczyny zamilkły, patrząc na wróbelki wydziobujące kruszynki chleba z talerza przy sąsiednim stoliku. Był piękny słoneczny dzień. Siedziały w modnej restauracji w Central Parku. Kelner przyniósł im mrożoną herbatę i szparagi w sosie hollandaise.

- Ale jak to zrobić? - Nicole spojrzała Jenny w oczy. - Masz jakiś pomysł?

- No, właśnie nie mam. Musimy razem coś wymyślić.

Znowu zapadło milczenie. Dwóch młodych biznesmenów przy sąsiednim stoliku starało się zwrócić uwagę swoich pięknych sąsiadek, ale Nicole zmroziła ich wzrokiem.

- Może ty porozmawiaj z nią. Niby tak mimochodem powiedz, co słyszałaś o senatorze Dillonie, że jest kobieciarz i drań, choć zdolny polityk - Jenny spróbowała zwalić sprawę na siostrę.

- Bardziej tobie uwierzy, bo go lepiej znasz - Nicole najwyraźniej nie kwapiła się do tej rozmowy - ale poczekaj, czy my w ogóle trochę nie panikujemy? Skąd wiesz, że ich łączy cokolwiek innego jak tylko wspólna chęć dopomożenia ci w kampanii wyborczej?

- Oczywiście, że nic nie wiem na pewno. Bardzo cieszyłabym się, gdyby się okazało, że przesadzam, ale była już z nim dwa razy na kolacji, wybierają się razem na objazd Long Island, nocować mają w North Hampton i codziennie do siebie wydzwanniają. Wiem to wszystko od Nancy, osobistej sekretarki Dillona.

- To rzeczywiście wygląda poważnie. A swoją drogą, mama robi się aktywna na polu męsko-damskim. Jak tak dalej pójdzie, to nas zakasuje!

- Co ty wygadujesz? - Jenny spojrzała szczerze zdziwiona na Nicole.

- Wczoraj prawie cały dzień spędziła w Miguelem Balvarena, który jest akurat - tak się ciekawie składa - w Nowym Jorku. W niedzielę ma przyjechać do Rose Hollow.

- Naprawdę? - Jenny też się uśmiechnęła. - To może niepotrzebnie się o nią niepokoiimy.

- Czuję, że będziesz musiała leczyć zranione serce swojego senatora. Na pewno sobie poradzisz!

Obie się roześmiały. Młody człowiek przy sąsiednim stoliku najwyraźniej zlekceważył mroźne spojrzenie Nicole. Wstał i podszedł do dziewczyn.

- Jestem Bill Connors, czy to pani Jenny Bradley? - zwrócił się do Jenny.

- Tak, czym mogę panu służyć? - zapytała dość oschle Jenny.

- Widziałem panią w telewizji. Ma pani świętą rację, z tymi podatkami od paliw. Może pani na mnie liczyć. Będę na panią głosował, nie tylko ja, ale moja rodzina i znajomi też. Niech się pani dzielnie trzyma, będzie pani miała poparcie na Brooklynie!

Jenny rozpromieniła się.

- Bardzo panu dziękuję. Liczę na poparcie, potrzebny mi będzie każdy głos. Jeśli mnie wybieriecie do Kongresu, sprawa podatku od paliw będzie dla mnie priorytetem.

- Wybierzemy, na pewno wybierzemy - zapewnił gorliwie młody człowiek. - Tego cymbała Matta Krantza pogonimy na Bronx!

Młody wyborca z Brooklynu uściśnął dłoń Jenny i wrócił zadowolony do kolegi.

- Ale masz popularność - powiedziała ze szczerym podziwem Nicole.

- Eh, tam - uśmiechnęła się skromnie Jenny, ale aż się zarumieniła z zadowolenia. - Bardzo mnie cieszy ta wiadomość o Miguelu. Trochę o nim od was słyszałam, ale co to w ogóle za gość? Ty go znasz?

- Bardzo miły i bajecznie bogaty.

- No, na forszę to mama na pewno nie leci - powiedziała Jenny z przekonaniem.

- Na pewno - Nicole też nie miała najmniejszej wątpliwości - tylko tak to mówię, może co dorzuci na twoją kampanię wyborczą!

- Co ty wygadujesz! Od cudzoziemców nie bierzemy dotacji, zresztą prawo tego zabrania.

- No cóż, szkoda. Tak czy owak wpadnij w niedzielę do domu, to go poznasz. Ale może już nie przywoź ze sobą senatora Dillona!

- Nicole, może wpadnę, a ty w każdym razie spróbuj, przy okazji, wspomnieć mamie, co słyszałaś o Dillonie. Ot, tak, na wszelki wypadek.

- Mam też powiedzieć, od kogo słyszałam? I że to wszystko wiesz, że się tak wyrażę, z pierwszej ręki?

- Nicole, nie wygłupiaj się!

Obie się roześmiały. Jenny zapłaciła rachunek i wyszły z restauracji.

8

Minęły dwa miesiące. Miguel wrócił do Cartageny, ale często dzwonił. Przychodziły też wspaniałe bukiety róż albo pięknych kolumbijskich goździków. Izabella zaczynała tęsknić za długimi spacerami nad Hudsonem i kolacjami w przytulnej restauracyjce na ostatnim piętrze hotelu Plaza. Brak jej było ciepłego uśmiechu Miguela i jego rozmarzonych oczu patrzących na nią z uwielbieniem. Z drugiej strony czuła też pewną ulgę, bo lawirowanie między Miguelem a Patem już ją męczyło. Oczywiście obaj wiedzieli, że jest bardzo zajęta, i żaden z nich nie spodziewał się, że będzie z nim mogła spędzać zbyt wiele czasu. Dawało jej to pole do manewru, ale coraz bardziej czuła się nie w porządku. Obu lubiła, żadnego nie chciała zwodzić. Coraz mniej podobała jej się ta podwójna gra.

Tymczasem Pat Dillon stał się częstym gościem Rose Hollow, tym bardziej że mieszkał w pobliżu, po drugiej stronie jeziora. Często zabierał Izabellę na przejażdżkę łodzią albo na kolację do country klubu.

Jenny i Nicole były coraz bardziej zaniepokojone rozwojem sytuacji. Nicole przekonała się, na własnej skórze, o prawdziwości słów siostry, kiedy któregoś dnia Pat Dillon, pod nieobecność Izabelli i Jenny, zrobił jej zupełnie niedwuznaczną propozycję. Zdecydowanie go odepchnęła, a on obrócił wszystko w żart, ale dla Nicole sprawa była jasna. Dla Jenny również. Musiały coś zrobić, żeby ratować matkę.

Jenny już wcześniej przypilnowała, by doniesienia prasowe o eskapadach senatora Dillona trafiały, niby to przypadkiem, do rąk Izabelli. Nicole też nieraz opowiadała jej, mimochodem, co się „mówi na mieście” o Pacie Dillonie. Zresztą Izabella i bez pomocy córek wiedziała, jaką reputację miał Pat Dillon, przecież czytała gazety. Jednak skłonna była wierzyć Patowi, kiedy mówił, że to wszystko przeszłość, że teraz ma już sześćdziesiąt dwa lata, zmądrzał i widzi znaczenie emocjonalnego związku z jedną, bliską osobą, z którą ma się pełne zrozumienie, czy - jak to ujmował - „powinowactwo dusz”. Taką właśnie osobą była dla niego Izabella. Mówił to z takim żarem i przekonaniem, że trudno było nie uwierzyć. Tym bardziej że Izabella chciała wierzyć. Lubiła towarzystwo Pata, ciekawe rozmowy, jego niespożytą energię i poczucie humoru. Plotki w prasie brukowej wołała składać na karb ludzkich złych języków i prze-

ciwników politycznych Dillona. Mniej lub bardziej zawołowane ostrzeżenia córek zbywała machnięciem ręki, stwierdzając, że „jesteście jeszcze, przepraszam za wyrażenie, siksy. Ja i Pat jesteśmy dorosłymi ludźmi. Wiemy, co robimy, i odpowiadamy za swoje zachowanie”.

Nicole i Jenny znowu umówiły się na lunch w tej samej restauracji w Central Parku. Chciały opracować plan działania. Matka najwyraźniej pograżała się w sidła zastawione przez Pata Dillona, którego pozycja towarzyska zarówno w Nowym Jorku, jak i w Waszyngtonie bardzo by się umocniła, gdyby ożenił się z piękną i bogatą dyrektorką American Diamonds. Dziewczęta doskonale to rozumiały, a nawet nie widziałyby w tym nic złego, gdyby tylko Pat Dillon był innym człowiekiem. Przede wszystkim nie chciały, żeby skrzywdził Izabellę, a wiedziały, że prędzej czy później tak się stanie, jeśli dojdzie do małżeństwa.

Jenny i Nicole postanowiły, że zastosują „terapię szokową”. Nicole uwiedzie Pata Dillona, godząc się pozornie na jego wcześniejszą propozycję. Tak to zgrają w czasie, żeby w krytycznym momencie nadjechała Izabella i na własne oczy przekonała się o niewierności Pata. Całą akcję zaplanowały do ostatniego szczegółu. Wiedziały, że matka zaprosiła Dillona pojutrze na kolację, na godzinę siódmą. Nicole zadzwoni do niego i poprosi, żeby przyszedł trochę wcześniej, o szóstej, bo chce z nim porozmawiać sam na sam. Jeśli Pat połknie haczyk i przyjdzie, to Nicole powita go na basenie w kostiumie bikini. Powie, że jest sama w domu, i zacznie z nim flirtować. Parę minut przed siódmą zaprosi go na górę do swego pokoju, mówiąc, że kolacja trochę się odwleka, a Izabella dzwoniła, że jest spóźniona i przyjedzie dopiero o ósmej. Siostry wiedziały, że Izabella jest bardzo punktualna, szczególnie gdy ma gości na kolacji. Można więc liczyć, że punkt siódma będzie w domu. Wtedy Jenny wyjdzie ze swego pokoju, powita Izabellę w hallu i pod pretekstem pokazania zacieku na ścianie zaprowadzi ją do pokoju Nicole. Pat Dillon zostanie schwytyany in flagranti. Plan był piękny, pozostało wcielić go w życie.

* * *

Był piękny wrześniey dzień. Po lśniącym w słońcu jeziorze pływały kaczki i łabędzie.

Jenny i Nicole wyciągnęły się na leżakach przy basenie. Ich pięknie opalone ciała, nasmarowane olejkiem, też lśniły w słońcu. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Służba do kolacji miała nie wychodzić z kuchni i swoich pomieszczeń mieszkalnych na drugim piętrze domu, połączonych z kuchnią osobnymi schodami. Robbiego Jenny zawiozła do jego szkolnego kolegi w sąsiedztwie, miała go odebrać parę minut przed ósmą. Nicole zadzwoniła do senatora Dillona, który zgodnie z przewidywaniem sióstr, skwapliwie zgodził się przyjechać

wcześniej. Potem, pod jakimś błahym pretekstem, zadzwoniła do matki, do biura, żeby się upewnić, że wróci do domu punktualnie o siódmej.

Była za piętnaście szósta. Jenny wstała, zabrała ręcznik i poszła do swojego pokoju, gdzie zasłoniła firanki, spoza których zamierzała obserwować rozwój akcji. Nicole została sama. Pociągnęła łyk mrożonej herbaty i przyglądała włosy. Musiała przecież wyglądać uwodzicielsko! Spojrzała na swoje ciało, długie nogi, szczupłe biodra i zaokrąglone piersi, tylko symbolicznie przykryte bardzo skąpym kostiumem kąpielowym.

Nie da się ukryć, wyglądała ślicznie i bardzo seksy. Nicole była z siebie zadowolona. W tej chwili usłyszała podjeżdżający pod dom samochód. Wstała z leżaka i podeszła do bramy.

Pat Dillon, na widok tej opalanej blond nimfy, aż się oblizał. Nicole uśmiechnęła się i zaprosiła go na basen, myśląc w duchu - *co za obleśny typ*. Senator nie miał kostiumu kąpielowego, zdjął więc marynarkę i krawat i usiadł w cieniu parasola. Nicole wyciągnęła się obok niego na leżaku. Pat Dillon nie spuszczał z niej oka, widać było, jakie zrobiła na nim wrażenie. *Zaraz się obślini* - pomyślała Nicole z pewnym rozbawieniem i poczuciem wyższości. Czowała swoją władzę nad tym starszym mężczyzną. To samo, choć z może większą dozą złośliwości, myślała Jenny obserwująca scenę spoza firanek swego okna.

Nicole bezwstydnie flirtowała z Patem Dillonem. Powiedziała, że go podziwia, dając mu delikatnie do zrozumienia, że nie tylko jako senatora, ale także jako mężczyznę. Przyniosła mu też z barku jego ulubioną whiskey and soda. Poprosiła, żeby dał jej upić trochę ze swojej szklanki, przy czym tak się nachyliła, by Pat miał na wysokości oczu jej, praktycznie całkiem odsłonięte, piersi. Potem wróciła na leżak i leniwie się przeciągnęła.

Senator Dillon połknął haczyk i już zupełnie stracił głowę. Poglaskał dziewczynę po długich blond włosach, a potem po ramieniu, rozwodząc się poetycko nad jej urodą. Wszystko szło zgodnie z planem. Nicole co jakiś czas zerkała dyskretnie na zegarek. Za dziesięć siódma wstała z leżaka i tajemniczo się uśmiechając, wzięła Pata za rękę.

- Robi się tu troszkę chłodno. Chodźmy do domu, pokażę panu swój pokój.

- Ale za chwilę... - Pat Dillon spojrział na zegarek - ma być kolacja?

- Ach, zapomniałam panu powiedzieć. Mama dzwoniła, że się spóźni, będzie tu dopiero o ósmej. Mamy jeszcze trochę czasu - Nicole uśmiechnęła się obiecująco.

Senator Dillon chwycił marynarkę, krawat i ochoczo pomaszerował za Nicole. W domu nie było żywej duszy. Po chwili oboje znaleźli się w pokoju Nicole. Pat Dillon wziął się energicznie do dzieła, ale Nicole lekko go ostudziła, mówiąc, że musi wziąć prysznic. Chciała tro-

chę zyskać na czasie. Po pięciu minutach wróciła owinięta ręcznikiem. Z okna łazienki zauważyła zajeżdżający na podjazd samochód Izabelli. Za chwilę będą tu z Jenny. Zwlekała, nie chcąc, by sprawy zaszły zbyt daleko, ale teraz uspokoiła się, widząc Pata Dillona czekającego na nią w łóżku. Nicole rozwinęła powoli ręcznik, drocząc się z senatorem, który już jednak całkowicie stracił panowanie nad sobą. Porwał dziewczynę w ramiona i obsypując pocałunkami rzucił na łóżko. W tym momencie w drzwiach pokoju stanęły Izabella i Jenny. Nicole od razu się poderwała, ale Pat Dillon dopiero po chwili zorientował się, co się święci.

Izabella zbladła jak ściana i osunęła się na stojący przy drzwiach fotel. To był chyba najstraszniejszy cios w życiu, takiej zdrady nie spodziewała się ze strony swojej ukochanej córki. Nie była w stanie nic powiedzieć. Bezbrzeżny smutek w jej oczach przeraził Nicole.

- Mamo, zaraz ci wszystko wyjaśnię!

- Nic mi nie musisz wyjaśniać, przecież widzę. - Izabella podniosła się z fotela i skierowała wzrok na Pata Dillona. - Do widzenia panu, mam nadzieję, że więcej pana w życiu nie zobaczę!

Senator Dillon pośpiesznie wciągnął na siebie ubranie. Czerwony z wściekłości, wychodząc z pokoju, syknął tylko w kierunku Jenny:

- Możesz się k... pożegnać z miejscem w Kongresie.

- Jeszcze zobaczymy, kto się będzie żegnał z Kongresem. Radzę panu nie podejmować pochopnych kroków - odpowiedziała zimno Jenny, przesywając senatora stalowym wzrokiem.

- Mamy zainstalowane kamery.

Izabelli stanęła nagle przed oczami lwica Lola - to samo stalowe spojrzenie drapieżnych, zwężonych zielonych oczu. Uderzyło ją też podobieństwo Jenny do ojca. Murray już dawno nie żył, ale jego geny przetrwały w oczach tej dziewczyny.

Nicole narzuciła na siebie szlafrok i podeszła do matki.

- Mamo, to nie jest tak, jak myślisz, zaraz ci wszystko wyjaśnię.

- Możesz sobie darować wyjaśnienia. Tego się po tobie nie spodziewałam. - Izabella miała łzy w oczach, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Nicole rzuciła się za nią, ale Jenny ją powstrzymała.

- Mnie to zostaw. To przecież ja jestem prawnikiem i politykiem - Jenny uśmiechnęła się do Nicole i podniosła kciuk na znak zwycięstwa. - Najważniejsze, że pozbyliśmy się tego łobuza.

- Jenny, jakie kamery? - Nicole spojrzała przez łzy na siostrę.

- Żadne. Tak zablefowałam, żeby cicho siedział i nam nie szkodził.

Jenny wyszła za Izabellą, a Nicole rzuciła się, szlochając, na łóżko. Nie chciała skrzywdzić matki. Bezbrzeżny smutek w oczach Izabelli był dla niej nie do zniesienia. Może to był głupi pomysł, może matka byłaby szczęśliwa z Patem Dillonem. Czy ona, Nicole, powinna o takich sprawach decydować? Może matka go kocha! Nicole, łkając, wtuliła głowę w poduszkę.

Nie słyszała, jak do pokoju weszła Izabella. Usiadła na łóżku i łagodnie pogłaskała córkę po głowie.

- Dobrze, już dobrze, nie płacz. Jenny mi wszystko powiedziała. To ja ci powinnam podziękować za to, co zrobiłaś. Zerwałaś mi z oczu zasłonę. W dość okrutny sposób, to prawda, ale to moja wina. Nie słuchałam was wcześniej, myślałam, że sama wiem lepiej. Widzę teraz, że jestem stara a głupia.

- Wcale nie jesteś stara! - Nicole przetarła oczy i uśmiechnęła się.

Izabella uścisnęła córkę.

- No dobrze, może nie jestem taka stara, ale głupia jestem. Obie się roześmiały. Nicole przytuliła się do matki.

* * *

Na zewnątrz, szczególnie przy córkach, Izabella starała się robić dobrą minę do złej gry. Nie chciała rozdmuchiwać tej sprawy. Wręcz odwrotnie, zamierzała ją zatuszować i o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. W głębi ducha wiedziała jednak, że nie będzie to łatwe. Oczywiście zawód związany z Patem trudno porównać do koszmaru, jaki przeżyła, dowiadując się o zdradach Murraya. *Można powiedzieć postęp!* - pomyślała z sarkazmem Izabella. Znowu czuła się oszukana i upokorzona, na dodatek przed własnymi dziećmi, przez mężczyznę, którego podziwiała i szanowała, którego może jeszcze całym sercem nie kochała, ale była na dobrej drodze. *Czy naprawdę żadnemu mężczyźnie nie można ufać? Czy to tylko ja mam takie szczęście? Czy nade mną wisi jakaś klątwa? Dlaczego to zawsze ja? Mam dopiero czterdzieści pięć lat, a już jestem podwójną wdową, a teraz to poniżenie. Czy to się kiedyś skończy?* Izabella wpadła w depresję. Wszystko wydawało jej się nieistotne i bezsensowne. Jak kiedyś zdrada Murraya, tak teraz upokorzenie ze strony Pata odbiło się niekorzystnie na jej stosunkach z Miguelem. Czuła, że wszyscy mężczyźni są tacy sami i wszystko to nie ma sensu. Nie chciała narażać się na kolejny zawód. Miguel wyczuł chłód ze strony Izabelli i taktownie usunął się w cień.

Mijały miesiące. Izabella, jak przedtem, starała się znaleźć zapomnienie w pracy zawodowej. Rzuciła się w wir nowych obowiązków związanych z agresywną ekspansją American Diamonds na rynek europejski. Przyczółkiem ofensywy było przedstawicielstwo w Genewie,

bliskie sercu Izabelli, to przecież stamtąd wyruszyła na podbój Nowego Jorku! Teraz American Diamonds otwierało filię w Paryżu, a wkrótce również w Londynie i Frankfurtach. W Europie konkurencja była silna, szczególnie ze strony południowoafrykańskiego koncernu DeBeers. Atutem American Diamonds były kamienie szlachetne z Ameryki Południowej i Azji, często lepszej jakości niż kamienie afrykańskie, a poza tym tańsze. Należało jednak przewyciężyć wiekowe tradycje i przyzwyczajenia Europejczyków. Było to duże wyzwanie zarówno dla Izabelli, jak i dla American Diamonds. Gra toczyła się o wysoką stawkę. Europa Zachodnia była, po USA, największym rynkiem zbytu biżuterii i kamieni szlachetnych. Izabella przeforsowała na posiedzeniu Rady Nadzorczej decyzję łączącą się z dużymi inwestycjami i dużym ryzykiem. Teraz była odpowiedzialna za realizację przedsięwzięcia. Postawiła wszystko na jedną kartę - jej przyszłość w American Diamonds, i w ogóle w przemyśle diamentowym, zależała od sukcesu w Europie. Wierzyła, że jej się uda. Oddała się temu bez reszty.

Tymczasem, w listopadzie odbyły się wybory i Jenny Bradley, przy poparciu senatora Pata Dillona, który nieprzyjemne zdarzenie w Tuxedo Park puścił wygodnie w niepamięć, została reprezentantką Brooklynu w Izbie Reprezentantów Kongresu. Izabella i Nicole były bardzo dumne z Jenny. Nawet prezydent Kennedy zadzwonił do Rose Hollow z gratulacjami dla najmłodszej demokratki w Kongresie.

W ostatnich tygodniach Nicole pracowała dzień i noc na rzecz kampanii wyborczej siostry. Po zwycięstwie obie były szczęśliwe, ale skrajnie wyczerpane. Należał im się odpoczynek. Izabelli też. Wprawdzie ekspansja europejska wciąż trwała, było to przedsięwzięcie na całe lata, ale zaczęła się dobrze i pod zręcznym kierownictwem Izabelli nabierała tempa. Teraz już większość pracy spadała na barki przedstawicieli American Diamonds w Europie. Izabella postanowiła objechać w grudniu europejskie przedstawicielstwa firmy, wychodząc z założenia, że „pańskie oko konia tuczy”. Ostatnim etapem podróży miał być Paryż. Zaprosiła tam córki. W tym czasie Miguel wybierał się do Paryża z okazji targów kamieni szlachetnych. Gdy dowiedział się o planach Izabelli, wynajął na dwa tygodnie dla nich, dla siebie i dla córki Palomy prawie pół piętra hotelu Ritz. Postanowił połączyć miłe z pożytecznym i stąd zaproszenie Izabelli z rodziną. Zapowiadały się miłe dwa tygodnie.

Staroświecki przepych i elegancja hotelu Ritz przy placu Vendôme zrobiły wrażenie nawet na Izabelli, która mieszkała już w wielu eleganckich hotelach. Hall i bar urządzone były w stylu Ludwika XIV. Piękne stare meble wspaniale prezentowały się na tle boazerii z różanego drzewa. Kryształowe żyrandole dawały ciepłe, dyskretne światło. Ze ścian patrzyły na gości portrety sławnych paryżan. Wśród miękkich, skórzanych foteli krzatali się bezszelestnie kelnerzy, nobliwie wyglądający starsi panowie w pięknych liberiach zaprojektowanych w czasie restauracji Burbonów przez Ferdinanda Delacroix. Na marmurowych stolikach, a także na ladzie recepcji i w barze stały wazony ze świeżymi kwiatami we wszystkich kolorach tęczy.

Zarezerwowane przez Miguela pokoje mieściły się na drugim piętrze. Miguel, Paloma, Jenny i Nicole mieli osobne pokoje. Tylko Izabella dysponowała apartamentem, który dzieliła z Robbiem. Okna pokoi wychodziły na plac Vendôme.

Miguel i Paloma pełnili honory domu, bo przebywali w Paryżu już od dwóch dni. W pokojach przygotowali dla wszystkich niespodzianki. Nicole i Jenny dostały piękne szmaragdowe naszyjniki i kolczyki, Izabella brylantową kolie, a Robbie komplet miniaturowych modeli Citroena. Po rozpakowaniu się i rozgoszczeniu w swoich pokojach mieli spotkać się o siódmej na dole w restauracji.

Izabella postanowiła wziąć prysznic i poprawić sobie po podróży makijaż. Robbie został ze swoimi samochodzikami w salonie apartamentu. Po chwili jednak znudził się nowymi zabawkami i zaczął myszkować po pokoju. W pięknej starej szafie z drzewa wiśniowego odkrył telewizor, który oczywiście natychmiast włączył, ale to też nie przykuło na długo jego uwagi, jako że programy były po francusku. Pokręcił złotą gałkę drzwiczek półokrągłego jakby kredensu i stanął twarzą w twarz z doskonale zaopatrzonym minibarkiem. Najpierw popróbował smaku czekoladek w małej kryształowej wazie. Po chwili zachciało mu się pić, wobec czego otworzył buteleczkę koniaku. Strasznie się jednak skrzywił, gdy poczuł smak tego napoju. Odstawił koniak i szukał dalej. Z kolei wybrał żółtą butelkę likieru Advocaat - to było całkiem dobre. Wypił stugramową „małpkę” i rozochocony otworzył następną buteleczkę, tym razem z likierem Cointreau. Trochę mu to mniej smakowało, ale odważnie wypił i dopiero wówczas zauważył butelkę z wodą sodową. Nalał sobie szklaneczkę i poczuł się w wyśmienitym nastroju.

Kiedy Izabella wyszła z łazienki, Robbie tańczył po pokoju z butelką w ręce.

- Robbie, co ty wyprawiasz? Idź, umyj się przed kolacją.

Robbie nie zwracał jednak uwagi na matkę. Dalej dziwacznie podskakiwał, aż wreszcie potknął się i upadł na dywan. Izabella podeszła do niego trochę zaniepokojona i poczuła silną woń alkoholu. Spróbowała go podnieść, ale Robbie nie chciał wstawać

- Odp... się! - wybełkotał i wyciągnął się na dywanie.

Izabella zmartwiała. *Skąd on zna takie słowa?* Nachyliła się nad synem i zdała sobie sprawę, że jest zupełnie pijany. Podniosła głowę i zauważyła otworzony barek. Na dywanie leżały dwie puste buteleczki po likierach i napoczęta butelka wody sodowej.

No, pięknie się zaczyna. Podniosła chłopca i ułożyła go na kanapie. Sprzątnęła butelki i zamknęła minibarek. Po namyśle jednak przekręciła złotą gałkę i nalała sobie kieliszek koniaku, którym Robbie wzgardził. Usiadła na fotelu, ale zaraz odstawiła kieliszek i podeszła do chłopca. Czy aby z nim wszystko w porządku? Robbie smacznie spał. Miał równy oddech i jakby nawet uśmiech na twarzy. *A to łobuziak* - Izabella popatrzyła z rozrzewnieniem na syna i pocałowała go w czoło. Wstała z kanapy i wróciła na swój fotel. Napiała się łyżeczek koniaku i w tym momencie zadzwonił telefon.

- Mamo, już piętnaście po siódmej, czekamy na was restauracji - w głosie Nicole słychać było pewien niepokój. Wiedziała, że matka jest zawsze punktualna.

- Przepraszam, już schodzę. Braciszek ci się upił i musiałam się nim zająć.

- Cooo? - Nicole roześmiała się. - Robbie się zalał?

- Właśnie, nie ma się z czego śmiać. Już schodzę.

Sala restauracyjna miała kształt litery „L”. W pierwszej części tylko kilka stolików było zajętych, natomiast w drugiej, niejako „za zakrętem”, odbywało się przyjęcie. Zapytany przez Miguela kelner powiedział, że to ślub lorda Chaltenham z polską hrabiną.

- Naprawdę? - zainteresowała się Izabella. - A jak ona się nazywa?

- Nie potrafię pani powiedzieć, jakieś trudne nazwisko, ale zaraz przyniosę weselne menu, tam są ich nazwiska.

Po chwili wrócił z pięknie tłoczonym kremowym arkuszem ze złotym obramowaniem, który wręczył Izabelli.

- Nazwiska są u góry, po lewej stronie.

Izabella spojrzała, przetarła oczy i z niedowierzaniem spojrzała jeszcze raz.

- Kto to jest? - zapytali chórem zaintrygowani Miguel, Paloma, Nicole i Jenny.

- Bo ja wiem, wygląda na to, że to mój ślub.

- Co? - Teraz wszyscy przy stole byli jeszcze bardziej zdziwieni.

- A no mój - roześmiała się Izabella. - Popatrzcie, stoi tu jak wół „Steven Lord Chaltenham i hr. Izabella Buczacka”, to moje panięskie nazwisko.

- Nie wiedziałam, że jesteś hrabiną - Nicole spojrzała z niedowierzaniem na matkę.

- Bo i nie jestem, ale Izabellą Buczacką na pewno jestem, no, powiedzmy, na pewno byłam!

- Coś podobnego!? Czy to popularne w Polsce nazwisko? - Chciał wiedzieć Miguel.

- Wcale nie. W ogóle nie wiem, czy ktoś inny, poza moją rodziną, tak się nazywał. Wątpię. - Izabella była szczerze zaintrygowana.

Nicole też. Podczas gdy dla reszty był to najwyraźniej wspaniały żart.

- Bogu dzięki, że nie jesteś hrabiną - powiedziała ze śmiechem Jenny. - Pięknie by to wyglądało w nowojorskiej prasie „Jenny Bradley - reprezentantka robotniczego Brooklynu w Kongresie USA - córka polskiej hrabiny”.

Wszyscy się roześmieli. Izabellę korciło, żeby przejść się i tak niby przypadkiem rzucić okiem na pannę młodą, ale nie bardzo wypadało, w końcu było to prywatne przyjęcie w oddzielnej części sali.

Tymczasem podano pierwsze zamówione przez Miguela danie. Przed każdym pojawiła się srebrna miseczka z lodem, a w niej szklana czarka z kawiolem astrachańskim. Do tego ma-lutkie tosty i miseczki wypełnione cieniutko posiekaną cebulą. Przed każdym stanął też mały kieliszek zmrożonej wódki.

- Jeśli to twój ślub, to zdrowie panny młodej - wznosił toast Miguel.

Wszyscy się roześmieli.

- Oczywiście, mamó, zdrowie hrabiny Bradley - zawtórowała Jenny - bo tego polskiego nazwiska to obawiam się, że nie potrafię wymówić.

- Buczacka. Najwyższy czas, żebyś się nauczyła, ty Nicole też.

Wszyscy zaczęli próbować wymawiać nazwisko panięskie Izabelli. Stosunkowo najlepsza była Paloma. Miała najwidoczniej talent do języków.

Miguel czuł się wspaniale wśród czterech pięknych kobiet, które wkrótce stały się centrum dyskretnego zainteresowania całej restauracji. Rzeczywiście było na co popatrzeć. Obok, jak zawsze pięknej i eleganckiej, Izabelli siedziały trzy młode dziewczyny, każda piękność w swoim rodzaju. Niebieskooka blondynka - Nicole, Jenny z zielonymi oczami i kasztanowatymi włosami oraz kruczowłosa Paloma z olbrzymimi czarnymi oczami. Wszystkie trzy miały nie-naganne figury, a ich naturalną urodę dodatkowo podkreślały eleganckie sukienki, idealnie do-

pasowana biżuteria i gustownie upięte włosy. Trudno było oderwać od nich wzrok. Wkrótce też młodzi ludzie z przyjęcia weselnego, przecinający salę w drodze do toalety, coraz częściej niby to mylili drogę, by przejść obok ich stolika. Miguel był dumny jak paw.

Pili już kawę, kiedy zagrała orkiestra. Zaczęły się tańce, których jednak z głównej części sali nie było widać. Po chwili do Miguela podeszło trzech młodych Anglików, grzecznie pytając, czy mogliby zatańczyć z jego córkami. Miguel łaskawie zezwolił, dodając, że to od nich zależy.

- Jeśli chcą z panami zatańczyć, to proszę bardzo.

Po oczach dziewczyn widać było, że owszem chcą. Teraz Izabella wyczuła szansę obejrzenia panny młodej i zapytała, czy również ona z Miguelem mogliby się przyłączyć.

- Ależ oczywiście. Będzie to dla nas wielki zaszczyt.

Wszyscy ruszyli w kierunku muzyki.

Izabella z zainteresowaniem przyglądała się gościom weselnym. W większości byli to młodzi Anglicy, najwyraźniej ze strony pana młodego. W końcu stołu, przy młodej parze, siedziało też kilkoro starszych ludzi, najwyraźniej rodzina państwa młodych. Kilka par tańczyło na parkiecie między orkiestrą a stołem. Stroje i biżuteria pań świadczyły o tym, że byli to w większości ludzie bardzo zamożni. Zresztą kto inny mógłby urządzić przyjęcie weselne u Ritza! Izabella wypatrywała panny młodej, która jak się wkrótce okazało, wirowała z panem młodym na parkiecie. Biała suknia ślubna fruwała w powietrzu, Izabella skierowała lekko Miguela w tamtą stronę. Już z daleka zauważyła, że kolor włosów panny młodej jest taki sam jak jej własny. Coraz bardziej zaintrygowana, płynęła z Miguelem, w rytmie bossa novy, w kierunku państwa młodych. Po chwili miała możliwość dokładnego obejrzenia twarzy panny młodej, która też zauważyła tańczących obok nieznajomych. Obie kobiety zaskoczone własnymi spostrzeżeniami zwolniły kroku w tańcu, by w końcu przystanąć. Również ich partnerzy byli zdumieni. Kobiety, jedna młodsza, druga starsza, były do siebie podobne jak dwie krople wody. Izabella nie mogła dalej zachowywać dyskretnej obojętności. Podeszła do panny młodej i przedstawiła się, po polsku:

- Jestem Izabella Bradley, z domu Buczacka.

Piękne niebieskie oczy młodej dziewczyny zrobiły się jeszcze większe i jakby jeszcze bardziej niebieskie. Po chwili wydusiła z siebie, też po polsku:

- Ja... ja... też jestem Izabella Buczacka, to znaczy chciałam powiedzieć, Izabella Chaltenham, z domu Buczacka.

Widać było, że obie panie gwałtownie przebiegają myślami swoje rodzinne koneksje, szukając możliwych powiązań. Nie ulegało kwestii, że były spokrewnione. Panna młoda spojrziała, z nadzieją na ratunek, w kierunku siedzących przy stole rodziców.

Izabella wzięła swą młodszą imienniczkę za rękę i z ciepłym uśmiechem powiedziała:

- Chyba jestem twoją ciocią. Czy to twoi rodzice siedzą tam przy stole? - skinęła głową w kierunku sali.

- Tak, proszę pani.

- To zaprowadź mnie do nich.

Podeszły do stołu, a za nimi, z dość głupimi minami, Miguel i pan młody.

- Tato, ta pani nazywa się tak jak ja - Izabella Buczacka! - powiedziała panna młoda, ale już po angielsku, żeby inni goście przy stole też zrozumieli.

Teraz wszyscy byli zaintrygowani.

Tymczasem Izabella zachodziła w głowę, kim może być ten szpakowaty pan, mniej więcej w jej wieku. Nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie, to musi być syn stryjka Wacka! O istnieniu stryja wiedziała jedynie mgliście, ponieważ od lat był wyklęty z rodziny. Nie tylko rozwiódł się z ciocią Zosią, z którą rodzice i dziadkowie Izabelli byli bardzo blisko związani, ale na dodatek ożenił się z pokojówką rodziców. Od tego czasu ojciec nie chciał go znać. Reszta rodziny też była mocno zgorszona. Stryj Wacek wyjechał do Krakowa, w rodzinne strony żony, i słuch po nim zaginął. Izabella nigdy go nie spotkała, o jego istnieniu wiedziała właściwie tylko ze starych pożółkłych fotografii rodzinnych z dzieciństwa ojca w dworku dziadków w Grabowie nad Narwią. Pamiętała też, że kiedyś w Wigilię, miała wtedy chyba dziesięć lat, babcia wyraziła żal, że „nie ma z nami Wacusia”. Wtedy dziadek, będący w doskonałym nastroju po kilku kieliszkach wina, dorzucił: „szkoda też, że nie siedzi tu z nami panna Pierdziochówna i małe Pierdzioszki, jeśli jakieś mają”. Babcia była w najwyższym stopniu zgorszona, matka Izabelli również. Szybko zmieniono temat rozmowy. Na drugi dzień Izabella, domagając się wyjaśnień, dowiedziała się od mamy, że „ta niby żona stryjka Wacka nazywa się Prędzichówna”. Więcej już do tego, najwyraźniej dla rodziców niewygodnego, tematu nie wracała. Tak, to było jedyne możliwe wyjaśnienie, ten elegancki szpakowaty pan to jeden z „Pierdzioszków”! Izabella uśmiechnęła się w duchu.

Pan Andrzej Buczacki potwierdził domysły Izabelli. Okazało się, że był od niej o dwa lata starszy i podobnie jak ona wyjechał z Polski, tuż po zakończeniu II wojny światowej. Rodzice i młodsza siostra zginęli po wjechaniu na minę, jadąc z Krakowa do rodzinnej wioski mamy.

On sam przeżył tylko dzięki temu, że właśnie zeskoczył z fury i pobiegł do lasu „za potrzebą”. W Paryżu skończył uniwersytet na koszt organizacji filantropijnej pomagającej uchodźcom z Europy Wschodniej. Po studiach dostał posadę w filii francuskiego banku Credit Lyonnais w Johannesburgu, w Republice Południowej Afryki. Tam, jakimś dziwnym zrządzeniem losu, spotkał dalszą rodzinę matki, z tej samej podkrakowskiej wioski. Okazało się, że prawie pół wsi wyemigrowało, jeszcze przed I wojną światową, do Republiki Południowej Afryki. W wieku dwudziestu sześciu lat ożenił się z daleką kuzynką matki - Rozalią Pustówką i wszedł w rodzinny interes, którym była produkcja oprzyrządowania dla kopalni złota i diamentów. Z czasem wykazał się dużymi talentami biznesowymi i po sprzedaniu swoich udziałów w rodzinnej firmie został jednym z menedżerów, a potem przedstawicielem na Europę wielkiego południowoafrykańskiego koncernu diamentowego DeBeers. Od dziesięciu lat mieszka w Paryżu. Tu jego córka skończyła studia i tu poznała swego przyszłego męża.

Wzruszona Izabella uściskała również wyraźnie poruszonego stryjecznego brata. Oboje byli od dawna przekonani, że nie mają już na świecie żadnej bliższej rodziny.

Pozostawała jeszcze do wyjaśnienia kwestia tytułu hrabiowskiego, ale Izabella czuła, że mógł to być drażliwy temat, i postanowiła zachować to na kiedy indziej. Najchętniej w ogóle by tej sprawy nie ruszała, bo w końcu co ją to obchodzi, niech sobie będą hrabiami, jak im to odpowiada, ale doskonale wiedziała, że Nicole i Jenny nie dadzą jej spokoju.

Na razie jednak zajęte były wyłącznie kolegami pana młodego. Najwyraźniej każdy z nich chciał zatańczyć z pięknymi Amerykankami.

Na tym jednak nie skończyły się niespodzianki tego wieczoru. Izabella przeprosiła na chwilę nowo poznaną rodzinę i poszła na górę sprawdzić, czy z Robbiem wszystko w porządku. Chciała go przedstawić swemu stryjecznemu bratu, a jego „wujkowi”. Robbie spał jednak nadal jak zabity i Izabella postanowiła go nie ruszać.

W drodze powrotnej mijala bar w hallu hotelowym. Jakiś gładko przylizany mężczyzna, o ciemnej cerze i ciemnych włosach, gwałtownie przywoływał ją gestami. Chciała zignorować natręta, ale mężczyzna wstał ze stołka i zagroził jej drogę.

- Madame DuChaillet, pani mnie nie poznaje. Jestem Louis Borinelli. Poznaliśmy się kiedyś na balu u gubernatora Legranda w Bikasi.

Rzeczywiście, teraz Izabella sobie przypomniała, to przecież ten mydłek, kochanek, świętej pamięci, gubernatorowej Legrand.

- Przepraszam, nie poznałam pana.

- Nic nie szkodzi. Jest pani nadal najpiękniejszą kobietą na świecie!

Komplementy tego mydłka zupełnie Izabelli nie cieszyły.

- Dziękuję, ale obawiam się, że nie mogę z panem za długo rozmawiać, czekają tam na mnie - Izabella wskazała ręką w kierunku sali restauracyjnej.

- Oczywiście, rozumiem. Chciałbym panią tylko ostrzec, ze względu na dawną sympatię, żeby się pani trzymała z dala od tego drania Bousaki... Butzaki... nie potrafię wymówić tego dziwnego nazwiska...

Izabella patrzyła na pana Borinellogo z coraz większym obrzydzeniem, ale słuchała dalej.

- Obawiam się, że skończy podobnie jak Richard DuChaillet i Murray Bradley. Niech mi pani wierzy, bardzo pani współczuję, ale nie mogłem wiele pomóc...

Izabella miała przemożną chęć uderzyć tego mydłka w twarz, ale się opanowała.

- Dni imperializmu w Afryce są policzone. Ci, którzy tego nie rozumieją albo zarabiają na cierpieniu Afrykanów, prędzej czy później zginą. Są teraz na świecie ludzie gotowi pomóc Afryce...

- I pan do nich należał już w Bikasi?

- Tak, proszę pani, w miarę swoich skromnych możliwości staram się walczyć o wielką sprawę wolności ujarzmionych narodów.

W pierwszej chwili Izabella chciała podejść do stojącego przed hotelem policjanta i kazać aresztować pana Borinellogo, ale zrezygnowała z tej myśli, bo właściwie co powie - że go nie lubi i że podejrzewa, że jest sowieckim agentem? Nie, to nie ma sensu, tylko się wygłupi.

- Jest pan łotrem albo durniem, panie Borinelli, sam pan służy jeszcze gorszym imperialistom i mam nadzieję, że prędzej czy później zawiśnie pan na szubienicy. Gdybym miała przy sobie pistolet, tobym pana teraz zastrzeliła, ale nie mam. Do widzenia panu. - Izabella odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku restauracji.

Louis Borinelli zapłacił za drinka i szybkim krokiem wyszedł z hotelu.

Andrzej Buczacki nie bardzo się przejął opowieścią Izabelli.

To znaczy przykro mu było, że pan Borinelli zepsuł jej wieczór, ale on sam jako członek kierownictwa południowoafrykańskiego koncernu DeBeers od lat był narażony na podobne pogroźki, już się przyzwyczał, a zresztą w hallu hotelu siedzi także jego ochrona.

Izabella zatańczyła z Miguelem. Jak zawsze jego obecność, ciepły uśmiech i delikatny uścisk silnych ramion podziałał na nią kojąco. Poczuli się bezpieczni i po chwili zapomnieli o nieprzyjemnym spotkaniu.

Pan Buczacki zamówił jeszcze dla wszystkich ostatniego szampana. Czas było kończyć. Państwo młodzi mieli za dwie godziny samolot na Seszele, gdzie lecieli w podróż poślubną. Ale brat pana młodego, a także pozostali młodzi Anglicy, chcieli jeszcze kontynuować zabawę w klubie tanecznym na rue de Bonnard, kilka przecznic od placu Vendôme. Bardzo chcieli, żeby Nicole, Jenny i Paloma im towarzyszyły. Nicole i Jenny były już dorosłe i od dawna samodzielne. Izabella nie miała właściwie nic do powiedzenia, a zresztą wcale nie zamierzała oponować. Gorzej było z Palomą, była zawsze pod skrzydłami brata i później ojca. Miała dopiero osiemnaście lat i była oczkiem w głowie Miguela. Nie bardzo mu się podobał pomysł nocnych hulanek córki w klubach Paryża. Paloma jednak bardzo chciała iść na tańce, miała łzy w oczach, więc Miguel ustąpił. Jenny i Nicole obiecały zaopiekować się młodszą przyjaciółką, a sympatyczny młody Anglik, który wydawał się znać Paryż, dał Miguelowi solenne „słowo brytyjskiego lorda”, że osobiście odprowadzi Palomę do hotelu przed godziną trzecią. Jenny i Nicole mało nie parsknęły śmiechem, słysząc tę napuszoną - ich zdaniem - frazę, ale Miguel wziął „słowo lorda” bardzo poważnie. Spojrzał na zegarek, była pierwsza w nocy. Pozostawały jeszcze dwie godziny. Miguel zgodził się. Młodzi ludzie pożegnali się więc serdecznie z państwem młodymi i ruszyli do drzwi.

Izabella umówiła się ze stryjecznym bratem na drugi dzień na lunch. Oboje chcieli sobie spokojnie porozmawiać o rodzinie i swoim dotychczasowym życiu, tak różnym, a zarazem tak podobnym, że aż trudno uwierzyć. Oboje, zupełnie samotni, wyjechali z Polski tuż po wojnie, oboje zrobili karierę na Zachodzie i oboje w branży diamentowej!

A najśmieszniejsze było to, że za dwa dni i tak by się pewnie spotkali na targach biżuterii, na które przyjechał Miguel i na których Izabella, jako przedstawicielka American Diamonds, miała zaplanowane spotkanie z delegacją DeBeersa, a której - jak się teraz okazało - przewodniczył André Buczacki. Jaki mały jest ten świat!

Izabella długo nie mogła zasnąć. Przypomniła jej się pan Borinelli. Co za antypatyczny typ, że też takiego diabli nie biorą, dlaczego jego nikt w tej Afryce nie zastrzeli! Izabella wróciła myślami do Katangi, do Bikasi, do biednej gubernatorowej Legrand, wprawdzie zakochanej w tym mydłku Borinellim, ale szlachetnej kobiety, która sama stojąc w obliczu śmierci, uratowała Roberta MacPhersona i próbowała uratować Richarda. Co ten Borinelli robił w otoczeniu gubernatora Legranda? Już wtedy musiał być sowieckim agentem, przygotowującym „antyimperialistyczny” bunt Balubów. Przypomniła sobie „antyimperialistyczne” hasła na posterunku rebeliantów na wzgórzach Karidu. Raz jeszcze stanęła jej przed oczami lwica Lola i jej syno-

wie. *No, kilku tych „antyimperialistów” dzielne lwy załatwiły!* Wróciła myślami do wczorajszego wieczoru. Co ten Borinelli chciał jej powiedzieć? Dał jej do zrozumienia, że wiedział, a może nawet brał udział, w zabójstwach Richarda i Murraya. Co teraz szykował? Jakie nowe morderstwa? Musi jutro poważnie z Andrzejem porozmawiać. Tych ostrzeżeń nie można lekceważyć. Izabelli przeszedł dreszcz po plecach. Miała złe przeczucia. Chciało jej się pić. Wstała i poszła do barku w salonie. Zaskoczona stanęła w progu. Przy gałce drzwiczek do barku majstrował Robbie. Stała w bezruchu, postanowiła złapać go na gorącym uczynku. Po chwili chłopiec wyciągnął z barku butelkę z wodą sodową i zaczął łapczywie pić. Izabella roześmiała się - suszyło go po tym popołudniowym „pijaństwie"! Podeszła do synka i też wzięła butelkę wody sodowej. Biedaczek nie wyglądał dobrze. Chciała go skrzyknąć, ale zrobiło jej się go żal.

- Jak się czujesz, przespałeś cały wieczór?

- Mamo, zatrąłem się tym paskudnym sokiem - Robbie pokazał na pustą buteleczkę po Advocaacie.

- To nie sok, a likier, nie dla dzieci. Pamiętaj, nigdy więcej nie wypijaj w hotelach tych małych buteleczek z alkoholem. To tylko dla dorosłych.

- Na pewno nie wypiję - w głosie biednego Robbiego słychać było silne postanowienie.

- A teraz idź umyj ręce, zęby i wracaj do łóżka. Jest środek nocy.

- Mamo, ale mnie się już nie chce spać.

- Trudno, nie będziesz się teraz bawił, jest druga w nocy.

- Może puszcze telewizję?

- O nie, kochany, zresztą o tej porze we Francji i tak nic nie ma. Umyj zęby i idź zaraz do łóżka. Jak nie możesz spać, to sobie pomyśl o czymś przyjemnym.

- O żyrafie Melissie?

- No właśnie. Jenny obiecała cię wziąć rano do zoo, choć nie wiem, czy będzie wyspana, bo poszła na tańce.

- Mamo, ja też chcę iść na tańce.

- Jeszcze czego - Izabella roześmiała się. - Najpierw wypijasz dwie buteleczki likieru, a potem chcesz iść na tańce. Ciekawe, co ci się jeszcze zachce? Chyba jesteś trochę za młody. Idź teraz do łazienki, umyj ręce, zęby i do łóżka. Jutro musisz być świeży i wypoczęty.

Robbie, niezbyt przekonany, powłókł się do łazienki.

Po chwili oboje leżeli w łóżkach. Robbie myślał o żyrafie Melissie, o samochodzikach, które dostał od Miguela i o tańcach. Nie bardzo rozumiał, dlaczego siostry lubią tańczyć, ale musiała to być jakaś duża przyjemność, bardzo chciał kiedyś pójść na tańce!

Izabella też postanowiła pomyśleć o czymś przyjemnym. Myślała o Miguelu, o pięknej koliai, którą od niego dostała, i o tym jak dobrze im ze sobą. Znowu tańczyli tango, znowu była do niego mocno przytulona, ale teraz już tylko w myślach. *Szkoda, że go tu nie ma* - pomyślała Izabella i powoli zasnęła w objęciach Miguela.

* * *

Śniadanie w hotelu Ritz stanowiło samo w sobie niezapomniane przeżycie. Ceremoniał rozpoczynał się już przy wejściu do sali restauracyjnej. Maître d'hôtel pytał każdego, co pije, kawę czy herbatę? I jaką? Kolumbijską, mokkę, jawę, etc. Po otrzymaniu odpowiedzi naciskał jeden z kilkudziesięciu kolorowych guziczków, by dać znać do kuchni, jaki gatunek kawy ma być natychmiast zmielony i zaparzony. Następnie prowadził gości do stolika nakrytego lśniąco białym obrusem, ze srebrną zastawą śniadaniową, inną niż do kolacji, ze srebrną cukiernicą, solniczkami i pieprzniczkami. Przy talerzach leżały serwetki haftowane w delikatne kwiatki. Po rozsądzeniu gości zjawiał się natychmiast kelner z tacką soków z grejpfruta, pomarańczy, mango, kiwi i jeszcze jakichś innych tropikalnych owoców, o których ani Miguel, ani Izabella nigdy nie słyszeli. Następnie podjechał hebanowy wózek z kilkoma półkami, na których prezentowała się smakowicie galeria dań śniadaniowych, zrobionych „jak żywe”. Oprócz takich przyziemnych zestawów jak omlet z szynką czy jajka na boczku, można też było wybrać bardziej wymyślne, na przykład jajka Benedict, jajka pod beszamelem albo mały befsztyczek z polędwicy z zapiekanymi kartofelkami. Naturalnie oferowano też najróżniejsze sałatki i owoce. Można było również zamówić sobie dowolną kombinację, np. befsztyczek z polędwicy, jajka pod beszamelem i sałatkę z owoców, co właśnie zrobił Miguel. Gdzie on to wszystko mieści, zastanawiały się dziewczęta, gdyż był zdecydowanie szczupłym mężczyzną.

Panie poprosiły o różne warianty sałatek i tosty z syropem cynamonowym. Najtrudniej było podjąć decyzję Robbiemu, ale w końcu zamówił dwa jajka na miękko, tosty z dżemem i sałatkę z owoców tropikalnych. Po przyjęciu zamówień podjechał kolejny stolik, tym razem z porcelanowymi dzbanuszkami świeżo zaparzonych kaw i herbat. Kelner, bez słowa, nalewał każdemu zgodnie z jego życzeniem.

Przy śniadaniu omówiono też plany na ten dzień. Jenny, zgodnie z obietnicą, weźmie rano Robbiego do paryskiego zoo. Po południu, jako nowo wybrana posłanka do Kongresu USA,

była umówiona z ambasadorem amerykańskim w Paryżu, który - liczyła na to - miał ją skontaktować z politykami francuskimi. Nicole i Paloma zamierzały ruszyć na zakupy.

- Ale na razie może jeszcze nic nie kupujcie, mamy czas - wtrąciła się Izabella.

- A może byście tak poszły do Luwru, albo do Musée de l'Homme? - zaproponował, nieco przekornie Miguel.

Wszyscy się roześmieli, z wyjątkiem Robbiego, który ze śmiertelną powagą smarował sobie tosta dżemem jeżynowym.

- Dobrze, dobrze, wszędzie pójdziemy, ale po kolei - powiedziała Nicole.

- Wczoraj wieczorem złamałam sobie obcas, musimy kupić jakieś buty - dorzuciła Paloma.

- To, biedaczko, masz tylko jedną parę? - żartował sobie z córki Miguel, który doskonale pamiętał, jak się pakowała w Cartagenie do trzech olbrzymich waliz.

Miguel i Izabella postanowili przejść się po śniadaniu ulicą Tivoli, obok placu Vendôme i obejrzeć, z ciekawości zawodowej, mieszczące się tam najwykwintniejsze sklepy jubilerskie. Potem Miguel odprowadzi Izabellę, przez ogrody Tuilerie do restauracji Trois Couronnes, gdzie umówiła się z Andrzejem Buczackim.

Umówili się o siódmej w apartamencie Izabelli, by razem wybrać się na kolację. Dzień zapowiadał się pięknie.

Dziewiętnastowieczna restauracja Trois Couronnes przy rue Martinique miała piękny ogródek ocieniony starymi lipami i odgradzony od ulicy niskim żywopłotem. Tam właśnie usiedli

Andrzej i Izabella. Była to jego ulubiona restauracja paryska. Kelnerzy go tu znali, był częstym i cenionym gościem. Dostali najlepszy stolik, pod drzewem, z widokiem na Sekwanę i dalej na kościół Św. Katarzyny.

Andrzej zamówił flaki à la Caen i nerki cielęce w sosie z sherry, z jarzynami. Izabella skrzywiła się w duchu na te „wnętrznosci”, ale też i rozczuliła. Od czasu wyjazdu z Polski nie widziała, żeby ktoś takie rzeczy jadł, co więcej „nereczki” to był jeden z ulubionych przysmaków jej ojca. Sama zamówiła solę meuniere z kluseczkami i fasolką szparagową. Andrzej zapytał ją, na jakie wino ma ochotę. Izabella odpowiedziała, że w pełni zdaje się na niego. Wobec czego zamówił doskonale Mouton Cadet z sześćdziesiątego roku. Rozmawiali o rodzinie, ale Andrzej właściwie nikogo nie znał, jako że jego ojciec Wacław był „wyklęty” z powodu meza-liansu. Okazało się, że babcia Iza, czyli matka ojców Andrzeja i Izabelli, widywała się jednak

ukradkiem, w głębokiej tajemnicy przed mężem, ze swoim ukochanym Wacusem, a także ze swoim wnuczkiem - Andrzejem. Bardzo kochał babcię i to na jej cześć ochrzcił swoją córkę - Izabella. Podobieństwo obu Izabeli wynikało z ich ogromnego podobieństwa do babci Izy.

Rozmawiali swobodnie i wesoło, jakby się znali od dziecka, oboje szczęśliwi, że po tylu latach pobytu w obcych krajach odnaleźli kogoś z bliskiej rodziny. Dla obojga była to wielka i bardzo miła niespodzianka. Przed kawą i deserem Izabella poszła do toalety. Poprawiając makijaż, usłyszała jakieś dziwne trzaski, jakby przytłumione odgłosy kilku serii z automatu. Zamarła zaskoczona takim odgłosem w restauracji, ale nagle złe przeczucie ścisnęło jej serce. Zdenerwowana spakowała torebkę i szybkim krokiem wyszła z toalety. W restauracji panowało ogólne zamieszanie. Właściciel złapał ją za ramię i nie chciał wypuścić do ogródka.

- Co się stało? - zapytała przerażona.

- Monsieur Buczacki nie żyje - powiedział właściciel restauracji. - To był zamach, madame. Już jest policja i pogotowie. Szpital mamy za rogiem - dodał ze pewną dumą w głosie.

- Jest pan pewien, że nie żyje? Muszę go zobaczyć! - Izabella wyrwała się i pobiegła do ogródka.

Andrzeja kładli na nosze.

- To mój brat! Czy żyje? - zapytała zdenerwowana.

- Nie - powiedział krótko lekarz - dostał dwie kule w głowę.

Izabella opadła na krzesło. Była zdruzgotana. Znała tego człowieka dopiero od wczoraj, a żywiła do niego takie uczucie jak do brata, z którym bawiłaby się jeszcze w piaskownicy. Dlaczego ktoś to zrobił? Kto? Dlaczego? W tym momencie do Izabelli podszedł policjant.

- Czy pani była z denatem?

- Z kim? - Izabella w pierwszej chwili nie zrozumiała tego policyjno-urzędowego żargonu.

- Z monsieur Butcz... Bu... tztackim, z tym, tam - policjant wskazał na nosze.

- Tak, byłam.

- To proszę podejść ze mną do żywopłotu.

Izabella poszła za policjantem we wskazanym kierunku. Stąd padły pierwsze strzały. Okazało się, że po pierwszej serii z automatu, od której zginął Andrzej, dwaj członkowie jego ochrony, siedzący dwa stoliki dalej, odpowiedzieli ogniem. Zastrzelili jednego z napastników. Drugiemu udało się uciec do pobliskiej bramy.

- Czy pani zna tego człowieka? - policjant uchylił nieco koc przykrywający leżące na chodniku zwłoki.

Izabella spojrzała i zbladła.

- Tak znam. To Louis Borinelli.

- Może nam pani o nim powiedzieć coś więcej?

- Obawiam się, że niewiele.

- Pani godność i adres?

- Izabella Bradley, w ogóle to mieszkam w Nowym Jorku, ale chwilowo jestem w hotelu Ritz, plac Vendôme...

- Dobrze, dobrze, wiem, gdzie to jest - policjant machnął ręką. - Numer pokoju?

- Dwieście cztery.

- Detektyw przydzielony przez prefekta do tej sprawy zapewne się z panią skontaktuje dziś albo jutro. Teraz jest pani wolna. - Policjant odszedł do kolegów skupionych przy karetce pogotowia.

Ale łaskawca! Natychmiast wróciła jednak myślami do Andrzeja.

Tymczasem podszedł do niej jeszcze raz właściciel restauracji, zaprosił ją do środka i zapytał, czy napije się może kawy.

- Nie. Ale poproszę kieliszek koniaku - powiedziała Izabella.

- Ależ oczywiście. Pierre, podaj pani kieliszek mojej prywatnej rezerwy Saragnac - zwrócił się do barmana. - Doprawdy nie wiem, jak wyrazić swój ból i współczucie. Monsieur André był naszym najlepszym gościem.

- Bardzo panu dziękuję. Czy mógłby mi pan jeszcze zamówić taksówkę?

- Z największą przyjemnością, madame - właściciel podszedł osobiście do telefonu i zadzwonił po taksówkę.

Po kilku minutach Izabella była z powrotem w hotelu. Rzuciła się na łóżko i szlochając, wtuliła głowę w poduszkę.

Właściwie znała Andrzeja Buczackiego tylko kilka godzin, a czuła się, jakby straciła kogoś bardzo bliskiego, i to w taki straszny sposób. Przypomniła sobie jego zakrwawioną głowę na noszach i dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. *To znowu ten drań Borinelli. Dobrze, że go zastrzelili! Już więcej nie będzie nikomu zagrażał.* Izabelli przyszło nagle do głowy, że powinna zadzwonić do Rozalii Buczackiej, nie wiadomo, czy ją policja zawiadomiła.

Okazało się, że Rozalia już wiedziała, była dla Izabelli bardzo nieprzyjemna, jakby miała do niej pretensję o to, co się stało. Po kilku ostrych pytaniach Rozalia pożegnała ją sucho i poprosiła, żeby więcej do niej nie dzwoniła. Izabella odłożyła słuchawkę i tępo zapatrzyła się w stojący na stoliku bukiet orchidei. *O co jej chodzi? Czy ona myśli, że jestem współniczka Louisa Borinello?* Izabella otrząsnęła się. Czowała jakby niesmak w ustach. *Eh, nie przesadzajmy, po prostu biedna kobieta jest w szoku, nie wie, co mówi.* To pocieszenie nie wypadło zbyt przekonująco. Izabella znowu rzuciła się na łóżko. Nie mogła opanować łez. *Nade mną naprawdę wisi jakaś klątwa. Jakieś afrykańskie przekleństwo. Andrzej też był związany z Afryką, podobnie jak Richard i Murray. Czy to się nigdy nie skończy? Co ja takiego zrobiłam? Andrzej był takim dobrym człowiekiem, czy to ja sprowadziłam na niego śmierć!* Nie chciało jej się żyć, czuła się znowu, jak kiedyś w Salisbury, w otchłani jakiegoś koszmaru. Izabella nie była religijna, ale chyba po raz pierwszy od dzieciństwa, zaczęła się teraz żarliwie modlić, prosząc Boga o przebaczenie i zmiłowanie.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Izabella usiadła na łóżku i zawołała „Proszę wejść”, przekonana, że to Miguel albo któreś z dzieci. W drzwiach stanęło jednak dwóch policjantów i cywil w prochowcu, jak z filmu kryminalnego o dr. Clouzot.

- Czy pani Izabella Bradley?

- Tak, co mogę dla panów zrobić?

- Michel Chevalier, starszy inspektor z Szóstego komisariatu - przedstawił się cywil w prochowcu. - Chciałbym pani zadać parę pytań.

- Proszę bardzo, niech panowie siadają. - Izabella wstała z łóżka, poprawiła sukienkę i włosy, spoglądając nerwowo w lustro. Usiadła na skórzanym fotelu obok kanapy, zapraszając policjantów, by usiedli także. Inspektor Chevalier usadowił się na krześle naprzeciwko niej.

Izabella opowiedziała inspektorowi wydarzenia z ostatnich dwóch dni, ze szczególnym uwzględnieniem zabójstwa w restauracji Trois Couronnes. Okazało się jednak, że inspektora Chevalier najbardziej interesował Louis Borinelli i jej związki z nim.

- Czy widziała się pani z Louistem Borinellim wczoraj wieczorem w barze hotelu Ritz?

- Tak, spotkałam go tam - odpowiedziała Izabella nieco zmieszana, bo nie wspomniała o tym wcześniej, nie miała pojęcia, że policja o tym wie.

- Czy rozmawialiście o planowanym zamachu?

Izabella spojrzała zdumiona na inspektora.

- Co pan wygaduje! Prawie nie znałam tego człowieka. Wczoraj w Ritzu spotkałam go, zupełnie przypadkowo, drugi raz w życiu. Poprzednio widziałam go kilkanaście lat temu w Kantandze, a i to tylko przez kilka minut. I tyle. Niczego więcej o nim nie wiem i absolutnie nic mnie z nim nie łączyło.

Inspektor nie wydawał się przekonany. Z dalszego przesłuchania wynikało, że ochroniarze Andrzeja zeznali, iż wczoraj wieczorem, w barze hotelowym widzieli Izabellę z Borinellim i słyszeli, jak nieco podniesionym głosem oświadczyła, że „sama by go zastrzeliła, ale nie ma pistoletu”. Izabella wyjaśniła inspektorowi przebieg rozmowy, o co chodziło, tłumacząc, że jeśli w ogóle kogoś by chciała zastrzelić, to właśnie Borinellego.

Nie rozwiało to jednak podejrzeń inspektora.

- A czy dawała mu pani jakieś znaki torebką, wstając od stolika w restauracji Trois Couronnes?

- Już panu raz powiedziałam. Właściwie nie znałam tego człowieka i na pewno nie byłam jego współniczką, jeśli o to panu chodzi. Wzięłam ze stolika torebkę, bo szłam do toalety poprawić sobie makijaż. Każda kobieta by tak zrobiła. Normalnie zarzuciłam ją sobie na ramię, nikomu żadnych znaków nie dawałam - Izabella była już dosyć zdenerwowana.

- Bo wie pani, Borinelli zaczął strzelać po pani odejściu od stolika... oczywiście to może być czysty zbieg okoliczności - inspektor starał się być bardzo dyplomatyczny.

- Proszę pana, nie mam pojęcia, co kierowało Borinellim, ale zapewniam pana jeszcze raz, że prawie nie znałam tego człowieka, a już na pewno nie miałam absolutnie nic wspólnego z jego zbrodniczymi planami.

- A dlaczego właśnie wczoraj spotkała się pani z Andrzejem Buczackim?

- Proszę pana, to też był całkowity przypadek - Izabella czuła, że inspektor jej nie wierzy.
- Opowiedziałam panu przed chwilą wydarzenia wczorajszego wieczoru.

- Tak, tak - inspektor pokiwał głową. - Strasznie tu dużo przypadków i dziwnych zbiegów okoliczności... - sięgnął do teczki i wręczył Izabelli jakiś papier. - To nakaz stawienia się w sądzie... na wstępne przesłuchanie - dorzucił szybko inspektor Chevalier - do tego czasu nie wolno pani opuścić Francji. Jestem zmuszony poprosić panią o paszport.

- A co będzie, jak go panu nie dam? - zapytała Izabella.

- Będę musiał zastosować wobec pani areszt tymczasowy, ale to oczywiście ostateczność, na pewno da mi pani paszport. Zwrócimy go pani zaraz po przesłuchaniu sądowym.

- A kiedy to będzie?

- Zgodnie z prawem, madame, za trzy dni.

Izabella wręczyła inspektorowi paszport i schowała do torebki pokwitowanie. Policjanci wyszli. Izabella siedziała na fotelu i patrzyła na orchidee. Zaczynała rozumieć niechęć Rozalii. Podejrzewają ją o współpracę z Borinellim! Izabellą wstrząsnął dreszcz, co za koszmar! Z drugiej strony inspektor miał rację - rzeczywiście „strasznie tu dużo przypadków i zbiegów okoliczności”, co nie zmienia jednak faktu, że to wszystko nic innego tylko „przypadek i zbieg okoliczności”!

Pierwszy przyszedł Miguel, punktualnie o siódmej. Trochę się zdziwił, gdy ujrzał Izabellę tępo zapatrzoną w okno, z rozmazanym okiem i nieuczesanymi włosami. Wyraźnie jednak ucieszyła się na jego widok.

- Iza, jak ty wyglądasz!?! Tak chcesz iść na kolację? - Miguel zapytał lekko zdziwiony.

Izabella wstała i podeszła do lustra. Rzeczywiście wyglądała fatalnie.

- Ach! Poczekaj tu, kochanie, i wpuść dzieci, a ja szybko doprowadzę się do porządku. Miguel, nie uwierzysz, co ja dziś miałam za dzień! Zaraz wam wszystko opowiem - powiedziała Izabella, idąc do łazienki.

Po chwili w pokoju zjawiły się Nicole i Paloma, a potem Jenny z Robbiem, który natychmiast poleciał do barku i wyciągnął sok pomarańczowy, tym razem już prawdziwy, specjalnie dla niego zamówiony. Poczęstował siostry i Palomę, czyniąc z dumą honory gospodarza domu.

- No, widzę, że ten barek to już masz obcykany - zażartowała Nicole.

Wszyscy się roześmieli na wspomnienie opowieści Izabelli o barowych wyczynach Robbiego. Chłopiec się zarumienił. W tym momencie wróciła do pokoju Izabella i opowiedziała wydarzenia z ostatnich paru godzin. W pokoju zapadła cisza.

- Bogu dzięki, że tobie nic się nie stało - powiedział w końcu Miguel. - Co za straszna historia!

Jenny i Nicole były oburzone, że policja francuska ma czelność podejrzewać ich matkę o udział w zbrodni. Miguel był pewny, że policja szybko sprawę wyjaśni. Izabelli pomogła bliskość i duchowe wsparcie bliskich jej osób. Ożywiła się i próbowała zapomnieć o zdarzeniach, przechodząc do innych tematów. Zapytała Robbiego, jak było w zoo, a Jenny, czy udało się spotkanie z ambasadorem. Nicole i Paloma opowiedziały o swoich zakupach, ale rozmowa nie bardzo się kleiła. Opowieść Izabelli i śmierć Andrzeja Buczackiego wyraźnie wywarła na wszystkich wielkie wrażenie. Ostatecznie okazało się, że zarówno Jenny, jak i Nicole i Paloma

mają własne plany na wieczór. Jenny została zaproszona przez ambasadora amerykańskiego na kolację, na której miał też być francuski minister spraw zagranicznych. Musiała już biec, bo taksówkę miała zamówioną na 7:45. Nicole i Paloma wybierały się ze swoimi nowymi, angielskimi przyjaciółmi na koncert Johnny'ego Hollidaya i Sylvie Vartan. Tak więc Izabella i Miguel zostali tylko z Robbiem. W tej sytuacji postanowili nie chodzić nigdzie na kolację, a zjeść w hotelu. Izabella z jakimś nieokreślonym lękiem przeszła obok barku hotelowego, ale na szczęście tym razem nikogo nie spotkała! Po kolacji wrócili do apartamentu Izabelli. Robbie jeszcze trochę się pobawił, lecz wkrótce Izabella położyła go spać. Miguel oglądał tymczasem telewizję i popijał whiskey. Słabo znał francuski, więc rozumiał tylko niektóre wiadomości, ale w pewnym momencie wyprostował się na fotelu i zawołał Izabellę. Pokazywali restaurację Trois Couronnes i mówili o zamachu na dyrektora paryskiego oddziału południowoafrykańskiego koncernu DeBeers. Izabella była oburzona, bo sympatia komentatora była wyraźnie po stronie zamachowców. W sprawozdaniu podano, że przedstawiciel rasistowskiego apartheidu został zastrzelony przez bojowników południowoafrykańskiego ruchu oporu.

- Iza, nie przejmuj się - Miguel próbował ją uspokoić. - Wiesz przecież, że francuskie środki masowego przekazu są w rękach lewicy.

- Ale co za bzdury! Ten Borinelli to jakiś sowiecki agent, a nie „południowoafrykański ruch oporu”.

Izabella opowiedziała Miguelowi o okolicznościach swoich spotkań z Borinellim i o rozmowie z nim w barku. Podzieliła się też swoimi podejrzeniami i myślami o najwyraźniej ciąży na niej „afrykańskiej klątwie”. Trochę się bała, że Miguel ją wyśmieje, ale musiała mu to wszystko wyznać. Miguel objął Izabellę i pogłaskał ją delikatnie po głowie.

- Nie bądź niemądra, to nie żadna „klątwa”, po prostu bardzo nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

- Miguel, musisz mi coś obiecać.

- Co, kochanie? Mam nadzieję, że nie „gwiazdkę z nieba”, choć to też bym ci obiecał!

- Miguel, obiecaj mi, że nie pojedziesz do Afryki i nie będziesz robił żadnych interesów z DeBeersem ani jakimikolwiek innymi afrykańskimi firmami.

Miguel popatrzył uważnie na Izabellę. Oczy jej błyszczały, była podekscytowana. Widać było, że nie żartuje.

- Ależ dobrze, kochanie, obiecuję. Mam dosyć pieniędzy i bez tego, a zresztą DeBeers i inne firmy afrykańskie to dla mnie konkurencja, nie partnerzy. Nawet jakbym chciał robić z

nimi interesy, to wątpię, czy oni by chcieli. Bądź spokojna, Izuniu, nie miałem, nie mam i nie będę miał nic wspólnego z Afryką, obiecuję!

- Dziękuję - Izabella zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się przytuliła.

Miguel odchylił delikatnie jej głowę i pocałował ją, jak kiedyś na ławce w Cartagenie. Przyłgnęła do niego całym ciałem, czuła się przy nim bezpieczna. Opadli na kanapę. Miguel zahaczył łokciem lampę. Zgasło światło. W otwartym oknie balkonu błyszcząły światła Paryża. Leżeli, przytuleni w bezruchu. Było im ze sobą dobrze, kochali się. Nie potrzebowali słów. Izabella czuła, że to jest mężczyzna jej życia. Do trzech razy sztuka, w końcu musi się udać! Przyłgnęła ustami do jego ust. Miguel delikatnie głaskał ją po plecach, po chwili wsunął rękę pod bluzkę, dotknął falującej piersi. Izabellę przeszył dreszcz rozkoszy. Tak, tego właśnie chciała, czuć jego ręce na sobie, czuć jego usta na swoim ciele, czuć uścisk jego silnych nóg.

- Miguel, kochanie, nie tu. Robbie może się obudzić. Chodźmy do łóżka.

Nie musiała tego dwa razy powtarzać. Miguel wziął ją w ramiona i zaniósł do sypialni. Po chwili leżeli na łóżku spleceni uściskiem rozkoszy. Zapomnieli o wszystkim, o Paryżu, o Andrzeju Buczackim, o Afryce, o diamentach, o panu Borinellim, a nawet o dzieciach. Gdyby w tym momencie Robbie wszedł do pokoju, to stałby biedaczek niezauważony! Byli całkowicie pochłonięci sobą. Długo czekali na ten moment, wiele w życiu przeżyli złych i tragicznych dni, chcieli być pewni swego uczucia, ale teraz istnieli już tylko dla siebie, złączeni prawdziwą miłością.

Mimo niezbyt udanego pobytu w Paryżu i wszystkich towarzyszących temu przykrych okoliczności Izabella była szczęśliwa. Znowu kochała i była kochana. Czuła, że w końcu los się do niej uśmiechnął i że nareszcie ma mężczyznę, którego nie tylko kocha, ale na którym może polegać, który jej nie oszuka i nie zawiedzie. Tak jak kiedyś było z Richardem.

Policja francuska tak samo szybko wszczęła śledztwo w sprawie zabójstwa Andrzeja Buczackiego, jak je umorzyła „z braku świadków i dowodów zbrodni”. Izabella złożyła zeznania przed sądem śledczym, wyjaśniła w najmniejszych szczegółach swoje kontakty z Louistem Borinellim i swoje powiązanie, czy raczej brak powiązania, z całą sprawą. Izabella, głównie chyba ze względu na swoją urodę, znalazła się na pierwszych stronach gazet francuskich, jako „tajemnicza polska milionerka z Nowego Jorku” zamieszana w aferę zamachu na przedstawiciela „rasistowskiego” koncernu DeBeers w Paryżu. Niektóre brukowce wręcz dawały do zrozumienia, z dużą sympatią i uznaniem dla Izabelli, że jakoby „sympatyzowała z walką narodów afrykańskich dążących do zrzucenia jarzma imperializmu”. Izabella była wściekła, ale nic nie pomagały jej protesty i groźenie sądem. Po prostu romantyczny obraz pięknej Polki walczącej „w słusznej sprawie” lepiej pasował lewicowym mediom francuskim niż tłumaczenia Izabelli, że już jeśli co, to są to raczej „krwawe machinacje sowieckiego imperializmu”, a ona sama nie ma i nie chce z tym mieć nic wspólnego. Wyjechała z Paryża z poczuciem niesmaku.

Na szczęście całe to tragiczne wydarzenie zaczynało być tylko epizodem w jej życiu. Oczywiście trudno jej było pogodzić się ze śmiercią Andrzeja Buczackiego i z bezkarnością morderców. Bardzo to przeżyła, ale z drugiej strony w tych trudnych chwilach znalazła miłość. Miguel był dla niej oparciem i podporą, nie odstępował jej ani na chwilę, służył radą i pociechą. Teraz już wiedziała na pewno, że na niego może zawsze liczyć. To było dla niej bardzo dużo, właściwie wszystko. Przez całe te lata, po strasznym zawodzie z Murrayem, a potem po upokarzającej przygodzie z senatorem Dillonem, tego właśnie najbardziej jej brakowało - mężczyzny, któremu mogłaby ufać, który byłby oparciem i podporą w trudnych chwilach. Miała udane i kochane dzieci, które były dla niej wielką pociechą, ale jednak to nie to samo. Izabella wiedziała, że jest piękną i atrakcyjną kobietą, kochanków mogła mieć tylu, ilu by chciała, ale nie o to jej chodziło.

Teraz serce jej mówiło, że nareszcie ma to, czego jej przez tak długi czas brakowało - kochanego i kochającego ją mężczyznę.

Miguel i Paloma odlecieli do Kolumbii, ale po dwu tygodniach Miguel przyjechał do Nowego Jorku. Tym razem skorzystał z zaproszenia Izabelli i zatrzymał się w Tuxedo Park. Chcieli zaplanować wspólne życie. Na szczęście z niczym nie musieli się śpieszyć, mieli czas. Przynajmniej tak im się zdawało. Izabella początkowo nie mogła w to uwierzyć, ale po wizycie u lekarza była już pewna - zaszła w ciążę.

Tego się w czterdziestym piątym roku życia nie spodziewała!

- Kochanie, to najlepsza wiadomość, jaką dostałem od dwudziestu lat! - Miguel był chyba nawet bardziej wzruszony od Izabelli.

- A dwa tygodnie temu mówiłeś, że to twój najszcześniejszy dzień, kiedy się zgodziłam wyjść za ciebie za mąż - przekomarzała się Izabella.

- To też. Już sam nie wiem, kiedy byłem szczęśliwszy. Tyle wrażeń naraz, po tylu latach „posuchy”. Trudno nie stracić głowy! - Miguel był w siódmym niebie, z całej jego postaci emanowała radość i uwielbienie dla Izabelli. - Muszę zadzwonić do Palomy.

- Zaraz, poczekaj, jeszcze mamy czas. Może powiemy dzieciom, jak już będę na sto procent pewna, że nie będzie poronienia. Miguel, mam już czterdzieści pięć lat! W tym wieku ciąża to poważna sprawa.

- Wiem, kochanie, oczywiście. Musisz mieć opiekę najlepszych specjalistów. Dobrze, że jesteśmy w Nowym Jorku, z tym nie będzie problemu. Do Palomy zadzwonię i zaproponuję, żeby studiowała tu, w Nowym Jorku. Chciałbym, żeby była z nami.

- Oczywiście, kochanie, to przemiła dziewczyna i świetnie się rozumieją z Jenny i Nicole. No, może lepiej z Nicole. Najpierw jednak przynieś z baru butelkę szampana, musimy uczcić tę wiadomość - Izabella była w szampańskim nastroju.

- Iza, nie powinnaś chyba pić alkoholu - Miguel zaproponował nieśmiało.

- Kochanie, nie przesadzajmy, kieliszek dobrego szampana na pewno nie zaszkodzi, ani mnie, ani temu małemu...

- Albo tej małej... Oboje się roześmieli.

- Izuniu, będziemy musieli wymyślić imiona. Jak będzie chłopczyk to może... Natanson, Natanson Balvarena - rozmarzył się Miguel.

- Co? - Izabella serdecznie się roześmiała. - Co to to nie. Może to brzmi pięknie dla twojego kolumbijskiego ucha, ale nie dla mnie, nasz synek na pewno nie będzie miał na imię Natanson, choć bardzo kochałam starego pana Natansona...

- No to dlaczego nie?

- Miguel, kochanie, nie wiem, jak ci to powiedzieć. To po prostu nie pasuje. Może Samuel, pan Natanson miał na imię Samuel.

- Samuel... - to wyraźnie nie pasowało Miguelowi.

- No, zobaczymy, mamy jeszcze czas. Na razie przynieś szampana.

Miguel i Izabella postanowili wziąć cichy ślub, tylko w obecności najbliższej rodziny, żeby nie narażać Izabelli na żadne niepotrzebne stresy. Miguel zaproponował, by Izabella rzuciła pracę w American Diamonds. Mieli przecież bez tego dosyć pieniędzy! Ale Izabella chciała być wierna obietnicy danej staremu panu Natansonowi. Postanowili więc, że zakończy najważniejsze sprawy i weźmie urlop macierzyński od momentu, kiedy zalecą jej to lekarze, a potem zadecydują co dalej.

Uzgodnili też, że zamieszkają w Nowym Jorku, czy dokładniej rzecz biorąc, w Tuxedo Park, a Miguel powoli zacznie likwidować swoje interesy w Kolumbii. Postanowili czasowo zachować małżeństwo w tajemnicy, by potencjalni kupcy nie myśleli, że Miguel sprzedaje swoje kopalnie i plantacje pod jakąś presją, gdyż odbiłoby się to na ich cenie.

* * *

Po dziewięciu miesiącach Izabella urodziła w klinice Beth Israel na Manhattanie dorodnego synka. Poród był dosyć ciężki, na szczęście miała zapewnioną pomoc najlepszych specjalistów. Na drugi dzień, kiedy już doszła do siebie, dr Leon Goldberg, szef oddziału położnictwa, powiedział Izabelli, że tym razem wszystko się udało, ale to już musi być ostatni poród w jej życiu, każdy następny byłby śmiertelnym niebezpieczeństwem. Izabella podziękowała lekarzowi za pomoc i opiekę. Lekko się rumieniąc, zapewniła, że będzie ostrożna i że absolutnie nie planuje dalszych porodów.

Cała rodzina była bardzo przejęta przyjściem na świat małego José, bo takie dostał imię na cześć dziadków, ojców Miguela i Izabelli (José to po hiszpańsku Józef). Ale chyba najbardziej wzruszeni nowym nabytkiem rodzinnym byli Miguel i Robbie. Miguel był w siódmym niebie, że znowu ma syna, któremu będzie mógł przekazać nazwisko i fortunę. Mały José był zresztą od urodzenia podobny do ojca, miał ciemne włoski i olbrzymie czarne oczy typowego Kolumbijczyka.

- Ale pogodny charakter będzie miał po mnie - żartowała Izabella.

- Mam nadzieję, że nie tylko charakter - uśmiechnął się Miguel. - Na pewno po tobie będzie też miał inteligencję i dar do interesów, wygląd zewnętrzny dziedziczy się po linii ojca, a przymioty umysłu po linii matki. - Miguel patrzył zakochany na Izabellę.

- Eh, nie przesadzajmy, jakby miał trochę inteligencji i wytrwałości po tobie, toby też nie było źle - przekomarzała się Izabella.

Robbie był zachwycony, że ma młodszego braciszka, że już nie będzie tym najmłodszym w rodzinie, a Jenny i Nicole były pełne podziwu dla matki, że tak dzielnie przetrwała poród i mimo wielu ciężkich przeżyć ciągle tak pięknie wygląda.

- No, dziewczyny, teraz wasza kolej - żartowała Izabella - mnie lekarze już zdecydowanie zakazali dalszych potomków. Macie po dwadzieścia cztery lata, ja w tym wieku byłam już poważną mamą!

- To może najpierw Nicole, ja muszę w Kongresie dbać o sprawy państwa - uśmiechnęła się Jenny.

- Dobrze, dobrze, nie wymiguj się. Ameryka się bez ciebie nie zawali, a Kongres może poczekać - odparowała Nicole. - A zresztą jesteś ode mnie o osiem miesięcy starsza, a ten twój adwokat z Waszyngtonu aż się pali do żeniaczki.

- Pali to on się do robienia dzieci, ale nie wiem, czy koniecznie do małżeństwa - odpowiedziała Jenny - a poza tym, mnie na razie wystarczy dwóch braciszków.

- Nie widzę u was entuzjazmu do tych spraw. Będę najwyraźniej musiała poczekać na wnuczki - stwierdziła Izabella z cieniem zawodu w głosie.

- Mamo, na pewno będziesz miała wnuczki - zapewniły chórem córki.

- Tylko niech im wujek trochę podrośnie - dorzuciła Jenny.

Izabella dostała po porodzie od American Diamonds wspaniałe kwiaty i piękny komplet: brylantową kolbę i kolczyki. Ronald Cohen wraz z żoną przyjechał z gratulacjami do Tuxedo Park. Izabella była bardzo wzruszona. Serdecznie podziękowała za prezent i dowody uznania, ale niestety miała dla Ronalda Cohena złą wiadomość - postanowiła odejść z American Diamonds. Prezes Cohen był niepokieszony, ale jego żona Rebecca zdecydowanie poparła Izabellę.

- Kochanie, ona ma świętą rację. Miejsce kobiety jest w rodzinie i przy dzieciach - powiedziała z pełnym przekonaniem.

Izabella nie była do końca przekonana, lecz po prostu zmęczona. Dostyc się w życiu napracowała, dorobiła się dużych pieniędzy i teraz przyszedł czas, by zacząć z nich korzystać, cieszyć się rodziną, mężem i dziećmi, a da Bóg to i wnuczkami.

Nicole aż się skrzyła na wypowiedź pani Cohen. Musiała ugryźć się w język, żeby czegoś ostro nie odpowiedzieć. Pomyślała sobie tylko - *Stara idiotka*. Na szczęście nie było Jenny, która pewnie by się nie opanowała i powiedziałaaby pani Cohen, co myśli o roli współczesnej

kobiety. W każdym razie klamka zapadła. Izabella podjęła decyzję, ale obiecała Ronaldowi Cohenowi pomoc w znalezieniu zastępcy i w przekazaniu mu swoich obowiązków.

Tymczasem Miguel sprzedał, bez większych trudności, dwie kopalnie szmaragdów i przekazał innym swoje funkcje w radach nadzorczych i we władzach miejskich Cartageny. Gorzej przedstawiała się sprawa z plantacjami kawy. Akurat była słaba koniunktura na kawę na rynkach światowych. Wyjątkowy urodzaj w Brazylii i Kostaryce spowodował poważną zniżkę cen. Obecnie nie było kupców na plantacje kawy w Kolumbii, co najwyżej można by je sprzedać z olbrzymimi stratami. To nie miało sensu.

Miguel wrócił więc do Nowego Jorku i, po naradzie z Izabellą, postanowił plantacje zatrzymać. Izabella zaproponowała, by w tej sytuacji, skoro jej już nic nie wiąże z Nowym Jorkiem, przenieśli się na Florydę. Miami jest mniej więcej w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Cartageną. Miguel z radością na to przystał, oznaczało to dla niego o cztery godziny, czyli o połowę, krótsze loty do Kolumbii. A prowadząc plantacje, musiał tam bywać co najmniej kilka razy do roku. Izabella, szczególnie z małym dzieckiem, nie chciała przeprowadzać się na stałe do Kolumbii. Miguel doskonale to rozumiał, zresztą sam też wolał mieszkać na Florydzie, która już od dziesięcioleci jest bezpieczną przystanią dla bogatych Latynosów, niepewnych ani dnia, ani godziny w swoich rodzinnych krajach.

Izabella wynajęła Nicole i Palomie piękne mieszkanie na Manhattanie. Nicole już kończyła studia, a Paloma dopiero zaczynała naukę na Columbia University. Dobrze się składało, bo tym sposobem Nicole mogła „wprowadzić” młodszą siostrę w życie uniwersyteckie i w życie Nowego Jorku, które w innej sytuacji mogło okazać się niebezpieczne dla młodej, pięknej i dość jeszcze dziecinnej nowicjuszek z Cartageny.

Izabella, po kilku miesiącach relaksu w Tuxedo Park, wystawiła na sprzedaż dom Rose Hollow i przystąpiła, z wrodzoną sobie energią, do poszukiwania odpowiedniej rezydencji na Florydzie. Najpierw musiała jednak znaleźć odpowiedzialną niańkę dla niemowlaka. Zdecydowała się na pięćdziesięcioletnią Meksykankę, z doskonałymi rekomendacjami, która przez dwanaście lat opiekowała się dziećmi sąsiadki z Tuxedo Park. Izabella знаła ją i miała do niej pełne zaufanie. Teraz, po zapewnieniu odpowiedzialnej opieki małemu José, a także Robbiemu, Izabella mogła przystąpić do dzieła. Po przewertowaniu setek prospektów i po konsultacjach z agentami sprzedaży nieruchomości - wymagało to również kilku krótkich wypadów na Florydę - wytypowała pięć możliwych domów. Obejrzeliby je wszystkie wspólnie z Miguelem. Ostatecznie zdecydowali się na piękną rezydencję w Boca Raton, w pobliżu Miami. Była to duża willa,

w stylu neoklasycznym, ze smukłymi kolumnami z dwóch stron głównego wejścia. Z balkonów sypialni na pierwszym piętrze rozpościerał się wspaniały widok na rosnące w ogrodzie drzewa pomarańczowe i palmy, a dalej na szmaragdowozielone morze. Dwuhektarowy teren otoczony był ozdobnym murem. Po dwóch stronach głównej rezydencji znajdowały się dwa mniejsze domki, jeden dla gości, drugi dla służby. W połowie alei od bramy wjazdowej do podjazdu, po lewej stronie był garaż na kilka samochodów. Z pokoi na parterze, z jadalni, salonu i biblioteki połączonej z barem wychodziło się na wspaniały taras, ocieniony tulipanowcami i magnoliami. Z tarasu schody wiodły do pięknie zadbanego, tropikalnego ogrodu z bajecznie kolorowymi kwiatami. Podziwiając ten ogród, można było zrozumieć, dlaczego Hiszpanie, którzy pięćset lat temu odkryli ten półwysep, nadali mu nazwę - Florida, czyli „kraj kwiatów”. Po prawej stronie kusił olimpijskich rozmiarów basen, otoczony marmurowymi płytami, na których stały stoliki, fotele, kolorowe parasole i leżaki. Dalej, między basenem a murem otaczającym rezydencję, był gaj pomarańczowy.

Jednym słowem - pomyślała Izabella - raj na ziemi.

Oczywiście dom trzeba jeszcze było urządzić, nająć służbę i tak dalej, ale to już były drobiazgi, szczególnie w sytuacji, kiedy pieniądze nie grały roli. Miguel zostawił to Izabelli, mając pełne zaufanie do jej smaku i umiejętności doboru odpowiednich ludzi. Dla niej była to właściwie przyjemność, bo nie bardzo wyobrażała sobie życia całkowicie bezczynnego.

Po podpisaniu wszystkich potrzebnych papierów i po kolacji z agentem nieruchomości i byłym właścicielem domu, bardzo sympatycznym starszym Kubańczykiem, Izabella siedziała na balkonie hotelu Caracas w Miami i patrzyła na połyskujące w świetle księżyca morze. Miguel załatwiał w pokoju jakieś ważne telefony.

Przypomniała sobie, jak kilkanaście lat temu siedziała podobnie, w blasku księżyca, na balkonie luksusowego hotelu w Montreaux nad Jeziorem Lemańskim, z Murrayem i małą jeszcze wtedy Nicole. Też była szczęśliwa i pełna nadziei na nowe życie z Murrayem w Ameryce. Nie potoczyło się tak, jak to sobie wówczas wyobrażała, ale ostatecznie narzekać też nie może. Wprawdzie Murray ją zdradził i potem głupio i niepotrzebnie zginął, ale za to nabrała wiary we własne siły, dorobiła się fortuny, wychowała dzieci, a nawet zyskała córkę. Izabella pomyślała ciepło o Jenny - dzielna i kochana dziewczyna, a do tego w wieku dwudziestu czterech lat posłanka do Kongresu USA, jak tak dalej pójdzie, to kto wie, może zostanie prezydentem! Izabella uśmiechnęła się w duchu. No i przede wszystkim ma teraz Miguela, mężczyznę, którego ca-

łym sercem kocha i który ją kocha. Jakiś głęboki instynkt mówił jej, że teraz to już jest to, teraz się już na pewno powiedzie. Izabella była szczęśliwa spokojnym szczęściem spełnienia.

Miguel wszedł na balkon z dwoma egzotycznymi koktajlami, które zamówił w barze. Usiadł obok Izabelli. Objął ją ramieniem i delikatnie pocałował. Izabella się do niego przytuliła. Pod roziskrzonym gwiazdami niebem, przy szumie fal czuli się oboje jak w niebie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy zostali całkowicie sami, bez dzieci. Malutki José, choć przyszedł na świat dopiero dziesięć miesięcy temu, był ważnym członkiem rodziny. Po trzech dniach rozstania już za nim tęsknili.

- Ciekawe, co on teraz robi? - powiedział Miguel.

- O tej porze to miejmy nadzieję, że śpi - odparła z uśmiechem Izabella - albo drze się jak opętany z tęsknoty za tatusiem, nie dając spać Manueli.

- Myślisz, że mnie pamięta? - w głosie Miguela brzmiały nutki nadziei i dumy.

- Na pewno, to przecież wybitnie inteligentny chłopczyk, po ojcu!

Oboje się roześmieli. Miguel był w dziecięcu zakochany po uszy, dosłownie świata nie widział poza małym José. Mógł o nim rozmawiać godzinami. Ta typowo latynoska, wylewna miłość do dziecka, bardzo rozczulała Izabellę, ale czasem ją też trochę śmieszyła, a przy obcych wręcz krępowała. W każdym razie było to dla niej coś nowego, bo ani Richard, ani Murray nie okazywali nigdy takiego entuzjazmu dla niemowlaków. Oczywiście też kochali swoje dzieci, lubili się chwilę z nimi pobawić czy potrzymać na rękę, ale na tym się właściwie kończyło. Miguel, gdyby tylko mógł, cały dzień spędzałby z José, bawiąc się z nim, nosząc na rękę, przewijając, kąpiąc i układając do snu. Izabella nigdy czegoś takiego nie widziała.

- Czasami aż jestem zazdrosna o tego małego łobuziaka - uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Czy ty mnie jeszcze kochasz, czy tylko jego?

- Izuniu, kocham cię nad życie, dobrze o tym wiesz - powiedział żarliwie Miguel, a po chwili dodał - i jego też!

Izabella roześmiała się i pociągnęła przez słomkę łyk koktajlu.

- No trudno, już się z nim tobą podzielę. Ale pamiętaj, tylko z nim, z nikim innym!

- Izuniu, kochana, nawet takich rzeczy nie mów. Jesteś jedyną kobietą w moim życiu i do śmierci zostaniesz.

- Nawet jak będę pomarszczona i przygarbiona? - przekomarzała się Izabella.

- Tak, Izuniu, zawsze będę cię kochał i zawsze będę się tobą opiekował.

Miguel powiedział to z takim żarem i przekonaniem w głosie, że trudno się było nie rozczulić. Izabella mocno się do niego przytuliła.

- Dzisiaj masz tylko mnie. José jest daleko w Nowym Jorku. Mnie ułóż do snu, pogłaszcz po głowie i opowiedz jakąś bajkę - Izabella wstała i pociągnęła Miguela za rękę do pokoju.

- Dobrze, ale najpierw muszę cię wykapać i popudrować - roześmiał się Miguel.

- Oczywiście, sprawdź tylko, czy woda nie jest za gorąca!

Młodzi - może nie wiekiem, ale stażem - małżonkowie, z dala od domu i dzieci, oddali się radośnie igraszkom miłosnym. Miguel powoli rozebrał Izabellę i zaniósł ją do wanny. Wyciągnęła się leniwie w ciepłej wodzie z białą, lawendową pianą. Po chwili usiadła, a Miguel łagodnie namydlił jej najpierw szyję i plecy, a potem piersi. Delikatne ruchy jego dłoni były dla Izabelli najwspanialszym masażem. W pewnym momencie zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągnęła go do siebie i przywarła ustami do jego ust. Miguel poddał się pieszczotom żony i wkrótce też był w wannie. Teraz była jego kolej. Izabella delikatnie namydliła ciemno opalone, muskularne ciało męża. Jeszcze parę minut pluskali się w wannie jak dzieci, potem puścili prysznic, opłukali się i wytarli nawzajem olbrzymimi, puszystymi ręcznikami ze złotymi herbami Miami. Po chwili znaleźli się w łóżku, a właściwie w olbrzymim łożu, z którego, przez panoramiczne okna, rozpościerał się wspaniały widok na morze i rozgwieżdżone niebo. Nie mieli jednak czasu na oglądanie widoków. Byli całkowicie zajęci sobą. Spleceni w uścisku przetaczali się w chłodnej, jedwabnej pościeli z jednego końca łoża w drugi. W pewnym momencie smagła sylwetka Miguela znalazła się na wierzchu, przygwoździł Izabellę do łóżka. Na chwilę zniechęceni. Wkrótce jednak coraz szybszy rytm splecionych ud zwiastował bliskość spełnienia. Teraz nie było już Miami i nowego domu, nie było plantacji kawy czy nawet małego José, byli tylko oni dwoje - Miguel i Izabella złączeni w jedno, pulsujące miłością ciało. Po chwili z ust Izabelli wyrwał się i natychmiast zamarł, dziki okrzyk rozkoszy. Miguel opadł na poduszkę obok, a potem złożył głowę na coraz wolniej falujących piersiach żony. Izabella oparła się na poduszce i pogłaskała Miguela po kruczoczarnych włosach. Obrócił się i popatrzył na nią wzrokiem pełnym miłości. Izabella czuła, że jest w raju. Coś jej mówiło, że już na zawsze tam zostanie.

Rok później dom w Boca Raton był już w pełni urządzony. Izabella sprowadziła piękne meble z Francji. Dół domu, czyli wielki hall wejściowy, sala balowa, jadalnia i olbrzymi salon zostały umeblowane w stylu Ludwika XIV. W bibliotece i barze królował styl angielski, a ściany wyłożono boazerią z ciemnego drewna. Jedną z nich zajmowały półki wypełnione książkami, wiele prawdziwie starych, oprawionych w skórę, z kolekcji ojca Miguela, imiennika małego José. Było też kilka wygodnych foteli i stolik. Bar zdobiło piękne malowidło ściennie przedstawiające scenę polowania na lisy, po przeciwnej stronie wisiały portrety odkrywców Florydy. Obok baru znajdował się też mały pokój do gry w karty, urządzony w stylu chińskim.

Sypialnie na piętrze były już w stylu bardziej „mieszanym”, oddającym gusty Nicole, Jenny i Robbiego. Do każdej sypialni przynależała mała łazienka, ale sypialna Izabelli i Miguela otrzymała prawdziwe cudo „sztuki łaziebnej”, całe wyłożone marmurem. Na lekkim podwyższeniu znajdowała się owalna wanna, mieszcząca bez trudu dwie osoby. Z jednej strony były dwie umywalki w marmurowym blacie z szafkami i lustrzaną ścianą. Z drugiej strony też było jedno wielkie lustro, kilka stojących wieszaków i wspaniała, ręcznie robiona, szwajcarska waga.

Z okien sypialni rozpościerał się piękny widok na ogród i dalej na morze.

Mocno zapuszczony ogród został już doprowadzony do prawie idealnego stanu. Sprowadzony z Kolumbii ogrodnik Pepe Alvarez z pomocnikiem powycinali nadmiernie bujną roślinność tropikalną, wygracowali ścieżki i posadzili, zgodnie z instrukcjami Izabelli, jej ulubione bugenwille. Woda w basenie mieniła się szmaragdowo, oddając kolor kafelków, jakimi był wyłożony basen.

Izabella najbardziej lubiła taras, z którego schodziło się do ogrodu szerokimi schodami. Na taras prowadziły drzwi z jadalni, sali balowej i salonu. Stały tam lekkie, ale bardzo wygodne meble z bambusa i wikliny sprowadzone z Tajlandii. Taras ten przypominał Izabelli Tuxedo Park. Lubiła usiąść na jednym z wiklinowych foteli, położyć nogi na drugim i patrzeć na piękne kolorowe kwiaty, drzewa pomarańczowe i siadające na nich ptaki. Albo po prostu napić się herbaty i przeczytać gazetę.

Była wiosna, zbliżała się przerwa międzysemestralna i niedługo miały przyjechać z Nowego Jorku Nicole i Paloma. Również Jenny zapowiedziała, że spróbuje wyrwać się na tydzień z Waszyngtonu. Izabella cieszyła się na przyjazd dzieci i zastanawiała właśnie, jak im urozmaicić pobyt w Boca Raton, kiedy na taras wpadł Robbie, który właśnie wrócił ze szkoły.

- Mamo, mamo, przyjechała po ciebie policja! - krzyczał od drzwi, wyraźnie podekscytowany.

- Co ty opowiadasz? - Izabella spojrzała zdziwiona na synka. - Co ci przyszło do głowy?

- Właśnie zajechali pod dom i pytali się mnie, czy tu mieszka pani Izabella Balvarena.

Izabella wstała z fotela, widać było, że Robbie nie stroi sobie z niej żartów, i dość zaintrygowana, ruszyła w kierunku drzwi wejściowych. Zobaczyła, że przed domem stoi samochód policyjny, a jakiś cywil rozmawia ze służącym Samem, który zamiatał podjazd.

- W czym mogę panu pomóc? - Izabella zwróciła się dość oschle do stojącego do niej tyłem mężczyzny.

- Czy pani Izabella Balvarena?

- Tak, proszę pana.

Mężczyzna wyjął z kieszeni legitymację FBI i pokazał Izabelli.

- Jestem Dan Cieslak z Federalnego Biura Śledczego, z oddziału w Nowym Jorku, chciałbym z panią porozmawiać.

- Proszę bardzo. Proszę wejść. - Izabella poprowadziła agenta FBI na taras.

Oboje usiedli na wiklinowych fotelach. Izabella spojrzała pytająco na Dana Cieslaka.

- Czy zna pani tego osobnika? - Dan Cieslak wyjął z kieszeni zdjęcie i podał Izabelli.

- Owszem, to Louis Borinelli. - Izabella była wściekła, znowu ten Borinelli, czy nigdy, nawet po śmierci, się od niej nie odczepi?! -

- Czy blisko z nim pani współpracowała?

- Co? W ogóle z nim nie współpracowałam! Ledwo go znam, dwa razy w życiu go widziałam. O co panu chodzi?

Agent Cieslak wyjaśnił Izabelli, że FBI prowadzi śledztwo w sprawie sowieckiej siatki szpiegowsko-terrorystycznej. Od policji francuskiej dostali dossier sowieckiego agenta Louisa Borinellego zamieszanego, między innymi, w sprawę zabójstwa Andrzeja Buczackiego. Z akt francuskich wynika, że

Izabella była zapewne jego współpracowniczką, choć niczego nie udało się jej udowodnić. FBI stwierdziło, iż Louis Borinelli stał również za zabójstwem dwóch Amerykanów w Kantandze - Murraya Bradleya i Dennisa Stracheya. Tak się składa, że Izabella była żoną jednego z nich, a zatem jest nicią łączącą oba zabójstwa. FBI, a konkretnie on - Dan Cieslak - chciałby to wyjaśnić. Chciałby wiedzieć, co Izabellę łączyło z Borinellim i jakie przekazywała mu infor-

macje. Dał też do zrozumienia, że wie, iż Izabella odmówiła wyjazdu z mężem do Afryki i zabroniła jechać córce, czyli coś musiała wiedzieć.

- Oczywiście wiem, że jest pani pochodzenia polskiego, tak samo zresztą jak i ja. Mogli panią szantażować Sowietci, ze względu na pozostałą w Polsce rodzinę, czy coś w tym rodzaju. My to wszystko rozumiemy. Chcemy jednak sprawę rozwikłać i potrzebujemy pani pomocy - agent Cieslak spojrział Izabelli prosto w oczy. - Lepiej będzie dla pani, jeśli powie pani szczerą prawdę.

Izabella uśmiechnęła się do siebie gorzko w duchu.

Ladne rzeczy, teraz podejrzewają mnie już nie tylko o konszachty z Borinellim, ale jeszcze z KGB - naprawdę daleko sięga ta moja afrykańska klątwa!

- Panie Cieslak, będę z panem absolutnie szczerą, choć już przeczuwam, że pan mi nie uwierzy. Powiem panu prawdę i mam nadzieję, że na tym skończymy sprawę, ale jeśli będzie pan chciał ją kontynuować, to proszę kontaktować się z moim adwokatem. Pana Borinellogo poznałam kilkanaście lat temu na balu u gubernatora Katangi Michela Legranda. A w ogóle pamiętam go tylko dlatego, że był wówczas, podobno, kochankiem gubernatorowej i byłam go ciekawa. Raz zatańczyliśmy i na tym się nasze kontakty w Katandze zakończyły. Wkrótce wybuchła rebelia. Mój ówczesny mąż zginął, a ja musiałam uciekać z dzieckiem do Rodezji. Pamiętam jeszcze, że obecni na balu u gubernatora, w tym również mój mąż, traktowali Louisa Borinellogo jako osobę dobrze poinformowaną o rozwoju sytuacji politycznej w Kongu, po jego powrocie ze stolicy, Leopoldville. I to absolutnie wszystko, jeśli chodzi o mój okres pobytu w Afryce. Drugi raz w życiu spotkałam Borinellogo, całkowicie przypadkiem, w hallu hotelu Ritz w Paryżu. Coś bredził o tym, żebym się trzymała z dala od „imperialistów” i że mi dobrze życzy. Wydawał mi się antypatycznym typem i starałam się od niego jak najszybciej odczepić, co też zrobiłam. Trzeci raz widziałam go martwego na chodniku przed restauracją Trois Couronnes w Paryżu. I to naprawdę wszystko. Absolutnie nic mnie z nim nie łączyło, praktycznie rzecz biorąc w ogóle go nie znałam, a już na pewno z nim nie współpracowałam i o niczym go nie informowałam. Cała reszta, te jak pan to ujął, „nici łączące oba zabójstwa”, to po prostu dość nieszczęśliwy, teraz to widzę, zbieg okoliczności. A jeśli chodzi o Murraya Bradleya, to rzeczywiście odmówiłam wyjazdu do Afryki i wyperswadowałam go córce, bo się bałam. Miałam z Katangi jak najgorsze wspomnienia, tam zginął mój pierwszy mąż, stamtąd musiałam uciekać w koszmarnych okolicznościach, których szczegółów już tu panu oszczędzę. Robiłam,

co mogłam, żeby odciągnąć Murraya od tego wyjazdu, ale mi się nie udało. Uparł się i pojechał, zresztą, jak się potem okazało, z kochanką. Jak skończył, oboje wiemy. I to by było tyle. Aha, rzeczywiście jestem Polką i jestem z tego dumna. Choćby z tego tylko powodu nie podjęłabym w żadnym razie jakiegokolwiek współpracy z sowieckimi tajnymi służbami, a już na pewno nie z takimi antypatycznymi typami jak Borinelli. Poza tym nie mam, niestety, w Polsce żadnej bliskiej rodziny. Rozumiem i bardzo się cieszę, że FBI prowadzi w tej sprawie śledztwo. Bardzo chciałabym, by sprawcy zabójstw Murraya i Andrzeja Buczackiego stanęli przed sądem. Bardzo bym też chciała pomóc, ale naprawdę, poza tym co panu powiedziałam, nic więcej nie wiem - Izabella zamilkła.

Dan Cieslak spojrzał Izabelli w oczy.

- To wszystko, co ma pani w tej sprawie do powiedzenia?

- Wszystko.

- No cóż. Nie mam żadnego powodu, by pani nie wierzyć. Bardzo bym się cieszył, gdyby pani nie była w to zamieszana. Szefowie, ze względu na moje pochodzenie, często kierują mnie do „polskich” spraw. Zawsze się cieszę, jak Polacy okazują się niewinni. Choć, niestety, częściej bywają winni. Będę jeszcze musiał przesłuchać pani córkę Jenny Bradley. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

- Oczywiście, że rozumiem. Może będzie panu mogła w czymś pomóc, choć jej wspomnienia z Katangi to jeden wielki koszmar.

- Wiem. Czytałem jej zeznania dla Czerwonego Krzyża. Jestem pełen podziwu dla niej. Dzielna kobieta. Głosowałem na nią, choć jestem republikaninem.

- Naprawdę? Miło jej to będzie usłyszeć.

Dan Cieslak pożegnał się i poszedł do samochodu.

Izabella odprowadziła go do drzwi, potem wróciła na taras. Po chwili otrząsnęła się i poszła zobaczyć, co robi mały José.

Wobec dzieci i służby Izabella starała się zachować dobrą minę, lekceważąc wizytę agenta FBI, ale w głębi ducha była bardzo poruszona, a nawet przestraszona. Wyraźnie była podejrzaną w śledztwie przeciwko sowieckiej sieci szpiegowsko-terrorystycznej. Oczywiście ona sama dobrze wiedziała, że to kompletna bzdura i czysty zbieg okoliczności, ale musiała przyznać, że postronnemu obserwatorowi mogły się wydać dziwne jej związki z kolejnymi mężczyznami ginącymi w podejrzanych okolicznościach z rąk sowieckich agentów - Richardem, Mur-

rayem i Andrzejem Buczackim. Boże, czy ta Afryka nigdy się ode mnie nie odczepi? Co ja takiego zrobiłam, żeby na to zasłużyć?

Na dodatek Miguel pojechał właśnie do Kolumbii. Była sama. Po raz pierwszy od wielu lat czuła się nieporadna i zagubiona. Nie wiedziała, co robić. Wysłała dzieci z niańką na spacer do parku, a sama usiadła na tarasie i cicho zapłakała.

Boże, jak się to skończy? Jak się obroni przed tymi zarzutami? Przecież jest niewinna!

Izabella zapatrzyła się w malutkiego, kolorowego kolibra wysysającego długim dziobkiem nektar z bugenwilli. *Taki nie ma żadnych zmartwień. Siada sobie na najpiękniejszych kwiatach świata i wysysa z nich słodki nektar, ciekawe, gdzie taki ptaszek śpi, wśród płatków róży?* Izabella uśmiechnęła się przez łzy. Jakoś ten mały koliberek dodał jej odwagi. Jak zawsze w trudnych chwilach pomyślała o dzieciach. Nie, nie może się poddać, Robbie i José bardzo jej potrzebują. Musi obronić się przed tymi absurdalnymi zarzutami. Pomyślała o Jenny, tak - to mądra dziewczyna i przecież polityk, do niej zadzwonię!

- Jak oni mają odwagę wysuwać takie insynuacje, bez nawet cienia jakiegoś dowodu! - Jenny była zbulwersowana i oburzona opowieścią matki.

- Ale, Jenny, to faktycznie podejrzane, że trzech mężczyzn, których znałam, kolejno ginie za sprawą tego samego typu. Oczywiście ja wiem, że to tylko zbieg okoliczności, ale im się nie dziwię, że ich to interesuje.

- Mamo, bardzo dobrze, niech się tym interesują, ale nie mają prawa wysuwać takich insynuacji i straszyć cię, że niby „wszystko wiedzą”. Żeby robić takie zarzuty, trzeba mieć jakieś dowody, a oni nie mają żadnych, żadnego konkretnego faktu, który mogliby przedstawić w sądzie. Sprytnie domysły i teorie to za mało. To są metody KGB!

- No, już córeczko, nie przesadzaj. Prowadzą śledztwo, więc mają prawo się pytać. I zresztą bardzo dobrze, że to robią. Bardzo bym chciała, żeby kiedyś sprawiedliwość dosięgnęła zabójców Richarda, Murraya i Andrzeja Buczackiego - Izabella znalazła się w niespodziewanej dla siebie roli obrońcy FBI.

- Dobrze, mamo, niech prowadzą śledztwo - ja to też pochwalam - ale niech ciebie nie straszą! To jest nie w porządku. Mamo, od zeszłego tygodnia jestem w Komisji Sądowej Izby Reprezentantów, FBI ma obowiązek dostarczać nam wszelkich informacji na temat swojej działalności, jeśli jeszcze raz się do ciebie odezwą, daj mi znać, sama zajmę się tą sprawą.

- Na razie, Jenny, to mają się odezwać do ciebie. Agent Cieslak mówił mi, że chce z tobą porozmawiać.

- Proszę bardzo, chętnie mu pomogę, pod warunkiem jednak, że nie będzie mnie straszył.

- No dobrze, kochanie, a kiedy przyjedziesz do Boca Raton? Nicole i Paloma mają tu być za trzy dni.

- Ja przylecę o dzień później, chyba że przedłuży się sesja Kongresu, ale nie sędzę. Oczywiście jeszcze zadzwonię. I mam, bardzo cię proszę, nie przejmuj się tą całą sprawą. Nic złego nie zrobiłaś, jesteś całkowicie niewinna i nie masz się czego bać. Jesteś w końcu w Ameryce, a nie w Związku Sowieckim!

- Dobrze, Jenny, masz rację. To czekamy tu wszyscy na ciebie w piątek.

Rozmowa z Jenny bardzo podniosła Izabellę na duchu. Oczywiście dziewczyna ma rację. *Nic złego nie zrobiłam, nie mam się czego bać. A jaka się teraz zrobiła ważna - jest w Komisji Sądowej Izby Reprezentantów!* Izabella była dumna z córki.

* * *

W sobotę od rana panowały w domu ruch i zamieszanie. W ogrodzie i wokół basenu rozwieszano dyskretne, kolorowe lampiony, tu i ówdzie rozstawiono też niewielkie stoliki, krzesła i fotele. Na tarasie stanęły dwa długie stoły. Wokół tarasu umocowano kilkadziesiąt jasno świecących pochodni, których woń odstraszała komary i wszelkie inne owady. Izabella, Nicole, Jenny i Paloma urządzały niespodziankę urodzinową dla Miguela, który po południu miał wrócić z Cartageny.

Izabella zaprosiła sąsiadów, Nicole i Paloma kolegów i koleżanki z Nowego Jorku, którzy na przerwę międzysemestralną przyjechali do pobliskiego Fort Lauderdale, a Jenny kolegę z Kongresu, reprezentującego południową Florydę.

Był piękny wiosenny dzień, idealne warunki na udane garden party. Spotkanie miało w pewnym sensie charakter „wieczorku zapoznawczego”, bo Izabella właściwie nie знаła sąsiadów, ale teraz, kiedy dom i ogród były już urządzone, wypadało ich zaprosić. Mniej więcej w południe przed dom zajechała ciężarówka, z której ostrożnie wyładowano piękny, wykuty w płowego koloru piaskowcu, posąg lwicy i dwóch małych lwiatek. Nicole zamówiła rzeźbę już kilka miesięcy wcześniej jako prezent dla Izabelli, symbolicznie upamiętniający dzielną Lolę i jej dzieci, które uratowały matkę i córkę na wzgórzach Karidu. Lwica, tak jak prawdziwa Lola, miała lekko naderwane ucho. Nicole tego przypilnowała. Posąg stanął na trawniku przy podjeździe, obok głównych drzwi wejściowych. Lwica uosabiała spokój i siłę, podczas gdy przytulone do mamy małe lewki groźnie patrzyły na nadjeżdżających gości.

Izabella była wzruszona prezentem, rzeźba bardzo się jej podobała.

- Bardzo ci dziękuję, Nicole, to naprawdę Lola z dziećmi. Jak żywe! Tylko trochę może nie najlepszy moment. Dziś są urodziny Miguela. Moje były miesiąc temu!

- Wiem, niestety nie zdążyli na czas, ale powiedziałam ci przecież, że „prezent w drodze”.

- To prawda. W każdym razie doskonale się składa, że przywieźli dzisiaj. Piękny posąg będzie witał przy podejździe naszych pierwszych gości w Casa Nella Curva.

- Co takiego? - Nicole spojrzała zdumiona na matkę, niewiele znała polskiego, ale to słowo rozumiała.

- Tak się ten dom nazywa. Zapisane w aktach wieczystych i wyrzeźbione na bramie wjazdowej. Teraz nie widać, bo zarosło bluszczem. - Izabella uśmiechnęła się. - Nie wiedziałam, córeczko, że znasz takie słowa po polsku.

- Mamo, takie słowa każdy zna. Co to za nazwa? Kto to wymyślił? - Nicole najwyraźniej nie była zachwycona nazwą domu.

- Pierwszy właściciel był Włochem, a dom stoi na zakręcie ulicy Broward, wobec czego nazwał dom po prostu „Casa Nella Curva”, co po włosku znaczy „Dom na Zakręcie”. W całej okolicy znany jest pod tą nazwą, nie bardzo możemy zmienić - to by dopiero głupio wypadło. Na szczęście Polaków tu raczej niewielu, a jak już mówiłam, napis na bramie zasłania bluszcz. A poza tym nie przesadzajmy. Nazywa się po włosku i już!

- No rzeczywiście, mógłby się nazywać po prostu „Domek na kurwie”, albo „Burdel na kółkach” - Nicole wyraźnie się rozgrzała, miała teraz w oczach szelmowskie ogniki.

- Nicole, uspokój się, co ty wygadujesz. Zachowuj się jak dama, przynajmniej u mnie w domu - Izabella była zgorszona wulgarnością córki, ale pocieszyła się, że przecież słabo zna polski i pewnie nie ma wyczucia języka.

- No już dobrze, mamo, będę cicho siedziała, ale z tą nazwą to jednak lepiej się nie obnosimy.

- Pewnie, że nie, zaczynam żałować, że w ogóle ci powiedziałam.

- Eh, już nie przesadzaj, nie jestem taka znowu mimoza. Casa Nella Curva - piękna nazwa - powtórzyła ze smakiem Nicole, szelmowskie ogniki w oczach niewątpliwie dodawały jej wdzięku.

Goście zaczęli się schodzić około siódmej, a Miguela i Jenny ciągle nie było. Czekał na nich samochód na lotnisku w Miami. Powinni już być lada chwila. Na razie honory domu pełniły Izabella, Nicole i Paloma. Wszystkie trzy ubrane były letnio, ale bardzo elegancko. Izabella

miała na sobie leciutki seledynowy kostium uzupełniony szmaragdami na rękę i na szyi. Sięgające ramion, wspaniałe złocistorude włosy spinały dwie szmaragdowe klamry. Lekki makijaż akcentował olbrzymie, niebieskie oczy. Nawet najbliższym trudno było uwierzyć, że Izabella ma już czterdzieści osiem lat!

Nicole ubrana była w krótką, dość obcisłą, czarną sukienkę z dużym dekoltem z przodu i z tyłu i z cieniutkimi ramiączkami. Na szyi miała trzy splecione sznury pereł. Włosy upięła wysoko. Wyglądała troszeczkę staroświecko, ale szalenie seksownie. Pięknie opalone, długie nogi i wspaniały dekolt rozpalały wyobraźnię panów. Paloma włożyła luźne, złociste spodnie i żółtą bluzkę, też z dekoltem, ale nie tak dużym jak Nicole. Na szyi miała leciutką kolbę z brylantów, a w kruczoczarne włosy, kolumbijskim zwyczajem, wpięła piękną, czerwoną różę. Każda z osobna wyglądała wspaniale, ale wszystkie trzy, razem witające przy wejściu gości, robiły naprawdę niezapomniane wrażenie.

Najpierw zjawily się punktualnie o siódmej dwie pary starsuszków z najbliższego sąsiedztwa. Obie panie, jak się potem okazało, siostry, ubrane były w różowe sukienki i dosłownie kapały złotem i drogimi kamieniami. Widać było, że to ludzie zamożni, choć gust i elegancja pozostawiały może nieco do życzenia. Bardzo przyjaźnie nastawieni, najwyraźniej umierali z ciekawości, jeśli chodzi o nowych właścicieli Casa Nella Curva. Zaraz za nimi pojawili się nieco dalsi sąsiedzi, właściciele pobliskiego portu jachtowego, których Izabella już знаła, bo Miguel kupił od nich łódź, którą teraz remontowali. Po chwili, ku uldze Nicole i Palomy (przeciętna wieku dotychczasowych gości wahała się między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką), podjechał wynajęty mikrobus z grupką ich kolegów i koleżanek z Nowego Jorku, spędzających przerwę semestralną w pobliskim Fort Lauderdale. Przyjechał też kongresman John Riley, reprezentujący okręg Boca Raton, z dwoma synami. Proporcje między mocno już starszymi sąsiadami a młodzieżą zaczynały się wyrównywać. O ósmej zjawil się wreszcie Miguel.

Wszyscy zebrani, uprzedzeni przez Izabellę, powitali go chóralnym odśpiewaniem *Happy Birthday To You*. Paloma, a potem Izabella rzuciły mu się na szyję, składając życzenia. Wystrzeliły korki od szampana, a ubrani na biało kelnerzy roznosili tacki z kieliszkami. Atmosfera wyraźnie się ożywiła. Ale największą niespodziankę sprawiła Jenny, która wkroczyła na taras, dopiero około godziny dziewiętej, ni mniej ni więcej tylko z Bobem Harrisem, dwudziestosześcioletnim aktorem hollywoodzkim, bożyszczem młodzieży i całej Ameryki. Na tarasie nagle zapadła cisza, a potem wybuchła wrzawa. Wszyscy chcieli przywitać się ze sławnym aktorem, przede wszystkim młodzieżą, ale starsi państwo również.

- Kto to jest ten młody człowiek? - zapytał wyraźnie zaintrygowany staruszek, mąż jednej z ubranych na różowo sióstr, stojący akurat obok Izabelli.

- To Bob Harris.

- A w czym on robi?

- No, jakby to powiedzieć, w Hollywoodzie.

- Co, sprzedaje filmy? - staruszek się ożywił. - Jak mój brat Samuel.

- Nie, nie sprzedaje, on występuje w filmach.

- Znaczący komediant - staruszek był wyraźnie rozczarowany. - To do takiego się pchają na wyścigi, a kongresmana Riley'a nawet nie zauważyli - dodał nieco kostycznie.

- Ani posłanki Jenny Bradley - dorzuciła z nutką sarkazmu Izabella.

- A która to? - zapytał staruszek, najwyraźniej o takiej nie słyszał.

- Ta ruda, która weszła z Harrisem, to posłanka ze stanu Nowy Jork, z okręgu Brooklyn.

- Naprawdę? - starszy pan wyraźnie się ożywił. Izabella nie mogła sobie przypomnieć jak się nazywał - Rosenfeld, Rosenkranc, czy coś w tym rodzaju.

- To moja córka - dodała Izabella, nie bez dumy w głosie.

- Mój Boże! Z Brooklynu, mieszkałem tam za młodu, tam poznałem Lally - starszy pan wyraźnie się rozmarzył. - To teraz takie siksy wybierają do Kongresu?

- Proszę pana, ona ma już dwadzieścia sześć lat - Izabella poczuła się lekko urażona tonem sąsiada.

- Przepraszam, nie chciałem pani urazić. Jestem pełen podziwu dla...

- Jenny Bradley.

- ...no właśnie, to chciałem powiedzieć. Piękne kobiety są na Brooklynie! Ale zaraz, zaraz, powiedziała pani „Bradley”?

- Tak właśnie - Jenny Bradley.

- Bo słyszałem, wiele lat temu, jeszcze mieszkaliśmy z Lally w Nowym Jorku, od mojego przyjaciela, świętej pamięci Samuela Natansona, o innej pani Bradley, z domu chyba Bączkowskiej, czy coś w tym rodzaju, która pomogła mu w Warszawie przetrwać wojnę. Dzielna była dziewczyna, Samuel nie mógł się jej nachwalić. Potem pomógł jej, dzięki jakiemuś dziwnemu splotowi okoliczności, wydostać się z Afryki do Szwajcarii, i dalej, do Ameryki. No tak, ale to ktoś inny, ta jest za młoda.

Izabella uśmiechnęła się do swego mocno już starszego sąsiada.

- To ja jestem tą panią Bradley, o której panu opowiadał Samuel Natanson. Mój mąż, a właściwie dwaj pierwsi mężowie, zginęli w Afryce. Mój trzeci, i daj Boże ostatni, mąż nazywa się Balvarena i dlatego nazywam się teraz Izabella Balvarena. Ale, przepraszam bardzo, nie usłyszałam, jak pan się nazywa?

- Benjamin Rosenblum, wszyscy mówią na mnie Ben. Jakże się cieszę, że panią poznałem i że jest pani naszą sąsiadką! - Staruszek był wyraźnie wzruszony i przeszedł nagle na polski. - Do szkoły chodziłem we Lwowie, piękne to było miasto. Ale zaraz, muszę powiedzieć Lally, kto koło nas mieszka. Lally! Lally!

Izabella nie spodziewała się po starszym panu tak donośnego głosu. Wszyscy na tarasie spojrzeli w ich stronę, odwracając na chwilę uwagę od Boba Harrisa. Lekko przestraszona pani Rosenblum podeszła do męża.

- Benny, co się stało? Źle się poczułeś?

- Lally, wiesz, kto koło nas mieszka?

- Co ci jest, Benny, za dużo szampana wypileś, oczywiście, że wiem. Znam każdego sąsiada w promieniu kilku mil od naszego domu!

- Eh - machnął ręką pan Rosenblum - nie o to chodzi. - Wskazał ręką na Izabellę. - To jest pani Bradley, o której opowiadał nam Samuel Natanson, Panie świeć nad jego duszą, pamiętasz? Ta bohaterska polska dziewczyna, która ratowała w Warszawie Żydów od zagłady!

Piskliwy głos podekscytowanego pana Rosenbluma niósł się po całym tarasie. Izabella czuła, że się czerwieni, jak kiedyś na zebraniu akcjonariuszy American Diamonds. Wiedziała, że to przesada, ale wiedziała też, że nie ma sensu oponować, i tak nic by nie zrozumieli. Coraz więcej gości podchodziło do Izabelli i pana Rosenbluma. Okazało się, że ponad połowa mocno już starszych sąsiadów to Żydzi z Nowego Jorku. Wszyscy chcieli przyjrzeć się bliżej i zamienić kilka słów z bohaterką II wojny światowej. Na chwilę Izabella przyćmiła nawet Boba Harrisa, który zresztą sam do niej podszedł i poprosił o zrobienie im wspólnego zdjęcia. Nicole i Jenny promieniały, dumne z matki i jej bohaterskich czynów wojennych. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy. Bob Harris był znowu centralną postacią wieczoru, a jego wyraźne zainteresowanie Jenny budziło skurcze zazdrości w sercach pań. Nawet Robbie przerwał zabawę i przybiegł ze swego pokoju na piętrze, na wieść, że ich gościem jest Bob Harris. Promieniał z dumy, że jego starsza siostra „chodzi z Harrisem”. Będzie co opowiedzieć w szkole!

Zabawa rozwijała się zgodnie z planem. Młodzież tańczyła na marmurowej posadzce, po drugiej stronie basenu, podczas gdy starsi skupili się na tarasie. Rozstawione na stołach dosko-

nałe jedzenie i wyśmienite wino ożywiały atmosferę. Szczególnie udał się świeży, wędzony łosoś sprowadzony rannym samolotem ze Szkocji, jego jędrna konsystencja, smak i aromat były niepowtarzalne.

Nagle od strony basenu podniósł się straszny wrzask, a na taras wpadła Paloma. Jej olbrzymie czarne, teraz przerażone oczy wydawały się jeszcze większe.

- Tato, tato, lew! - krzyknęła i jak mała dziewczynka schowała się za ojca.

- Co ty opowiadasz, jaki lew? U nas w ogrodzie?

Spocony Bob Harris, a za nim Jenny i reszta gości przybiegli do domu. Zapanowała powszechna konsternacja. Miguel kazał służącemu przynieść z gabinetu pistolet.

Izabella, bardziej zdumiona niż przerażona, zauważyła wraz z resztą przestraszonego towarzystwa, wielkiego płowego kota, który leniwie się przeciągając i bacznie obserwując przy-mrużonymi, zielonymi ślepiami zebrane na tarasie towarzystwo, sunął w kierunku gaju pomarańczowego po drugiej stronie ogrodu. Nie był to na pewno lew, ale jakieś olbrzymie płowolwiego koloru kocisko, rozmiarów kuguara.

- To florydzka pantera - powiedział kongresman John Riley. - Bardzo rzadki okaz dużych kotów żyjących jeszcze na wolności w parku narodowym Everglades, pokrywającym znaczną część południowej Florydy.

Pantera najwyraźniej nie miała złych zamiarów, podeszła powoli do ogrodzenia i potężnym susem przeskoczyła na drugą stronę.

- Chyba zwabił ją ten stojący przed domem posąg kuzynów - Izabella uśmiechnęła się do Nicole.

- Wolałbym jednak nie mieć w przyszłości takich gości w ogrodzie, szczególnie jak się tu bawią dzieci - powiedział mocno zaniepokojony Miguel.

- Może pan być spokojny - stwierdził z przekonaniem kongresman Riley - florydzkie pantery nigdy nie atakują ludzi. W ogóle są bardzo nieśmiałe i bardzo rzadko podchodzą do siedzib ludzkich. A jeśli w ogóle, to tylko nocą. Ta jest najwyraźniej młoda i zagubiona.

Na nieśmiałą czy zagubioną to ona mi nie wyglądała - pomyślała Izabella, ale nic nie powiedziała. Spojrzała na Nicole, rozumiały się bez słów. Im lwy czy pantery nie kojarzyły się z niebezpieczeństwem. Matka i córka pamiętały, że zawdzięczają życie dzielnej lwicy Loli i jej dzieciom. Podobna do lwa florydzka pantera była dla nich miłym gościem.

Reszta towarzystwa była jednak wyraźnie spłoszona. Zresztą minęła już jedenasta. Starsi goście zaczęli się powoli rozchodzić, a młodzież postanowiła kontynuować zabawę w basenie,

gdyż ktoś zwrócił uwagę, że koty nie lubią wody. Tylko nieliczni mieli kostiumy kąpielowe, reszta wskoczyła do wody w szortach, sukienkach, spódniczkach i T-shirtach. Nienagannie ubrani kelnerzy dalej roznosili tacki z szampanem, prażonymi migdałami i innymi drobnymi zakąskami, schylając się przy brzegu basenu, by chętni mogli sięgnąć po kieliszki, a właściwie plastikowe kubeczki, bo Miguel zarządził, by do basenu nie podawać szkła.

Z Izabellą i Miguelem została na tarasie para nieco dalszych sąsiadów Alvaro i Dolores Castaneda, on Kubańczyk, mniej więcej w wieku Miguela, a ona Kolumbijka, co najmniej o dwadzieścia lat od niego młodsza. Jako Latynosi, o godzinie jedenastej dopiero się „rozkręcali”, zresztą przyszli też dopiero około dziesiątej. Dolores pochodziła z południa Kolumbii, z Cali, miasta równie sławnego z pięknych kobiet, jak i z karteli narkotykowych. Miguel był bardzo zadowolony z tej nowej pary sąsiadów, wyraźnie odbijających od reszty, mocno już starszych i nieco sztywnych Amerykanów. Izabella patrząc na małego, dość korpulentnego Alvara i jego śliczną, smukłą, kruczowłosą, o pięknej oliwkowej cerze, żonę, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie bardzo do siebie pasują. Zastanawiała się, jak i gdzie się poznali. Alvaro Castaneda przedstawił się jako „biznesmen”, coś wspomniał o produkcji cygar, ale w bliższe szczegóły swoich interesów się nie wdawał. Izabelli, choć była ciekawa, nie bardzo wypadało obcesowo tego dochodzić. Dolores była „artystką”, trochę malowała, trochę śpiewała i pięknie grała na gitarze. Izabella zauważyła, że uroda Dolores i Palomy jest w tym samym typie. Kiedy o tym powiedziała, okazało się, że pierwsza żona Miguela, matka Palomy, też pochodziła z Cali. Nie były jednak rodziną, po prostu obie były *Calenas* - ta sama oliwkowa cera, kruczoczarne włosy, olbrzymie czarne oczy, no i obowiązkowo, czerwona róża we włosach! *No cóż, jeśli wszystkie kobiety w Cali tak wyglądają, to sława tego miasta jest na pewno zasłużona!*

Tymczasem Miguel obserwował, z coraz większym niepokojem, zabawę w basenie. Muzyka nadal grała, młodzi ludzie niby to tańczyli w wodzie, ale czasami się przewracali i nurkowali. Dziewczyny piszczały, a oblepiające ciało mokre sukienki czy T-shirty nie pozostawiały pola dla wyobraźni. Kiedy zobaczył Palomę, w skąpym bikini, siedzącą na karku jakiegoś młodego osiłka, wstał, żeby interweniować. Alvaro i Dolores roześmieli się wesoło.

- Chodź, Miguel, zatańczymy z nimi - Dolores wzięła Miguela za rękę i pociągnęła w kierunku basenu.

Alvaro poprosił Izabellę do tańca. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że muszą wyglądać razem dość komicznie. Tan mały, ciemny i mocno okrągły Kubańczyk z wyższą chyba o głowę blondyną! Tańcząc, zbliżyli się do basenu. Teraz dla odmiany Izabella nie była zbyt zadowolona.

na, widząc Dolores mocno przytuloną do Miguela, ich złączone ciała przeginały się rytmicznie w takt muzyki. Izabella przypomniała sobie nagle, nie wiadomo czemu, bal u gubernatora Le-granda, kiedy to pani gubernatorowa, tańcząca z Richardem, patrzyła bardzo niezadowolona na nią z Borinellim. *Teraz ja się robię stara zazdrośnica* - pomyślała z cieniem goryczy Izabella - *oni tylko tańczą, i do tego są Latynosami, więc tańczą po swojemu i pewno lepiej niż ja*. Izabella postanowiła nie patrzeć w kierunku Miguela i Dolores. W tym momencie usłyszała szczególnie głośny plusk i radosny śmiech baraszkującej w basenie młodzieży. Okazało się, że Dolores wymanewrowała Miguela pod sam brzeg basenu i pociągnęła go za sobą do wody. Miguel zdążył tylko oddać portfel kelnerowi, po czym najwyraźniej w szampańskim humorze kontynuował taniec w wodzie. Był piękny, ciepły wieczór. *Podдай się nastrojowi, czemu by też nie wskoczyć do wody...* i pociągnęła Alvara za sobą do basenu. Paloma wyskoczyła na chwilę z wody i nastawiła, chyba na pełny regulator, karaibskie *cumbias*. Tańczyć, szczególnie szybsze rytmy, w wodzie nie sposób, wobec czego przemoczone do suchej nitki pary zaczęły powoli wychodzić na marmurową posadzkę, gdzie wybijany bosymi stopami rytm mieszał się z chłupotem wody. Izabella znalazła się nagle w ramionach muskularnego młodego człowieka, jak się potem okazało, kapitana drużyny futbolowej Columbia University, który jednym ramieniem przycisnął ją silnie do siebie, drugim złapał za poręcz drabinki przymocowanej do brzegu basenu i wyniósł z wody jak małą dziewczynkę. Postawił ją ociekającą wodą przed sobą i szeroko się uśmiechając, powiedział:

- Od początku wieczoru chciałem z panią zatańczyć. Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, ale byłem onieśmielony. Wiem, że jest pani matką mojej koleżanki Nicole i bohaterką drugiej wojny światowej... Nie śmiałem podejść... ale mam nadzieję, że teraz mi pani nie odmówi - tylko ten jeden taniec!

- Dobrze, już dobrze - Izabella była w doskonałym nastroju, udzielił jej się duch zabawy - ale trochę, młody człowieku, przesadzasz, a może, w ogóle, powiesz mi, jak masz na imię?

- James.

- No, więc rozejrzyj się, James, uważnie, są tu piękniejsze kobiety ode mnie - Izabella uśmiechała się szelmowsko. - Choćby Jenny, Nicole albo na przykład Dolores Castaneda!

- Może piękniejsze, ale nie dla mnie. Wiem, co mówię! - James powiedział to z takim przekonaniem, że Izabella głośno się roześmiała. Kątem oka zauważyła dziwną minę Miguela, który najwyraźniej słyszał rozmowę, a przynajmniej jej fragmenty. To tylko dodatkowo rozba-wiło Izabellę.

- No to zatańczmy, ale tylko tą jedną *cumbię*, w moim wieku już nie można się tak prze-męczać.

Izabella sama się zdziwiła, jak lekko jej przyszło zatańczenie tego skocznego, karaibskiego rytmu. Podskakiwała i przytupywała mokrymi stopami z takim entuzjazmem, że po chwili byli z Jamesem jedynymi tancerzami na mokrym marmurze. Kiedy skończyli, rozległy się oklaski.

- Nie wiedziałyśmy, że mama jest taka dobra w karaibskich salsach - powiedziała Jenny.
- Będziemy chyba musieli częściej urządzać tańce.

- A mówią, że Amerykanki są sztywne i nie czują rytmu! - wtrącił Alvaro.

- No, nie całkiem Amerykanka - włączył się Miguel. - Izabella jest Polką.

- Co za różnica, Polka, Amerykanka, Kanadyjka - to wszystko *gringas*. - Alvaro nie dał się łatwo zbić z tropu, najwyraźniej dla niego nie było większej różnicy między wszystkimi mieszkankami Północy. Bardzo był podekscytowany muzyką, szampanem i pięknymi kobietami. Był w swoim żywiole. Teraz on ruszył solo w taniec. Trudno uwierzyć, że w tym małym, grubym Kubańczyku na krótkich nóżkach kryło się tyle niespożytej energii. Obtańcowywał wszystkie dziewczyny, im była młodsza i bardziej blond, tym chętniej i z większym zapałem. Koleżanki Nicole i Palomy radośnie chichotały, starając się, bez powodzenia, dorównać w tańcu małemu, okrągłemu Kubańczykowi.

Teraz zabawa rozkręciła się na dobre. Okazało się, że młodzi nowojorczycy i starsi Latynosi to doskonała mieszanka. Miguel tańczył wcale nie gorzej od Alvara, może wprawdzie z mniejszym impetem, ale za to z większym wdziękiem. Paloma i Dolores w niczym im nie ustępowały, a koledzy i koleżanki Nicole i Palomy z Nowego Jorku nadrabiali młodością i entuzjazmem braki w latynoskich genach. Wspaniały popis dał także Bob Harris, nie darmo bóg amerykański. On też zatańczył z Izabellą i znowu widzom dech zaparło w piersiach - wydawało się, że nie dotykają stopami marmurowej posadzki. Nawet Alvaro patrzył z podziwem. Po odtąnczeniu brawurowego rock'n'rolla Izabella padła na wiklinowy fotel, podczas gdy niezmożony Bob Harris porwał do tańca Jenny. Niestety była ona bardziej Amerykanką w rozumieniu Alvara Castanedy. Starła się, ale widać było, że taniec to nie jej powołanie. *No i dobrze. Jenny jest politykiem i posłem do Kongresu USA! To wystarczy, nie musi jeszcze być doskonałą tancerką.* Izabella nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tańczyła, chyba z piętnaście lat temu? Czowała się wspaniale i pomyślała sobie, że może Jenny ma rację, trzeba będzie częściej urządzać tańce! Warunki mają tu idealne i stać ich na to. Po co mieć pieniądze,

taką wspaniałą posiadłość, tarasy i basen, jeśliby się miało z nich nie korzystać? Izabella popatrzyła, z pewnym rozrzewnieniem, na „swojego” futbolistę podskakującego dość niezgrabnie z Nicole. Tak, taniec najwyraźniej nie był też jego powołaniem - niech już lepiej robi karierę w futbolu.

O czwartej nad ranem przyjechał limuzyną menedżer Boba Harrisa, poważnie zaniepokojony nieobecnością gwiazdora w pokoju hotelowym, mimo tak późnej godziny. O szóstej rano miał samolot do Los Angeles. Po odjeździe Harrisa również pozostali goście zaczęli zbierać się do wyjścia. Izabella jednak zdecydowanie zaproponowała, by po kilku wypitych szczyptach szampana ktoś z nich miał prowadzić wynajęty mikrobusek. Wszyscy poszli więc spać do domku dla gości. Wprawdzie były tam tylko trzy pokoje, ale młodzi ludzie gotowi byli spać pokotem na dywanach. Dostali tylko poduszki i koce. Miguel dyskretnie przypilnował, żeby Paloma poszła do swojej sypialni sama, potem wrócił do Izabelli.

- Miguel, robisz się stary piernik - Izabella była lekko zmęczona, ale w szampańskim nastroju. - Myślisz, że upilnujesz cnotę ślicznej dziewiętnastoletniej dziewczyny mieszkającej i studiującej w Nowym Jorku, jeśli ona sama tego nie będzie chciała?

- Nic nie myślę, ale wolałbym, żeby przynajmniej u mnie w domu przyzwoicie się zachowywała.

- Oho, ho! „Przyzwoicie się zachowywała”, a co ty myślał, że zechce zrobić? Zaprosi całą paczkę do swojego łóżka? Miguel. przecież jej chłopak jest u rodziców w Chicago. Paloma bardzo go kocha, na pewno o nikim innym by teraz nawet nie pomyślała. Nie znasz kobiet! Musisz mieć do niej zaufanie.

- Może... ale dobrze znałem jej matkę i codziennie modlę się do Boga, żeby Paloma się w nią nie wdała.

Izabella usiadła na łóżku. Miguel był poważny, w jego dużych czarnych oczach malował się smutek.

- Miguel, najdroższy, nie bądź niemądry. Paloma to wspaniała dziewczyna, a ciebie kocha ponad wszystko, na pewno nie zrobiłaby niczego, co by ci sprawiło przykrość. Jest śliczna, ma duże powodzenie, lubi się bawić, poflirtować z chłopakami, i tyle, to w jej wieku normalne. Powinieneś być dumny z takiej córki.

- Izuniu, jestem dumny i kocham ją nad życie, wiesz dobrze, że nieba bym jej przychylił, ale bardzo kochałem też jej matkę...

Izabella po raz pierwszy zobaczyła łzy w oczach Miguela. Przytuliła go i pogłaskała po głowie.

...w trzecią rocznicę ślubu znalazłem Carmen w łóżku z trenerem od tenisa. W rok później poszliśmy na korridę. Występował gościnnie sławny hiszpański torreador Lope Jimenez. Siedzieliśmy w loży burmistrza Cartageny. Po walce matador wręczył Carmen, w symbolicznym hołdzie dla jej urody, uszy zabitego byka. Trybuny zatrzęsły się od oklasków. Jimenez pięknie się skłonił i odszedł. Dopiero w wiele miesięcy później dowiedziałem się, że tego samego wieczoru Carmen odwiedziła go w hotelu. Po tygodniu uciekła z nim do Hiszpanii. Zostawiła mi tylko krótki liścik powierzający dzieci mojej opiece. Rodrigo miał trzy lata, Paloma - roczek. Napisała, że mnie nie kocha, że nie może tak dłużej żyć, że dusi się w Cartagenie, że jest niespokojnym duchem i nic na to nie poradzi, że ciągle szuka czegoś nowego i musi ruszyć w świat. Więcej o niej nie słyszałem. Dochodziły mnie potem słuchy, że widziano ją w Cali, że śpiewała w kabaretach w Paryżu, że była kochanką francuskiego ministra finansów... Dzieciom i znajomym powiedziałem, że zginęła w wypadku, utonęła po wywróceniu się łodzi.

- Pamiętam, mnie to też powiedziałaś, jeszcze w Cartagenie.

- No właśnie. Do dziś Paloma wierzy, że jej matka nie żyje. Zresztą nie wiem, może nie żyje. Kiedyś będę jej musiał to wszystko opowiedzieć, ale boję się, nie wiem, jak to zrobić. Jest taka podobna do Carmen...

- Miguel - Izabella mocniej przytuliła głowę męża do piersi - na razie lepiej nic jej nie mów. Z czasem przyjdzie ci to naturalnie. Coś ty, biedaku, przecierpiał - teraz Izabella też miała łzy w oczach - ale byłeś dzielny i dzieci sam wychowałeś. Możesz być dumny i z siebie, i z Palomy. Wiem coś o tym, sama jestem kobietą i mam dwie córki. Paloma to naprawdę wyjątkowa dziewczyna, delikatna i wrażliwa, ale zarazem bystra i mądra, nie zrobi nic głupiego, a już na pewno nie zawiedzie swego uwielbianego ojca. Miguel, jesteś dla niej wszystkim - ojcem, matką i bratem! Musisz to zrozumieć, musisz mieć do niej zaufanie.

Miguel patrzył z nadzieją w oczy Izabelli, tak chciał, żeby to była prawda, tak chciał, żeby Paloma była szczęśliwa. Izabella głaskała go łagodnie po głowie, czuła się jak matka już nie tylko Nicole, Jenny, Palomy, Robbiego i José, ale też tego dużego chłopca - Miguela.

Minęło kolejnych pięć lat. Izabella przyzwyczaiła się do życia na Florydzie. Po tym pierwszym przyjęciu w Casa Nella Curva i dzięki reklamie, jaką jej zrobili najbliżsi sąsiedzi, państwo Benjamin i Lally Rosenblum, sława dzielnej Polki, bohaterko ratującej Żydów w okupowanej Warszawie, rozeszła się szeroko. Posypały się zaproszenia od najbogatszych i najznakomitszych obywateli Boca Raton, West Palm Beach, Fort Lauderdale, Bal Harbour, South Beach i całej południowej Florydy. Uroda, elegancja i wdzięk Izabelli, a także jej córek, robiły swoje. Wkrótce dom państwa Balvarenów stał się jednym z ośrodków życia towarzyskiego w Boca Raton. Izabella miała już pięćdziesiąt trzy lata, ale patrząc na nią, trudno było w to uwierzyć. Mimo leciutkich zmarszczek w kącikach oczu i nieznacznego przybrania na wadze ciągle jeszcze miała wspaniałe złocistorudawe włosy i doskonałą, choć może nieco okrągłą figurę. Jej piękne, niebieskie oczy nic nie straciły ze swego wdzięku. Nadal tryskały energią i radością życia. Izabella miała też na Florydzie więcej czasu niż w Nowym Jorku na zadbanie o siebie, na wizyty u kosmetyczek i w salonach mody, gdzie z entuzjazmem towarzyszyła jej Paloma, która po skończeniu studiów na Columbia University zamieszkała z rodzicami. Od dalekiego, czasem zimnego Nowego Jorku wołała słońce i niebo Florydy.

Izabella bardzo się zbliżyła do swojej przybranej córki, która patrzyła w nią jak w obraz - była dla niej ucieleśnieniem pięknej i eleganckiej, a zarazem mądrej, kobiety. Paloma chciała być właśnie taka jak Izabella. Wiedziała, że blond włosów i niebieskich oczu nie będzie nigdy miała, ale we wszystkim innym chciała ją naśladować. Miguel był zachwycony rozwojem sytuacji. Paloma była zawsze jego oczkiem w głowie. Teraz miał ją na co dzień w domu, a co więcej, tak mądrze wybrała sobie wzór do naśladowania. Miguel nie potrafił jej niczego odmówić. Paloma mogłaby być rozpuszczoną księżniczką, ale nie była. Izabelli nieraz przypominała się Jenny z młodych lat, ze swoim czerwonym kabrioletem, rozkapryszonymi fumami i tym okropnym towarzystwem. Paloma też miała srebrzysty kabriolet - BMW, ale ani na chwilę nie straciła wrodzonego sobie ciepła i naturalności. Potrafiła i lubiła korzystać ze swej uprzywilejowanej sytuacji i z pieniędzy, ale nie uderzały jej do głowy. Izabella była pełna podziwu dla rozwagi i umiaru, jaki potrafiła wykazać ta pełna łącie latynoskiego temperamentu dziewczyna. Nieraz też stwierdzała, że Paloma wdała się w ojca. Miguel był taki sam, pełen ciepła, a zarazem umiaru i życiowej mądrości. Daj Boże, żeby José też taki wyrósł.

Teraz kłopoty zaczynały się z Robbiem. Miał już osiemnaście lat i zachowaniem bardzo przypominał swą siostrę Jenny w tym samym wieku, tyle tylko że, na szczęście, nie miał tak jak ona wtedy, nieomalże nieograniczonego dostępu do odziedziczonych po matce pieniędzy. Izabella bardzo martwiła się Robbiem, bo wiedziała, że w gruncie rzeczy to dobry chłopak, tylko podobnie jak tylu innych w jego wieku, nie potrafił sobie znaleźć miejsca w domu, w szkole i wśród rówieśników. Wpadł też w fatalne towarzystwo. Nie najlepiej układały się jego stosunki z Miguelem, choć na pewno nie z winy tego ostatniego. Miguel robił co w ludzkiej mocy, by nawiązać jakąś nić porozumienia z przybranym synem, ale bez większego skutku. Izabella miała wrażenie, że Robbie ma jej za złe, iż niejako zdradziła pamięć Murraya, wychodząc za Miguela.

Żeby ten niemądry chłopak wiedział, jaka byłam samotna w tamtych latach po śmierci Murraya, ile Miguel dla mnie znaczy, jak mi pomógł, to może inaczej by na to spojrział. Ale osiemnastolatek tego nie zrozumie, trzeba po prostu ten cięły wiek przeczekać. Pamiętaj, jak Jenny się zmieniła!

Izabella starała się być optymistką i jak zwykle, dla dodania sobie otuchy, pomyślała o Nicole i Jenny, które - każda na swój sposób, robiły błyskotliwe kariery, Jenny w polityce, a Nicole w świecie sztuki. Była zastępcą dyrektora nowojorskiego Metropolitan Museum do spraw akwizycji. Jak na jej wiek (miała już trzydzieści jeden lat - jak ten czas leci!) było to nie lada osiągnięcie. Robiła to, co najbardziej lubiła - kupowała dzieła sztuki i obracała się w świecie artystów i osób, jak ona, kochających sztukę. A przy tym była zdolna do interesów i doskonale zarabiała. Izabella nieraz myślała, że gdyby kiedyś zaczynała życie od nowa, to właśnie tak by je sobie chciała ułożyć. Trochę ją tylko niepokoiło życie uczuciowe córek. Jenny po krótkim, ale burzliwym romansie z Bobem Harrisem stała się osobą szeroko znaną już nie tylko w Nowym Jorku czy Waszyngtonie, ale w całym kraju. Izabeli trudno było oprzeć się wrażeniu, że Jenny nadal traktuje mężczyzn „instrumentalnie”, jak niegdyś senatora Dillona i innych, jako szczeble, po których wspina się w swojej karierze. Niby nic takiego, tym bardziej że to na ogół mężczyźni może nawet niewarci jakiegoś głębszego uczucia, ale Izabella doskonale wiedziała, że żadna kariera nie zastąpi kochanego i kochającego męża, w którym można zawsze znaleźć oparcie i pomoc, do którego można się zawsze przed snem przytulić. Przelotni „przyjaciele” i kochankowie to nie to.

Nicole z kolei była perfekcjonistką. Szukała idealnego mężczyzny swoich marzeń. Kolejni narzeczeni nie byli w stanie sprostać jej wymaganiom. Izabella pocieszała się, że obie są

jeszcze młode, mają czas, na pewno prędzej czy później znajdą tego jednego, jedyne go towarzysza życia, na dobre i na złe. Jednak w głębi ducha martwiła się, że obie, każda na swój sposób, są zbyt „nowoczesne i postępowe”, za dużo od życia i od mężczyzn oczekują, a co za tym idzie, może je spotkać bardzo przykre rozczarowanie, mogą - co nie daj Boże! - wylądować samotne i rozgoryczone.

Codzienną radością Izabelli był José, który miał już siedem lat. Stanowił bardzo zabawną kombinację Izabelli i Miguela, miał duże niebieskie oczy i uśmiech matki, ale kruczoczarne włosy po ojcu. Miał też wybitnie pogodne usposobienie, wszystko mu się podobało, a jeśli nawet natrafiał na jakieś przeszkody, to starał się o nich szybko zapomnieć. Mały José był zakochany w swojej starszej siostrze Palomie i jeśli by tylko mógł, nie opuszczałby jej na krok. Paloma odwzajemniała mu się, odwożąc go i przywożąc ze szkoły, chodząc z nim na pływalnię i zakupy.

Izabella siedziała w swoim ulubionym, zacienionym kącie tarasu, pogrążona w myślach. Przypomniła jej się taras i dom w Tuxedo Park. Widok był tam zupełnie inny, ale też piękny. Niebieską tafel jeziora otaczały skaliste, zalesione wzgórza. Gdzieś z zieleni wyłaniała się jakaś piękna rezydencja. Izabella przypomniła sobie, jak z Murrayem i z dziećmi wypływała czasem na jezioro cichutką łodzią, typu Elco, napędzaną elektrycznością, tylko takie były dozwolone w Tuxedo Park, żeby nikomu nie zakłócać sielskiej ciszy. Brali ze sobą koszyk z różnymi frykasami. Mały Robbie próbował czasem łowić ryby, ale bez większych sukcesów. Powietrze było rześkie i krystalicznie czyste. Tak - Izabella zdała sobie sprawę - tego jej tu na Florydzie brakuje. Nie szkodzi, są tu za to kwiaty, jakich nigdy nie miałam w Tuxedo Park - popatrzyła na swoje ukochane bugenwille. To zdumiewające, myślała, że te kwiaty nigdy się jej nie nudzą, niby codziennie te same a jednak każdego dnia inne. Ten sam kwiat w trakcie kwitnienia, a potem przekwitania, ma inny kolor, inny wdzięk i jakby coś nowego do przekazania. *Czy to nie jest skrócona metafora mojego życia? Też pięknie rozkwitłam, zwabiłam do siebie wiele motyli i trutni, ale też pracowite, godne podziwu i zaufania, pszczoły. Teraz jestem jak ten pięknie rozkwitły, niebieski kwiat po lewej, już niedaleko końca, lada dzień zaczną z niego opadać kolejne płatki.*

Izabella uśmiechnęła się, trochę gorzko.

Ciekawe, kiedy ja zacznę się sypać?

W tym momencie zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Czy mógłbym rozmawiać z panią Izabellą?

- Tak, to ja, a z kim mówię? - głos brzmiał jakoś znajomo, ale Izabella nie była w stanie rozpoznać osoby.

- Ojciec Justyn Podlewski, znaliśmy się w Katandze.

Izabella dosłownie i w przenośni zaniemówiła, jej jasnoniebieskie oczy zrobiły się większe i okrągłejsze. Nie mogła z siebie wydobyć słowa. W końcu wykrztusiła:

- Jezus, Maria, to cud!

- Ależ pani Izabello, niech pani nie przesadza - to tylko ja.

- Tak, ale nieraz o ojcu myślałam! Jednak nie zginął ojciec wtedy w Katandze. Jak to dobrze, to prawdziwy cud! - Izabella odzyskała mowę.

- Naprawdę? Myślała pani o starym ojcu Justynie? - zakonnik był wyraźnie wzruszony.

- Wspominałam sobie nieraz nasze rozmowy o sensie życia, o jego przemijaniu.

- Ej, nie, tak dużo żeśmy o tych sprawach nie mówili.

- Może nie tak dużo, ale mówiliśmy. Ale zaraz, niech mi ojciec powie, gdzie ojciec teraz jest? Skąd ojciec ma mój numer? - Izabella była rozpromieniona, bardzo się ucieszyła z tego telefonu.

- Jestem już od dwóch miesięcy w Miami, u ojców dominikanów w Hialeah. Czytałem biuletyn zakonny, w którym znalazłem nazwisko naszej wielkiej dobrodziejki - Nicole DuChaillet. Od razu sobie pomyślałem, że to musi być ta śmieszna, mała Nicole, która bawiła się z prosiaczkiem u państwa DuChaillet w Bikasi. Przed chwilą z nią rozmawiałem i podała mi pani telefon.

- Nicole „wielką dobrodziejką” ojców dominikanów? O czym ojciec mówi? - Izabella była zaintrygowana - córka dotychczas nie odznaczała się religijnością, nie angażowała się też w działalność charytatywną.

- Tak, już od dwóch lat pomaga naszej misji w Shabie, bo tak się teraz nazywa Katanga. Za jej pieniądze zbudowaliśmy sierociniec dla blisko setki dzieci. My, tam na miejscu, nawet nie wiemy, skąd płyną pieniądze. O Nicole DuChaillet dowiedziałem się dopiero tu w Miami. Daje też szczerze na ochronę środowiska naturalnego, a szczególnie na ochronę, zagrożonych wymarciem, lwów, ale to już nie za pośrednictwem ojców dominikanów.

- Naprawdę? - Izabella słuchała ze zdumieniem rewelacji o swojej córce. - Nic mi nie mówiła.

- Zapewne powodowana chrześcijańską skromnością. Wspaniała kobieta! - ojciec Justyn nie krył swego podziwu dla Nicole.

Izabella nie była pewna „chrześcijańskiej skromności” Nicole - wolała swą działalność zachować w tajemnicy bardziej z uwagi na niechęć matki do spraw afrykańskich.

Kochana Nicole, mądra dziewczyna, dobrze wydaje swoje pieniądze. Sama mogłabym się od niej nauczyć! Jednak tylko się łudziłam, myśląc, że o Afryce już zapomniała. Moja kochana „mała Afrykanka”!

- Bardzo się cieszę, że Nicole wspiera ojców dominikanów. Ale ojciec Justynie, bardzo chciałabym się z ojcem zobaczyć, może nas ojciec odwiedzi w Boca Raton? To bardzo blisko Miami. Przyślę po ojca samochód. Co tam „przyślę”, sama po ojca przyjadę! - Izabella była bardzo podekscytowana.

- Pani Izabello, z największą przyjemnością państwa odwiedzę i właściwie wszystko mi jedno kiedy, im szybciej tym lepiej. Kończę właśnie rekonwalescencję po operacji, na jaką mnie tu ojcowie przysłali, i już chyba za tydzień wracam do Afryki.

- No to może jutro?

- Doskonale, tylko może po nabożeństwie porannym, które kończymy o dziewiątej.

- To o dziesiątej?

- Będę na panią czekał.

- Zaraz, zaraz, ale gdzie ojciec mieszka? Obawiam się, że nie wiem, gdzie jest w Hialeah klasztor dominikanów. Może by mi też ojciec podał numer telefonu?

- Chwileczkę, poproszę brata furtiana, bo sam nie bardzo wiem, jaki tu jest adres i jak tu dojechać.

Po uzyskaniu potrzebnych informacji Izabella odłożyła słuchawkę i znowu się zadumała. *To przecież nie do wiary! Jaka wspaniała nowina. Ojcu Justynowi udało się ująć cało z rzezi białych w Katandze. Jeśli to nie jest cud, to nie wiem, jak to inaczej nazwać. Ile on teraz ma lat, był ode mnie starszy o dwadzieścia lat, to musi już być po siedemdziesiątce. I ta Nicole - nareszcie wiem, na co idą setki tysięcy dolarów, na które awiza przychodzą z giełdy nowojorskiej (Nicole była zameldowana u matki na Florydzie, żeby płacić niższe podatki), i dlaczego żartobliwie nazywa te pieniądze swoim „lwim funduszem!* Nagle coś sobie przypomniała. Wstała i poszła do barku sprawdzić, czy jest armaniak, ulubiony trunek ojca Justyna. Nie było! Izabella natychmiast siadła do telefonu, by zamówić dostawę. Okazało się, że mają na składzie kilka różnych armaniaków.

- Poproszę po butelce każdego.

- Najdroższy, Reserve de Château, kosztuje sześćset dolarów.

- Nie szkodzi, jak powiedziałam, poproszę po butelce każdego - Izabella nie zamierzała oszczędzać na ojcu Justynie. Co zostanie, da mu w prezencie, biednego dominikanina nie stać na pewno na kupowanie koniaku. Może od razu zamówię mu skrzynkę armaniaku w prezencie? Izabella już sięgała po telefon, ale się powstrzymała. Pomyślała sobie, że może by to trochę głupio wypadło - skrzynkę alkoholu dla staruszka po operacji, i do tego zakonnika.

Zadzwoniła do kosmetyczki, by odwołać jutrzejszą wizytę. *Zmarszczki mogą poczekać* - pomyślała, spoglądając z uśmiechem w lustro. Ojciec Justyn mówił jej przecież w Bikasi, kiedy jeszcze była młoda i piękna, że „piękno doczesne” się nie liczy, liczy się „piękno duchowe”. Śmiała się wtedy z niego i dolewała mu armaniaku, ale teraz, dwadzieścia lat później, świat wyglądał inaczej, zaczynała go lepiej rozumieć. Pomyślała znowu o Nicole i o jej afrykańskich „skłonnościach”. Ciekawe, jak miejsce urodzenia i kraj dzieciństwa wywierają piętno na całe życie. Nicole urodziła się w Katandze, tam spędziła dzieciństwo, to jest jej kraj. Mój Boże, Izabella westchnęła, jakie to wszystko dziwne, żeby jej rodzona córka czuła się bardziej Afrykanką niż Polką, Amerykanką czy Europejką! Izabelli stało przed oczami jej dzieciństwo w Warszawie i u dziadków, w małym dworku w Grabowie nad Narwią. I co z tego wszystkiego zostało? Właściwie nic. Niewiele więcej niż z Bikasi, jakie pamiętała Nicole. Warszawa spłonęła po powstaniu, a dwór w Grabowie spalili bolszewicy. I co z tego? Właściwie nic - i dom na ulicy Chocimskiej, i mały dworek nad Narwią żyć będą na zawsze w pamięci Izabelli, tak samo jak rezydencja w Bikasi, zamulona rzeka, sawanna i przychodzące do wodopoju zwierzęta będą na zawsze żywe w pamięci Nicole. W tym momencie na taras wszedł Robbie.

- A ty, synku, kim jesteś? Po prostu Amerykaninem?

Chłopak, w fantazyjnie podziurawionych dżinsach i z pomalowaną na fioletowo fryzurą, spojrzał podejrzliwie na matkę. Najchętniej zapytałby po prostu „Co ci, stara, odbiło?”, ale potrzebował pieniędzy na jutrzejszy koncert rockowy w Fort Lauderdale i postanowił być bardziej dyplomatyczny.

- No pewnie, a kim mam być, Chińczykiem?

- Bo Nicole jest Afrykanką.

- Co? - teraz Robbie spojrzał na matkę już poważnie zaniepokojony. - Co mamie jest? Nicole Afrykanką? Przecież jest biała!

- To nieważne synku.

- Nieważne? Ciekaw jestem, ilu Murzynów tyle zarabia w Nowym Jorku co Nicole! - w głosie młodszego brata zabrzmiała nutka dumy ze starszej siostry.

Izabella roześmiała się.

- Robbie, ja mam na myśli wymiar duchowy, świadomość...

- Mamo... - na twarzy chłopca odmalował się cierpiętniczy grymas. *Co ta stara bredzi...* -

Jutro jest koncert The Naked Soul, potrzebuję sto dolarów.

- Dobrze, Robbie, ale tylko pod warunkiem, że przestaniesz malować sobie włosy na fioletowo.

- Mamo... - na twarzy chłopca znowu pojawił się grymas cierpienia, że musi znosić takie głupoty.

- Mówię zupełnie poważnie. Mam już tego dość, nie dostaniesz ode mnie ani grosza, jeśli nie przestaniesz malować włosów.

- Mamo, ale to jest manifestacja mojej osobowości.

- Trudno, to inaczej ją manifestuj. Najlepiej w nauce. - Izabella była stanowcza.

Robbie rozważył możliwe opcje i, z ciężkim sercem, zgodził się zmyć z włosów farbę.

Na taras wszedł José. Też chciał pieniędzy, wprowadzie znacznie mniej, bo tylko dwa dolary na loda. Izabella roześmiała się. Tak - tylko po to jest synom potrzebna - jako maszyna do wydawania pieniędzy.

* * *

Izabella była zdziwiona, jak mało ojciec Justyn się zmienił. Był nieco chudszy, być może po przebytej operacji, i już całkowicie siwy, ale poza tym pozostał właściwie taki sam, jakim go pamiętała. Te same żywe, zawsze wesołe oczy, krzaczaste brwi, bielutkie, ale krzywe zęby i szrama na policzku po jakimś upadku w dzieciństwie. Tak samo jak kiedyś w Bikasi, z góry zapowiedział, że napije się tylko kieliszeczek koniaku, jeśli jest, oczywiście, ale potem nie oponował kolejnym dolewkom. Na koniec przyjął też, z nietajoną radością, kilka butelek armianiku „dla ojców w Bikasi”. Opowiedział Izabelli, jak uratował się z ojcem przeorem i kilkoma braćmi z rzezi białych, w której zginął, między innymi, Richard DuChaillet. Miejscowa ludność ukryła ich wówczas w małej chatce, w buszu. Nie udało się uciec z klasztoru tylko ojcu Raymondowi, który zginął śmiercią męczeńską. Wszyscy mają nadzieję, że zostanie kanonizowany. Już wszczęto w Rzymie postępowanie beatyfikacyjne. Jego imię nosi sierociniec, ufundowany za pieniądze Nicole. Nastaly bardzo ciężkie lata. Dominikanie w Bikasi, jak zawsze, usiłowali nieść pomoc biednym i cierpiącym, ale nigdy nie znali dnia ani godziny. Zmieniały się rządy, ludzie ginęli w tajemniczych okolicznościach. Białych już w Katandze właściwie nie było, tylko „ten drań” Borinelli, sowiecki agent i prawa ręka Patricka Muzungu, przywódcy Balubów.

- Już nie żyje - wtrąciła Izabella. - Całkowitym zbiegiem okoliczności byłam świadkiem jego śmierci w Paryżu.

- Bogu niech będzie chwała! - Ojciec Justyn nie krył satysfakcji. - Tylu ludzi skrzywdził i, pani Izabello, czy może to pani sobie wyobrazić? Żył w grzechu z trzema Murzynkami naraz! - Ojciec Justyn uniósł w najwyższym zgorszeniu brwi, a Izabella szybko dołała mu armaniaku, żeby załagodzić wzburzenie.

- A jednej z nich - niech pani słucha! - naszej parafiance, Prudence Kokola, ten drań załatwił... - starego zakonnika na chwilę z oburzenia aż zatkało - ...stypendium na studia w Krakowie! Pani Izabello, niech pani sobie tylko wyobrazi, taka bezwstydną grzesznica, która ledwie skończyła naszą przyklasztorną szkołę elementarną, spaceruje sobie teraz po Collegium Maius, czy po Plantach, słucha hejnału z wieży mariackiej, i pewno jeszcze bałamuci naszą młodzież.

Ojciec Justyn aż się zaczerwienił ze wzburzenia. Izabella przypomniała sobie ze wzruszeniem, że ojciec Justyn jest przecież z Krakowa, przypomniała sobie jego pełne miłości i nostalgii opowieści o starym Krakowie, o lajkoniku, o kłatwie, jaka dotknęła tych, którzy otworzyli grób króla Zygmunta Starego. Biedny staruszek odczuwał to jako osobistą obrazę.

- Ech, może się dziewczyna czegoś nauczy, może zmadrzeje... Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - Izabella starała się jakoś uspokoić starego zakonnika.

Ojciec Justyn napił się armaniaku.

- Może ma pani rację... to przecież wola Boża!

Na zakończenie kilkugodzinnej wizyty ojciec Justyn coś sobie przypomniał i z wyraźnym zmieszaniem zapytał Izabellę, czyby nie kupiła kilku biletów na występ sławnej piosenkarki hiszpańskiej Carmen de los Montes. Izabella spojrzała na niego lekko zdziwiona.

- W Miami będzie za dwa tygodnie festiwal kultury hiszpańskiej organizowany przez organizację latynoskie. Cały dochód z koncertu Carmen de los Montes będzie przekazany na misje zagraniczne ojców dominikanów, między innymi naszą w Bikasi - mówił ojciec Justyn. - Ojciec przeor z Hialeah dał każdemu z nas zadanie rozprowadzenia co najmniej dziesięciu biletów, ale ja tu właściwie nikogo nie znam... Pomyślałem sobie, że może pani...

- Ależ oczywiście, z przyjemnością, a po ile te bilety?

- Mamy różne. Najdroższe są dziesięcioosobowe łoża, kosztują tysiąc dolarów.

- To chętnie wezmę taką łożę - Izabella patrzyła z uśmiechem na ojca Justyna, który aż pokraśniał z zadowolenia. - Oczywiście ojciec będzie naszym gościem honorowym!

- Jeśli jeszcze tu będę. W zasadzie mam w przyszłym tygodniu wracać do Afryki, ale jakby lekarze uznali, że muszę jeszcze zostać, to z przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

- Tym bardziej że za dwa tygodnie ma tu być Nicole, na pewno z nami pójdzie, nie poznałby ojciec swojej „dobrodziejki” - Izabella była dumna z córki - tak wydorosłała od czasów Bikasi.

- Bardzo bym chciał ją zobaczyć, pamiętam tą małą złotowłosą dziewczynkę bawiącą się z prosiaczkiem, taka była słodka - ojciec Justyn miał łzy w oczach. - Tak się wtedy modliłem, żeby pani z córką udało się jakoś uratować z tej rzezi.

- No i ojciec wymodlił! A instrumentem bożym była lwica z dwoma małymi - Izabella opowiedziała ojcu Justynowi wydarzenia sprzed dwudziestu lat na wzgórzach Karidu.

- Wielki Boże! Śniła mi się wtedy lwica z małymi, a brat Cedric, prostaczek, ale boży człowiek, powiedział, że to znak, że spełni się moja modlitwa. Nie wiedziałem tylko która. Teraz już wiem! - Ojciec Justyn był wyraźnie wzruszony. Usiadł z powrotem na fotelu i spojrzał wymownie na butelkę armaniaku. Izabella szybko nalała mu kieliszek. Tym razem nalała też sobie. Właściwie nie wierzyła w cuda i skuteczność modlitw, ale zrobiło jej się jakoś dziwnie na duszy - a co jeśli ona i Nicole zawdzięczają życie modlitwom ojca Justyna? W końcu ta interwencja lwicy była naprawdę cudem!

- To już ostatni, na drogę - powiedział zakonnik, trochę zażenowany nadużywaniem gościnności Izabelli.

- Ależ ojczy Justynie, dlaczego ostatni? Hiszpanie nigdy nie mówią *ultimo* - „ostatni”, toast może być tylko *penultimo* - „przedostatni”, bo nie nam decydować o tym, co w życiu jest ostatnie, to jest w rękach Boga.

- Święta racja, pani Izabello, święta racja, wszystko jest w rękach Boga! - Ojciec Justyn wstał, unosząc też torbę, do której służąca zapakowała mu butelki armaniaku. - Jednak muszę już iść. O szóstej mamy modlitwy wieczorne. Muszę wracać.

Izabella odprowadziła ojca Justyna do samochodu, uściskała go serdecznie i obiecała, że zadzwoni dowiedzieć się, czy będzie mógł przyjść na koncert Carmen de los Montes.

Szofer państwa Balvarena odwiózł go do klasztoru w Hialeah.

Izabella wróciła na taras. Patrzyła na swoje ukochane bugenwille i pogrążyła się w zadumie. Myślała o tym wszystkim, co usłyszała. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie oburzenia ojca Justyna na trzy kochanki „tego drania Borinellego”.

Dobrze, że biedna pani gubernatorowa Legrand tego upokorzenia nie dożyła, zastąpiły ją trzy niepiśmienne Murzynki! No, nie całkiem, jedna skończyła szkołę elementarną przy klasztorze w Bikasi, a teraz będzie magistrem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ciekawe, co studiuje, fizykę jądrową? Biedny ojciec Justyn, dla niego było to nieledwie świętokradztwo, profanacja jego ukochanego, aż chciałoby się powiedzieć „świętego” Krakowa. Mój Boże - a ja byłam w Krakowie tylko raz jako mała dziewczynka z wycieczką szkolną, może powinnam tam jeszcze kiedyś pojechać?

* * *

Carmen de los Montes nie była chyba tak sławną piosenkarką, jak to przedstawił ojciec Justyn. Ani Miguel, ani Alvaro i Dolores Castaneda nigdy o niej nie słyszeli. Palomie wydawało się, że coś o niej czytała, ale nie pamiętała co i gdzie. Tak czy owak wszyscy, nawet Robbie, wyrazili chęć pójścia do loży nowego teatru Paradiso na jej występy, tym bardziej że miały być przeplatane tańcem flamenco, w wykonaniu słynnej w Miami grupy Aquilera. Izabella bez trudu zapełniła dziesięcioosobową lożę. Obok rodziny - Miguela, Nicole z aktualnym boyfrendem, Palomy, Robbiego i małego José, zaprosiła jeszcze Alvara i Dolores Castaneda, oraz ojca Justyna, który na szczęście dopiero za trzy dni wracał do Afryki.

Niedawno otwarty teatr Paradiso był na zewnątrz budowlą na wskroś nowoczesną, ale w środku był urządzonej w stylu dziewiętnastowiecznej opery, z wielkimi, kryształowymi kandelabrami, złoceniami i czerwonym pluszem. Loże były przestronne, z bardzo wygodnymi, odchylanymi do tyłu fotelami. W każdej znajdował się doskonale wyposażony barek i z tyłu wygodna kanapka, na której można się było z powodzeniem zdrzemnąć. Mogła też służyć do innych celów, co z wrodzoną sobie otwartością zauważyła głośno Dolores, opowiadając o tym, co przeczytała w „Miami Herald Tribune” o ekscesach w loży należącej do koncernu Disneya w czasie występu grupy rockowej The Blueberries. Izabella próbowała ją powstrzymać, wymownie wskazując oczami na małego José i ojca Justyna, ale bez większego skutku. Na szczęście nikt nie słuchał Dolores. José podskakiwał na kanapie, a Robbie wyjął z barku butelkę coca-coli. Ojciec Justyn zajęty był ożywioną rozmową z Miguelem na temat roli grzechu w życiu doczesnym człowieka. Chłopak Nicole, imieniem Ricky, demonstrował Palomie, używając zdjętej z baru serwetki, jak się robi skręta z marihuany, a Izabella i Nicole rozmawiały z ojcem przeorem, który przed przedstawieniem przyszedł przywitać się z „dobrodziejką” klasztoru. Zadzwoił pierwszy dzwonek. Ojciec przeor wyszedł z loży, zapraszając wszystkich, by w przerwie przyszli do garderoby osobiście poznać artystkę. Tymczasem reszta towarzystwa zajęła miejsca w fotelach.

Loża numer dwa była rzeczywiście doskonale usytuowana - osoby występujące na scenie widać było jak na dłoni.

Po krótkim przemówieniu ojca przeora, który podziękował organizatorom Tygodnia Kultury Hiszpańskiej za przeznaczenie dochodów z koncertu na zagraniczne misje ojców dominikanów, na scenę wyszła Carmen de los Montes. Od razu zrobiła na wszystkich olbrzymie wrażenie. Piękna kobieta w obcisłej, obramowanej u dołu falbanami, czerwonej, andaluzyjskiej sukni, z dużym dekoltem i pękiem czerwonych goździków w lśniących, czarnych włosach poruszała się po scenie z jakimś trudnym do określenia, ale niesłychanie pociągającym, zmysłowym wdziękiem. Piękna oliwkowa cera i olbrzymie, pełne temperamentu, czarne oczy dopełniały obrazu. Trudno było oderwać od niej wzrok. Carmen de los Montes uśmiechnęła się ciepło do widowni i zapowiedziała, że zacznie od starej piosenki andaluzyjskiej - *El muerte no me da miedo*, czyli „Nie boję się śmierci”.

- Wprawdzie jestem Kolumbijką, ale wszyscy moi przodkowie pochodzili z Andaluzji, ja też nie boję się śmierci, ani zresztą niczego innego, boję się tylko Boga. - Carmen de los Montes jeszcze raz się uśmiechnęła, strzeliła ogniste palcami w kierunku orkiestry i zaczęła śpiewać zmysłowym, lekko ochrypłym głosem doskonale pasującym do andaluzyjskiego *canto jondo*.

Lekko kołysząca się w takt muzyki sylwetka piosenkarki przyciągała wzrok całej sali. Jednak chyba najbardziej wzrok gości loży numer dwa. Carmen de los Montes była uderzająco podobna do Palomy! Nie sposób było tego nie zauważyć. Niewątpliwie trochę starsza i może bardziej zmysłowa, miała większe piersi i okrągłejsze biodra, ale poza tym były jak dwie krople wody.

- Mamo, mamó, to druga Paloma! - pierwszy odezwał się dramatycznym szeptem José.

- Cicho, synku, nie przeszkadzaj nam słuchać - uciszyła dziecko Izabella.

Miguel kurczowo ścisnął jej rękę. Izabella spojrzała na męża. Był blady jak ściana, w jego dużych, dobrych oczach malowała się panika i przerażenie. Nagle Izabelli przeszedł po plecach zimny dreszcz - to matka Palomy!

- To chyba jakaś twoja krewna. - Nicole nachyliła się do Palomy. - Czy twoja rodzina pochodzi z Andaluzji?

- Chyba nie, nic o tym nie słyszałam. - Paloma nie mogła oderwać wzroku od twarzy artystki.

Nawet Robbie, zblazowany osiemnastolatek, który zrobił mamie łaskę, że w ogóle przyszedł na ten koncert, patrzył zafascynowany na posuwającą się po scenie kocimi ruchami śpiewaczkę. *Piersi ma nawet lepsze od Palomy* - pomyślał i aż cmoknął z uznaniem, za co został natychmiast skarcony wzrokiem przez Nicole i Izabellę. Ale Alvaro Castaneda doskonale rozumiał podziw nastolatka, sam wodząc rozmarzonym wzrokiem za kołyszącymi się w takt *sevillany* biodrami Carmen de los Montes. Dobrze, że nie spojrzął na siedzącą obok żonę, boby mu to zepsuło nastrój. Dolores Castaneda, podobnie jak Miguel, była blada jak ściana - ona też rozpoznała kogoś w Carmen de los Montes. To była Carmen Avila, kobieta, która uwiodła jej brata, rozbijając rodzinę i doprowadzając go do samobójstwa. Tylko ojciec Justyn zasluchany był w muzykę i piękne słowa pieśni mówiące o śmierci i o Bogu.

W przerwie Paloma, Nicole, Alvaro i Robbie zerwali się z foteli, by skorzystać z zaproszenia ojca przeora i odwiedzić za kulisami Carmen de los Montes. Miguel siedział jak sparaliżowany. Spróbował, choć bez wielkiej wiary w powodzenie, zaprosić wszystkich na szampana, przekonując, że za kulisami będzie na pewno tłok i nawet się do artystki nie dopchają.

- Nie przesadzaj, a zresztą ojciec przeor nas poprowadzi i przedstawi - zapewniła Nicole szczerze zafascynowana podobieństwem Palomy do Carmen de los Montes.

Robbie wyraził nadzieję, że dostanie od śpiewaczki autograf, miał nawet ze sobą specjalny mazak do pisania na koszuli. Również Alvaro pragnął osobiście pogratulować „tej wspaniałej - jak to ujął - artystce”. Dolores siedziała nieruchomo, blada i milcząca. Tylko ojciec Justyn wyraził gotowość towarzyszenia Miguelowi przy szampanie. Izabella musiała zająć się José, który ciągle chciał skakać po kanapie. Po wyjściu z łoży Palomy, Nicole, Alvara i Robbiego Dolores wybuchła:

- To nie żadna Carmen de los Montes, to Carmen Avila! Podła żmija, diablica o twarzy anioła! - Dolores wyraźnie już nie panowała nad sobą. - Jakbym miała pistolet, tobym ją na tej scenie zastrzeliła!

Ojciec Justyn i Izabella patrzyli zaskoczeni na panią Castaneda. Gdy po chwili trochę się uspokoiła, opowiedziała o tragedii, jaką na jej rodzinę ściągnęła „ta diablica”. Uwiodła, a potem rzuciła jak niepotrzebną szmatę jej dwudziestosześcioletniego brata Jaime, doprowadzając go do samobójstwa, a jego młodą żonę do obłądu. Ich dwoje dzieci do dziś wychowują dziadkowie. Po tych wydarzeniach Carmen Avila uciekła z Cali do Hiszpanii i słuch po niej zaginął.

Miguel zamknął oczy. Izabella przerażona, że coś się stało, chwyciła go za ramię. Miguel spojrzął na żonę, a potem na panią Castaneda, w jego oczach malował się bezbrzeżny smutek.

- Dolores, to była moja żona, to matka Palomy... - Miguel nie mógł powstrzymać łez.

Teraz pani Castaneda oniemiała, a ojciec Justyn uniósł wysoko brwi - to wyjaśniało uderzające podobieństwo między obu kobietami!

W garderobie nie było wcale tłoku, po prostu służba porządkowa nikogo nie wpuszczała, ale ojciec przeor pamiętał o swoim zaproszeniu i przedstawił Carmen de los Montes - „wielką dobrodziejkę klasztoru Dominikanów Nicole DuChaillot” i towarzyszące jej osoby.

- Gratuluje pani, naprawdę pięknie pani śpiewa - Nicole zaczęła uprzejmie - ale jest pani bardzo podobna do mojej przybranej siostry, też Kolumbijki, właśnie zastanawialiśmy się, czy nie są panie jakoś spokrewnione.

- Rzeczywiście jest do mnie podobna, ale my, Kolumbijki, wszystkie jesteśmy piękne i do siebie podobne - zażartowała Carmen de los Montes. - Jak masz dziecko na imię?

- Paloma... Paloma Balvarena.

Artystka najpierw spoważniała, a po chwili ciepło się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę do Palomy.

- W takim razie jestem twoją matką!

- Ale przecież... przecież... moja matka nie żyje - wykrztusiła z siebie Paloma.

- Tak ci powiedział ojciec? No cóż, pewnie miał prawo mnie „uśmiercić”. Porzuciłam was wszystkich i uciekłam w szeroki świat. Ty miałaś tylko roczek, a Rodrigo trzy lata. A co się z nim dzieje? Czy też tu jest?

- Zginął siedem lat temu w wypadku samochodowym.

- O Mój Boże! - Carmen de los Montes była wyraźnie poruszona. - Nie oczekuję od ciebie przebaczenia, wiem, że jestem wyrodną matką, choć na swój, może przewrotny sposób, zawsze was dwoje kochałam, często o was myślałam, ale prawdę mówiąc, już się z tym pogodziłam, że nigdy was nie zobaczę. No, Rodriga to już na pewno nie zobaczę. Ale musiałam uciec. Dosłownie dusiłam się w Cartagenie. Mam dziką, niespokojną, cygańską duszę - to prawda, że moja rodzina pochodzi z Andaluzji - nie mogłam tego wytrzymać, tego prowincjonalnego high life, tej stabilizacji, tego „rodzinnego ciepła”. Jeślibym jeszcze trochę została w Cartagenie, to wpadłabym w obłęd i też byście ze mnie nie mieli wielkiej pociechy...

Nicole, Alavaro, a nawet Robbie, słuchali z zapartym tchem. Paloma miała łzy w oczach.

- Ale trudno, co się stało, to się nie odstanie - kontynuowała matka Palomy. - Bardzo się cieszę, że cię spotkałam, że wyrosłaś na taką piękną kobietę. Pozdrów ode mnie ojca, wiem, że

zrobiłam mu krzywdę, ale nie mogłam postąpić inaczej. Nie jestem stworzona do małżeństwa i rodziny... - Carmen de los Montes umilkła.

Nawet tak zawsze wygadana Nicole zapomniała języka w gębie. Po chwili, całkiem niespodziewanie, odezwał się Robbie.

- Może by pani przyszła na chwilę do naszej łoży, mama na pewno chciałaby panią poznać!

- A kto jest twoją mamą, młody człowieku? - Carmen de los Montes uśmiechnęła się do zaczerwienionego po uszy chłopca.

- Izabella Balvarena, żona taty - wtrąciła się Paloma.

- Nie, to raczej nie ma sensu - Carmen spojrzała na zegar w rogu garderoby - albo dobrze... mamy jeszcze piętnaście minut przerwy, tylko się z nimi przywitam i wracam na scenę.

Idące przez kuluary matka i córka budziły sensację. Ludzie nie wierzyli własnym oczom, nagle mieli przed sobą dwie Carmen de los Montes! Obie piękne, obie eleganckie i obie z czerwonymi kwiatami we włosach. Za nimi szła trochę zaniepokojona rozwojem wydarzeń Nicole i silnie podekscytowany Robbie. Alvaro Castaneda najwyraźniej nie mógł oderwać oczu od kołyszących się lekko w marszu bioder Carmen.

Po chwili Carmen de los Montes stanęła w drzwiach łoży numer dwa. W swojej czerwonej, andaluzyjskiej sukni z dużym dekoltem, uwydatniającej jej nienaganną figurę, z brylantową koliańką na szyi i z czerwonymi goździkami w kruczoczarnych włosach, była uosobieniem kobiecej urody, zmysłowości i seksu.

Miguel znowu kurczowo ścisnął ramię Izabelli, jakby szukając oparcia. Dolores Castaneda zerwała się z fotela i z furią rzuciła się w kierunku śpiewaczki.

- Ty podła dziwko! Ty diablico! Wynoś się stąd, nie masz prawa znowu rozdrapywać naszych ran!

Alvaro skoczył między kobiety, pociągając żonę na fotel. Carmen de los Montes patrzyła na tę scenę z drwiącym uśmiechem, potem udając, że nie zauważa Dolores, zwróciła się do swego byłego męża:

- Co za miła niespodzianka, Miguel, przyszłam tu na prośbę tego młodego człowieka - skinęła głową w kierunku Robbiego - i chcę ci pogratulować wspaniałej córki - objęła ramieniem Palomę. - Jesteśmy do siebie podobne jak dwie krople wody. Choć to cię pewnie nie bardzo cieszy...

- Carmen, na miłość Boga, wyjdź stąd - powiedział cicho, przez zaciśnięte zęby, Miguel. Znowu był blady jak ściana, ale w jego czarnych oczach malował się szal. Izabella odruchowo ścisnęła go za rękę, nigdy go takim nie widziała.

- Dobrze, kochanie, już wychodzę - z twarzy Carmen nie zniknął drwiący uśmiech. - Powiedz swojej przyjaciółce - skinęła głową w kierunku Dolores - że ten jej braciszek był nic niewart, był impotentem, kto te dzieciaki zmajstrował jego żonie, tego nie wiem i zresztą nic mnie to nie obchodzi. Zostawiam ci córkę, ale widzę z jej oczu, że to moja krew. Długo w tej cnotliwej nudzie z tobą czy z jakimś jednym mężem nie wytrzyma. Też, prędzej czy później, wyrwie się w wielki świat. To prawdziwa Avila. - Carmen de los Montes uśmiechnęła się ciepło do Palomy i do reszty towarzystwa.

- Do widzenia państwu. Muszę wracać na scenę - obróciła się i wyszła.

W loży zapanowała cisza. Po chwili Paloma rzuciła się w objęcia ojca. Oboje mieli łzy w oczach.

- Kocham cię, tato, i tylko ciebie. Nie chcę jej znać! - Paloma rozszlochała się na dobre.

Miguel gładził jej piękne lśniące, czarne włosy.

- Kochanie, uspokój się. Dobrze się stało, że poznałaś matkę. Prędzej czy później i tak chciałem ci o niej powiedzieć. Nie chciałem żyć w kłamstwie. Teraz poszła już i miejmy nadzieję, że więcej się w naszym życiu nie pojawi. Najważniejsze, że jesteśmy razem i zawsze będziemy. - Miguelowi wyraźnie spadł ciężar z serca, kłuło go jak zadra, że okłamywał swoją jedyną, ukochaną córkę.

- Tak, tato - Paloma przytuliła się mocniej do ojca - zawsze będziemy razem!

Izabella raz jeszcze, jak kiedyś w Paryżu, znalazła się na pierwszych stronach gazet, tym razem obok Carmen de los Montes i Palomy. O taką bezpłatną reklamę zadbał agent śpiewaczki. Dramatyczne spotkanie matki i córki w teatrze Paradiso rozpalilo wyobraźnię dziennikarzy i czytelników. Dodatkowej pikanterii nadawała całej historii oszałamiająca uroda, zarówno głównych bohaterek, jak i przybranej matki Palomy - Izabelli Balvarena.

Izabella była oburzona taką eksploatacją ludzkiego nieszczęścia przez gazety, które prześcigały się w sensacyjnych opisach życia Carmen de los Montes, jej córki - Palomy i całej rodziny Balvarenów. Miguel chciał początkowo podać „Miami Herald Tribune” do sądu, ale Izabella odwiodła go od tego, tłumacząc, że raczej nie wygra, a tylko narazi się na jeszcze większe zdenerwowanie, bo oczywiście gazety będą relacjonować przebieg procesu, a cała sprawa przeciągnie się w nieskończoność. Trzeba po prostu przeczekać. Tego typu sensacje nagle wybuchają na pierwszych stronach gazet, a potem równie szybko idą w niepamięć.

Jednak największą troską Izabelli i całej rodziny była Paloma. Biedna dziewczyna najciężej zniosła te dramatyczne wydarzenia. I trudno się temu dziwić. - Tego samego dnia poznała i straciła matkę. Trudno chyba wymyślić dziecku gorszy koszmar.

Początkowo Paloma popadła w całkowite odrętwienie, nie ruszała się ze swego pokoju, nie jadła, z nikim nie chciała rozmawiać. Słuchała tylko nieustannie dojmująco smutnych melodii kolumbijskich i hiszpańskich. Izabelli serce się krajało, kiedy na to patrzyła, tym bardziej że wiedziała, jak wiele Paloma znaczy dla Miguela. Zresztą sam Miguel też był w niewiele lepszym od Palomy stanie psychicznym.

Ale może najbardziej przejęła się dramatem Palomy - Nicole. Nie mogła sobie wyobrazić, co by zrobiła, gdyby sama znalazła się w takiej sytuacji. Po plecach przechodził jej zimny dreszcz na samą myśl o tym, że mogłaby się znaleźć na miejscu siostry. Wyciągnięcie Palomy z jej obecnego stanu odrętwienia wydawało się Nicole najważniejsze, temu poświęciła cały swój czas i siły.

Son problemas que solo el tiempo resolvera - Izabella miała się przekonać o prawdziwości tej starej hiszpańskiej sentencji - „istnieją problemy, które tylko czas może rozwiązać”. Po miesiącu Miguel doszedł całkowicie do siebie. Oczywiście nadal martwił się Palomą, ale zaczął też planować dłuższy wyjazd na plantacje kawowe do Kolumbii, bo zbliżał się sezon zbiorów.

Również Paloma, dzięki usilnym staraniom Nicole i Izabelli, zaczęła wychodzić z apatii, ale daleko jej jeszcze było do pełnej temperamentu, wesołej i zalotnej dziewczyny sprzed wydarzeń w teatrze Paradiso.

Była poważna i skupiona. Zaczęła chodzić do kościoła i bardzo zbliżyła się do ojca Justyna, który musiał zostać, na czas nieokreślony, w klasztorze w Hialeah, ponieważ istniała obawa przerzutów raka prostaty na inne organy. Izabella bardzo się cieszyła, że ojciec Justyn często bywa u nich w domu i że ma tak dobry wpływ na Palomę, która znalazła w nim swojego duchowego przewodnika.

Życie wracało powoli do normy.

Pewnego popołudnia niespodziewaną wizytę w domu państwa Balvarenów złożyli dwaj bracia Carmen Avila, vel de los Montes. O całej sprawie dowiedzieli się z prasy i teraz, będąc w interesach w Miami, postanowili złożyć wizytę. Miguel był nieco zaskoczony odwiedzinami byłych szwagrów. Byli jednak bardzo serdeczni, w imieniu całej rodziny Avila przeprosili Miguela i Palomę za zachowanie ich siostry, która zresztą, od dwudziestu lat, po ucieczce z Cali, była całkowicie przez rodzinę wyklęta. Palomie wręczyli piękny złoty pierścień z rubinami od jej babki, to jest matki Carmen, i zaprosili ją do Cali, mówiąc, że zawsze będzie mile widzianym gościem w rodzinie Avila. Paloma była wyraźnie wzruszona i obiecała, że kiedyś przyjedzie do Cali. Wychodząc z domu, natknęli się na Nicole, młodszy z braci, czterdziestoletni Alonso, tak się na nią zapatrzył, że się potknął i zupełnie nieoczekiwanie wylądował w jej ramionach. Nicole zachwiała się i cofając nadepnęła kota, pośliznęła się i oboje padli na ziemię. Robbie i José mało się nie popłakali ze śmiechu. Izabelli i Palomie również trudno było zachować powagę, szczególnie patrząc na przerażoną i skonfundowaną minę podnoszącego się z ziemi Alonsa i oszołomioną Nicole. To błahe na pozór zdarzenie okazało się brzemiennie w skutkach. Bracia Avila zostali na parę minut, żeby opatrzyć przecięty policzek Alonsa. Zajęła się tym Nicole, bo Paloma miała do takich rzeczy przysłowiowe „dwie lewe ręce”. Potem jeszcze zostali na filiżankę herbaty, żeby całkiem ochłonać, potem okazało się, że bracia jadą do hotelu w South Beach, dokładnie tam, gdzie za godzinę ma się odbyć aukcja dzieł sztuki po zmarłym milionerze, na którą wybierała się Nicole.

- To może pojedziemy razem? Z przyjemnością później odwiozę panią do domu - zaoferował się szarmancko Alonso Avila, trochę żeby nadrobić swoje niefortunne potknięcie, ale bardziej dlatego, że zafascynowała go ta śliczna niebieskooka blondynka.

- Bardzo chętnie, tym bardziej że będą tam dawać doskonałego szampana, uprzedziła mnie o tym przyjaciółka, a więc nawet lepiej, żeby mnie ktoś odwiózł do domu - uśmiechnęła się filuternie Nicole, na której przystojny i elegancki Kolumbijczyk zrobił duże wrażenie.

- Ja też się tam wybieram z Cristine - dorzuciła Paloma - ale przyjedziemy tylko na koktajl, już po aukcji.

- No to wszyscy spotkamy się wieczorem w hotelu La Palma - skonstratował z zadowoleniem Juan Avila. - Zapraszam na kolację!

* * *

Innym rezultatem wydarzeń w teatrze Paradiso było wyraźne zbliżenie Miguela z Dolores Castaneda - oboje byli ofiarami podłości Carmen Avila. Ale coraz mniej się to podobało Izabelli, która już od jakiegoś czasu miała nieprzyjemne uczucie, że coś przed nią ukrywają. Wprawdzie bardzo się pilnowali i zawsze jak podchodziła do nich na przyjęciu czy w innych okolicznościach, przechodzili z hiszpańskiego na angielski, ale miała uczucie, że mają jakieś swoje sekrety. Zasadniczo nie miała nic przeciwko ich przyjaźni, sama lubiła Dolores, ale teraz dowiedziała się od niej, że jutro jedzie do matki, do Kolumbii. Miguel przebywał tam już od miesiąca.

Był piękny wiosenny wieczór. Izabella wracała samochodem z koktajlu w country clubie. Patrzyła na rozświecone gwiazdami niebo i zaczęła sobie przypominać inne epizody minionych kilku lat na Florydzie. Już na tym pierwszym „wieczorku zapoznawczym” nie podobał jej się sposób, w jaki Dolores tańczyła z Miguelem, przywarta do niego całym ciałem i przytulona policzkiem do twarzy partnera. Potraktowała to wtedy jako po prostu latynoski styl tańca. Potem były wspólne wyjazdy Miguela i Dolores do Miami do Klubu Kolumbijskiego na spotkania z kandydatami na urzędy polityczne w Kolumbii. Izabella uzmysłowiła sobie też, że poprzednie wyjazdy Miguela na plantacje kawy w Kolumbii często pokrywały się w czasie, przynajmniej częściowo, z wizytami Dolores u matki w Cali. Teraz przypomniała sobie, co mimo woli podsłuchała z rozmowy Alvara Castanedy z jakimś kolegą w country clubie.

Narzekał, że Miguel wydzwania do Dolores z Kolumbii o różnych porach nocy, nie dając spać. Do niej samej dzwonił bardzo rzadko, może raz na dwa tygodnie, bo, jak twierdził, na niektórych plantacjach nie ma nawet telefonu. Im więcej Izabella o tym myślała, tym mniej jej się to wszystko podobało. Nie chciała być chorobliwie podejrzliwa, ale składało się to wszystko w niezbyt przyjemny, choć logiczny ciąg wydarzeń. Może to wszystko tylko niezwykle zbieg okoliczności, ale może nie. Izabella czuła, jak ogarnia ją rozgoryczenie.

Czyżby to było możliwe? Czyżby Miguel ją zdradzał?

Izabella nie czuła nawet złości, tylko smutek i rozczarowanie. Wcześniej myślała o tym, czyby mu nie zrobić niespodzianki i nie odwiedzić go na którejś z plantacji w Kolumbii. Teraz zmieniła jednak plany. Nie będzie mu się narzucała! Niech się nacieszy tą swoją Dolores. Niech się zastanowi, czego chce, a po jego powrocie do domu odbędzie z nim poważną rozmowę. Izabella wiedziała, że, po doświadczeniach z Murrayem, nie może żyć z mężczyzną, któremu nie ufa. Z Miguelem była zawsze szczerą i miała wrażenie, że on odpłacał jej tym samym, ale teraz będzie musiała się o tym upewnić. Szczerze mu powie o swoich podejrzeniach. Niech to wszystko wyjaśni, niech te podejrzenia rozwieje! A jeśli mu się to nie uda, jeśli zacznie kręcić i łąć - to koniec!

Koniec?! Izabelli dreszcz przeszedł po plecach. Mam być znowu sama, jak kiedyś w Nowym Jorku, tylko bez pracy w American Diamonds. Z małym José i dorastającym Robbiem. Czy naprawdę tego chcę? Ale jaką mam alternatywę? Czy byłabym w stanie żyć pod jednym dachem, jak gdyby nigdy nic, z mężczyzną, do którego nie mam zaufania, który mnie zdradza? Boże!... Izabella ciężko westchnęła. Tym razem to już nawet nie ma nic wspólnego z Afryką, nie mogę wszystkiego zwać na afrykańską klątwę...

Izabella dojechała do domu. W hallu powitał ją José. Uśmiechnięty, szczerze zadowolony z powrotu mamy. Był bardzo podobny do Miguela. Izabella uścisnęła synka i wyszła na taras. Nie, to wszystko majaki i głupie podejrzenia. Miguel ją kocha i wszystko się wyjaśni. Izabella zadzwoniła po herbatę i usiadła na swoim ulubionym wiklinowym fotelu w kącie tarasu. Tak bardzo by chciała, żeby okazało się, że wszystko wymyśliła, żeby te podejrzenia okazały się niczym innym jak tylko właśnie głupimi podejrzeniami... Czuła jednak, że do czasu, kiedy to się stanie, będzie jej w sercu tkwiła zadra. Przez miesiąc będzie musiała żyć z tymi myślami.

* * *

Była piękna wiosenna niedziela. Izabella jadła śniadanie z Robbiem i José, przeglądając leniwie gazetę „Miami Herald Tribune”. Na trzeciej stronie przykuło jej wzrok zdjęcie uśmiechniętej Jenny z jakimś miło wyglądającym starszym panem. *Oho, znowu jakiś „instrument” na drodze do kariery.* Izabella uważniej wczytała się w tekst. Ale nie, okazało się, że to po prostu senator Bill Conley z Kolorado, z którym „Jenny Bradley, posłanka z Nowego Jorku” wspólnie sponsoruje projekt ustawy o ochronie parków narodowych, w tym również Everglades na Florydzie. *Piękna inicjatywa - pomyślała cierpko Izabella - ale dziewczyna ma trzydzieści dwa lata, mogłaby już mieć męża i dzieci. Parki narodowe przetrwają i bez niej, niech się nimi zajmie ten starszy pan Bill Conley, on już zapewne dorobił się dorosłych dzieci, więc ma czas się takimi sprawami zajmować.* Izabella coraz bardziej niepokoiła się córkami. Nicole i

Jenny robią kariery, zarabiają pieniądze, to wszystko pięknie, ale kobieta bez kochającego męża i dzieci nie może być szczęśliwa. Pewnie myślą, że jestem starą idiotką, i może rzeczywiście jestem trochę staroświecka, ale to przecież jest oczywiste, nie ja to wymyśliłam, kobieta jest stworzona do małżeństwa i dzieci, to ją upiększa i uszlachetnia, a nie do ratowania parków narodowych czy negocjowania pokoju na Bliskim Wschodzie!

- Mamo, popatrz, pelikany! - José bardzo lubił wszystkie zwierzęta. *Też będzie pewnie bronił parków narodowych* uśmiechnęła się do synka i spojrzała w górę. Nisko nad ogrodem leciał sznur tych ptaków, pełnych powagi, a zarazem niesłychanie zabawnych z ich wielkimi dziobami i workami u ich nasady.

- W tych workach przy dziobie niosą ryby dla swoich dzieci! - José poinformował z dumą mamę i Robbiego.

- Naprawdę? A skąd ty o tym wiesz? - Izabella udała, że informacja syna to dla niej rewelacja.

- Pani nam wczoraj powiedziała. Byliśmy na plaży oglądać faunę i florę.

- Oho, ho, ale mądrała - odezwał się Robbie. - Oglądaliście „faunę i florę”, a nie przypadkiem jakiegoś zdechłego kraba, trochę robaków i parę wodorostów?

- Robbie, nie dokuczaj bratu, lepiej odbierz telefon - powiedziała Izabella, bo właśnie rozległ się z pokoju dzwonek telefonu.

- To do ciebie - Robbie podał słuchawkę matce. - Jenny...

- Hallo, Jenny, właśnie o tobie czytałam w „Miami Herald Tribune”, pewnie chcesz, żeby ci wyciąć?... Dzwonisz w innej sprawie?...

- Cooo? - Izabella aż zaniemówiła.

Robbie i José spojrzeli na matkę nieco zdziwieni.

- Kochana córeczko, gratuluje, strasznie się cieszę. Nawet sobie o tym myślałam, czytając o tobie w „Miami Herald Tribune"! Ale, kochanie, powiedz jeszcze z kim...

- Cooo? - Izabella rozlała kawę z filiżanki i nawet tego nie zauważyła. - To cudownie! Boże, jak się cieszę!

Jenny powiedziała matce, że wychodzi za mąż i chciałyby przyjechać z narzeczoną na najbliższy weekend do Boca Raton. I jakby tego jeszcze było za mało, poinformowała Izabellę, że jest w ciąży! Wybrankiem jej serca był trzydziestosiedmioletni lord Roger Warrington, jeden z młodych ludzi, których swego czasu poznała z Nicole i Palomą, na weselu Izabelli Buczackiej w Ritzu, w Paryżu. Okazało się, że rok temu przyjechał do Waszyngtonu jako pierwszy sekre-

tarz ambasady brytyjskiej i na jakimś oficjalnym przyjęciu odnowili znajomość. Jenny zaofiarowała się pokazać mu „Waszyngton nocą” w rewanżu za „Paryż nocą” sprzed kilku lat - dalej sprawy potoczyły się same.

Izabella była szczęśliwa. Wiedziała wcześniej od Jenny, że młody lord Warrington, znany z Paryża, przyjechał do Waszyngtonu i że się widują, ale nie przywiązywała do tego zbytnej wagi. Teraz problemy z Miguelem odsunęły się na dalszy plan. Jenny wychodzi za mąż i do tego jest w ciąży! - to znaczy, że Izabella będzie niedługo babcią. Zawsze pragnęła się tej chwili doczekać, ale nawet nie przeczuwała, że zrobi to na niej takie wrażenie. I wszystko potoczyło się tak nagle! Oczywiście Izabella rozumiała, że Jenny, znana w całych Stanach Zjednoczonych, posłanka do Kongresu ze stanu Nowy Jork, musiała takie sprawy trzymać w ścisłej tajemnicy, jeśli chciała zachować odrobinę prywatnego życia. *Mogła choćby słówkiem napomknąć, że z tym lordem Warringtonem to poważna sprawa! Ach, ta Jenny, zawsze potrafi dotrzymać tajemnicy* - pomyślała, nie bez pewnej dumy, Izabella. Sama nie potrafiła i przekazała szczęśliwą nowinę Robbiemu i José. Nie zrobiło to jednak na nich specjalnego wrażenia.

- Co to jest „lord”? - zapytał José.

- Przedstawiciel angielskiej „flory i fauny” - wyjaśnił z kamienną twarzą Robbie.

Izabella roześmiała się i wyjaśniła synkowi pojęcie arystokracji rodowej. José nadal nie całkiem rozumiał, o co tu właściwie chodzi, ale zajął się wielkim kolorowym chrabąszczem, który spadł na podłogę obok stołu.

- W każdym razie obu was bardzo proszę, żebyście jeszcze nikomu o tym nie mówili. Jenny na tym bardzo zależy.

- Dobrze, mamó, nikomu nie powiemy - odpowiedzieli jej chórem synowie, najwyraźniej niezbyt przejęci doniosłością wydarzenia.

Robbie poszedł na górę do swoich spraw, a José bawił się chrabąszczem.

Izabella wróciła do swoich myśli. *To cudowna wiadomość, ale zostały jeszcze Nicole i Paloma. No, powiedzmy, Paloma ma jeszcze czas, jednak Nicole... Ale co tam, przyjdzie czas i na Nicole* - Izabella postanowiła na razie cieszyć się tym, co ma. Natychmiast przystąpiła do przygotowań do weekendu.

Izabella szykowała się do wyjazdu na zakupy do Bal Harbour - musiała sobie przecież kupić jakąś suknię na ślub Jenny! - kiedy zadzwonił telefon. To była Nicole.

- Mamo, jestem na lotnisku w Miami, wracam z podróży do Peru i Kolumbii, kupowaliśmy z Richardem Gossem eksponaty na wystawę Sztuka Nowoczesna Ameryki Łacińskiej. On leci dalej do Nowego Jorku, ja postanowiłam zatrzymać się na dwa dni u ciebie.

- To wspaniale, bardzo się cieszę, ale wybieram się właśnie na zakupy do Bal Harbour, jestem umówiona w salonie mody Gaylor i Bros.

- O której?

- Muszę wyjść z domu za godzinę.

- To pojedźmy razem. Wezmę taksówkę i za godzinę będę w Boca Raton.

- Córeczko, doskonale, tylko pośpiesz się, bo nie chciałabym się spóźnić! Szkoda, że mnie wcześniej nie zawiadomiłaś. Wysłałabym po ciebie samochód.

- Sama nie wiedziałam. Zdecydowałam się dopiero trzy godziny temu w Bogocie. Tyle ci chcę opowiedzieć.

- Córeczko, bardzo się cieszę, że jesteś. Ale teraz się pośpiesz.

- Dobrze, mamo, już biegnę do taksówek.

Izabella była nawet zadowolona, że pojedzie na zakupy z córką. Może jej coś dobrze doradzi. Miała pełne zaufanie do dobrego smaku Nicole. Zresztą dobrze się składa, bo przecież ona też musi sobie coś ładnego kupić na ślub siostry.

Wkrótce siedziały obie w prowadzonej przez szofera limuzynie. Zazwyczaj Izabella sama jeździła swoim odkrytym mercedesem, w ten sposób czuła się swobodniej i bardziej na luzie, ale dziś chciała mieć spokój. Siedzenie szofera oddzielone było od wnętrza limuzyny szybą i firanką. Nicole wyciągnęła się wygodnie, kładąc nogi na przeciwległym fotelu. Izabella wyjęła z barku butelkę zimnego Chardonnay i naląła dwa kieliszki, cieszyła się, że będzie teraz mogła swobodnie porozmawiać z Nicole o małżeństwie Jenny, o Palomie, a może nawet o swoich podejrzeniach wobec Miguela, ale tego nie była pewna.

- Mamo, chcę ci coś powiedzieć - Nicole, dość nietypowo dla siebie, aż się zarumieniła z emocji.

- Co, córeczko? Wiesz już o Jenny?

- Tak, mamo, wiem i ja właśnie w tej samej sprawie...

- Cooo? - Izabella nie wierzyła własnym uszom. - Ty też wychodzisz za mąż?

- Chyba tak...

- Jak to... chyba? - Izabella uśmiechnęła się ciepło do córki.

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. Dziś rano w Bogocie oświadczył mi się Alonso Avila.

- Alonso Avila?! - Niebieskie oczy Izabelli zrobiły się duże i okrągłe, jak zwykle w takich sytuacjach.

- Tak, mamó. Pamiętasz go? Jeden z braci Carmen de los Montes?

- Pewnie, że pamiętam, to ten dżentelmen, co się na ciebie rzucił już na progu naszego domu! - Izabella była w szampańskim nastroju.

- No właśnie, ten - Nicole też się uśmiechnęła na wspomnienie tego pierwszego spotkania. - Widywałam się z nim potem często przez ostatnie osiem miesięcy...

- Nicole, jesteś w ciąży? - Izabella spojrzała badawczo na córkę

- Nie, mamó - Nicole roześmiała się wesoło. - Ten pośpiech to już zostawię Jenny. Nic ci nie mówiłam, bo nie wiedziałam, czy to poważne czy nie. Alonso przyjechał kilka razy do Nowego Jorku. Razem spędziliśmy tydzień na St. Lucii. Jeżdżąc służbowo do Ameryki Łacińskiej - wiesz organizujemy tę wystawę Sztuka Nowoczesna Ameryki Łacińskiej - odwiedziłam go w Cali, pokazał mi Andy, wspaniałą dolinę Cauca. Teraz przyjechał do mnie do Bogoty i... oświadczył mi się.

- I co? - Izabella zatrzymała kieliszek z winem w połowie drogi od stolika do ust.

- I powiedziałam, że się zastanowię i jutro mu odpowiem. Ale chyba odpowiem - tak!

- Kochanie, ale kto to jest ten Alonso? Z tego, co pamiętam, to wyglądał nawet całkiem sympatycznie. Ale co robi? Z czego żyje? - Izabella spojrzała na córkę trochę zaniepokojona.

- Prawdę mówiąc, to sama za bardzo nie wiem. Jest biznesmenem, zajmuje się różnymi interesami, ale przede wszystkim eksportem boksytu.

- „Boksytu”, a co to jest? - zainteresowała się Izabella.

- Nie wiem dokładnie, jakiś minerał. Poza tym jest też bardzo zaangażowany w politykę. Pochodzi z jednej z najlepszych rodzin w Cali, ma doskonałe stosunki w stolicy. Kiedy zorientował się, że nie bardzo chciałabym mieszkać na stałe w Kolumbii, oświadczył mi, że zamierza zostać dyplomatą. To było miesiąc temu. Dziś w Bogocie pokazał mi oficjalną nominację, podpisaną przez przewodniczącego parlamentu i prezydenta republiki, na ambasadora Kolumbii w Polsce.

- W Polsce? - Izabella patrzyła na córkę z niedowierzaniem. - Pojechałabyś do Polski, jako pani ambasadorowa?

Obie roześmiały się wesoło.

- Mamo, ale jest jeszcze jedna sprawa. Z nim jest trochę jak z Miguelem...

- Co ty masz na myśli? - Izabella spojrzała zdziwiona na córkę.

- Piętnaście lat temu rzuciła go żona, uciekła do Paryża z artystą malarzem.

- Nie do wiary - Izabellę aż zatkało. - Czy te Kolumbijki wszystkie takie?!

- Oj, mam, nie wszystkie, po prostu taki zbieg okoliczności... ale jeszcze jedno, zostawiła go z córką, którą teraz sam wychowuje...

- I ma na imię Paloma!

Znowu obie się roześmiały.

- Nie, Rosario, ale jest równie śliczna jak Paloma. Widziałam ją tylko na zdjęciach, bo chodzi do szkoły w Szwajcarii.

- No dobrze, córeczko, ale najważniejsze - czy go kochasz?

- Tak, mam, kocham. Po raz pierwszy wiem na pewno, że kogoś kocham. Tylko trochę się boję, to taka wielka decyzja. Poza tym musiałabym wszystko w swoim życiu zmienić. Rzucić pracę w Metropolitan Museum of Art...

Obie zamilkły, patrząc na mijający za oknami samochodu żółtawy, suchy krajobraz środkowej Florydy.

- Posłuchaj, Nicole - Izabella przerwała ciszę. - Powiem ci to samo, co mi powiedział w Genewie stary pan Natanson - jeśli go kochasz i on ciebie kocha, to pobierajcie się i nie oglądajcie na cały świat. Ale jeśli chodzi o pieniądze, to trzeba być ostrożnym. W żadnym razie nie możesz się całkowicie na niego zdać. Musisz mieć własną karierę i własne źródło dochodów. Nie musi być wielkie, ale jakieś musi być. Posłuchałam wtedy pana Natansona i po dziś dzień jestem mu wdzięczna za tę radę. Ładnie bym wylądowała z Murrayem, gdybym nie pracowała w American Diamonds! Możesz sobie być panią ambasadorową, ale zarazem na przykład skupować w Polsce i w krajach sąsiednich dzieła sztuki dla kolekcjonerów w Ameryce. Albo inwestować... albo sama sobie coś wymyślić.

- Mamo, właśnie to samo myślałam, też przypomniał mi się Murray i jego interesy, a niestety również to, jak skończył. Mamo, czy mogę być pewna, że z Alonsem nie będę miała jakiejś podobnej niespodzianki?

- Obawiam się, że pewności nigdy nie można mieć - w głosie Izabelli brzmiała teraz gorzkość. - Mężczyzn trudno zrozumieć, choć Latynosi są może bardziej szczerzy, bardziej otwarci. Musisz liczyć na siebie. Oczywiście, nie jesteś sama jak palec, jak ja byłam. Masz mnie, Jenny,

Palomę, a z czasem - co daj Boże - może jakaś pociecha będzie też z Robbiego i José. Ale w ostatecznym rachunku będziesz zdana na siebie i o tym musisz pamiętać. Oczywiście jeśli się zdecydujesz na ślub z Alonsem, a na to się zanosi, to wszyscy miejmy nadzieję, że będziesz miała więcej szczęścia niż ja, że będziecie ze sobą szczęśliwi do końca. Tak powinno być i daj Boże, że tak będzie, ale musisz być gotowa na wszystko. Jak mówią Amerykanie: *Hope for the best and prepare for the worst* (Licz na najlepsze, ale bądź gotowy na najgorsze). Nicole patrzyła przez okno.

- Na pewno masz, mam, rację. Bardzo kocham Alonsa i chcę z nim dzielić życie, ale nie mogę całkowicie stracić swojej niezależności. Choć boję się, że on to może źle zrozumieć. Wiesz, jacy są Latynosi. Będzie myślał, że nie mam do niego zaufania.

- Trudno, kochanie, jeśli jest rozsądny, to zrozumie. Murrayowi moja niezależność też się początkowo nie podobała, ale uparłam się i postawiłam na swoim. Codziennie Bogu za to dziękuję. - Izabella pomyślała o Miguelu i Dolores, miała wielką pokusę, by podzielić się z córką swoimi podejrzeniami, ale doszła do wniosku, że nie ma prawa psuć jej radości.

Zresztą już podjeżdżały pod salon mody Gaylor i Bros.

Specjalny pokaz sukien wyjściowych przygotowała dla Izabelli młodziutka projektantka z Nowego Jorku, Betty Klein, wschodząca gwiazda mody, polecona Izabelli przez znajomych. Kreacje były rzeczywiście w doskonałym stylu. Izabella wybrała sobie dwa modele, a Nicole jeden. Oczywiście inaczej te suknie wyglądają na modelkach, a inaczej na konkretnej osobie. Po pokazie matka i córka przeszły do przymierzalni, gdzie doświadczony krawcowe dokonały odpowiednich pomiarów, by zaadaptować wybrane modele do wymiarów Izabelli i Nicole. Musiały być przecież idealnie skrojone i dopasowane.

Matka i córka całą drogą powrotną rozprawiały żywo o Alonsie, o Jenny, o „tym jej lordzie”, jak to ujmowała Nicole, i o planach ślubnych. Okazało się, że siostry już wszystko miały omówione. Ślub chcą wziąć czwartego września, w Święto Pracy, na zakończenie lata i przed rozpoczęciem jesiennej sesji Kongresu.

- Oho, tu już widzę rękę Jenny - Izabella uśmiechnęła się do Nicole.

- Oczywiście, ślub ślubem, ale ona na pewno nie zamierza przerywać kariery! - powiedziała Nicole z lekkim przekąsem. - Jej też to doradziłaś?

Obie się roześmiały.

- To rozsądna dziewczyna, nie potrzeba jej takich rzeczy doradzać. Ale w podróż poślubną chyba pojedą? - zaniepokoiła się Izabella.

- No, nie wiem - jak obowiązki państwowe pozwolą. Może w podróż poślubną pojedą do Moskwy na konferencję w sprawie równouprawnienia kobiet.

- Lepiej się tak z siostry nie naśmiewaj, „pani ambasadorowo”, zobaczymy, gdzie ty będziesz z mężem jeździła!

- W podróż poślubną jedziemy najpierw na Martynikę, a potem do Londynu, Paryża i Rzymu - na cały miesiąc!

- To wspaniale - Izabella nie kryła zadowolenia.

Tymczasem dojechały pod dom. Szofer wyskoczył i otworzył Izabelli drzwi. Po chwili obie zdały korytarzem prawego skrzydła domu, gdzie mieściły się dwa pokoje gościnne, a także pokoje Nicole i Jenny. Kiedy córek nie było w domu, Izabella nigdy się tam nie zapuszczała. Teraz szła przodem.

- Szkoda, Nicole, że nie uprzedziłaś, przygotowałabym i wywietrzyła twój pokój. Już chyba ze dwa miesiące cię nie było, pajęczyny się pewnie porobiły...

- Mamo, przecież ci mówiłam, Alonso oświadczył mi się dziś rano! Od razu do ciebie przyjechałam, ale nie miałam kiedy uprzedzić...

- Już dobrze, kochanie, rozumiem - Izabella uśmiechnęła się do córki. - Zaraz zawołam Rosario, to ci sprzątnie pokój i da świeżą pościel.

* * *

Izabella przygotowywała dom na powrót męża i już prawie zapomniała o swoich planach skonfrontowania rzeczywistości z własnymi podejrzeniami odnośnie do Dolores Castanedy. To znaczy nie całkiem zapomniała. Po prostu postanowiła być wielkoduszna i dać mu szansę, ale zarazem postanowiła, że teraz będzie czujna i jeśli zacznie znowu mieć jakiegokolwiek podejrzenia, to sprawę postawi jasno - albo ona, albo Dolores. Izabella kochała Miguela i nie mogła, a może i nie chciała, uwierzyć, żeby z jego strony było inaczej. Zresztą jego niedawne telefony utwierdziły Izabellę w przekonaniu, że ją kocha i, że być może, jest za bardzo podejrzliwa.

W końcu nadszedł 15 maja i Izabella podjechała limuzyną po męża na lotnisko. Były straszne korki na szosach i trochę się spóźniła. Miguel już na nią czekał z walizką w ręku. Na widok Izabelli uśmiechnął się radośnie. Szofer wyskoczył, żeby włożyć walizkę do bagażnika, a Miguel wszedł do limuzyny i zatrzasnął drzwi. Izabella dała szoferowi znak, żeby jechał, i zasunęła firankę na szybie oddzielającej siedzenie kierowcy od pasażerów.

Byli sami. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy Miguel wziął żonę w swoje mocne ramiona i przytulił jak kiedyś na ławce nad morzem w Cartagenie. Izabella przywarła do niego całym ciałem. Trochę się od tego czasu zmienili. Izabella była pełniejsza w piersiach i w bio-

drach, a Miguel miał już siwe włosy, ale złączeni w uścisku na wygodnej kanapie limuzyny czuli do siebie tę samą, zmysłową miłość, tak samo siebie pragnęli jak wtedy na nadmorskiej ławce. Miguel odchylił lekko głowę Izabelli i zaczął całować jej usta, a potem szyję i odsłonięty dekolt. Był piękny wiosenny dzień i Izabella miała na sobie lekką, jedwabną sukienkę w żółte słoneczniki. Miguel, całując, zsunął ramiączka i sukienka opadła Izabelli do pasa. Została w lekkim, letnim staniku. Miguel całował dalej, ale Izabella go lekko odepchnęła.

- Miguel, kochanie, poczekaj, aż dojedziemy! Ludzie patrzą! - i rozejrzała się trwożliwie na boki.

Firanki na szybie oddzielającej szofera były wprawdzie szczelnie zasłonięte, ale przez boczne okna można było coś zobaczyć. Do jadącego autostradą samochodu jest raczej trudno zajrzeć, a już tym bardziej coś zobaczyć, ale kierowcy olbrzymich ciężarówek pędzących obok, często wyprzedzających limuzynę, mogli rzeczywiście mieć ciekawy widok.

Izabella podciągnęła sukienkę i wyjrzała przez okno. Dojeżdżali do Fort Lauderdale.

Miguel uśmiechnął się ciepło do żony.

- Dobrze, kochanie, poczekam. Czekałem dwa miesiące, to mogę jeszcze poczekać pół godziny, a nawet półtorej! Może chcesz drinka? - i sięgnął do barku.

W tym momencie usłyszeli z tyłu silne trąbienie. Sportowy mercedes zrównał się z nimi i dalej trąbił. Izabella spojrzała zdziwiona przez okno i zdrętwiała. To była Dolores Castaneda, bardzo podekscytowana dawała znaki, żeby zjechać na pobocze i się zatrzymać.

Miguel wstał z kanapy, żeby otworzyć okienko do kierowcy i kazać mu stanąć, ale Izabella pociągnęła go za marynarkę z powrotem na kanapę. Miguel spojrzał na nią mocno zdziwiony. Wyraz jej twarzy zdumiał go jeszcze bardziej. Takiej żony jeszcze nie widział. Jej piękne niebieskie oczy zwęziły się w szparki, a twarz nabrała jakiejś okrutnej zaciętości. Przypominała mu rozzłoszczoną kotkę, a może raczej, dzięki okalającej twarz złocistoblond grzywie, rozzłoszczoną lwicę.

- Jedziemy dalej! Nigdzie się nie zatrzymujemy! - syknęła Izabella przez zaciśnięte zęby.

- Ależ, kochanie, to Dolores!

- Widzę, że Dolores. Jak chcesz się do niej przesiąść, to proszę bardzo, każ zatrzymać samochód. Ale jak chcesz zostać ze mną, to jedziemy dalej.

- Izuniu, co ci jest? - Miguel patrzył na żonę coraz bardziej zaniepokojony.

- Co mi jest? A to mi jest, że mam już dość tej twojej Dolores! - Izabella teraz wiedziała, że nie będzie dłużej zwlekać. Postawi sprawę jasno. Albo wóz, albo przewóz. Miguel musi zająć wyraźne stanowisko, powiedzieć, kogo kocha i z kim chce żyć.

- Izuniu, chyba nie jesteś zazdrosna o Dolores?

- Owszem, jestem i nie rób takiej głupiej, zatroskanej miny niewiniątka. Widzę, co się dzieje, trochę to długo trwało, bo jestem naiwna i dobrodusza, ale nawet ja nie mogłam nie zauważyć, co się święci...

- Iza, przecież ja byłem w Kolumbii, na plantacjach, jak cię miałem zdradzać - Miguel patrzył na żonę teraz już wyraźnie poruszony.

- Teraz byłeś na plantacjach, a w Bogocie nie byłeś? Z kim na każdym przyjęciu szepczesz i chichoczesz na boku? Z kim jeździłeś na te rzekomo „polityczne” spotkania klubu kolumbijskiego w Miami, które przeciągały się zawsze do późna w nocy? Z kim spotykałeś się w Kolumbii, jeżdżąc na kontrolę swoich plantacji? Jakimś ciekawym zbiegiem okoliczności Dolores zawsze w tym czasie jeździ do chorej matki! Do kogo wydzwaniasz z Kolumbii po nocach z tych plantacji, na których rzekomo nie ma telefonów!

Izabella oparła się głębiej o róg kanapy, poczuła pewną ulgę, wyrzucając z siebie wszystko. Teraz kolej na Miguela. Niech to wyjaśni, jeśli potrafi, a jak nie potrafi, to niech się przyzna. Izabella gotowa mu była wybaczyć, ale pod warunkiem, że z Dolores już się więcej nie zobaczy. Niech się zdecyduje!

- Proszę bardzo, teraz twoja kolej, słucham, co masz do powiedzenia. - Izabella sięgnęła do barku po kieliszek wina.

Miguel siedział zdrtwiał na drugim końcu kanapy, patrząc z przerażeniem na żonę. Wyglądał jak zbity psiak. Izabelli nawet zrobiło się go trochę żal, ale w żadnym razie nie zamierzała tego pokazać. Ona też dużo wycierpiała - nie będzie się teraz nad nim roztkliwiać.

- Iza, to jest jedno wielkie nieporozumienie... Wszystko ci wyjaśnię...

- Bardzo proszę, słucham. - Izabella napiła się wina i jeszcze raz poprawiła sukienkę, bo jedno z ramiączek znowu jej opadło. Spojrzała w lustro na ścianie dzielącej szofera od pasażerów. Wyglądała groźnie - jak lwica Lola! Izabella uśmiechnęła się do siebie w duchu. - *Dzielna Lola* - przypomniała sobie jej naderwane ucho - *też nie dawała sobie w kaszę dmuchać!* Tak jak ona mam oparcie w dzieciach - pomyślała z czułością i dumą o Nicole, Jenny, José i Robbiem - *tak, Robbie też nie jest taki zły, choć łobuz.* Myśl o dzieciach, jak zawsze, dodała Izabelli siły i otuchy.

- Iza, czy ty mnie słuchasz?

- Tak, oczywiście, słucham - Izabella spojrzała na męża już właściwie bez złości.

- Jak przed chwilą powiedziałem, to jakieś straszne nieporozumienie. Z Dolores nic mnie nie łączy... To znaczy, żadne romantyczne uczucie. Bo na pewno bardzo ją lubię i świetnie się rozumiemy...

- To widać, kochanie - wtrąciła z przekąsem Izabella.

- Izuniu, nie bądź złośliwa, naprawdę ani ja, ani Dolores na to nie zasługujemy. Posłuchaj... jak nie chcesz, to możesz mi nie wierzyć, ale przynajmniej posłuchaj... - Wielkie, smutne oczy Miguela były teraz pełne powagi. - To na pewno prawda, że zawsze lubilem spotkać Dolores na przyjęciu i chętnie z nią rozmawiałem, ale nie widziałem w tym nic złego i nie miałem pojęcia, że sprawiam ci tym przykrość. Po prostu ona jest Kolumbijką, jedyną wśród naszych znajomych, pochodzi z tych samych sfer co moja rodzina, zresztą nasi rodzice też się znali. Doskonale się rozumiemy, tym bardziej że oboje zaangażowaliśmy się silnie, od dawna i zupełnie od siebie niezależnie, w sprawę zakończenia toczącej się od piętnastu lat ze zmiennym szczęściem i napięciem, wojny domowej w Kolumbii. Gazety dużo o tym nie piszą, to dla Amerykanów nudne, ale ta wojna wykrwawia moją ojczyznę, od jej początku dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi straciło życie. Jeśli ta wojna szybko się nie skończy, to Kolumbia rozpadnie się...

- Miguel, jaka wojna? Od piętnastu lat? Przecież byłam w Cartagenie...

- Nie w Cartagenie, nie w Bogocie i nie w Cali. Ta wojna nie toczy się w dużych miastach. To wojna podjazdowa, partyzancka, toczy się na prowincji, nazywamy ją w Kolumbii *La Violencia*, bogata oligarchia Bogoty, Cartageny czy Cali nawet na niej zarabia, ale kraj się wyludnia i wyniszcza. Światli Kolumbijczycy to widzą i rozumieją. Wojna toczy się między konserwatystami i liberałami, a musisz wiedzieć, że w Kolumbii przynależność partyjna jest dziedziczna, niejako rodowa, praktycznie rzecz biorąc, jest to więc walka między zwaśnionymi rodami. Moja rodzina to jedna z najpotężniejszych rodzin konserwatywnych, rodzina Dolores to jedna z największych rodzin liberalnych. Nazwy tu nie mają żadnego znaczenia, nie odzwierciedlają jakiegoś programu politycznego, jeszcze raz podkreślam, to jedna wielka i krwawa waśń rodowa. A zatem położyć kres wojnie można jedynie, godząc zwaśnione strony i stwarzając trwały system podziału „łupów”, to znaczy posad rządowych, stanowisk gubernatorów prowincji i ambasadorów, licencji itd. Jeśli więc w jednym ministerstwie ministrem jest liberał, to wiceministrami muszą być konserwatyści, a w innym ministrem będzie konserwatysta, a wiceministrami liberałowie itd. Doszliśmy też do porozumienia, że prezydentami Kolumbii będą na

zmianę, cztery lata konserwatysta i cztery lata liberał. Teraz toczą się już, miejmy nadzieję, końcowe negocjacje. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, syn przywódcy konserwatystów i córka przywódcy liberałów wezmą ślub. Ojcowie będą, na zmianę, pierwszymi dwoma prezydentami po podpisaniu pokoju. Izuniu, nie patrz tak na mnie, nie mówiłem ci o tych sprawach, bo nie chciałem ci głowy zawracać, jak już mówiłem, w Ameryce mało to kogo interesuje. Ale dla mnie i dla Dolores to nasza ojczyzna, to przyszłość Kolumbii. Tak się składa, że Carmenza Ybarri, córka przywódcy liberałów, której małżeństwo ma przypieczętować porozumienie pokojowe, jest siostrą cioteczną Dolores...

- Miguel, co ty opowiadasz, na siłę ożenią dwoje nieznających się ludzi, dla dobra kraju i dynastii? Jak w średniowieczu, czy w jakimś Basutolandzie? - Izabella patrzyła na męża z niedowierzaniem.

- No, nie całkiem tak. To wszystko był właśnie pomysł Dolores, kiedy dowiedziała się od kuzynki, że bardzo podoba jej się syn przywódcy konserwatystów. Trzeba było teraz delikatnie pokierować młodym człowiekiem, żeby zainteresował się Carmenzą. W tej sprawie jeździła do Kolumbii Dolores, a ja - dzięki swoim konserwatywnym koneksjom - trochę jej pomagałem.

Izabella patrzyła na męża coraz bardziej zdumiona, zupełnie nie wiedząc, czy wierzyć w to, co słyszy. Miguel musiał wyczuć jej rozterkę.

- Izuniu, wiem, że słuchasz tego jak jakichś banialuków - uśmiechnął się do żony - ale to święta prawda. Jeśli nie chcesz rozmawiać z Dolores, to zapytaj się jakiegokolwiek Kolumbijczyka, choćby swego przyszłego zięcia. Zapytaj, „z jakiej puli” został ambasadorem? Przyniosę ci, jak będziesz chciała, kolumbijskie gazety. Oczywiście to nie tylko Dolores i ja. Jesteśmy jedynie trybami dużego ruchu na rzecz pokoju w Kolumbii, tyle tylko, że ze względu na znaczenie naszych rodzin i pokrewieństwo z młodą parą mieliśmy bardziej delikatną misję do spełnienia. Głównie Dolores, bo ja - jak wiesz - ostatnie dwa miesiące siedziałem na plantacjach.

- Owszem, wiem - Izabella spojrzała na męża i oboje się roześmieli. Napięcie wyraźnie zostało rozładowane.

- To wyjaśniłem ci prawdziwe cele naszych „politycznych” knowań w Miami. I rzeczywiście spotkaliśmy się też kilka razy z Dolores w Bogocie. Ale zapewniam cię, że nie w intymnym „sam na sam”, a w większym gronie takich samych jak my „konspiratorów”. Byliśmy przekonani, że działamy w pełnej tajemnicy, ale jak się okazuje, przed moją żoną nic się nie ukryje! No to tyle chciałem ci powiedzieć, a jeśli chodzi o Dolores, to owszem bardzo ją lubię i

uważam za bliskiego przyjaciela, ale jeśli nasza znajomość ma ci sprawiać choćby najmniejszą przykrość, to ją zakończę. Dolores na pewno to zrozumie. Ale to zresztą nieważne. Ważne, Iza, jest to, że cię kocham, tylko ciebie, chcę żebyś była szczęśliwa i zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby tak było. Aha, a co do tych telefonów, to rzeczywiście dzwoniłem po nocy, bo tylko wtedy mogłem uzyskać połączenie bezpośrednie, nie przez Bogotę, a zatem prawie na pewno bez podsłuchu. Ale skąd ty o nich wiesz? Dolores ci o tym opowiadała?

- Nie, nie martw się, ona nic nie mówi, zachowuje pełną dyskrecję. Ale za to Alvaro narzeka, że te wasze konspiracje spać mu nie dają.

Oboje się roześmieli.

Izabella przysunęła się do męża i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Miguel, kocham cię i bardzo się cieszę, żeśmy o tym porozmawiali, bo leżało mi to ciężarem na sercu. Wierzę ci, wierzę, że mnie kochasz... - pocałowała go w usta, przywierając do niego całym ciałem. Miguel przycisnął ją do siebie.

W tym momencie samochód zwolnił i po chwili się zatrzymał. Byli w domu.

Izabella odsunęła się trochę od Miguela i poprawiła sukienkę. Nie chciała, żeby szofer był świadkiem ich intymnych zbliżeń. W progu powitali Miguela Robbie i José. Obaj nie kryli radości. Izabella szczególnie nie mogła się napatrzeć na Robbiego. Elegancko ubrany w starannie wyprasowane białe spodnie, niebiesko-białą kraciastą koszulę i letnią, granatową marynarkę, wyglądał tak, jak zapewne wyglądał Murray w jego wieku. Po serdecznych powitaniach chłopcy wyszli, bo Robbie obiecał pojechać z José, żeby mu dodawać otuchy w jego pierwszym meczu baseballowym w reprezentacji szkoły. Miguel poszedł na górę wziąć prysznic i zmienić ubranie. Izabella upewniła się, że kucharka szykuje na kolację ulubione przez Miguela pieczone bażanty z pomarańczami i *alpichadas* - rodzaj kolumbijskich klusek. Wydała instrukcje służącej, jak dziś nakryć do stołu. Chciała, żeby przygotowano specjalnie na tę okazję kupione kryształowe kieliszki do szampana. Wszystko miało być gotowe za dwie godziny, punktualnie o siódmej. Izabella przykazała służącej, żeby już dzisiaj nie sprzątała na piętrze „bo pan chce odpocząć”, potem sama poszła na górę. Weszła do sypialni i, choć nikogo się nie spodziewała, to jednak na wszelki wypadek przekręciła za sobą klucz. Miała własny plan przywitania męża w domu! Rozebrała się i narzuciła leciutki, jedwabny szlafrok w chińskie wzory. Rozpuściła swoje rudoblond włosy i usiadła na łóżku, opierając się o poduszki. Po chwili z łazienki wyszedł Miguel w białym, welurowym szlafroku ze złotym monogramem na piersi. Jego

prosta sylwetka, z bujną siwą czupryną i włosami na piersiach wydała się Izabelli bardzo seksy. Założyła nogę na nogę, rozchylając lekko szlafrok i uśmiechnęła się do męża.

- Wiem, że wolałbyś w samochodzie, ale ja jestem staroświecka i wolę przywitać cię w łóżku - powiedziała Izabella, lekko się rumieniąc.

- Kochanie, mogę wszędzie - w samochodzie, w łóżku, na podłodze i w wannie - byle z tobą!

Oboje się roześmieli. Miguel usiadł przy żonie. Objął ją wpół i zaczął namiętnie całować w usta i szyję. Po chwili rozchylił jedwabny szlafrok i wtulił głowę w jej falujące piersi. Izabella przymknęła oczy i osunęła się na poduszki. Zsunęła szlafrok z pleców Miguela i przycisnęła go do siebie. Czowała na sobie jego mocne, męskie ciało, jego owłosione piersi. Przywarła jeszcze mocniej. Miguel przewrócił się na bok, pociągnął za sobą żonę. Znowu całował ją w usta, podczas gdy jego ręka poszła niżej. Pieścił jej dojrzałe, zaokrąglone biodra i miękkie, białe uda. Izabella czuła się jak delikatny instrument muzyczny w rękach wirtuoza. Teraz już pieścił ją wszędzie. Izabella na zmianę drżała i wyprężała się pod delikatną dłońią mistrza. Po chwili Miguel przewrócił ją z powrotem na plecy. Izabella rozluźniła się i znowu przymknęła oczy. Była na niego gotowa. Długo nie czekała. Poczowała, że wchodzi w nią. Była teraz złączona z Migulem w jedno, pulsujące ciało. Izabella objęła tors męża i przyciskała go z całej siły. Na szyi czuła jego namiętne pocałunki. Czowała Miguela głęboko w sobie i chciała, żeby na zawsze tam pozostał. Bezwiednie ścisnęła udami jego biodra i przycisnęła głowę do piersi. *Grand finale* nabierało coraz szybszego tempa. Izabella odchyliła do tyłu głowę i z trudem chwytiała powietrze. Jeszcze kilka ostatnich pchnięć i z ust Izabelli wyrwał się dziki, nieledwie zwierzęcy skowyt rozkoszy. Miguel padł obok niej. Oboje osiągnęli spełnienie, tym słodsze, że po dwumiesięcznym poście!

Po dłuższej chwili Izabella obróciła się na bok i spojrzała w oczy męża. Rozumieli się bez słów. Wiedzieli, że teraz już będą na zawsze razem - do śmierci, nikt i nic ich nie rozdzieli.

W ostatnim tygodniu sierpnia przygotowania do podwójnego wesela toczyły się intensywnie. Izabella była w swoim żywiole. Do zorganizowania uroczystości wynajęła najlepszą firmę w Miami, ale nad wszystkim sama czuwała. Jenny i Nicole wymyśliły, że skoro wycho- dzą za mąż za mężczyzn z dwóch tak różnych krajów, jak Anglia i Kolumbia, głównym moty- wem wesela będzie „zderzenie kultur”. A więc cały dom, podjazd i ogród miały być udekoro- wane na wpół po angielsku, na wpół po kolumbijsku, ale w sposób dowcipny, podkreślający ciekawe aspekty obu kultur. Kelnerzy i kelnerki też mieli być częściowo ubrani jak służba z angielskich seriali telewizyjnych, a częściowo jak kolumbijscy wieśniacy. Również w menu pojawiły się najlepsze dania angielskie i kolumbijskie. Lampiony i dekoracje w ogrodzie miały być w kolorach Kolumbii i Anglii. Jedynie jeśli chodzi o trunki, to postanowiono rozszerzyć ofertę o Francję, ponieważ ani w Kolumbii, ani w Anglii nie wyrabia się wina czy szampana. Ale oczywiście trunki brytyjskie, takie jak whisky czy gin, a także kolumbijskie jak aguardiente (czyli po hiszpańsku: „ognista woda”) czy rum, też były przewidziane.

Ogólnie rzecz biorąc, Izabella spodziewała się około dwustu pięćdziesięciu gości, z tego większość spoza Florydy, z Nowego Jorku, z Anglii i z Kolumbii. Wynajęła więc na trzy dni cały hotel Marriott przy pobliskiej plaży i zorganizowała mikrobus mający kursować co dzie- sięć minut między Casa Nella Curva a hotelem. Stworzyła też tymczasowy sekretariat, z trzema osobami, które przyjmowały od gości zgłoszenia na pokoje hotelowe, a także godziny i miejsca przylotu i odlotu, żeby można było zorganizować transport.

Izabella raz jeszcze, jak kiedyś, gdy zarządzała American Diamonds, była odpowiedzial- na za duże i skomplikowane przedsięwzięcie. Bardzo jej to odpowiadało. Dwoiła się i troiła, osobiście doglądała przygotowywanych dekoracji, opracowywała z kucharzami menu, spraw- dzała przygotowanie Marriotta do przyjęcia gości i specjalnie zainstalowane znaki dojazdowe. Na trzy dni przed ślubem przyjechały do Boca Raton Jenny i Nicole. Suknie ślubne przywiozły ze sobą, czym trochę zawiodły Izabellę, bo miała nadzieję, że pójdą razem na zakupy do, naj- większego chyba w Stanach, salonu sukien i ubrań ślubnych w pobliskim Bal Harbour. Trochę się też obawiała, co Jenny wymyśli, ale pocieszyła ją wiadomość, że zakupy siostry robiły ra- zem w Nowym Jorku, a do smaku Nicole miała pełne zaufanie. Panowie młodzi mieli przyje- chać, wraz z rodzicami, na dzień przed ślubem.

Na szczęście zapowiadała się piękna pogoda, ale i tak lampiony i instalacja elektryczna miały być podłączone w ostatniej chwili. Na wypadek deszczu przygotowano olbrzymie namioty, które trzeba będzie rozpiąć nad tarasem i murawą ogrodu przed zainstalowaniem oświetlenia. Poza tym dekoracje były już prawie gotowe. Połowę tarasu zajmowała typowa kolumbijska hacjenda ozdobiona kolorowymi postaciami z papier mâché. Z sufitu zwisały papugi we wszystkich kolorach tęczy, w kątach na hakach wisiały wielkie suszone na słońcu szynki *jamon serrano*, roztaczające wokół wspaniałą woń, a całość uzupełniały cudowne, ale bezwonne, tropikalne orchidee.

Drugą część tarasu stanowił typowy angielski pub, ze starą kotwicą i okrętową lampą z brązu, w głębi był bar, a za nim barmani w kraciastych koszulach i spodniach na szelkach, jakich widuje się chyba tylko w Anglii. Stało tu też kilka skórzanych foteli, a po bokach wielkie malowidła ściennie przedstawiające z jednej strony polowanie na lisy, a z drugiej regaty wioślarskie na Tamizie. Ogród ozdabiała dekoracje w kolorach kolumbijskich i brytyjskich. Za basenem zmontowano z gipsowych figur i papier mâché scenkę przedstawiającą atak angielskich korsarzy na Cartagenę, odparty przez mieszkańców miasta. Miasta broniły wojska pod wodzą sławnego Blasa de Lezo, który chociaż we wcześniejszych walkach z Anglikami stracił nogę, rękę i lewe oko, poprowadził zwycięski kontratak i stalowym hakiem, który mu służył za rękę, rozdarł szyję angielskiego kapitana. *Na szczęście nie dali tej sceny* - pomyślała z ulgą Nicole, przypominając sobie opowieść Rodriga, który jej pokazał w Cartagenie pomnik Blasa de Lezo. *Biedny Rodrigo, szkoda, że go tu nie ma, bardzo by mu się tu podobało, i tak lubił tańczyć!* Nicole przyglądała się kolorowej papudze, która nagle - ku jej zdumieniu - zaskrzeczała. Okazało się, że tylko niektóre były papierową dekoracją.

Gdziekolwiek w krzakach i gałęziach drzew dostrzec można było postacie angielskiego Johna Bulla, z brzuszkiem, szelkami i nieodzownym cylindrem albo kolumbijskich zbieraczy kawy z sumiastymi wąsami i dużymi sombreroami. Wspaniałe kwiaty w ogrodzie, duma Izabelli, poniekąd wzmacniały tropikalne akcenty kolumbijskie.

- Mam nadzieję, że znowu pojawi się ten „lew” - zażartowała Jenny - żeby i Anglicy mieli coś dla siebie.

- Nie daj Boże! Dopiero by się zrobił popłoch, gdzie byśmy ich wszystkich pomieścili - Izabella uśmiechnęła się do córek.

Po uroczystym ślubie w kościele pod wezwaniem św. Augustyna, którego udzielił młodym parom ojciec Justyn, goście i rodziny udały się do hotelu Marriott, gdzie w przylegającym do plaży ogrodzie przygotowane były koktajle i lekki lunch. Wzniesiono i wypito pierwsze toasty, następnie goście rozeszli się. Starsi państwo, jeszcze zmęczeni wczorajszą podróżą - na południową drzemkę, a młodzi ludzie na plażę, na łódki i na narty wodne. Wszyscy byli zaproszeni na godzinę szóstą do Casa Nella Curva.

Pierwszy zjawił się, dość niespodziewanie, bo już o 5:30, ojciec pana młodego, stary lord Warrington. Izabella nie była jeszcze gotowa, więc gościa przywitał ciepło Miguel i wprowadził do salonu. Lord Warrington, w nienagannie skrojonym smokingu, ze wspaniałą grzywą białych włosów, czerstwą cerą i lekko czerwonym nosem rasowego dżentelmena, szybko się zorientował, że coś jest nie w porządku, gdyż jest jedynym gościem. Po grzecznej wymianie zdań z Miguelem okazało się, że starszy pan źle przestawił wczoraj zegarek i jego zdaniem była już 6:30. Miguel zapewnił, że to absolutnie nic nie szkodzi, a nawet dobrze, bo dzięki temu będą sobie mogli chwilę spokojnie porozmawiać, i wyprowadził gościa na taras, gdzie usiedli na wiklinowych fotelach po stronie kolumbijskiej. Lord Warrington usiadł pod wspaniałą, kolorową, skrzeczącą papugą i w chwilę potem już niepokoił się, czy mu coś nie spadnie na głowę. Siedział sztywno i odpowiadał zdawkowo. Miguel brał to za normalną „angielską” sztywność i niezrażony grzecznie opowiadał o idei zderzenia dwóch kultur, która stanowiła przewodni motyw przy tworzeniu dekoracji.

- Świetny pomysł. Bardzo ładnie... - kiwał głową lord Warrington, kombinując, jak by tu się wymanewrować spod papugi. Nagle zauważył bar po drugiej, „angielskiej” stronie tarasu i z entuzjazmem poderwał się „obejrzeć dekoracje”.

Podeszli z Miguelem do baru i zamówili drinki. Miguel - białe wino, a lord Warrington - whiskey, ale bez wody i bez lodu. Gość wyraźnie się ożywił, widząc, że niezależnie od tego, jak dalej potoczą się sprawy, bar w każdym razie jest dobrze zaopatrzony.

Miguel wznosił toast „za nową znajomość” i obaj podnieśli kieliszki. Lord Warrington wypił spory łyk i się zakrztusił.

- Co, czy niedobre? - zaniepokoił się Miguel.

- A co... to jest? - zapytał po odkasznieniu lord Warrington, patrząc podejrzliwie na zawartość kieliszka.

- Whiskey! - stwierdzili z przekonaniem Miguel i barman.

W tym czasie do baru podeszła Jenny, szybko się zorientowała w czym rzecz i radośnie się roześmiała. Starszy Anglik, Miguel i barman spojrzeli na nią nieco zdziwieni.

- Mamy tu przykład „zderzenia kultur”, wprawdzie nie angielskiej i kolumbijskiej, lecz brytyjskiej i amerykańskiej. - Obaj panowie patrzyli na nią podejrzliwie, myśląc najwyraźniej, „co ta dziewczucha wygaduje”, ale Jenny mówiła dalej. - W Stanach „whiskey” to amerykańska whiskey, innymi słowy „bourbon”, to co dla taty jest „whiskey” - zwróciła się do lorda Warringtona - to dla Amerykanów jest „scotch”, czyli „scotch whiskey”. Czyli, krótko mówiąc, chcąc szkocką whiskey, powinien był tata zamówić „scotcha”. Ja sama whiskey nie piję, ale z tego, co słyszałam, to whiskey amerykańska bardziej przypomina bimber, jest ostrzejsza.

- Rzeczywiście, dziecko, masz rację, tak to smakuje! - lord Warrington odstawił niedopitą szklankę i zamówił scotcha. Dostał swojego ukochanego Cardhu, którego tu się nie spodziewał, i znacznie pokrzepiony na duchu podjął z Miguelem rozmowę o problemach, na jakie się człowiek natyka, podróżując za granicę.

Po chwili zeszła na dół Izabella. Ubrana była w czerwoną suknię ze złotymi lamówkami. Piękne złocistorude włosy miała wysoko upięte. Szyję i dekolt ozdabiała wspaniała kolia z osadzonymi w złocie brylantami, dar pożegnalny od American Diamonds. W uszach miała rubinowe kolczyki. Delikatny makijaż podkreślał jej olbrzymie chabrowoniebieskie oczy. Wyglądała rzeczywiście oszałamiająco. Lord Warrington patrzył na nią pełen podziwu, myśląc w duchu, że matka chyba nawet ładniejsza od córki. Choć Jenny też nic nie brakowało. Obie panny młode zamieniły już białe suknie ślubne z welonami na wygodniejsze do tańca sukienki wizytowe. Wspaniałe kasztanoworude włosy Jenny doskonale kontrastowały z obcisłą zieloną suknią, koloru jej oczu, podkreślającą nienaganną figurę. Na szyi miała kolię ze szmaragdów, którą kiedyś dostała od Miguela.

Obie miały na nogach niemal identyczne szpilki z delikatnej skóry koloru kości słonowej. Izabella i Jenny szybko zauważyły to niedopatrzenie i uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

- Jesteśmy gapy, żeśmy się wcześniej nie umówiły, mam nadzieję, że Nicole nie zejdzie na dół w takich samych szpilkach! - powiedziała Izabella.

- Na pewno nie, ona kupiła sobie na tę okazję buciki koloru dojrzałej wiśni. A my po prostu musimy mieć nadzieję, że nikt nam nie będzie patrzył po nogach.

- Nie łudź się, kochanie, twoje nogi przyciągną wzrok każdego pana na tej sali - powiedziała Izabella, patrząc z aprobatą na piękne, smukłe nogi Jenny.

Po szóstej taras i ogród zaczęły się zapelniać gośćmi. Na niewielkiej estradzie koło basenu grała orkiestra jazzowa. Kelnerzy ubrani z angielska roznosili drinki, natomiast kelnerki, w strojach kolumbijskich, zwijały się z tacami z najróżniejszymi hiszpańskimi *tapas*, czyli małutkami, ale bardzo smakowitymi zakąskami. W ogrodzie, po lewej stronie, tuż przy gaju pomarańczowym stały trzy rożny, na których opiekały się, kolumbijskim zwyczajem, już od kilku godzin, całe prosiaki. Obracali je i doglądali ognia kucharze w czarnych spodniach i białych koszulach, z kolorowymi sombreroami na głowach. Prosiaki nabierały już złocistobrazowego koloru. Tymczasem na długich stołach, nakrytych białymi obrusami, pojawiły się najróżniejsze frykasy: czarny kawior w kryształowych miskach stojących w srebrnych kubelkach z lodem, wędzony szkocki łosoś, homary, krewetki i najróżniejsze zimne mięsa. Stoły przyozdobione były pięknie skomponowanymi warzywami i owocami. Na wprost tarasu, trochę dalej, bliżej muru, zrobiony był owalny parkiet, na którym potem rozpoczęły się tańce, na zmianę gorące rytmy karaibskie i Beatelsi. Przygrywały dwie orkiestry, latynoska Los Garbanzos z Miami i specjalnie sprowadzona z Anglii grupa rockandrollowa Garter Wizards, z solistą Rickym Garterem, wschodzącą gwiazdą brytyjskiej muzyki pop.

Po całym ogrodzie rozstawione były, tu i ówdzie, wśród kwiatów i krzewów, w artystycznym nieładzie, krzeselka i stoliki, przy których goście mogli sobie przysiąść w dowolnym składzie. Rozwieszane wśród gałęzi kolorowe lampiony nadawały całej scenerii tajemniczą, nierealną atmosferę.

Po pierwszych, nieco formalnych toastach za zdrowie młodych par wzniesionych przez Miguela i lorda Warringtona, zabawa potoczyła się już spontanicznie. Początkowo było trochę sztywno, bo Anglicy trzymali się z Anglikami, a Kolumbijczycy z Kolumbijczykami, ale po paru szampanach atmosfera się rozluźniła. Szczególnie młodzi ludzie zaintrygowani byli swoimi rówieśnikami z drugiego kraju. Jasnowłose Angielki były porywane do tańca przez Kolumbijczyków, a po paru drinkach młodzi Anglicy też nabrali śmiałości i rzucali się w tany ze śniadymi, kruczowłosymi Latynoskami.

Izabellę szczególnie fascynował, jak to określała, „kontyngent z Cali”, po prostu trudno było nie zauważyć, że te *calenas*, czyli kobiety z Cali, były śliczne, dosłownie co do jednej! Izabella słyszała oczywiście nieraz od Miguela, czy od innych Kolumbijczyków, powszechną w tym kraju opinię, że kobiety z Cali są piękne, ale traktowała to jako przyjemny, typowo latynowski komplement. Tymczasem te krewne i znajome Alonsa Avili, w różnym wieku, od starszej już matki, przez siostry, ciotki i żony przyjaciół, do całkiem małych siostrzenic i bratanic były

po prostu śliczne. To prawda, że wszystkie w tym samym stylu, kruczowłose, z piękną oliwkową cerą i wielkimi czarnymi jak węgiel oczami, ale wrażenie robiły niezapomniane, szczególnie w takim nateżeniu! Była w nich też jakaś trudna do określenia, ale niesłychanie atrakcyjna, zmysłowość. Nawet małe dziewczynki poruszały się z wdziękiem sarenki. A kiedy zaczęły się tańce, „kontyngent z Cali”, zarówno kobiety jak i mężczyźni, okazał się nie do przecięnięcia.

Matka pana młodego Socorro Avila była nieco starsza od Izabelli i miała siwe włosy, ale poruszała się z taką gracją, była tak elegancka i miała tak nienaganną sylwetkę, że Izabella czuła się przy niej gruba i nieporadna. Jednak prawdziwą królową wieczoru była Paloma, która po ślubie złapała przed kościołem wiązaną ślubną Nicole; potem złożyła ją w prezencie „swojemu ukochanemu mężczyźnie” - Miguelowi. Ojciec był widocznie wzruszony, ale boleśnie kłuło go w serce uderzające podobieństwo Palomy do matki, a także jej wyraźny entuzjazm do swojej nowo odkrytej rodziny. Po raz pierwszy spotkała swoją babcię, wujków i ciotki. Tchnęło to w nią jakąś nową energią życiową. Nagle z ślicznej, ukochanej córeczki przekształciła się w powabną, zmysłową *calena*. Z nieodstępłą, soczystoczerwoną różą we wdzięcznie upiętych włosach, delikatną oliwkową cerą i wielkimi czarnymi oczami, w obcisłej, ciemnoniebieskiej sukni, nabitej kolorowymi cekinami i swoimi ukochanymi brylantami na szyi i w uszach była zjawiskowo piękna, przy tym pełna kuszącego, kobiecego wdzięku. Wszyscy bracia i koledzy młodego lorda Warringtona najwyraźniej na jej widok tracili głowę. I trudno było im się dziwić. Paloma była w swoim żywiole, z każdym miło porozmawiała, do każdego ciepło się uśmiechnęła i flirtowała niemiłosiernie - przynajmniej tak się zdawało Miguelowi. W ogóle nie był on zachwycony najazdem rodziny swojej byłej żony. Oczywiście przywitał się serdecznie z byłą teściową Socorro Avila, byłymi szwagrami i całą resztą rodziny. Wiedział, że nie może ich obarczać winą za postępowanie Carmen, którą zresztą rodzina wyklęła. Ale wszystkie te piękne *calenas* za bardzo przypominały mu Carmen i wszystkie nieszczęścia, jakie sprowadziła na jego rodzinę. Bał się też o Palomę, tak bardzo chciał, żeby nie poszła w jej ślady, że czuł tępy ucisk w sercu za każdym razem, kiedy o tym pomyślał. Chybaby tego nie przeżył.

Z kolei Izabella trochę się obawiała spotkania z młodą lady Chaltenham, de domo Izabellą Buczacką, którą poznała w Paryżu w tak tragicznych okolicznościach. Doskonale pamiętała bardzo nieprzyjemną rozmowę telefoniczną z jej matką, która oskarżyła ją o współpracę z komunistami i Borinellim. Izabellę bardzo to wtedy zabolowało, nieraz myślała o swojej bratanicy, tak do niej podobnej i tak bliskiej, a zarazem tak dalekiej. Czasami myślała o tym, żeby jakoś

nawiązać kontakt, ale zarazem bała się odrzucenia. Młody lord Chaltenham był najbliższym przyjacielem pana młodego, a zatem był oczywiście, wraz z żoną, zaproszony na wesele w Boca Raton. Izabella widziała ich nazwisko na liście gości i wiedziała, że teraz na pewno dojdzie do spotkania z bratanicą. Na szczęście wszystkie obawy Izabelli okazały się płonne. Lady Chaltenham, wprawdzie nieco przytyła i wydawała się jakby mniej podobna do ciotki niż wtedy w Paryżu, ale przywitała się z Izabellą czule i z wyraźną radością. Nie przejęła od matki żadnych urazów względem kuzynki. Wręcz przeciwnie, podobnie jak Izabella, od lat chciała jakoś nawiązać kontakt, ale też trochę się bała. Teraz obie otworzyły przed sobą serca, odkrywając, że są nie tylko fizycznie do siebie podobne. Już po półgodzinnej rozmowie obie Isabelle Buczackie wiedziały, że mimo iż dzieli je pokolenie, doskonale się rozumieją i pozostaną w przyjaźni do końca życia. Izabella nie mogła całego wieczoru spędzić z bratanicą, umówiły się więc na drugi dzień na kawę, obie zachwycone, że znalazły nową, a zarazem tak bliską, rodzinę.

Zabawa trwała do wczesnego rana, choć oczywiście starsi państwo zaczęli odjeżdżać mikrobusem do Marriotta już od dwunastej w nocy. Wszyscy byli zaproszeni następnego dnia na pożegnalny bufet w Marriottcie, od godziny jedenastej do drugiej.

Miguel i Izabella poszli do łóżka o godzinie drugiej, po pożegnaniu ostatnich gości ze swojej generacji. Młodzież bawiła się dalej, a czuwanie nad sprawną obsługą gości Izabella przekazała w ręce Jenny i Nicole.

Miguel przytulił się do Izabelli.

- Kochanie, jestem zmęczona... - Izabella próbowała się bronić, ale szybko się poddała.

Była gorąca letnia noc, przez otwarte okna dochodziły rytmy skocznych *cumbias*. Leżeli obok siebie nago na prześcieradle, bez żadnego nakrycia.

- I tak, kochana, przy tej muzyce nie zaśniesz - Miguel pieścił delikatnie ciało żony.

Izabella pomyślała nagle, nie bez pewnej goryczy: *Jaka jestem gruba, w porównaniu choćby z tą Socorro, nie mówiąc już oczywiście o tych młodych dziewczynach.*

Miguel, jakby czytał jej myśli, pieścił z miłością jej zaokrąglenia.

- Kochanie, wiem, że mi nie uwierzysz, ale dla mnie jesteś coraz piękniejsza. A poza tym jesteś moja, ukochana, jedyna. Znam i kocham każde zaokrąglenie, każdą fałdkę, każde zagięcie twojego ciała. Z każdym rokiem bardziej mnie podniecasz. - Ręce Miguela były delikatne, ale coraz bardziej natarczywe. Izabella przywarła do męża całym ciałem.

- Też cię kocham, Miguel, z każdym rokiem coraz bardziej. Jestem cała twoja, weź mnie... Chcę cię czuć w sobie, na sobie... Wszędzie...

Po chwili byli złączeni w jedno splecione ciało pulsujące w rytm dochodzących zza okna karaibskich *cumbias*.

Postronny obserwator, gdyby taki był w sypialni, patrząc na to, co się działo na łóżku, byłby przekonany, że jest świadkiem nocy poślubnej państwa młodych. Na pewno nie przyszedłoby mu do głowy dostojni, starsi państwo - Izabella i Miguel Balvarena!

13

Minęły dwa lata. Izabella miała już dwoje wnuczków. Pierwszy, Robert, urodził się w Waszyngtonie ponad rok temu, a druga, malutka Izabella, urodziła się przed dwoma miesiącami w Warszawie. Robbie uczył się już w college'u, w Connecticut, a José chodził do szkoły w Boca Raton. Zbliżały się wakacje i Izabella postanowiła w końcu skorzystać z zaproszenia córki i wybrać się z synami do Warszawy na chrzest wnuczki połączony z jej pięćdziesiątymi piątymi urodzinami. W tym czasie Miguel miał pojechać z Palomą doglądać swoich plantacji kawy w Kolumbii.

Izabella siedziała na tarasie Casa Nella Curva, popijała herbatę i robiła listę prezentów, jakie chciała kupić. Było piękne wiosenne popołudnie. Od morza wiał leciutki wietrzyk. Zaczynały kwitnąć forsycje i azalie. Na dwa metry od fotela, na balustradzie tarasu, Izabella kazała zainstalować, wśród kwiatów, karmniki dla kolibrów. Teraz dziesiątki tych cudownie kolorowych ptaszków, wielkości chrabąszcza, uwijało się wokół cieniutkich rurek odprowadzających z karmnika rozpuszczony w wodzie cukier. Te śmieszne małe ptaszki wydają się niczego nie bać. Izabella podeszła do balustrady, podstawiła rękę pod jedną z rynienek z nektarem i po chwili miała na dłoni, dziobiące ją z furją, maleńkie koliberki. Lśniły się cudownie wszystkimi kolorami tęczy, choć najwięcej było zieleni i czerwieni. Izabella patrzyła ze wzruszeniem na te cudeńka natury.

Na taras weszła Paloma. Właśnie wróciła z tenisa. Miała jeszcze na sobie białą spódniczkę i bluzkę. Włosy odgarnęła do tyłu i związała białą opaską. Tryskała świeżością i zdrowiem. Torbę z rakieta tenisową i piłkami położyła przy drzwiach i podeszła do Izabelli.

- Mamo, zakochałam się!

- Co? A można wiedzieć w kim? - Izabella otarła rękę w chusteczką i uśmiechnęła się do Palomy.

- W Royu Kendricku.

- Kochanie, a kto to jest Roy Kendrick?

- Piosenkarz rockowy, z grupy The Spiders.

Izabelli nic to nazwisko i ta nazwa nie mówiły, ale od razu zrozumiała niepokój w oczach Palomy.

- Czy to poważne?

- Tak, mam, już od kilku miesięcy się spotykamy.

- I nie wiesz, co masz powiedzieć ojcu?

- Właśnie. Bardzo się boję, że mnie nie zrozumie.

- Paloma, kochanie, zrozumieć to zrozumie, tylko na pewno będzie miał zastrzeżenia. Wiesz, że życzy ci jak najlepiej, nieba by ci przychylił, ale piosenkarz rockowy to nie bardzo...

- Mam, ja to wszystko wiem, ale jego kocham, tylko jego. Życia sobie bez niego nie wyobrażam.

- Mój Boże! To naprawdę poważne - Izabella patrzyła zatroskana na córkę. - Chcecie się pobrać?

- Tak, właśnie tak! - Paloma poczuła pewną ulgę, wyrzucając to z siebie.

Izabella usiadła na fotelu i wskazała Palomie krzesło obok.

- Trochę mnie zaskoczyłaś. Naprawdę nie bardzo wiem, co ci powiedzieć. Najpierw powiem ci to samo, co na pewno usłyszysz od Miguela - czy naprawdę go kochasz? Czy jesteś pewna? Kilka miesięcy to jeszcze nie tak dużo.

- Mam, na pewno go kocham, i dlatego zdecydowałam się ci to powiedzieć. To się nie zmieni. Liczę na to, że jakoś pomożesz mi z tatą...

- Paloma, kochanie, oczywiście, że ci pomogę, ale chciałabym, żebyś wiedziała, że ja tego też nie pochwalam. Po prostu wiem na pewno, a więcej mam doświadczenia od ciebie, że na dłuższą metę z piosenkarzem rockowym nie będziesz szczęśliwa. Tego Roya Kendricka nie znam, ale wiem, jaki tryb życia ci artyści prowadzą, ciągle w podróży, wszędzie otoczeni wielbicielkami, alkohol, narkotyki... Nie będziesz miała miłego, stabilnego domu, rodziny...

- Mam, ale ja wcale nie chcę mieć „miłego stabilnego domu i rodziny”. Udusiłabym się. Chcę właśnie jeździć z nim po świecie, od hotelu do hotelu. Z Florydy do Nowego Jorku, potem do Los Angeles i do Londynu!

Izabella patrzyła przerażona na Palomę. W jej pięknych, czarnych oczach malował się bunt i wyzwanie. W głosie brzmiały siła i zdecydowanie. Izabella szybko zrozumiała, że decyzji córki nie zmieni, może jedynie próbować sprawę załagodzić, może coś wytargować...

- Paloma, dobrze, pomogę ci z Miguelem, ale coś mi obiecuj.

- Co?

- Jedź sobie z nim, gdzie chcesz, ale na razie nie wychodź za mąż. Będziemy ci regularnie wysyłać pieniądze. Będziemy w kontakcie. Jeśli za rok nadal będziesz chciała wyjść za niego za mąż, to wycofamy wszystkie obietnice, obiecuję ci, że przekonam Miguela.

Paloma chwilę się zamyśliła, potem rzuciła się Izabelli na szyję.

- Dobrze, obiecuję! Mamo, ja naprawdę nie jestem zła, tylko inna, inne życie mnie ciąga!

- Kochanie, wiem, że nie jesteś zła, ale jesteś jeszcze bardzo młoda i wszystko może ci się w głowie i w sercu zmienić. Po prostu daj życiu i doświadczeniu szansę.

- Dobrze, dam, obiecuję ci, że dam! - Paloma jeszcze raz z wdzięcznością uściskała Izabellę, podniosła torbę i poszła w kierunku drzwi. Po chwili jednak stanęła, odwróciła się i zapytała niepewnie.

- A może chcesz poznać Roya? Czeka na mnie w samochodzie, mogę go zawołać?

Pewnie, że chcę, ale Paloma, chwileczkę... nie zamierzasz chyba od razu wyjeżdżać? - Izabella zaniepokoiła się nie na żarty.

- Tak, mamo, tylko się przebiorę i jedziemy. Mam już spakowaną walizkę. Samolot do Los Angeles mamy za dwie godziny. Tak będzie lepiej. Zadzwoń do taty, boję się, że nie potrafiłabym spojrzeć mu w oczy. Ty mu wszystko wyjaśnisz, a ja naszej umowy na pewno dotrzymam. Raz jeszcze ci obiecuję!

- Paloma! Tak nie można. Miguelowi serce pęknie, jeśli go opuścisz bez słowa pożegnania. Tak się cieszył, że z nim pojedziesz do Kolumbii...

- Mamo, zadzwonię do niego z Los Angeles. Daję ci słowo honoru, że zadzwonię, ale teraz muszę już iść. Zawołać Roya?

- Zawołaj - Izabella opadła zrezygnowana na fotel.

Po chwili Paloma wprowadziła na taras Roya Kendricka. Był od niej prawie o głowę wyższy. Izabella musiała przyznać w duchu, że jest nawet przystojny, ale za to ubrany koszmarnie, w jakieś obdarte spodnie i czarny podkoszulek z rysunkiem trupiej czaszki.

- Cześć, stara - powiedział na przywitanie.

Izabella aż się w duchu skurczyła na takie chamstwo, ale postanowiła robić dobrą minę do złej gry.

- Dzień dobry panu - powiedziała dość oschle.

- Zabieram Palomę do Los Angeles. Dobrze jej będzie ze mną. Może pani być spokojna, jest w dobrych rękach - wesoło zarechotał. - To świetna dziewczyna! - dla zaakcentowania swojej aprobaty Roy Kendrick klepnął Palomę z rozmachem w siedzenie. - Idziemy po walizkę i musimy lecieć. Nie możemy się spóźnić na ten samolot. Rano mam show w Malibu Beach. - Obrócił się na pięcie i pociągnął Palomę za sobą.

Izabella siedziała zdrewniała na fotelu. Co za bydlak, żeby tak traktować tę śliczną, delikatną Palomę! Izabella czuła się, jakby to ją ten cham klepnął w pośladek.

Boże! Izabella ciężko westchnęła, teraz już wiedziała na pewno, że to fatalna pomyłka, ale co mogła zrobić. Nic przecież nie powstrzyma młodej, zakochanej dziewczyny, a do tego jeszcze z temperamentem Palomy! Może Miguel miał rację, tak się bojąc wpływu matki? Może rzeczywiście odezwała się w niej krew andaluzyjskich Cyganów? Izabella czuła, że tu już dotyka jakichś ciemnych sfer latynoskiej duszy, których nie rozumie. Bogu dzięki, że Nicole i Jenny okazały się mądrzejsze. Jak zawsze myśl o córkach dodała jej otuchy. No, zobaczymy jeszcze, co wyrosnie z Robbiego i José. Robbie już jakby zmadrał, a José jest taki słodki. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Może zresztą Paloma też jeszcze zmadrzeje, jest przecież młoda, żeby tylko z tym całym Kendrickiem nie zaszła w ciążę. Izabella trochę się uspokoiła. Zadzwoiła po służącą i poprosiła o nowy czajniczek herbaty.

* * *

Miguel był zupełnie załamany wiadomością o wyjeździe Palomy. Spełniły się jego najczarniejsze przeczucia. Nie chciał z nią rozmawiać. Paloma dotrzymała słowa i zadzwoniła z Los Angeles, ale rozmawiała tylko z Izabellą, która teraz wiedziała, że przynajmniej przez jakiś czas będzie musiała pełnić rolę pośrednika między ojcem i córką.

- Boże, jak ona mogła mi to zrobić, czy naprawdę jest taka sama jak jej matka? Czy nie ma serca? - Miguel miał w ręku już trzecią szklankę whiskey. Od wyjazdu Palomy zaczął więcej pić, co bardzo niepokoiło Izabellę, tym bardziej że miał za wysokie ciśnienie i lekarze stanowczo odradzali mu picie whiskey, pozwalając jedynie na kieliszek czy dwa wina, najlepiej czerwonego.

- Miguel, nie przesadzaj. Robisz z igły widły. Oczywiście rozumiem twój ból i zawód. Przecież ja też życzę Palomie jak najlepiej i też się o nią bardzo niepokoję. Ale jednak bądź sprawiedliwy. Wyjechała z ukochanym, i tyle. Prawda, że się z tobą nie pożegnała, ale zaraz następnego dnia zadzwoniła. Wiemy, gdzie jest i co robi - mamy z nią kontakt. To jednak nie to samo, co zostawić męża z dwojgiem małych dzieci i uciec do Paryża z matadorem!

- Już chyba wolałbym, żeby uciekła z matadorem niż z jakimś rockandrollowym mydłem, co za wstyd! - Miguel dopił duszkiem whiskey i wstał po następne.

- Miguel, nie pij tyle, wiesz, co ci mówił lekarz.

- Wiem, co mi mówił. I bardzo dobrze, może dostanę ataku serca i wszyscy będziecie mieli ze mną spokój!

- Kochanie, co ty opowiadasz. - Izabella podeszła do męża i delikatnie wyjęła mu z ręki szklanę. - Chcę, żebyś długo żył, wiesz, jak cię kocham, co ja bym zrobiła bez ciebie - w jej dużych niebieskich oczach pojawiły się nagle łzy.

Miguel objął ją i mocno przytulił.

- Dobrze, kochana, dla ciebie będę żył! - uśmiechnął się do żony.

Izabella otarła łzy i też się uśmiechnęła.

- Może pojedziesz z nami do Warszawy?

- Bardzo bym chciał, kochanie, ale nie mogę. Zbliżają się zbiory kawy, muszę tego dopilnować na plantacjach. Wyjeżdżam jutro, ale nie martw się o mnie, będę silny, a zresztą może masz rację, może przesadzam z tą Palomą, może jeszcze zmądrzeje i wszystko będzie dobrze.

- Na pewno zmądrzeje, zobaczysz! - Izabella nie była wprawdzie taka pewna, ale na pewno nie chciała tego okazać mężowi. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. - Miguel, jutro wyjeżdżasz, to nasza ostatnia noc - Izabella przytuliła się do męża.

Miguel odsunął lekko jej głowę i ze wzruszeniem popatrzył w piękne, jeszcze wilgotne od łez, niebieskie oczy żony.

- Na pewno, kochanie, nie ostatnia. Wiesz, jak mówimy po hiszpańsku o toastach, nigdy nie pijemy ostatniego - *ultimo*, zawsze tylko przedostatniego - *penultimo*.

- Dobrze, kochanie, niech będzie *penultimo* - Izabella roześmiała się i pociągnęła go za sobą na łóżko.

- Izuniu, kochana, myślisz, że po tylu kieliszkach whiskey jeszcze coś zdziałam?

Oboje się roześmieli.

- Na pewno zdziałasz, ja w ciebie wierzę!

Izabella się nie przeliczyła. Po chwili byli już między prześcieradłami. Czasami sami się sobie dziwili, że po tylu latach małżeństwa tak bardzo jeszcze siebie potrzebują. Ta intymna bliskość, możliwa tylko między kochającymi się mężczyzną i kobietą, była dla nich najlepszym środkiem kojącym na wszystkie kłopoty i zmartwienia. Nie myśleli już o Palomie, o dzieciach, o wyjeździe. Byli już tylko dla siebie, zaabsorbowani tylko sobą.

Izabella czuła na sobie ciepły oddech męża i coraz szybszy rytm serca, już nie wiedziała, czy to jej serce czy jego? Czy bije w jego piersi czy w jej? Zarzuciła mu ręce na plecy i jeszcze mocniej przycisnęła go do siebie. Byli razem, byli coraz bliżej spełnienia i tylko to się liczyło. Razem opadli na poduszki.

Izabella przytuliła się do męża. Miguel objął ją ramieniem, a drugą ręką delikatnie gładził jej puszyste włosy. Byli razem i byli w raju. Wkrótce zasnęli.

* * *

Izabella, Robbie i José wylądowali na lotnisku Okęcie w Warszawie w piękny letni dzień. Po niekończącej się odprawie celno-paszportowej wyszli w końcu na zatłoczoną halę lotniska. Czekala na nich Nicole z malutką Izabellą na rękę. Po serdecznych powitaniach wszyscy wsiedli do czekającego przed lotniskiem mercedesa ambasady kolumbijskiej i odjechali do miasta.

Izabella była bardziej wzruszona powrotem do Polski, niż przypuszczała. Już samo to, że wszyscy wokół na lotnisku mówili i krzyczeli po polsku, było dla niej dużym przeżyciem. Przypomniała sobie ciche wyrzuty ojca Justyna, że jej dzieci nie mówią po polsku, i było jej trochę wstyd. Jedynie Nicole co nieco rozumiała, bo do niej, jak była malutka, jeszcze w Afryce Izabella mówiła po polsku. Potem w Genewie, a tym bardziej w Nowym Jorku, gdzie na świat przyszedł Robbie, nie miała już na to czasu. Zbyt była zajęta karierą i robieniem pieniędzy, by myśleć o takich rzeczach. Jednak José mogła nauczyć po polsku, miała na to czas. Po prostu o tym nie pomyślała. Trudno, postanowiła, że tym się teraz nie będzie przejmować.

Rezydencja ambasadora Kolumbii była na Saskiej Kępie, ale Izabella poprosiła szofera, żeby przejechał przez plac Unii Lubelskiej, obok domu na rogu Chocimskiej i Klonowej. Nicole kazała zatrzymać samochód i wszyscy wysiedli. Robbie sięgnął do torby po aparat fotograficzny, żeby zrobić mamie historyczne zdjęcie.

Izabella była wyraźnie wzruszona. Blisko czterdzieści lat temu uciekała z palących się jeszcze zgliszcz. Teraz dom był odbudowany, a po ruinach nie widać było śladu. Tyle tylko, że teraz mieścił się tu bank. Nie było już ciemnej bramy, w której królował dozorca, stary pan Sebastian. Na jej miejscu lśniły czystością obrotowe drzwi.

Robbie pstryknął mamie zdjęcie i poszli z José po lody. Po chwili José wychylił się zza drzwi lodziarni, wołając do Nicole, że nie przyjmują dolarów, czy ma jakieś tutejsze pieniądze. Nicole oddała córeczkę w ręce Izabelli i poszła pomóc braciom w nabyciu lodów. Malutka Izunia sprawiała wrażenie bardzo poważnej. Przyglądała się uważnie starszej pani, w której ręce powierzyła ją matka. Izabella spojrzała na duże, zaciekawione, chabrowe oczy wnuczki i ciepło

się do niej uśmiechnęła. Mała jakby po chwili zastanowienia też się uśmiechnęła. Babcia została zaakceptowana, a wnuczka pozostała już w jej ramionach, bo po chwili cała trójka wróciła z lodziarni, ale Nicole też skusiła się na loda i nie mogła na razie wziąć dziecka na ręce. To się jednak zdecydowanie nie spodobało małej Izuni, która zaczęła głośno protestować. Ostatecznie stanęło na tym, że Nicole oddała loda Izabelli, a sama wzięła na ręce wrzeszczącą córeczkę.

- Z kim ona śpi? - zainteresował się niewinnie José.

- Jak chcesz, to może spać z tobą - roześmiała się Nicole. - Widzę, że od razu polubiłeś swoją małą siostrzenicę.

- Eh, to już może lepiej niech śpi z Robbiem. - José skupił się na lizaniu kapiącego mu na nogi loda.

- Nie bądź taki mądrała - Robbie oderwał się na chwilę od swojego loda. - Małe dzieci powinny spać razem.

To był celny cios w młodszego brata. José nadał się, że niby nie odpowiada na takie głupie gadanie, ale w głębi ducha czuł się bardzo dotknięty, i trudno było tego nie zauważyć. Izabelli zrobiło się go żal.

- Robbie, nie dokuczaj bratu. Jesteś już dorosły, masz dwadzieścia jeden lat, a zachowujesz się, jak dziecko!

Wszyscy wsiedli do samochodu i ruszyli dalej. Teraz już jechali znajomą Izabelli trasą, tu właściwie niewiele się zmieniło od jej czasów. Jechali Alejami Ujazdowskimi, minęli Łazienki, potem plac na Rozdrożu, kościół św. Aleksandra, wjechali w Aleje Jerozolimskie i dalej, przez most Poniatowskiego, na Saską Kępe.

Nicole rozmawiała z braćmi o szkole, o Florydzie i pytała Robbiego, czy ma dziewczynę, podczas gdy Izabella wyglądała w milczeniu przez okno. Przypominała sobie spacer z rodzicami do Łazienek, kiedy była w wieku José, a także wyprawy taksówką do cioci Jadzi na Saską Kępę. Jechali wtedy tą samą trasą, przez most Poniatowskiego, rondo Waszyngtona, ulicę Francuską... Biedna ciocia Jadzia, zginęła od bomb niemieckich już we wrześniu 1939 roku. *Boże, jakie to dziwne - myślała Izabella - przecież to mój kraj, a nie mam tu żadnego krewnego czy nawet znajomego, chyba że na cmentarzach...*

- Mamo, popatrz, po lewej stronie mijamy ambasadę Kolumbii, za chwilę będziemy w domu. - Mała Izunia spała bezpiecznie w ramionach matki, a Nicole z wyraźną satysfakcją pełniła w Warszawie rolę gospodyni.

- Bardzo ładny budynek - Izabella otrząsnęła się ze swoich myśli i wróciła do dzieci.

- A po co Kolumbii ambasada w Polsce? - Robbie był najwyraźniej w kontestacyjnym nastroju.

- Widać potrzebna, skoro mają - Nicole ucięła krótko, nie zamierzając wdawać się z bratem w tego typu dyskusje. - Już jesteśmy na miejscu, to ten dom po prawej - wskazała na świeżo odnowioną secesyjną willę.

Szofer wysiadł i otworzył piękną żeliwną bramę, potem zajechali przed dom.

Rezydencja ambasadora Kolumbii była bardzo elegancka, Izabella z dumą odgadywała tu rękę Nicole. Piękne, staroświeckie posadzki ozdabiały wspaniałe perskie dywany. Na dole był salon, biblioteka i dwie sale przyjęć. Charakter każdej sali był trochę inny, jedna ozdobiona była w stylu polskim, a druga kolumbijskim, ale nie w sensie kolorowo-ludowym, w obu były eleganckie, dziewiętnastowieczne meble, a ściany przyozdabiały obrazy typowe dla dziewiętnastowiecznego malarstwa Polski i Kolumbii. Łatwo sobie było wyobrazić, że przyjęcia tu wydawane były równie wykwintne i w dobrym stylu jak wnętrza rezydencji.

- Nicole, gratuluje! - Izabella była naprawdę dumna z córki.

- No cóż, staram się jak mogę, żeby mężowi nie przynieść wstydu - odpowiedziała skromnie Nicole, ale widać było, że uznanie matki sprawia jej dużą przyjemność. - Alonso będzie za godzinę, ma ważne spotkanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, i prosił, żeby mamę przeprosić, że nie mógł jej osobiście przywitać.

- Bardzo dobrze. Chętnie po tej drodze i po tych wszystkich wzruszeniach wezmę prysznic i może uda mi się na chwilę zdrzemnąć, a ty zajmij się tymi łobuzami, twoimi braćmi, wątpię, żeby ci się udało zagonić ich do łóżka!

Obie się roześmiały.

- Nie martw się, mamó, na pewno się nimi zajmę. Może pójdziemy nad Wisłę, to dosłownie dwie przecznice stąd.

Izabellę nagle ukłuła zazdrość - „też chcę pójść nad Wisłę!”, ale się opanowała i nic nie powiedziała. Jeszcze wszędzie pójdzie, a teraz najmądrzej będzie trochę odpocząć.

Następne parę dni Izabella z chłopcami i Nicole zwiedzała Warszawę. Z satysfakcją patrzyła na córkę, która po roku w Polsce nie tylko świetnie już mówiła po polsku, ale co więcej, stała się prawdziwą koneserką Warszawy. Znała każdy obraz w Muzeum Narodowym i w pałacu królewskim w Wilanowie, każdy malowniczy zaułek Starego Miasta i każdą restaurację, do której warto było wpaść coś zjeść. Była doskonałym przewodnikiem dla Izabelli i braci. Poza tym zorganizowała dla José dwóch kolegów, synów pracowników ambasady. Robbie sam sobie znalazł towarzystwo w osobie dziewiętnastoletniej sąsiadki zza płotu - Danusi Borkowskiej. Jak się potem okazało, jej ojciec był właścicielem pobliskiej cukierni, która musiała doskonale prosperować, bo dom państwa Borkowskich niewiele ustępował splendorem rezydencji ambasadora Kolumbii.

Dziewczyna była nie tylko ładna i miła, ale do tego bardzo towarzyska. Zabierała ze sobą młodego Amerykanina na najróżniejsze prywatki i zabawy. Robbie był zachwycony, bardzo mu się podobało w Warszawie i zapowiedział matce, że nauczy się po polsku „jak Nicole”. W tej sytuacji, z wielkim trudem udało się Izabelli wyciągnąć dzieci na wycieczkę do Krakowa, ale żadne z nich potem nie żałowało. Nicole też była w tym mieście pierwszy raz, ale wróciła oczarowana. José był pod wrażeniem Smoczej Jamy i zionącego ogniem wawelskiego smoka, ale także wspaniałego zamku na wzgórzu, królewskich grobów i turnieju rycerskiego, którego inscenizację, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, udało im się obejrzeć na wawelskim dziedzińcu. Wszystko to oczarowało obu chłopców jak bajka czy telewizyjny serial. Trudno im było uwierzyć, że takie zamki, takie lochy, takie zbroje istnieją naprawdę. Izabella pamiętała Kraków jak przez mgłę. Była tu na swojej pierwszej i ostatniej wycieczce szkolnej, przed wybuchem wojny. Miała wtedy dziesięć lat. Pamiętała, że na niej też duże wrażenie zrobił zamek na Wawelu i Smocza Jama. Pamiętała też kopalnię soli w Wieliczce, wobec czego tam również się udali. Na rynku krakowskim Izabella kupiła piękną panoramę Krakowa, namalowaną przez jakiegoś studenta, ale z werwą i rozmachem. Był to prezent dla ojca Justyna. Postanowiła, że płótno ładnie oprawi w Boca Raton i zawiezie ojcu Justynowi do klasztoru. Biedny staruszek został już na stałe w Miami, lekarze nie puścili go z powrotem do Afryki. Rak prostaty rozprzestrzenił się na inne organy ciała. Nie bardzo mógł się ruszać ze swojej celi. Malowidło było spore, zajęłoby pewnie całą ścianę jego celi, ale jeśli będzie wołał, to na pewno będzie je mógł powiesić gdzieś na korytarzu.

Po paru dniach w Warszawie kolejną wycieczkę odbyli do Grabowa. Izabella chciała zobaczyć, co zostało z dworku dziadków i miejsc, gdzie spędzała z mamą wakacje letnie. Znowu

trudno było oderwać Robbiego od Danusi, a José od kolegów, ale Izabella postawiła na swoim i z całą trójką wyruszyła do Grabowa. Ten wyjazd był dla niej chyba najbardziej wzruszający. O ile powojenna Warszawa już nie była miastem jej dzieciństwa, choć oczywiście rozpoznawała swój dawny dom, niektóre ulice i parki, o tyle wiejski krajobraz Mazowsza, a potem Podlasia, nie zmienił się ani trochę. Jadąc szosą w kierunku Łomży, czuła, jakby się stopniowo przenosiła w czasie, w lata dzieciństwa, kiedy przez te same pola i lasy jechała z matką, wprawdzie pociągiem, nie mercedesem, ale tak samo podekscytowana wyjazdem jak teraz.

Mijali wioski, pola i lasy. Patrzyła ze wzruszeniem na monotony, lecz tak jej bliski krajobraz Mazowsza. Na wierzby i topole, na malutkie, ale zawsze ukwiecone, kapliczki przydrożne. Co jakiś czas na chłopskich chałupach widać było gniazda bocianów, które najbardziej fascynowały José.

- Mamo, czy one są większe od pelikanów?

- Bo ja wiem, chyba większe, a w każdym razie ładniejsze - odpowiedziała z przekonaniem Izabella.

- Wcale nie są ładniejsze! - José był wyraźnie florydzkim patriotą. - I nie mają pod dziobem torby na ryby.

- Bo nie potrzebują, jedzą żaby - wtrąciła się ze znanstwem Nicole.

- Żaby? To zupełnie jak Francuzi - dorzucił Robbie i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Izabella patrzyła na mijany sosnowy lasek i słuchała swoich dzieci. Jak się to wszystko dziwnie potoczyło. Dla niej bocian to coś swojskiego, choć może też pięknego i romantycznego, a dla jej dzieci to jakiś egzotyczny, żywiący się żabami, ptak. Dla Robbiego i José swojskie są pelikany, a dla Nicole pewnie jakieś afrykańskie sępy. *Mój Boże* - Izabella westchnęła cicho - *dziwny jest ten świat*. Pomyślała o ojcu Justynie, on pewnie też woli bociany od pelikanów!

Minęli Łomżę, przejechali most nad Narwią, skręcili w prawo. Teraz byli już blisko. Po chwili minęli przydrożny krzyż stojący na granicy Raczyńca i Grabowa.

Przy wjeździe do wsi Izabella kazała zatrzymać samochód. Nie wierzyła własnym oczom. W tym samym miejscu co pięćdziesiąt lat temu stała przygarbiona chata, a przed nią w kałużach na drodze bawiła się grupka umorusanych dzieci, z niebieskimi oczami i kędzierzawymi blond włosami. Pamiętała tę scenę, jakby to było dziś. To były dzieci Kędziorków. Mama wyjaśniła jej wtedy, że stąd się bierze ich nazwisko, że mają kędzierzawe włosy, dziedziczą

tą cechę, podobnie jak niebieskie oczy, z ojca na syna. Ale to było ponad pięćdziesiąt lat temu! To musi już być drugie czy trzecie pokolenie Kędziorków od tego czasu.

- Synku, jak się nazywasz? - Izabella wychyliła się z samochodu.

Nicole, Robbie i José patrzyli na matkę lekko zdumieni - co jej przyszło do głowy?

- Witek.

- A na nazwisko?

- Kędziorek.

Izabella miała łzy w oczach. Dała zdumionemu chłopcu czekoladę i kazała jechać dalej.

- Mamo, o co go pytałaś? - zapytał José.

Izabella wyjaśniła dzieciom - jak niegdyś mama jej wyjaśniła - historię Kędziorków i ich nazwiska. Któryś przodek, kilkaset lat temu, miał kędzierzawe włosy i stąd dostał przydomek „Kędziorek”, który potem stał się nazwiskiem. Geny kędzierzawych włosów, podobnie jak niebieskich oczu, przekazywane są w rodzinie od pokoleń. I tak dotrwało do dziś.

Tymczasem dojechali na środek wsi. Tu też prawie nic się nie zmieniło. Izabella kazała szoferowi skręcić w prawo i jechać prosto do końca. Jak się okazało, spalony przez bolszewików dworek dziadków został odbudowany. Mieściła się tu teraz szkoła podstawowa. Była właśnie przerwa i przed budynkiem kłębiła się chmara dzieciaków. Po chwili zabrzmiał dzwonek i dzieci rozeszły się do klas, a Izabella, Nicole, Robbie i José mogli spokojnie przyjrzeć się budynkowi. Robbie zrobił kilka kolejnych pamiątkowych zdjęć mamy wśród słoneczników, przy wejściu do domu i koło studni z gontowym daszkiem, która zachowała się nienaruszona. Do środka Izabella nie chciała wchodzić. Bo po co? Zobaczyć wnętrze wiejskiej szkoły? Wolą zachować w pamięci przytulnie urządzonej salonik babci. Ciemny, jakoś zawsze ponury pokój jadalny, sypialnie z oknami wychodzącymi na sad i pełną wspaniałych zapachów kuchnię, w której królowała kucharka Bronia.

Po chwili wszyscy wsiedli do samochodu i pojechali dalej, za kościół, na cmentarz. Izabella pilotowała szofera, jakby tu była ostatni raz dwa tygodnie temu. Kazała mu zatrzymać się przed bramą cmentarza. Mały, wiejski cmentarzyk położony był na wzgórzu za kościołem. Na najwyższym miejscu stała kapliczka, a pod nią był grób rodziny Buczackich.

W ten piękny letni dzień na cmentarzu nie było żywego ducha. Wszyscy pracowali w polu. Wśród rosnących na grobach krzewów i kwiatów uwijały się, pracowicie bzyząc, pszczoły i bąki. Nicole poszła do sklepu, który zauważyła przejeżdżając, kupić coś do picia. José pracowicie porządkował kompletnie zapuszczone wejście do rodzinnego grobu, a Robbie siedział na

cmentarnym murku i starał się nawiązać konwersację z dwiema dziewczynami pasącymi krowy po drugiej stronie muru.

Izabella siedziała przed kapliczką na zwalonej kolumnie i patrzyła na wspaniałą, soczyście zieloną, dolinę Narwi i niebieską wstęgę toczącą się zakolami rzeki. Nic się tu nie zmieniło, jak dobrze pamiętała ten widok! Przychodziła tu często z babcią, przynosiły świeże kwiaty na ołtarz kapliczki i niżej, na groby. Kapliczka była w fatalnym stanie. Dwie boczne kolumnienki leżały na ziemi obrośnięte trawą. Ołtarz był pusty i zdewastowany. Tylko przyroda była jak zawsze bujna i wspaniała.

Izabella spojrzała w dół, na kościółek po prawej stronie, łąki i rzekę po lewej. Patrzyła na pasące się krowy, na dostojnie stojące w trawie bociany i myślała o tym, jak dziwnie potoczyło się jej życie przez te pięćdziesiąt lat. Jest tu z trojgiem dzieci, każde z innego małżeństwa, właściwie bardziej jak Organizacja Narodów Zjednoczonych niż rodzina - Nicole DuChaillet, obywatelka francuska, Robbie Bradley - obywatel amerykański i José Balvarena - obywatel kolumbijski, a ona sama, niby Polka, ale zarazem Amerykanka i Kolumbijka!

Przez te lata przemierzała kraje i kontynenty, uczyła się języków i nowych zawodów, dorobiła się fortuny i ostatecznie osiadła we wspaniałej posiadłości na Florydzie. A weźmy taki Kędziorek, całe życie spędził w tej przygarbionej chacie przy wjeździe do Grabowa, i co? Może jest tak samo szczęśliwy? Pewnie by jej zazdrościł, ale czy wie, co musiała przejść, w Afryce, w Genewie, czy w Nowym Jorku? Ile przecierpiała upadków i zawodów? Jak się musiała przebijać w tych obcych krajach? Izabella gorzko się uśmiechnęła. *Kto by pomyślał, że tak mi się życie potoczy, kiedy w sierpniu 1939 roku wracałam stąd, z mamą, z wakacji do szkoły w Warszawie? W kilka miesięcy później Grabowo zajęli bolszewicy, zabijając dziadków i paląc dworek. W pięć lat później pod gruzami domu w Warszawie zginęli rodzice, a ja wyruszyłam, z tobołkiem na plecach, w szeroki świat. A teraz znowu tu jestem. Narew ta sama, łąki i bociany te same, kościółek ten sam. Kędziorki te same, tylko kapliczka w ruinie.*

- Mamo, mam piwo i lemoniadę, za bardzo zimne nie są, ale da się pić - Nicole stała przy matce.

- Bo ja wiem, to już chyba daj tę lemoniadę - Izabella otrząsnęła się ze swoich myśli.

- Mamo, wiem, co teraz myślisz - Nicole podała Izabelli lemoniadę i patrzyła na łąki i rzekę. - Mnie też czasami śni się podobny widok - rzeka, sawanna, gdzieś tam samotny baobab i lwy u wodopoju.

Izabella spojrzała na córkę i obie się uśmiechnęły.

- Tak, kochanie, niby podobny widok, ale jednak inny, bociany i krowy to nie lwy, wierzby nie baobaby, a soczyste, zielone łąki to nie sucha, spalona słońcem sawanna. Ale masz rację, to są krajobrazy naszego dzieciństwa. Teraz rozumiem, dlaczego tak czasem tęsknisz za tą mulistą rzeką i tym widokiem z naszego tarasu w Bikasi. Dla ciebie tamto jest ojczyzną, dla mnie to.

- Mamo - spocony od wysiłku José podszedł do matki i Nicole - to wstyd, żeby grób był taki zaniedbany.

Izabella i Nicole spojrzały po sobie.

- Masz świętą rację synku, naprawdę bardzo ładnie posprzątałeś, ale musimy coś z tym zrobić.

- I zrobimy - zawtórowała z przekonaniem Nicole.

Potem zawołały Robbiego i wszyscy razem udali się na plebanię. Była sobota po południu i ksiądz proboszcz przygotowywał jutrzejsze kazanie. Trochę się zdziwił wizytą eleganckiej starszej pani, jej równie eleganckiej i ślicznej córki, oraz dwóch młodych ludzi. Izabella przedstawiła mu się swoim panieńskim nazwiskiem i wyjaśniła powód wizyty.

- Mieszkam teraz w Ameryce, na Florydzie, więc trudno by mi było samej to zrobić, ale bardzo mi zależy na odnowieniu i konserwacji kapliczki cmentarnej i grobu rodziny Buczacich. Gotowa jestem dobrze zapłacić. Czy mógłby ksiądz się tym zająć, czy ewentualnie wskazać mi kogoś, kto byłby gotowy to zrobić?

Ksiądz mocno się zamyślił i powiedział:

- Ale to może drogo kosztować... teraz trudno o budulec, o ludzi...

- Jak dużo? - Izabella spojrzała rzeczowo na księdza proboszcza.

- Bo ja wiem - ksiądz czuł okazję, ale nie bardzo wiedział, co powiedzieć, w końcu wyduślił z siebie, niebotyczną, zdawało mu się sumę - może nawet pięć tysięcy dolarów!

Izabella wypisała czek i wręczyła księdzu. Proboszcz spojrział i oddał papierek Izabelli.

- Pani się pomyliła, powiedziałem pięć, a nie dziesięć tysięcy.

- Nie, proszę księdza, nie pomyliłam się - pięć na kapliczkę i grób, a pięć na potrzeby kościoła w Grabowie. Na pewno ma ksiądz duże wydatki.

Okrągła, rumiana twarz księdza proboszcza nabrała dodatkowych rumieńców.

- Bardzo pani dziękuję, to naprawdę wspaniały dar, Bóg zapłać! Spada nam jak z nieba, będzie na remont kaplicy Świętego Justyna.

- Świętego Justyna? - Izabella spojrzała pytająco na księdza.

- Tak. Po prawej strony, obok głównej nawy, pięćdziesiąt lat temu jej nie było. Parafianie zbudowali ją trzydzieści lat temu, w dziękczynieniu dla świętego Justyna, że powódź ominęła Grabowo. Święty Justyn to patron powodzian.

Izabella wzięła ze stołu czek i przedarła w pół. Ksiądz spojrzał na nią przerażony, ale Izabella tylko się uśmiechnęła, wyjęła z torebki książeczką czekową i wypisała kolejny czek, na piętnaście tysięcy.

- To ma ksiądz teraz na kapliczkę Buczackich, na świętego Justyna i na potrzeby kościoła.

- Naprawdę nie wiem, jak pani dziękować, stokrotne Bóg zapłać! - okrągła twarz księdza była teraz jak księżyc w pełni - Krysiu! - zawołał do gospodyni - przynieś państwu herbaty i tych ciasteczek z szafy!

- Bardzo księdzu dziękuję, ale musimy już jechać. Robi się późno, a musimy dzisiaj wrócić do Warszawy - Izabella grzecznie się wymówiła. - Ale może moglibyśmy jeszcze przed odjazdem rzucić okiem na kapliczkę Świętego Justyna?

- Ależ oczywiście, z największą przyjemnością - ksiądz proboszcz zdjął kapcie, włożył buty i wziął pęk kluczy. - Już idziemy!

Wszyscy poszli ścieżką od plebani do furtki w murze przykościelnym i dalej do wejścia do zakrystii. Po chwili byli w kościele. Izabellę coś ścisnęło w gardle. Piękny kiedyś, stary kościółek był teraz w środku cały odmalowany na pseudonowocześnie. Izabella spojrzała na Nicole, rozumiały się bez słów, co za koszmarnie bohomazy, ale ksiądz był bardzo dumny z renowacji, która - jak zaznaczył - „sporo kosztowała”, ale dzięki ofiarności parafian udało się ją doprowadzić do końca.

- Bardzo ładnie - Izabella nie chciała robić księdzu przykrości.

Przeszli nawę i doszli do balasek. Po lewej stronie, w pobliżu ołtarza stała ławka kolatorska rodziny Buczackich. Ta sama, w której Izabella przesiedziała z mamą i dziadkami tyle niedzielnych mszy, wierząc się niemiłosiernie w czasie znacznie za długich, jej zdaniem, kazań. Izabella miała łzy w oczach.

- Tak, proszę pani, to ta sama ławka kolatorska - ksiądz też był wzruszony. - Zachowaliśmy ją nietkniętą, w dowód szacunku dla pamięci rodu Buczackich, tak zasłużonego dla naszej parafii i dla całej ziemi łomżyńskiej. Wszyscy będziemy w parafii zaszczytzeni, jeśli przyjedzie pani kiedyś do nas z rodziną na mszę w niedzielę. Ławka kolatorska na panią czeka!

Nicole przetłumaczyła braciom, co ksiądz powiedział. Widać było, że nie bardzo rozumieli, o co chodzi. Izabella obiecała im wyjaśnić wszystko w drodze powrotnej.

- A tu - ksiądz wskazał na niszę po prawej stronie nawy - jest kaplica Świętego Justyna. - Rzeczywiście potrzebowała renowacji. Od ściany odpadały kawałki tynku, a rama obrazu trzymała się jedynie dzięki dość niezgrabnie przybitym na rogach deseczkom.

Izabella przyklękła przed obrazem, pochyliła głowę i pomodliła się żarliwie za zdrowie ojca Justyna.

Nicole patrzyła na obraz - w odróżnieniu od odnowionych ścian kościoła był niewątpliwie stary i przedstawiał zakonnik w brązowym habicie przepasanym białym sznurem, unoszącego się jakby w obłokach. U jego stóp wśród zielonych **łąk wila się** rzeka.

- Czy to Narew? - Nicole zapytała księdza.

Księżulo się nieco stropił, wyraźnie nic o tym obrazie nie wiedział.

- Wie pani, że nie wiem, dostaliśmy go trzydzieści lat temu od bernardynów z Łomży. Ja tu jeszcze wtedy nie byłem proboszczem. To jakaś rzeka, może i Narew, ale chyba nie, bo obraz jest zdaje się włoski.

- Rzeczywiście na to wygląda. - Nicole podeszła bliżej.

Tymczasem Robbie i José zapatrzeni byli w realistycznie namalowaną na ścianie scenę połknięcia Jonasza przez wieloryba.

Po chwili Izabella wstała, uśmiechnęła się do dzieci i księdza proboszcza.

- Bardzo dziękuję, że nam ksiądz pokazał kościół. Bardzo się wzruszyłam, przypomniało mi się dzieciństwo, mama, dziadkowie - Izabella otarła chusteczką oczy - ale teraz musimy już jechać. W Warszawie na nas czekają.

Wszyscy wyszli przed kościół.

- To zajmie się ksiądz odnowieniem kapliczki cmentarnej rodziny Buczackich? - Izabella zwróciła się do księdza proboszcza po wyjściu z kościoła.

- Ależ na pewno! Będzie piękniejsza niż przedtem!

- Nie, nie proszę księdza - Izabella wyraźnie się zaniepokoiła, przypominając sobie nawę kościoła - bardzo proszę, żeby była dokładnie taka sama jak przedtem. Bardzo mi na tym zależy.

- Ależ, proszę pani, oczywiście, jak pani sobie życzy, na pewno tak będzie.

Nicole, dla pewności, powiedziała księdzu, że jest żoną ambasadora Kolumbii w Warszawie i że za parę miesięcy wpadnie zobaczyć, jak postępują roboty.

- Z całego serca zapraszam, mogą się państwo zawsze zatrzymać u nas na plebani, tylko proszę dać znać, żebyśmy wszystko przygotowali. To będzie dla mnie wielki zaszczyt!

- Dobrze, proszę księdza, bardzo dziękuję, na pewno przyjadę - Nicole uśmiechnęła się ciepło do księdza. - Nie wiem, czy uda mi się męża namówić, ale ja na pewno przyjadę.

- Z całego serca zapraszam.

* * *

Największą niespodziankę dla matki Nicole zachowała na koniec. W przededniu urodzin Izabelli i na trzy dni przed ich powrotem do Ameryki zaprosiła wszystkich na spacer do pobliskiego zoo. Izabella najpierw nie chciała iść, mówiąc, że wolałaby odpocząć i napić się herbaty.

- Idź, kochanie, z chłopcami. Ja już dosyć mam wrażeń, troszkę sobie odsapnę.

- Ja idę z Danusią do kina - oświadczył Robbie.

Tylko José był gotów iść z siostrą do zoo, bez żadnych zastrzeżeń.

- Nie ma mowy - Nicole była stanowcza. - Wszyscy idziemy, to jest moja niespodzianka urodzinowa dla mamy i chcę, żebyśmy tam byli wszyscy razem. Alonso też idzie.

Izabella trochę się zdziwiła. Robbie i José też spojrzeli podejrzliwie na siostrę - zwariowała czy co? Spacer do zoo niespodzianką urodzinową dla mamy?

- Zobaczysz, mamó, nie pożałujesz! Ty też - Nicole zwróciła się do brata. - Do kina możecie z Danusią pójść później, spacer do zoo zajmie nam pewnie z godzinkę. Alonso też musi wracać na koktajl do ambasady.

- No dobrze, córeczko, to chodźmy, strasznie jestem ciekawa tej niespodzianki!

- Ja też - dorzucił nieco kwaśno Robbie - małpę z dwiema głowami nam pokażesz, czy słonia na kółkach?

Po chwili cała grupka była przed główną bramą zoo. Izabella, Robbie i José trochę się zdziwili, że Nicole ma specjalną przepustkę, na którą może wprowadzać gości bez kupowania biletów, ale uznali, że może to jakiś przywilej dyplomatyczny. Alonso żartował z Izabellą, że Nicole zna to zoo jak własną kieszeń, lepiej niż salony ambasady, widać, że wyrastała w Afryce!

- Po prostu dobrze się czuje w małpiarni, przypomina jej to Nowy Jork - dorzucił Robbie, Wszyscy się roześmieli, a tymczasem José wypatrzył lamę i koniecznie chciał do niej podejść, „bo ona pewnie z Kolumbii”.

- Raczej z Peru albo Boliwii - powiedział ze znawstwem Alonso - w Kolumbii rzadko się je widuje.

- A tata mówił, że lamy są z Kolumbii - José nie dawał za wygraną.

- I ma rację - wtrąciła się rzeczowo Nicole. - U was w Cali w dolinie rzeki Magdalena, za duszno i za gorąco dla lam, to i rzadko je tam widywałeś - zwróciła się do męża - ale wysoko w Andach albo na zboczach gdzie rośnie kawa, jest ich dużo.

- Może... - Alonso nie był przekonany, ale nie zamierzał wdawać się w jałowe dyskusje z żoną.

Tymczasem minęli żyrafy, niedźwiedzie, foki i szli w kierunku „Wielkich drapieźników”. Za tygrysami i lampartami była nowiutka, drewniana brama w kształcie łuku triumfalnego. Na górze wyryte było dużymi literami:

PAWILON LWÓW AFRYKAŃSKICH im. IZABELLI BUCZACKIEJ

Izabella stanęła jak wryta, podczas gdy Nicole przetłumaczyła napis Robbiemu i José.

Niżej, z boku bramy była duża tablica z brązu z płaskorzeźbą lwicy z naderwanym uchem i dwóch młodych lewków. Pod nią widniał napis: „Wybieg dla lwów afrykańskich ufundowany na cześć matki przez Nicole DuChaillet-Avila, dla upamiętnienia prawdziwego zdarzenia na wzgórzach Karidu, w lecie 1958 roku”. Niżej już znacznie mniejszymi literami opisany był, w kilku zdaniach, bohaterski czyn lwicy Loli i jej dzieci.

Po tablicą kłębił się tłum dzieci z wycieczek szkolnych. Na Nicole i jej grupkę czekał już dyrektor zoo, który przywitał się serdecznie z Izabellą, pogratulował jej tak wspaniałej córki i opowiedział, jak to dzięki jej staraniom, a w dużej mierze też za jej pieniądze, powstał w warszawskim zoo jeden z najnowocześniejszych na świecie wybiegów dla lwów. Przedtem był w zoo tylko jeden już dość stary samiec, dyrekcja obawiała się, że na nim skończy się ekspozycja lwów, bo zoo nie było stać na zakup dalszych zwierząt. Teraz sprowadzono mu lwicę, która już jest w ciąży. W planach jest sprowadzenie jeszcze jednej pary, bo wybieg jest tak zaplanowany, że spokojnie może pomieścić dwie dorosłe pary i ich potomstwo. Tym samym warszawskie zoo będzie miało największą i najciekawszą ekspozycję lwów w całej Europie Środkowej i Wschodniej.

Nicole promieniała, a Izabella patrzyła z niedowierzaniem, to na nią, to na dyrektora zoo. Nawet zawsze cyniczny Robbie był pod wrażeniem. Najbardziej przyziemny okazał się José, który po prostu chciał te lwy zobaczyć.

- Ależ oczywiście, podejźmy do wybiegu - dyrektor poprowadził grupkę gości do balustrady, za którą była fosa oddzielająca zwierzęta od zwiedzających.

- Jest gorące letnie popołudnie, więc lwy, jak wszystkie duże drapieżniki z sawanny, śpią - wyjaśniał dyrektor - niestety za dużo ich nie widać, o tam! Ta duża żółta plama w trawie to właśnie nasza lwica, nadaliśmy jej, oczywiście, imię Lola.

José był mocno zawiedziony. Natomiast Izabella patrzyła na sztuczne skały, trawę, wyschłe niby to baobaby i musiała przyznać, że wybieg był rzeczywiście świetnie zrobiony. W tym momencie żółta plama poruszyła się, lwica powoli wstała i przeciągnęła się, potem leniwym krokiem podeszła do fosy napić się wody. Podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Izabelli i Nicole. Była od nich zaledwie kilkanaście metrów. Wypreżyła się i wydała z siebie cichy pomruk. José schował się za balustradę, ale Izabella patrzyła jak zahipnotyzowana w jej groźne, zielone oczy. Jak żywą miała przed oczami tamtą lwicę sprzed lat, w skwarzym afrykańskim słońcu, kiedy stała sparaliżowana strachem, półnaga, w podartej sukience, w drzwiach tej palmowej chatki. Tam nie rozdzielała ich fosa. Tamtą Lola, tak samo jak ta, wypreżyła się wtedy groźnie, przymrużyła oczy, mruknęła, odwróciła się i poszła do dzieci, pozwalając Izabelli wrócić do swojego dziecka.

Lwica odwróciła się i pomaszerowała na swoje miejsce, w cieniu na trawie. Izabella spojrzała na Nicole, która patrzyła na zwierzę z rzewnym rozczuleniem. Izabella uśmiechnęła się w duchu - ja pewnie tak wyglądałam, patrząc na krowy pasące się na łące nad Narwią!

- Mamo, tam są lody! - José wypatrzył lodziarza ze skrzynką lodów Mewa na ramieniu.

- To idź sobie kup.

- Kiedy nie mam już pieniędzy.

- Pani pozwoli, że ja dziecku kupię loda - dyrektor zoo żwawo podszedł do lodziarza.

- Nicole, to naprawdę cudowne, tej niespodzianki urodzinowej nigdy nie zapomnę!

- Mamo, to nasza lwica. Prawda, jaka podobna?

- Tylko uszu nikt jej na szczęście nie naderwał - Izabella uśmiechnęła się do córki.

Alonso z Robbiem zagłębili się tymczasem w rozważania nad tym, jakie szanse ma człowiek w starciu ze lwem. Zgodnie doszli do wniosku, że jeśli lew jest głodny, to nie ma żadnych szans. Robbie rzucił propozycję, żeby wrzucić José do fosy i zobaczyć, co będzie. Młodszy brat uśmiechnął się niepewnie, słysząc ten dowcip, i na wszelki wypadek skierował się szybkim krokiem w kierunku żyraf. Wkrótce udała się za nim reszta towarzystwa.

Po niesłuchanie uciążliwej kontroli paszportowo-celnej, w trakcie której przejrzano dokładnie cały bagaż Izabelli i ledwie udało jej się przekonać celników, że panorama Krakowa dla ojca Justyna to nie historyczne dzieło sztuki, siedzieli wreszcie wygodnie w pierwszej klasie samolotu Brytyjskich Linii Lotniczych. Samolot wystartował zgodnie z planem. Robbie i José grali w jakąś bardzo skomplikowaną grę, którą sobie kupili w Warszawie, a Izabella patrzyła w dół na chmury i pogrążyła się w myślach.

Wizyta w Polsce była bardzo udana. Czowała, że zamknęła w ten sposób jakąś klamrę w swoim życiu. Chciała tu przyjechać, chciała pokazać synom kraj swojego dzieciństwa. A teraz z przyjemnością wraca do domu, do męża, do palm, do bugenwilli, do kolorowych kolibrów i śmiesznych, torbiastych pelikanów.

Warszawa była bardzo ciekawa, ale to nie było już miasto jej dzieciństwa. Tak samo jak szkoła podstawowa w Grabowie to nie był już dom jej dziadków. Jej krajem jest teraz Ameryka, dobrze jej z tym i nie ma co tego ukrywać. Choć musiała przyznać, że pewną satysfakcję sprawiło jej to, że Nicole tak szybko nauczyła się polskiego i jest zafascynowana Polską, jej historią i kulturą. Skupuje obrazy mało znanych polskich malarzy i twierdzi, że zrobi fortunę, sprzedając je w Nowym Jorku. No, może... daj jej Boże zdrowie! Lepiej się na tym zna niż ja. Robbie też już zapowiedział, że będzie się uczył polskiego i na Boże Narodzenie wraca do Warszawy, do siostry. *A może raczej do Danusi? - ale w to już nie będę wnikała - Izabella uśmiechnęła się do siebie - to już im zostawię. Jak zechcą, to może być ich Polska, mojej już nie ma, odeszła w siną dal, z płonąca Warszawą, z dziadkami, z rodzicami, z panią Franczakową i starym panem Natansonem.*

Izabella poprosiła o drugi kieliszek szampana. Wyciągnęła się wygodnie w fotelu i pomyślała o Miguelu. Jak to dobrze, że go mam, że na mnie czeka, że jutro go zobaczę. Przymknęła oczy - była już na tarasie swojego domu, obok kochającego męża, otoczona dziećmi i wnuczkami.

Jestem szczęśliwa, po prostu szczęśliwa! - Izabella dopiła szampana, przymknęła oczy i zasnęła w ramionach Miguela.

